

Lucia Etxebarria,
Kosmof-obia
przełożyła Weronika Ignas Madej

Tytuł oryginału: Cosmofobia
Projekt okładki: Wojciech Wawoczny
Redakcja: Alina Sarnecka
Redakcja techniczna: Zbigniew Katafiasz
Korekta: Maria Nowakowska
Zdjęcia wykorzystane na okładce:
© by iStockphoto.com/Boris Zaytsev
© by iStockphoto.com/A.eon Bonaventura
© Lucia Etxebarria, 2007
© Ediciones Destino, 2007
Diagonal, 662-664. 08034 Barcelona
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2009
© for the Polish translation by Weronika Ignas-Madej
ISBN 978-83-7495-632-1
Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2009

Cosmophobia A noun (Psych.). Morbid dread of the
cosmos and realising ones true place in it. Hence, cos-
mophobic, adjective.

She was a happy and outgoing person until she developed
cosmophobia. Then, knowing her true place in the universe,
insanity was inevitable.

Urban Dictionary

[Kosmofobia Rzeczownik (psych.). Chorobliwy lęk przed ogromem wszech-
świata i uświadomieniem sobie swojego prawdziwego w nim miejsca. Kosmo-
fobiczny, przymiotnik.

Była szczęśliwą, otwartą osobą, dopóki nie stała się kosmofobką. Wtedy uświa-
domiła sobie swoje miejsce we wszechświecie, co nieuchronnie doprowadziło
ją do szaleństwa.]

Moja twórczość w znacznej mierze uzależniona jest od
przypadku; pozostaje nieświadoma swego celu, a ja za-
zwyczaj nie zgadzam się na kierunek, w którym ona po-
dąża. Interesuje mnie to, co sprawiło, że znajduję się właś-
nie w tym miejscu, i co spowoduje, że je opuszczę. Każdy
obraz jest śladem takiej podróży.

fragment wywiadu z Alfredo Aharezem Pldgaro

Książkę tę dedykuję:

Curro Cañete, który wspierał mnie czynem i myślą przez
cały ostatni rok, świadoma, jak wiele mu zawdzięczam;
Allegrze, z nadzieją, że kiedy dorośnie, to przeczyta i polubi
tę książkę;

Jeffowi - bo to powieść o Madrycie - aby docenił wszystko
to, co tu znajdzie.

OD AUTORKI

Chociaż niektóre opisane tu osoby istnieją w rzeczywistości, a do części opisywanych wydarzeń inspiracją stały się relacje pracowników społecznych, strony internetowe i inne podobne im źródła, to powieść ta jest fikcją. Należy pamiętać, że opisane przeze mnie przypadki, postaci i sytuacje nie odnoszą się do żadnej konkretnej osoby ani tym bardziej nie ujawniają szczegółów z działalności konkretnych grup wsparcia.

Moja przyjaciółka Monica zwykła przytaczać anegdotę, której użyję i ja, by rozpocząć moją powieść przeplatających się historii. Na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Monica chodziła jeszcze do liceum, miała przyjaciela - kolegę z klasy, zakamuflowanego homoseksualistę, który wtedy nie miał jeszcze za sobą doświadczeń z mężczyznami. Ani rodzina, ani przyjaciele nawet nie domyślali się odmiennej orientacji Aritza, a on sam - po trwających tygodniami nieporozumieniach i skonsumowaniu znacznych ilości alkoholu - wyznał ów sekret właśnie Monice. Pewnego wieczoru poprosił ją, żeby przeszli się razem po barach w Chueca, których choć nie znał osobiście, to miał o nich pewne wyobrażenie, ponieważ w gazecie natknął się na aluzyjną wzmiankę o uczęszczającej tam klienteli (pamiętajmy, że w tamtych czasach nie było Internetu, automatycznych sekretarek, komórek, nie używano słowa „gej”, a tym bardziej pojęcia „gejowskiej dumy”), i w ten oto sposób wylądowali w nastrojowej knajpie, gdzie Monica okazała się jedyną kobietą. Nie miała ukończonych siedemnastu lat i nie mogła legalnie zamówić alkoholu. Aritz wdał się w rozmowę z jakimś przystojnym facetem, a Monica, lekko wystraszona, została sama przy barze, czując się tam dość niezręcznie. Zagadnął ją niewysoki grubasek z kartoflanym nosem i mocno skręconymi włosami. Nie grzeszył urodą, nikt nie zwracał na niego uwagi i Monica domyśliła się, że i jemu brakuje towarzystwa. Zaczęli rozmowę o kinie i muzyce,

9

na koniec chłopak poprosił Monice, by poszła z nim do domu. Była za młoda, żeby móc się napić, ale wystarczająco dorosła, żeby stwierdzić, że propozycja nie niosła w sobie żadnych seksualnych podtekstów. Jeszcze w bramie powiedział jej, że napisał scenariusz filmu i szuka dziewczyny do roli niejakiej Bom, po czym wcisnął jej świstek z nabazgranym numerem telefonu, a Monica zaraz po przyjeździe do domu wrzuciła go do kosza. Rolę Bom zagrała Alaska, a tym chłopakiem był Pedro Almodovar.

Może to prawda, a może nieprawda. Być może Pedro Almodovar, jeśli kiedyś to przeczyta, stwierdzi stanowczo, że rolę Bom napisał tylko i wyłącznie dla Olvido, i nigdy nie przyszło mu przez myśl proponowanie tej roli jakiegokolwiek innej kobiecie. Zdarza się jednak, że pamięć płata nam figle - niejednokrotnie sama miałam niezbitą pewność, że nie mogłam być bohaterką wspomnianych wydarzeń - wykonującą, dajmy na to, striptiz na barze - bo rzeczywiście ich nie pamiętam, a tymczasem istnieją liczne dowody na to, że byłam tam, gdzie wydawało mi się, że nie

byłam, i zrobiłam to, czego - jak mi się wydawało - nie zrobiłam. Ktoś kiedyś powiedział, że pamiętamy tylko miejsca, w których nas nie było, wydarzenia, w których nie braliśmy udziału, i historie miłosne, których nie przeżyliśmy, ponieważ nasza późniejsza interpretacja zawsze zmienia rzeczywistość przeszłości. Niewykluczone, że zapamiętywanie jest tylko sprawnym zarządcą zapomnienia. Tak czy inaczej, pamięć i jej pułapki to gotowy temat na opowiadanie, ponieważ wszystkie historie żywią się raczej naszymi subiektywnymi wspomnieniami aniżeli rzeczywistymi faktami.

Gdyby Monica nie wyrzuciła telefonu Pedra do kosza, czy stałaby się sławną aktorką? Oczywiście wszyscy pamiętamy Marisę Paredes, Victorię Abril, Carmen Maurę czy Bibi Andersen, ale nie Cristinę Sanchez Pascual (bohaterkę Pośród ciemności), Cristinę Gregori (która grała w Pepi, Luci, Bom i innych dziew-

10
czynach z dzielnicy oraz w Labiryncie namiętności) czy Evę Sive (której powierzono rolę Luci w wiadomym filmie). Można by opisać alternatywny bieg wydarzeń, po tym, jak Monica zgodziłaby się zagrać u Almodovara, a ta historia mogłaby zakończyć się na dwa sposoby: szczęśliwie, jeśli Monica stałaby się uznaną aktorką, zyskawszy międzynarodowy rozgłos, i mniej szczęśliwie, kiedy po przyjęciu roli, otoczona fałszywym blichtrzem nowych błyskotek, nie dość dojrzała, by zmierzyć się z kolejnymi wyzwaniami i przejść zwycięsko przez rozliczne zasadzki, stałaby się ofiarą narkotykowego nałogu, jak wielu młodych ludzi w latach osiemdziesiątych, którym zbyt wiele było wciąż za mało. Tymczasem Monica ma dziś dobrze płatną pracę, stabilny związek, żadnych uzależnień i przeświadczenie, że żyje życiem, które sobie wybrała. A zatem skoro osąd danej historii zależy od punktu widzenia, nigdy nie zdobędziemy pewności, czy stracona szansa w rzeczywistości nie była w swej istocie szansą wykorzystaną, i dlatego nie należy żałować tego, co mogło się stać, a się nie stało.

To jest książka o utraconych i wykorzystanych szansach. Jeśli triadę sukcesu tworzą szczęście, spryt i odwaga, mam nadzieję, drogi czytelniku, że dasz jej szansę i do jej lektury nie zniechęci Cię fakt, że odważyłam się wyjść poza ramy istniejących gatunków. Użyłam mego sprytu, ale Ty musisz ocenić czy dobrze. Pozwól mi teraz opowiedzieć o mojej dzielnicy. Stoi tu budynek, swego czasu mieściła się w nim szkoła. Park, który go otacza - kiedyś przeznaczony wyłącznie dla uczniów - został oddany do publicznego użytku. Dziś Wielki Dom tętni życiem: znalazła tu schronienie grupa wsparcia dla kobiet, organizuje się zajęcia dla osób starszych, kursy szachowe, naukę hiszpańskiego dla imigrantów, kółko teatralne dla dzieci, kursy przystosowania społecznego i zajęcia dokształcające dla dorosłych, warsztaty rękodzieła oraz wszelkiego rodzaju spotkania służące ciekawemu

11
spożytkowaniu wolnego czasu, międzykulturowe warsztaty zdro-

wia psychicznego, kursy aktywnego poszukiwania pracy, szkolenia z prawa dla cudzoziemców, warsztaty radiowe... W Domku, który - jak sama nazwa wskazuje - jest niewielkim budynkiem przylegającym do głównego Domu, prowadzone są zajęcia dla dzieci: „salonik” przeznaczony dla maluchów w wieku przedszkolnym, pokój zabaw i świetlica ośrodka dziennego, stworzona specjalnie dla dzieci skierowanych tu przez opiekę społeczną. Gdy mowa o „dzieciach skierowanych”, oznacza to, iż pracownica opieki społecznej sprawdziła, że rodzice nie mogą sami zajmować się dzieckiem po szkole ani też nie mają pieniędzy na opłacenie opiekunki i dlatego madrycki urząd miasta zapewnia opiekę takim dzieciom od szóstej po południu do dziesiątej wieczorem.

W zakątku dawnego przyszkolnego ogrodu urządzono niewielki plac zabaw - postawiono dwie zjeżdżalnie i huśtawkę. Po południu często zabieram tam moją córkę i psa. Zazwyczaj córka jest jedynym dzieckiem o blond włosach. Pozostałe dzieci najczęściej są ciemnoskóre. Dużo jest Chińczyków, Pakistańczyków, Marokańczyków, imigrantów z Bangladeszu, Ekwadoru, Kolumbii, Senegal, Nigerii... Są tam matki Marokanki i Egipcjanki, o zasłoniętych twarzach i w dżalabijach, imigrantki z Ekwadoru w mocno spranych dżinsach, Senegalki w kolorowych tunikach, a czasem trafi się i Hiszpanka, ubrana w dżinsy w swoim rozmiarze. Bo noszenie dżinsów w rozmiarze mniejszym o dwa niż nasz własny to cecha kobiet latynoskich - Hiszpanka nigdy nie obnosiłaby z dumą oponki na brzuchu i szerokich bioder, które według latynoskich kobiet są szalenie seksowne, a dla Hiszpanek stanowią co najwyżej powód kompleksów.

Mój pies uwielbia futbol i ledwie zobaczy dzieci kopiące piłkę, natychmiast przyłącza się do zabawy, odbijając futbolówkę głową. Te nadzwyczajne umiejętności uczyniły z mojego psa piłkarską gwiazdę parku. Jedyny problem to ten, że psi zawodnik

12

nie ma pojęcia o podziale na drużyny i nie gra z jedną przeciwko drugiej, a przy tym wciąż nie wie, iż celem gry jest strzelenie gola, co czasami znacznie utrudnia przebieg toczącego się meczu. A mimo to, ilekroć zjawiam się w parku, natychmiast otacza mnie krąg dzieci, które niestrudzenie, niczym chór mantre, powtarzają pytanie: „Możemy pobawić się z pieskiem?”, „Możemy pobawić się z pieskiem?”, „Możemy pobawić się z pieskiem?”. Zawsze się zgadzam i dlatego stałam się prawie tak lubiana jak Tizon (z naciskiem na „prawie”), a moja popularność wzrosła, od kiedy zaczęłam przynosić do parku słodycze dla małych piłkarzy. Torebkę słodyczy za 2 euro kupuję w pobliskim sklepie Dia, w środku torebki znajdują się żelki albo lizaki w liczbie wystarczającej dla wszystkich dzieci. Najczęściej chłopcy grają, a dziewczynki im kibicują, choć są i dwie, a może nawet trzy graczy, w tym jedna naprawdę niezła. Z czasem zaprzyjaźniłam się z tymi dziećmi i poznałam imiona wszystkich małych piłkarzy.

Pewnego popołudnia wraz z dwoma przyjaciółmi obserwowa-

łam mecz, oczywiście z moim psem na boisku w roli gwiazdy.

- Kurczę, te dzieciaki grają jak szatany - odezwał się Enrique.

- Ale dawniej, kiedy jeszcze sędziowałem mecze, nie widziałem tak agresywnych zawodników.

- No, faktycznie, ostro grają - zauważył Nayib. - Nie wiedziałem, że małe dziecko może mieć w sobie tyle zaciętości. Widziałeś, jak ten kręcony strzelił głową tamtego Murzynka? Gorzej niż Zidane na mundialu.

Wpadłam na to bardzo szybko: dzieci, które całymi popołudniami grają tu w piłkę, są ze świetlicy, skierowane przez opiekę społeczną.

Zazwyczaj są to dzieci samotnych pracujących matek. Ojcowie odeszli, porzucili je i nie dają na utrzymanie nawet pół euro, a rodziny matek zostały w ojczystym kraju, dlatego nie ma nikogo, kto mógłby się zająć tymi dziećmi po szkole. Większość z nich jest nadpobudliwa, zbyt ruchliwa i agresywna, cierpi na

13
zaburzenia trawienia i koordynacji ruchowej oraz nieumiejętność przystosowania się do wymogów szkolnych, a wszystko to spowodował niedostatek uczuć. I właśnie dlatego, chociaż ze świetlicy mogą skorzystać również dzieci niekierowane tu przez opiekę społeczną, praktycznie żaden świadomy rodzic nie zapisze swojego dziecka na świetlicową listę pod opiekę Claudii, wychowawczyni z ośrodka. Moja córka przychodzi czasami do Domku, bo uwielbia rysować (czy raczej: podejmować próby w tym kierunku) jakieś przedziwne bazgroły, jej zdaniem psy, koty albo domki - pierwszego dnia, kiedy zobaczyła dzieci malujące przy stole, spontanicznie przyłączyła się do gromadki, ale do tej pory nie została tu formalnie zapisana.

I skoro znasz już park i Domek, pozwól, że Cię tam zaprowadzę.

NAJPIERW KOBIETY I DZIECI

„Łatwiej obrabować bank, niż go założyć” - taki napis widnieje na murze okalającym park Casino. To cytat z Bertolta Brechta, ale Anton tego nie wie.

Na schodach ośrodka grupa młodych Marokańczyków zajada kanapki. Anton ich zna, to ci, co palą jointy na placu. Od czasu do czasu wpadają do ogródków przy restauracjach, których właścicielami są imigranci z Bangladeszu, i wszczynają awantury z klientami. Parę dni temu Aziz, Marokańczyk, właściciel herbaciarni na parterze kamienicy, w której mieszka Anton, tłumaczył: „Ci awanturnicy to na pewno imigranci z Tangeru, bo tylko Marokańczycy z północy są takimi dzikusami. To dlatego, że to wy, Hiszpanie, ich kolonizowaliście. Nas, na południu, skolonizowali Francuzi i dlatego mamy o wiele więcej kultury”.

Nieco dalej, pod drzewem, leży para pijaków, zapewne przesypanych kaca. Kładą się w tym samym miejscu każdego popołudnia. Co jakiś czas podbiegają do nich dzieci i szturchaniem próbują obudzić. Czasami się udaje. Teraz jeden z chłopców, Salim - Anton zna jego imię, bo słyszał, jak inni tak do niego wołali - podbiega do pijaczki

i ciągnie ją za włosy. Kobieta podskakuje jak na sprężynach.

- Ty przeklęty czarny gówniarzu!

Pijak podnosi się z ziemi, ale Salim już ucieka biegiem. Na placu boju zostaje mała dziewczynka, Mulatka z głową w warkoczykach. Pijak łapie ją właśnie za jeden z warkoczyków. Anton zaczyna się denerwować.

15

- Puść ją natychmiast - krzyczy do pijaka.

Pijak, nie puszczając małej, staje naprzeciw Antona, z płonącymi oczyma, celując z wolnej ręki niczym z pistoletu.

- A tobie kto kazał się wtrącać w nie swoje sprawy?

- Powtarzam, puść ją, dziewczynka nic ci nie zrobiła.

- Pieprzone dzieciaki, nawet przespać się nie dadzą!

- Do spania służy łóżko - odpowiada Anton - a park służy do zabawy i dzieci to właśnie robią.

- A tobie, pacanie, kim się wydaje, że jesteś?

- Salim, Mahamud... Mówiłam wam, żebyście się tu nie bawili.

Te słowa wypowiedziała dziewczyna w trudnym do określenia wieku - szczupła ciemna blondynka. Anton widywał ją przez cały ostatni miesiąc, a więc czas, który upłynął od dnia, kiedy zostawiła go Irene, a on przychodził popołudniami do parku się opalać. Ta dziewczyna mu się podoba. Tak naprawdę przychodzi tu specjalnie dla niej, ale nie po to, żeby ją poderwać, wystarczająco dużo kłopotów przysparzają mu Zołza i Mama, tylko żeby na nią popatrzeć, nic więcej. Jest szczupła i delikatna i Anton w myślach nazywa ją Czarodziejką. Korzysta z okazji, by nawiązać rozmowę, próbuje po raz pierwszy, choć przychodzi tu przecież od miesiąca.

- Dzieci się tu bawią i tamtemu facetowi to przeszkadza. Ale mu powiedziałem, że park służy do zabawy, nie?

- Tak, powinien do tego służyć... - przytakuje Czarodziejka i patrzy krzywo na pijaka.

Dziewczynka z warkoczykami biegnie do nauczycielki, a Anton myśli, że oto nadarza mu się idealna okazja, i też szybko tam podchodzi. Pochyla się nad dziewczynką.

- Wystraszył cię ten pan?

Dziewczynka potakuje, spuszcza głowę i wbija wzrok w ziemię, najpewniej przestraszona, a może zawstydzona, że pobiegła za innymi w miejsce, gdzie nie wolno im się bawić.

- Co się stało? - dopytuje się Czarodziejka. Anton zauważa zmarszczki wokół jej oczu i myśli, że być może nie jest tak

16

młoda, jak mu się wydawało. Ma dziewczęcą sylwetkę, jest bardzo, bardzo szczupła, ale piersi ma duże jak u dojrzałej kobiety. I twarz osoby, która już trochę przeżyła. Anton dochodzi do wniosku, że Czarodziejka równie dobrze może mieć lat dwadzieścia pięć albo czterdzieści. Możliwe, że ten nieokreślony wiekiem wygląd to cecha charakterystyczna dla czarodziejek.

- Złapał ją za warkoczyki, łądak jeden - odpowiada Anton, choć pytanie skierowane było do dziewczynki, nie do niego.

- Może powinniśmy wezwać policję, tamta dwójka jest nieźle

zaprawiona, i to pewnie nie jest najlepszy przykład dla dzieci.

- Policja nic nie może zrobić. A tu, w tym parku... Zresztą, nie ma o czym mówić...

- Jak ci na imię? - pyta Anton.

- Selene - odpowiada dziewczynka, choć pytanie skierowane było do Czarodziejki, a nie do niej.

- Śliczne imię... - Anton zdaje sobie sprawę, jak śmiesznie i banalnie to zabrzmiało, a co gorsza, imię dziewczynki wcale mu się nie podoba.

- Salim, Mahamud, Nicky, Fatima! Przestańcie się tam bawić, już was o to prosiłam! Bawcie się w pobliżu Domu! A ty, Salim, ani mi się waż wchodzić na drzewa, bo potem z nich spadasz.

A teraz wszystkich proszę ze mną, idziemy do Domku.

Dzieci otaczają śliczną nauczycielkę i wszyscy razem kierują się w stronę placu przed Domem. Anton chce pójść za nimi i zorganizować mecz piłki nożnej, ale się wstydzi i dlatego kładzie się na trawie, będzie znów liczyć chmury na niebie. I rozmyślać o swoich kobietach.

Irene odeszła, stwierdziwszy, że wychodzi po papierosy, klasyka gatunku. Już kiedy wstała, sprawiała dziwne wrażenie. Ze spuszczoną głową oznajmiła: „Chyba się przejdę, a przy okazji kupię paczkę fajek”. Pomyślał, że może powinien wyjść razem z nią, siedliby razem w jednym z ogródków i napili się piwa, ale

17

szybko zmienił zdanie, skoro mają tak siedzieć w milczeniu, każde nad swoją szklanką, to lepiej, żeby został w domu i zdrzemnął się chwilę, korzystając z okazji, że będzie miał całe łóżko dla siebie. Po chwili zadzwieczała komórka. Zapłakana Irene dzwoniła z ulicy.

- Wiesz co, chyba pójde na obiad do mojej mamy.

Nie wróciła na noc do domu, a nazajutrz zadzwoniła, że już tak dalek nie może. Po tygodniu, kiedy wrócił z pracy, okazało się, że Irene zabrała wszystkie swoje rzeczy.

Przez chwilę jego wzrok błądził po śladach pozostawionych przez obrazy zdjęte ze ściany.

A potem pomyślał: Co za draństwo! Ustalili, że począwszy od tego miesiąca Irene będzie płacić połowę czynszu. Od ośmiu miesięcy była na bezrobociu i przez ten czas Anton troszczył się o rachunki. Właśnie został bez grosza.

Byli ze sobą prawie cztery lata.

Cztery lata przeplatane do znudzenia śpiewką Irene: „Nie wybaczyłam ci zdrady. Wierność jest dla mnie najważniejsza.

Wiem, że są takie, co mówią: Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal... Ale ja tak nie potrafię”.

Matka Irene porzuciła ojca dla innego i z tym innym pojechała na Ibiza, zostawiając Irene i jej siostrę śmiertelnie przestraszone i głęboko zawstydzone, ponieważ w ich szkole wszystkie dzieci mieszkaly i z mamą, i z tatą. Irene nigdy nie wybaczyła jej tej ucieczki, nawet gdy po latach matka próbowała wyjaśnić motywy swego postępku: że nie uciekła tylko z powodu miłości,

choć i też dla niej, że bardzo młodo wyszła za męża, że się nie wyszumiała, że tych wszystkich przyjemności, których Irene mogła zażywać do woli - spotkań na piwie z przyjaciółmi, koncertów, letnich przedpołudni na basenie, całowania się w bramie z chłopakiem, z którym nigdy nie zamieszka - ona nigdy nie poznała, bo zbyt wcześnie wyszła za męża i spod władzy ojca tyrana trafiła do męża despoty. Irene odpowiadała matce, że ją

18
rozumie, ale w rzeczywistości nigdy nie pojęła jej zachowania. Uważała, że ojciec nie był despota, i w głębi duszy, w jej najbardziej skrytym zakamarku, uznała po prostu, że matka zachowała się jak dziwka.

Na początku ten żelazny wymóg wierności specjalnie Antonowi nie przeszkadzał. Tak naprawdę kiedy poznał Irene, przez myśl mu nie przeszło zadawać się z innymi. Właściwie to nie mógł uwierzyć, że udało mu się zdobyć tę kobietę. Ale też w tamtym czasie Anton był nieśmiałym grubaskiem, a do tego prawiczkiem.

W ciągu dwóch lat wspólnego mieszkania Anton schudł piętnaście kilo. Zapewne wpłynął na to fakt, że Irene ściśle przestrzegała wegetariańskiej diety i nie pozwalała na kupowanie żadnych słodczy. I pewnie nie bez znaczenia było i to, że na początku spędzali całe dnie w łóżku, a jak wiadomo seks, poza wszystkim, jest też i rodzajem gimnastyki, po której się przecież chudnie.

A wraz z kilogramami Anton stracił też nieśmiałość. A z nieśmiałością odeszły w niepamięć problemy z dziewczynami. Nagle okazało się, że w knajpach to one go zaczepiają, a on daje się podrywać. Nigdy jednak nie posunął się dalej, bo w uszach dźwięczały mu słowa Irene, do znudzenia powtarzany refren: „Nie wybaczylabym ci zdrady...”.

Bam! Uderzony piłką Anton wraca do rzeczywistości. Przestraszony otwiera oczy i widzi dzieci, które z kolei z przestraszeniem patrzą na niego. Piłka toczy się po pochyłości pagórka w stronę pary pijaków. Anton postanawia być miły, przede wszystkim dlatego, że wie, że dzieciom towarzyszy ta ładna dziewczyna, więc powstrzymuje się, by w pierwszym odruchu nie wykrzyknąć wszystkich znanych mu wyzwisk.

- Uważajcie, bo jak pijak zabierze wam piłkę, to już się z nią możecie pożegnać - ostrzega malców.

19

Salim jak wystrzelony z procy rusza po piłkę, bo pijak faktycznie ją zauważył i też kieruje się w jej stronę. Salim biegnie bardzo szybko, ale nie ma szans znaleźć się przy piłce wcześniej niż pijak, więc Anton skacze na równe nogi, biegnie i pierwszy dosięga celu. Potem podaje piłkę nogą w stronę Salima, a chłopak łapie ją pewnym chwytem. Byłby świetnym bramkarzem, myśli Anton. I zastanawia się, czy śliczna dziewczyna widziała tę jego akcję.

Dwa miesiące przed rozstaniem z Irene Anton spędził weekend

na Majorce, gdzie z paczką najbliższych przyjaciół zorganizowali dla jednego z nich wieczór kawalerski. Lot i hotel okazały się bardzo tanie i Anton wyliczył, że bardziej by mu się opłacało mieszkać w hotelu ze śniadaniem i obiadem niż we własnym mieszkaniu w Madrycie. Bilet okresowy na metro i autobus kosztował prawie tyle, co bilet lotniczy w obie strony. I chyba na ten sam pomysł wpadli wcześniej Niemcy, bo hotel przeżywał prawdziwe obłożenie. Wszędzie Niemcy, a zwłaszcza Niemki. Wulgarnie, rudawe Niemki na wysokich obcasach, w minispódniczkach tak krótkich, że wyglądały jak nieco szerszy pasek, spod którego widać było wszystko, a nawet jeszcze więcej.

To zdarzyło się pierwszej nocy. Poszli na dyskotekę i spotkali grupę Niemek z hotelu, co zresztą nie było trudne do przewidzenia. Zagadnęli je i Anton - w swoim kulawym angielskim - wdał się w rozmowę z dwiema dziewczynami, bardzo, ale to bardzo pijanymi. Jedna była drobna i niewysoka, typ śmieszki, druga miała tak krótkie włosy i szerokie ramiona, że z tyłu mogła uchodzić za chłopaka. Po dyskotece wszyscy wrócili do hotelu i dwie nowe znajome zaprosiły Antona na drinka do siebie do pokoju. Pomyślał, że obecność tej wysokiej uniemożliwi podryw małej śmieszki, uznał więc zaproszenie za zupełnie niewinne, wolne od pokus i całkowicie bezpieczne. No cóż, Anton był naiwny - i w końcu trudno się temu dziwić, skoro w swoim

20
całym dwudziestodwuletnim życiu sypiał tylko z jedną kobietą - więc nie domyślił się, że te dwie dziewczyny to para i właśnie zaproponowano mu miłosny trójkąt, a one, już w pokoju, wspólnymi siłami pchnęły go na łóżko i ze śmiechem zaczęły całować. Następnego ranka zbudził się na kacu, zdziwiony i targany wyrzutami sumienia, z kompletnym mętlikiem w głowie. Uważał się za mężczyznę dochowującego wierności, był przekonany, że jest takim mężczyzną, i gdyby ktokolwiek tydzień wcześniej zapytał go, czy wykorzystałby podobną okazję, odparłby, że nie. Gdyby postawiono mu hipotetyczne pytanie, hipotetycznie odpowiedziałyby, że w takiej hipotetycznej sytuacji, kiedy dwie dziewczyny zaciągnęłyby go do hipotetycznego pokoju w hipotetycznym hotelu, szybko by stamtąd uciekł i wziął hipotetyczny zimny prysznic. Odpowiedziałyby tak zwłaszcza w obecności Irene. Ale w sytuacji rzeczywistej, nie zaś hipotetycznej, nie oparł się pokusie i spędził noc na igraszkach z małą śmieszką, bo krótkowłosa raczej nie dawała się dotknąć.

Kumplom opowiedział o tym nie dla szpanu (no, może nie do końca), ale dlatego że miał ogromną potrzebę wyrzucenia z siebie tej historii i ciążyły mu wyrzuty sumienia. Szybko się ich pozbył, kiedy reszta chłopaków najpierw pogratulowała mu wyczynu, a zaraz potem każdy po kolei opowiedział o własnych zdradach - Anton przekonał się, że żaden z kumpli nie był wierny swej dziewczynie. Jedni mieli za sobą jednonocne przygody, ale byli i tacy, którzy prowadzili podwójne życie i romansowali - a to z koleżankami ze szkoły, a to z pracy, jeśli gdzieś praco-

wali. Rzecz jasna, wszyscy okłamywali swoje dziewczyny, a przy tym mieli absolutną pewność, że one pozostają im wierne. „Stary, jakby Susana się dowiedziała, to by mnie zabiła, bez dwóch zdań, tylko że się nie dowie, a dla niej najważniejsza jest wierność i ona by mnie nie zdradziła nigdy” albo „Jennifer nawet się nie domyśla, w łóżku jest zadowolona i nie ma pojęcia, że mam drugą, sama też nikogo przecież sobie nie szuka”. Anton 21

śluchał w milczeniu i nawet nie zająknął się o tamtym sylwestrze, na którym Susana pocałowała go z języczkiem, kiedy razem przyrządzali mojito (Anton po krótkim namyśle poszedł wtedy tańczyć do drugiego pokoju), ani o tym, jak któregoś popołudnia spotkał Jennifer na ulicy i poszli razem na kawę, gdzie opowiadała o udawanych orgazmach, trzymając go przy tym za rękę i obserwując spod przymkniętych powiek.

Po powrocie do domu nie mógł iść do łóżka ze swoją dziewczyną. Początkowo myślał, że to z powodu zmęczenia, jakkolwiek by na to patrzeć, właściwie nie spał przez te trzy dni spędzone na Majorce. Jednak kiedy minęło parę tygodni, a on wciąż nie miał ochoty, zaczął się martwić. Przeczuwał, że to ma jakiś związek z poczuciem winy, ale dalej w tej psychoanalizie już się nie posunął. A może jednak. Może myśli, że „skoro jestem z Irene, to nie mogę sypiać z innymi”, przestała go pociągać, a perspektywa oszukiwania wzorem kolegów wydała mu się jeszcze mniej pociągająca. Tymczasem wciąż ją kochał, bardzo ją kochał, przeżył z nią wiele cudownych chwil, podziwiał ją, rozumiał, lubił w zimowe wieczory zwinięty w kłębek oglądać telewizję z Irene skuloną w przeciwległym kącie sofy, podobały mu się jej jasne oczy, ciemne włosy i poważny głos, a nawet z przyjemnością mieszkał z nią, choć nie uprawiali już seksu. Ale to wszystko nie wystarczało, by nabrał przeświadczenia, że nie będzie już nigdy pożądał innych kobiet albo że przestanie się onanizować, wspominając miłosny trójkąt z chłopczycą i małą śmieszką. Nagle czuje, że coś przesłania mu słońce padające na twarz. Otwiera oczy i widzi pochylonych nad sobą Salima i Mahamuda.

- Znowu nam piłka uciekła...

Chłopcy przez chwilę milczą. W końcu Salim spogląda porozumiewawczo w kąt parku. Anton podąża za nim wzrokiem i widzi pijaka, który przywłaszczył sobie piłkę i użył jej jako poduszki.

22

Anton wstaje.

- Chodźcie - nakazuje dzieciom i kieruje się w stronę pijaka, niczym Wielki Obrońca Spraw Przegranych. - To jest piłka tych dzieciaków - mówi wyraźnie, stając naprzeciwko pijaka.
- To niech, do cholery, nie przeszkadzają innym. - Pijak nawet nie otwiera oczu.

Anton podchodzi jeszcze bliżej i mocno kopie piłkę, a pijak uderza głową o ziemię. Salim i Mahamud biegną za piłką jak wystrzeleni z procy, uciekając przed pijakiem, który staje naprzeciw Antona i wygraża mu pięścią.

- Chcesz się ze mną bić, gnoju? - Anton zgrywa ważniaka, choć tak naprawdę truchleje ze strachu, że pijak zaraz wyciągnie nóż sprężynowy.

- Pierdolsięskurwysynu - mamrocze pijak, czerwony z wściekłości.

I właśnie w tej chwili, kiedy pijak już ma runąć na Antona, nadbiega śliczna dziewczyna z ochroniarzem z ośrodka.

- Co tu się dzieje? - pyta ochroniarz.

- Te dzieciaki, one tu ciągle kopią piłkę... - próbuje wyjaśnić pijak.

- To są dzieci, a to jest park, a park służy do gry w piłkę, to nie jest sypialnia, a skoro panu to przeszkadza, to proszę sobie poszukać innego miejsca do spania - ostro przerywa ochroniarz. Para pijanych podnosi się, a cała reszta: dzieci, ochroniarz, Czarodziejka i Anton idą w stronę ośrodka.

- Zagrać ze mną w piłkę? - pyta Anton.

- Tak!!! - dzieci odpowiadają chórem.

Minęły dwa tygodnie. Anton pomaga rysować Mahamudowi.

Mahamud ma problemy z koordynacją ruchową i z trudem utrzymuje w dłoni małe przedmioty. I dlatego tak ciężko mu się rysuje i pisze, a chociaż skończył już pięć lat, z trudem trzyma w ręku ołówek, który wciąż mu się wyślizguje. Mahamud ma również

23

problemy z koncentracją, nieustannie wstaje z ławki i zaczyna skakać albo tańczyć. Czarodziejka, jego wychowawczyni, doskonale o tym wie i nie próbuje nawet zmuszać chłopca do siadania z powrotem. Wystarczy, że inni go gnębią, przoduje w tym Nicky, agresywny chłopiec, który wciąż szuka zwady, a jego ulubioną ofiarą jest właśnie Mahamud, bo jest czarny, a ktoś, zapewne ojciec, już mu wyjaśnił, że czarny znaczy ciemniak. W żyłach Nicky'ego płynie domieszka czarnej krwi, ale Mulaci zwykli gardzić Murzynami, często mówią: „Popatrz, jaka śliczna dziewczynka, jaką ma jasną karnację”. Tak często mówi też do Selene jej matka. Nicky dostaje w skórę od ojca, sam wspominał o tym parę razy, choć wcale nie musi tego robić, wystarczy zaobserwować, jak bardzo jest agresywny, a to oczywiste, że jeśli chłopak wciąż chce się bić ze wszystkimi bez żadnego powodu, to właśnie dlatego że sam jest bity, Czarodziejka wyjaśniła to kiedyś Antonowi. Czarodziejka ma na imię Claudia, ale on w myślach nie nazywa jej tym imieniem. Claudia pozostanie dla niego już na zawsze Czarodziejką, jego Czarodziejką. Opowiedziała mu też o tym, jak za radą psychologa z ośrodka, w ramach terapii, oddali pod opiekę Nicky'emu dwoje młodszych chłopców, bo ów uczony psycholog twierdził, że jeśli uczynimy dzieci za coś odpowiedzialnymi, tak że poczują, iż darzymy je zaufaniem, to ich agresywność obniża się. Spróbowali tej metody, niestety nie przyniosła spodziewanego efektu. Nicky dalej bił wszystkie dzieci, a małej Selene zranił głowę kijkiem. Nigdy nie widziano w ośrodku ojca Nicky'ego. Ze świetlicy odbiera go ciotka, gruba baba z wiecznie obrażoną miną, zawsze z dwoma dziewczynkami, jedną prowadzi za rękę, drugą wiezie

w wózku, a do Nicky'ego rzuca tylko opryskliwie „Idziemy”, nawet go nie pocałuje na powitanie ani nie przytuli. Kiedy Nicky pokłóci się z Mahamudem (czyli niemal codziennie), mówi do niego „Zobaczysz, że zaraz tu przyjdzie policja i zabierze twojego ojca do Senegal, bo jest czarnuchem”. To jeszcze jeden powód, dla którego Nicky nienawidzi Mahamuda, bo po tego ostatniego zawsze przy-

24
chodzi ojciec, całuje go na powitanie i podnosi wysoko do góry. Anton wie, że nie powinien tego mówić, Czarodziejka uprzedzała go, że nie należy podkreślać różnic między dziećmi, ale Anton nic nie jest w stanie poradzić na to, że bardzo lubi Mahamuda i szczerze nie znosi Nicky'ego. Oczywiście Czarodziejka uspokoiła Mahamuda, że nikt nie może odesłać jego ojca do Senegal, bo on jest tu legalnie. Ojciec Salima też nigdy nie pokazał się w ośrodku - odbiera go siostra, ma na imię Amina, czy jakoś tak, śliczna dziewczyna, o wiecznie spuszczonej oczach i minie, po której trudno poznać, czy ma je spuszczone dlatego, że jest nieśmiała czy - wręcz przeciwnie - dumna i wyniosła, a szkoda, że ich nie pokazuje w całej okazałości, bo Anton zdążył się przekonać, że te oczy są śliczne, wręcz niesamowite, błyszczące i otoczone wachlarzem rzęs, Anton widział takie u wielu młodych Marokańczyków. Anton wie, że Marokanki nie stanowią łatwej zdobyczy, większość chce dotrzeć w dziewictwie aż do ślubu, i bardzo trudno - o ile to w ogóle możliwe - skłonić je do małżeństwa z Hiszpanem. Nie mogą poślubić chrześcijanina, chyba że przeszedłby na islam, przynajmniej jeśli chodzi o zwykłe dziewczyny, córki pracowitych i religijnych rodzin, co innego te opisywane w plotkarskich magazynach, czytanych przez Irenę, księżniczki i różne inne, całkiem zeuropeizowane. I Anton podziwia z daleka twarz Aminy, w której dostrzega podobieństwo do Salima, i już wie, że Salim to śliczny chłopak i w przyszłości złamie serce niejednej dziewczynie. Salim opowiedział mu kiedyś, że jego ojciec mieszka w Maroku, ma tam ogromny dom z wieloma pokojami. A gdy Anton zapytał, kiedy Salim ostatnio widział tatę, chłopak nie mógł sobie przypomnieć, a potem dodał, że nie bardzo pamięta, jak ten jego ojciec wygląda, wydaje mu się, że jest wysoki. Anton podejrzewa, że ojciec Salima siedzi w więzieniu, bo Marokanki rzadko się rozwodzą, a jeszcze rzadziej same wyjeżdżają z kraju. O ile mu wiadomo, to w całej dzielnicy nie ma żadnej samotnie mieszkającej marokańskiej kobiety. Ale co on może wiedzieć, w końcu ta dzielnica jest dzielnicą

25
wielu kultur - ale nie wielokulturową, co zawsze podkreśla Claudia - poszczególne społeczności żyją obok siebie, ale się nie przenikają, nie przekraczają granic. O nic więcej jednak nie pyta, bo już wie, że nie powinien pytać o rodzinne historie dzieci. Po prostu są tu w ośrodku, bo pracownik opieki społecznej uznał, że ich rodzice nie są w stanie się nimi zajmować. Matki zarabiają najczęściej sprzątnięciem po domach i wracają koło dziewiątej, dziesiątej wieczorem, ojców zazwyczaj po prostu nie ma. Na przykład pięcioletnia Selene trafiła do ośrodka prosto z ulicy, gdzie całymi

popołudniami pętała się z kluczem na szyi. Kuzynkę Selene wzięła rodzina zastępcza, bo znajomy piekarz powiadomił opiekę społeczną. Kuzynka Selene od rana szwendała się po ulicy i od czasu do czasu kupowała drożdżówki w pobliskiej piekarni. Pracownik opieki zadzwonił do szkoły i okazało się, że dziewczynka od paru miesięcy nie przychodzi na lekcje, a jej matka, która doskonale zdawała sobie z tego sprawę, nie przejawiała najmniejszej chęci współpracy, kiedy w końcu wezwano ją do szkoły. I teraz kuzynka Selene mieszka z nową rodziną i spotyka się z matką co dwa tygodnie, zawsze w towarzystwie pracownika opieki społecznej. A Selene jest smutna, bo zanim zabrano jej kuzynkę, spały razem, w domu ciotki, która pracowała nocami. „Z mężczyznami”, wyjaśniła Selene Antonowi. No i teraz Selene, bez kuzynki, czuje się bardzo samotna.

Dzieci przynoszą rysunki Czarodziejce, która każdego chwali, choć Anton ma wrażenie, że w całym ośrodku nie ma ani jednego dziecka, które by naprawdę ładnie rysowało. Większość ledwie czyta, wszyscy mają spore zaległości w nauce, no i Anton przypomina sobie, jak Irene tłumaczyła mu, że rodzice nie chcą wysyłać dzieci do publicznych szkół, bo pełno w nich imigrantów i poziom nauczania znacznie się obniżył. Z jednej strony oczywiście takie dzieci jak Nicky zaniżają poziom, ale jeśli rodzice zaczną wybierać szkoły prowadzone przez zakonnice i przestaną posyłać dzieci do szkół publicznych, to wtedy w klasie

26

zostaną tylko takie dzieciaki jak Nicky, a to oznacza, że będzie jeszcze gorzej, przynajmniej tak twierdzi Czarodziejka.

Anton odnajduje w Czarodziejce wiele cech, które posiada Mama. Na przykład sposób, w jaki zwraca się do dzieci. Nigdy na nie nie krzyczy, a trudno jest nie krzyczeć na Nicky'ego.

Któregoś razu Nicky się obraził: leżał na ziemi i wrzeszczał.

Kiedy Czarodziejka podeszła, żeby go podnieść, ugryzł ją z całej siły, aż do krwi. Anton też chciał wrzasnąć, ale się powstrzymał, bo Czarodziejka wyraźnie zapowiedziała, że jeśli chciałby od czasu do czasu pomagać w świetlicy jako wolontariusz, nigdy, cokolwiek by się działo, nie wolno mu się wtrącać. Po chwili Antonowi i Czarodziejce udało się, przy pomocy jeszcze jednej opiekunki, tegiej kobiety, która przynosi mleko i ciastka, nieco uspokoić Nicky'ego i zabrać go na bok. Czarodziejka przez pół godziny tłumaczyła chłopcu, że nie może się tak zachowywać.

Anton w tym czasie zajął się pozostałymi dziećmi, choć osobiście uważał tę rozmowę za bezsensowną, bo i tak za pięć lat Nicky zostanie członkiem gangu i z butelką piwa w ręku będzie bił się z Marokańczykami, i nie będzie pamiętał Czarodziejki, co najwyżej jej biust.

Mama pojawiła się w życiu Antona któregoś piątku, o drugiej nad ranem, w zaprzyjaźnionym barze - starej knajpie, do której jej nowy właściciel, Yamal Benani, znany marokański malarz, powstawiał krzesła i stoliki pozbierane na śmietnikach, i chcąc uczynić knajpę bardziej nastrojową, na stolikach poustawiał zapa-

lone świece i tym samym knajpka nabrała atmosfery sprzyjającej raczej snuciu pogłębionych refleksji niż tanecznym wygłupom i szybko stała się ulubionym lokalem amatorów jointów. Anton, wygodnie rozparty w fotelu, czekał na kumpla, Silvia, który poszedł do toalety wylać z siebie wszystkie wcześniej wypite piwa, kiedy podeszły do niego dwie dziewczyny i zapytały o wolne krzesła po drugiej stronie stolika.

27

- Możemy tu usiąść? - zapytała jedna. - W całym barze nie ma miejsca.

- Jasne, że tak. Ale musicie mi coś opowiedzieć.

Jedna z dziewczyn odpowiedziała perlistym śmiechem, który wydał mu się szczery, choć Anton świetnie zdawał sobie sprawę, że nie powiedział niczego zabawnego.

- Dobra, co mam ci opowiedzieć? - zapytała. - Może to, że chętnie damy się zaprosić na jedno piwo.

Anton zmierzył ją wzrokiem. Miał przed sobą wysoką blondynkę, raczej przy kości, ale bardzo ładną, no i chyba dość skora do śmiechu. Jej koleżanka dla odmiany była bardzo szczupłą, ale nie tak ładną, choć trzeba przyznać, że miała piękne włosy, długie i czarne, jak z reklamy szamponu. Uznał, że warto im to piwo postawić. Po godzinie i trzech piwach Anton i ta grubsza tańczyli na parkiecie. A po dwóch godzinach i sześciu piwach, kiedy zamykano knajpę, ta grubsza była już nieźle pijana, czego Anton się domyślał, słysząc jej mamrotanie i wybuchy śmiechu. Zdażyła mu opowiedzieć, że ma na imię Miriam i mieszka niedaleko, ale już w droższej części dzielnicy, graniczącej ze stacją Atocha, gdzie nie mieszkają ani czarni, ani Arabowie. Zaproponował, że odprowadzi ją do domu, bo tu nie jest bezpiecznie. To nie był pretekst, bo w okolicy rzeczywiście jest bardzo niebezpiecznie, zwłaszcza o tej porze i zwłaszcza w przypadku ładnej dziewczyny. Najpierw poczekali z tą szczupłą, która miała na imię Diana, na taksówkę. Stali dobre trzy kwadranse, bo taksówkarze boją się tu zapuszczać, zwłaszcza w sobotnie noce. Potem Anton i Miriam, czule objęci, poszli w górę ulicy Salitre i w bramie Anton nawet nie musiał pytać, czy Miriam pozwoli mu wejść, zwyczajnie weszli do mieszkania, jakby czynili to codziennie. I dopiero rano Miriam oznajmiła, że ma czterdzieści lat.

Ma na imię Miriam, ale gdy Anton o niej myśli, myśli o niej, a nie o tym, jak ma na imię. Mama od paru miesięcy żyje w separacji.

Ma czteroletniego synka i następujący układ ze swoim mężem:

28

zamiast jednego weekendu co dwa tygodnie, który mu przysługuje, Mama zostawia mu dziecko co weekend na półtora dnia i tym sposobem może wychodzić z domu w każdy piątek wieczorem. Najczęściej w sobotę Mama czuje się tak zmęczona, że nie ma ochoty nigdzie wychodzić i siedzi całe popołudnie w domu, z synkiem, który zabawia się rysowaniem zwierzątek, a potem, wieczorem, leżąc na kanapie ogląda Randkę w ciemno. Anton zwykł umawiać się z Mamą w środku tygodnia, po wyjściu

z ośrodka. Mniej więcej o dziewiątej wieczorem zjawia się w jej domu i czeka, aż Mama nakarmi synka i położy go spać. A potem idą razem do łóżka. Budzą się też razem o pół do ósmej, bo Anton musi iść do pracy, a Mama odprowadza synka do szkoły, tylko że Anton zawsze musi się spieszyć, bo ona nie chce, żeby dziecko go widziało. Mama czeka, aż młody kochanek wyjdzie, i dopiero potem budzi dziecko, bo jej zdaniem lepiej, żeby chłopczyk nie wiedział, że w domu sypia jakiś inny mężczyzna, który nie jest jego ojcem. Zdaniem Antona taka ostrożność jest trochę śmieszna, bo co takie małe dziecko może wiedzieć o seksie, ale Mama nie dopuszcza innej możliwości, a ponieważ Anton lubi sypiać z Mamą, więc jakoś to znosi. W weekendy nie chodzą razem do knajp, ona spotyka się z przyjaciółkami, a on o nic nie pyta, tylko umawia się z Zołą, nie ma innego wyjścia. Doskonale zdaje sobie sprawę, do czego jest Mamie potrzebny - do miłego spędzenia czasu, bo ona szuka faceta w swoim wieku, z dobrą pracą, perspektywami i tak dalej, a Anton jest dla niej za młody. A może ona nikogo nie szuka, ale tak czy siak nie ma i nie będzie dla niego miejsca w jej życiu. Kiedy Anton wysłał jej SMS-a, Mama zwleka z odpowiedzią dzień albo dwa, dając tym samym do zrozumienia, że Anton nie odgrywa w jej życiu pierwszoplanowej roli. Z drugiej strony i on chyba nie do końca chciałby związać się na poważnie z kobietą, która mogłaby być jego matką i kiedy on skończy czterdzieści lat, będzie miała prawie sześćdziesiąt, ale czasem jest mu smutno, bo Mama bardzo

29

mu się podoba. Podoba mu się jej łagodność i dobry humor. Lubi jej stale uśmiechniętą twarz i to, że nigdy się nie gniewa, i te właśnie cechy dostrzegł i polubił u Czarodziejki, która zajmuje się dziećmi z ośrodka równie cierpliwie jak Mama swoim synkiem, i pewnie dlatego Anton podkochuje się w Czarodziejce. Teraz, gdy już wszystkie dzieci - z wyjątkiem Nicky'ego - oddały rysunki, Czarodziejka oznajmia, że nadeszła pora na podwieczorek i wszyscy - z wyjątkiem Nicky'ego - siadają posłusznie i cichutko na swoich miejscach, bo doskonale wiedzą, że inaczej nie dostaną mleka z ciasteczkami. Anton czasami odnosi wrażenie, że te dzieci są tak wygłodzone, jakby rodzice, licząc na posiłek o szóstej w ośrodku, nie dawali im obiadu, bo tak łapczywie rzucają się na ciasteczka i zawsze proszą o dokładkę. A na przykład synek Mamy zjada kolację z trudem i często zostaje mu coś na talerzu, choć Mama prosi, każe albo próbuje go zabawiać samolocikami, które transportują jedzenie i lądują w paszczy potwora. Siedzi przez pół godziny rozparty na swoim krzesełku, rozgrzebując kawałki ryby, i w końcu Mama się poddaje i sama zjada resztki. Szkolna psycholog wyjaśniła Mamie, że brak apetytu u dziecka to skutek rozstania rodziców. Mama ma poczucie winy i czasem zastanawia się, czy słusznie postąpiła, wyrzucając męża z domu, choć stara się o tym nie myśleć, bo jej eks tak czy owak nie wróci i na pewno jest o wiele szczęśliwszy, pieprząc się z innymi.

Mama i jej były mąż przestali się kochać, kiedy ona zaszła w ciążę. Twierdził, że nie chce zaszkodzić dziecku, a ona nie miała nic przeciwko, choć w Będziemy rodzicami wyczytała, że seks w ciąży nie przeszkadza dziecku. Potem, po porodzie, bolało ją szcicie i wciąż była zmęczona, bo dziecko ssało pierś co trzy godziny, więc niewiele sypiała. Kiedy wreszcie synek zaczął przesypiać noce, a ona zupełnie zapomniała o szwach, jej mąż twierdził, że jest zmęczony albo że nie ma ochoty. Mama w ciąży

30

sporo przytyła i biust jej trochę obwisł, pomyślała, że może dlatego przestała się podobać mężowi, martwiła się tym i chodziła przygnębiona. Kiedyś wspomniała o tym Antonowi, a on wyznał, że bardzo mu się podobają jej wielkie piersi, roześmiała się tylko, „ale z ciebie świntuch”, powiedziała, wyraźnie podbudowana tym wyznaniem.

Anton już od miesiąca pracuje jako wolontariusz i podejmuje pierwsze własne decyzje. Dziś przyniósł lizaki. Czarodziejka pozwoliła mu przynosić słodczyce pod warunkiem, że starczy ich dla wszystkich dzieci i że zostaną rozdane po podwieczorku.

Kiedy Yeni widzi torebkę z lizakami, nieomal wrywa mu ją z rąk. Yeni nie sprawia kłopotów, prawie się nie odzywa i niewiele rusza. Jest dosyć gruba, ma brzydkie rozlazłe ciało, częstą przypadłość biednych dzieci, bo inne maluchy, takie jak synek Mamy na przykład, który ma panią psycholog w szkole, chodzą z rodzicami do endokrynologa i tam dostają szczegółowe wytyczne co do diety: dużo owoców i mało węglowodanów. Ale mama Yeni sprząta po domach i z trudem wystarcza jej na utrzymanie trójki dzieci, więc Yeni i jej siostry codziennie jedzą ryż i makaron, a owoców prawie nigdy. Yeni nie gra w piłkę, bo szybko się męczy, a na dodatek Nicky się z niej naśmiewa i nazywa ją tłusciochem. Anton czuje, że Yeni skończy jak ciotka Nicky'ego, która wygląda na dużo starszą, choć ma dopiero dwadzieścia lat i już dwoje dzieci, a waży prawie sto kilo, to łatwo przewidzieć, bo Yeni niechętnie chodzi do szkoły, a nikt z rodziny nie będzie jej zmuszał do dalszej nauki.

Któregoś popołudnia w ośrodku zjawiała się znana pisarka z wykładem dla starszych kobiet. Pisarka mieszka w pobliżu i Czarodziejka wspomniała Antonowi, że czasami przyprowadza na zajęcia do świetlicy swoją córeczkę. Anton wyjaśnił dzieciom: „Widzicie tę panią? Ona pisze książki i jeśli będziecie się dobrze uczyć, to jak dorośniecie, też będziecie mogli pisać książki”.

31

A Yeni stwierdziła: „Kobiety nie piszą książek”. I Salim dodał: „Ja tam nie muszę się uczyć, bo jak będę duży, to zostanę piłkarzem, jak Zidane”. Anton wie, że Salim uwielbia Zidane'a i obiecał sobie, że jak tylko będzie miał więcej kasy, bo teraz jest całkiem splukany, to kupi małemu koszulkę piłkarza. Najgorsze jest to, że jak podaruje koszulkę Salimowi, to będzie musiał podarować coś i innym dzieciom, a jego główniana pensja nie starcza nawet na opłacenie mieszkania. I tymczasem może

najwyżej przynosić lizaki.

Anton nie wie, jak się zachowywać wobec Czarodziejki, czy ma jej dać do zrozumienia, jak bardzo mu się podoba, czy lepiej nie. Czarodziejka nigdy nie dała najmniejszego sygnału, że jest nim zainteresowana, poza tym Anton boi się, że jeśli zacznie z nią kręcić, to nie uda mu się zachować umiaru i działać bez pośpiechu, tak jak udaje mu się to w przypadku Zołzy i Mamy, z którymi spotyka się od czasu do czasu. Myśli sobie, że jeśli zacznie spotykać się z Czarodziejką, to na poważnie, tak jak z Irene, bo Czarodziejka nie wygląda na taką, co to zadowoli się spotkaniem raz na jakiś czas w wolnej chwili, a on z kolei zawsze zgadza się na wszystko, o co poprosi kobieta, która naprawdę mu się podoba. Zołza była najlepszą przyjaciółką dziewczyny najlepszego przyjaciela Antona. To brzmi trochę zawile, choć w rzeczywistości jest mało skomplikowane. Kiedy Irene go zostawiła, Silvio zaproponował: „Susana ma przyjaciółkę, Sonię, niezłą, tylko jak dla mnie trochę za bardzo zołzowatą. Ale na chwilę może być. Może się umówimy kiedyś we czwórkę i zobaczymy, co z tego wyjdzie?”. Poszli więc do kina na amerykański film, taki, co to się go od razu zapomina, a potem na drinka do tej samej knajpy, w której Anton poznał Mamę, i dwie godziny później Anton wiedział już, dlaczego Zołza jest taka zołzowata. Narzekała na wszystko: na ojca, że niezły z niego bydlak; na szefa, że się ciągle ślini; na pracę, że potwornie nużąca; na dzielnicę, że gówniana. Ale przy

32
tym była z niej niezła laska i w spódniczce mini jej nogi wyglądały rewelacyjnie. Anton wymyślił, że idealna kobieta mogłaby mieć nogi Zołzy, cycki Mamy i oczy Narzeczonej, i ciągnął z nią rozmowę, trochę z nudów, a trochę dlatego, że dziewczyna nieco go kręciła, i to nie tylko z powodu nóg, ale też przez tę dziecinną złość, którą nieustannie manifestowała - wyobrażał sobie, że musi być niezła w łóżku, choć jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to nie widział związku między jednym a drugim, może gdyby nie przypadek Irene, Narzeczonej, spokojnej i łagodnej, ale w łóżku dość drętwej. Mama to co innego. Tak czy inaczej teoria nie potwierdziła się w praktyce, bo Zołza w łóżku też nie okazała się nadzwyczajna. Niestrudzenie narzekała, a przy tym nie całowała go ani nie pieściła, a nazajutrz potrafiła jedynie powybrzydzać na kawalerkę Antona, która istotnie wydawała się mało przytulna, od kiedy Narzeczona zabrała z niej wszystkie swoje rzeczy. Zołza nie bywa zbyt miła nocami, a mimo to wysłała potem Antonowi SMS-y „sptkm ś?”, co jego raczej wkurza.

Nie zna jej za dobrze, ale uważa, że ta dziewczyna naprawdę potrzebuje chłopaka, bo jej życie nie należy do wesołych. Ojciec bił matkę, wiele razy, aż matka złożyła doniesienie i teraz, świadomy, że jeśli ją znów uderzy, skończy w więzieniu, wrzeszczy bez powodu i wyzywa matkę i córkę: „Wy kurwy, ale z was kurwy”. Sonia, Zołza, chciałaby się wyprowadzić z domu, ale przy jej pensji teleoperatorki nawet o tym nie marzy i Anton boi się, że jeśli dalej będzie się z nią spotykał, to któregoś dnia ona się do

niego wprowadzi i skończy się tym, że będzie musiał ją utrzymywać tak jak Narzeczoną, czuje, że to niebawem nastąpi, z Narzeczoną było to samo, nie wytrzymam z ojcem, nie wytrzymam tego i siamtego. Tylko że dwa lata temu, kiedy Anton zaczął mieszkać z Irene, był naiwniakiem, choć teraz też jest, może trochę mniejszym. Poza tym nie chce, żeby Zołza została jego dziewczyną. I zaczyna na poważnie zastanawiać się nad rozstaniem, nie chce pakować się w kłopoty.

33

Selene ma gorączkę i ból głowy. Dostała paracetamol, ale nie można wysłać jej do domu, bo w domu nikogo nie ma. Matka pracuje jako pomoc domowa na godziny i jeśli nie idzie do pracy, to jej nie płacą, więc jeśli dziewczynka choruje, to matka tak czy inaczej posyła ją do szkoły. W ośrodku boją się tylko, żeby dziewczynka nie pozarażała innych. Antonowi robi się jej żal i ma ochotę przytulić Selene, ale Czarodziejka nieraz już zdążyła go przestrzec, by nie próbował przytulać i całować dzieci, bo natychmiast zostanie oskarżony - w najlepszym przypadku - o molestowanie nieletnich, bo wielu ludzi - a zwłaszcza Latynosów - patrzy bardzo podejrzliwie na mężczyzn, którzy zajmują się dziećmi. Mieli już w ośrodku poważny problem z opiekunem - homoseksualistą, dość delikatnym facetem - bo jeden z ojców upierał się, że chcą mu tu zdeprawować syna. Czarodziejka denerwuje się, kiedy opowiada tę historię, i to jest dziwne, bo Czarodziejka prawie nigdy się nie denerwuje: „Ostatnia rzecz, którą chcieliśmy usłyszeć: ich zdaniem to jest normalne, że dzieci się bije, ale nienormalne, że się je przytula i całuje”. Opiekuna zwolniono z ośrodka, pracuje teraz w domu spokojnej starości.

Wchodzi gruba wychowawczyni, wnosząc dwie torby, a w nich mleko w kartonach i ciastka. Zostawia je na stole i podchodzi do szafy, żeby wyjąć poszczerbione szklanki i wtedy zauważa Selene, która zasnęła na dwóch zsuniętych krzesłach. Anton przykrył ją własnym swetrem, nie znalazł koca.

- A ta dziewczynka dlaczego tak leży?
- Jest chora, ma gorączkę.
- Ktoś powinien pójść z nią do przychodni, a jej matka na pewno tego nie zrobi... Claudia przypadkiem się nią nie zajmowała?
- Oczywiście, że zajmowała...
- No dobrze, ale przytulała ją, całowała?
- Nie wiem, chyba tak...

34

- Ta dziewczyna oszalała czy co? Przecież to dziecko może mieć odrę, różyczkę albo ospę... jak każde dziecko w tym wieku. Idź do sekretariatu po termometr i jeśli ma więcej niż trzydzieści osiem, daj mi znać. A gdzie jest Claudia?

- Na dworze, gra w piłkę z innymi. Ja wpadłem tylko zobaczyć, jak się czuje Selene.

Opiekunka wychodzi do parku, za nią Anton, ona idzie po

Czarodziejkę, a on po termometr. Anton podąża do sekretariatu, który mieści się w dużym budynku przylegającym do świetlicy. Po drodze kątem oka widzi, jak gruba opiekunka podniesionym głosem rozmawia z Czarodziejką.

Kiedy Anton wraca do świetlicy z termometrem w rękę, spotyka Czarodziejkę w zamyśleniu opartą o drzwi Domku.

- Coś się stało? Dlaczego Ketu tak na ciebie krzyczała?

- Nic ważnego, takie tam nasze sprawy. Przyniosłeś termometr?

- Tak, proszę.

- Słuchaj, ja nie mogę pójść z Selene do lekarza, ale przychodnia jest tutaj niedaleko, wiesz gdzie?

- Tak, oczywiście.

- To zmierz jej gorączkę i jeśli ma wysoką, weź ją do lekarza.

Poszukasz pediatry i powiesz mu, że ja cię przysłałam.

- Nie ma sprawy, ale może ja bym został i zaopiekowałam się dziećmi. Przecież w tej przychodni nikt mnie nie zna.

- Nie, musisz sam tam pójść, już ci mówiłam, ja nie mogę.

Wtedy Anton przypomina sobie przestraszoną minę opiekunki i jej pytanie: „Czy ją dotykała?”, i zastanawia się, czy choroba Selene to coś groźnego.

Anton wchodzi do Domku i widzi śpiącą Selene, z rączką zacisniętą wokół rękawa swetra. Bierze ją na ręce i dziwi się, że tak niewiele waży. W drodze do przychodni zastanawia się, czy przypadkiem nie zarazi się gruźlicą albo czymś równie okropnym.

35

Jeszcze jedno popołudnie, podobne do wszystkich innych, które Anton spędza w Domku. Tak podobne i zupełnie inne, rutynowe czynności przerywane kolejnymi, zawsze podobnymi sporami. Dzieci są zajęte przygotowaniem plakatu: wycinają kwiaty z kolorowego papieru i nalepiają je na duży karton. Dzieci to uwielbiają, ale nie za często mogą to robić, bo do takiej zabawy potrzebują nożyczek i kleju. Choć używają nożyczek z tępymi końcami i tak stanowią one swego rodzaju zagrożenie, zwłaszcza w rękach dzieci takich jak Nicky, któremu zawsze może przyjść do głowy, żeby wbić ostrze w Mahamuda, a i w przypadku Mahamuda nie jest wskazane, by ich używał, bo z trudem posługuje się małymi narzędziami. Jeśli chodzi o klej, to któregoś razu przyłapali niespełna siedmioletniego Rachida z tubką przy nosie. Rachid wyjaśnił, że tę zabawę pokazał mu starszy brat i że można zrobić to samo z lakierem do paznokci. Brat Rachida ma na oko z piętnaście lat i Anton widział go parokrotnie z bandą Marokańczyków. Anton wycina kwiatki, nakłada na nie odrobinę kleju, podaje je dzieciom, które z kolei naklejają je na karton, żadnemu z dzieciaków nie wolno nawet dotknąć nożyczek czy kleju. Kiedy podaje kwiat Selene, dziewczynka przypina go do warkoczyka i Anton sądzi, że w ten sposób chce zwrócić na siebie uwagę, bo od tamtego dnia, kiedy zaniósł ją do przychodni, dziewczynka zawsze siada obok i wpatruje się w niego z uwielbieniem. Dziewczynka nie miała wtedy ani ospy, ani odry, ani różyczki czy

gruźlicy, tylko zwykłą infekcją wirusową, co okazało się i tak sporym problemem dla jej matki, bo lekarz stwierdził, że najlepiej byłoby, żeby Selene została w domu, a matka musiała iść do pracy. Skończyło się na tym, że Carla, jedna z kuzynek Selene, chyba trzynastoletnia, przez dwa dni nie poszła do szkoły, żeby opiekować się Selene. Ale rodzice Carli są tacy sami jak rodzice Yeni, niespecjalnie przejmują się tym, że dziewczynka opuszcza lekcje.

Czarodziejka podchodzi do Antona.

36

- Mógłbyś zostać tu z nimi do końca popołudnia? Chyba muszę iść do domu, niezbyt dobrze się czuję.

Anton wcale się nie dziwi, bo Czarodziejka faktycznie źle wygląda, a przed chwilą, kiedy szedł do ubikacji, wydawało mu się, że słyszy, jak ona wymiotuje. Oczy jej błyszczą, jakby miała gorączkę. Albo jakby płakała.

- Nie ma sprawy, zajmę się wszystkim.

- To nie potrwa długo, zaraz przyjdzie Ketii.

- Spokojnie, to dla mnie żaden problem.

Czarodziejka zabiera torebkę i wychodzi, ale wcześniej podchodzi do Antona i całuje go w policzek.

- Dzięki, uratowałeś mi życie.

Pocałowała go po raz pierwszy od tych dwóch miesięcy i tak go tym zaskoczyła, że aż się zaczerwienił. Wargi dziewczyny są wilgotne i miękkie. Bezwiednie chce dotknąć dłonią policzka i przekonać się, że pocałunek wciąż tam jest, w porę się jednak powstrzymuje. Pocałunek pozostawił w nim dziwne poczucie smutnej radości, niewykorzystanej szansy. Czarodziejka pachniała mieszanką wody kolońskiej dla niemowląt i niewietrzonego pokoju. Do pierwszego pocałunku dołącza drugi. To Selene, która pozazdrościła Czarodziejce i też pocałowała Antona. Papierowy kwiatek odczepił się od warkoczyka.

Anton dalej wycina kwiaty i nie może zapomnieć pocałunku Czarodziejki, zastanawia się, czy nie nadeszła pora, by wreszcie z nią porozmawiać. Po prostu zaczekać, aż wszystkie dzieci pójdą do domu i zamiast pożegnać się zwyczajowym „Do zobaczenia”, zapytać „Masz dziś czas? Może pójdziemy się czegoś napić?”.

Tylko że Anton zawsze dawał się lubić, nigdy nie zaczynał pierwszy i teraz paraliżuje go lęk przed odrzuceniem. Istnieje jeszcze jedna obawa. Lęk, że się w niej zakocha, przerażenie na myśl, że powtórzy się historia z Irene, że znów znajdzie się w wygodnej, miłej klatce. Skończyli pracę nad plakatem, na żółtym kartonie nakleili mnóstwo kwiatów, każdy z imieniem dziecka wypisanym

37

w środku. Plakat nie zachwyca, jak większość prac plastycznych wykonanych w świetlicy, gdzie mimo dobrych chęci rezultat zazwyczaj jest opłakany. Anton przytwierdza go do ściany czterema pinezkami.

- No i proszę, jaki ładny. A teraz wszyscy na podwórko, pograjcie sobie w piłkę, zaraz przyjdzie Ketii z podwieczorkiem.

Dzieci wybiegają z impetem, Salim na czele, Rachid szybkim sprintem, Nicky kopiąc Mahamuda, dziewczynki jak zawsze gdzieś w tyle, i wreszcie Selene, uczepliwszy się ręki Antona niczym tonący brzytwy.

Salim kopie piłkę i Mahamud łapie ją obiema rękoma.

- A wy dlaczego nie gracie w piłkę?
- Bo w piłkę grają chłopcy.
- A kto tak powiedział?
- Wszyscy tak mówią. W meczach w telewizji grają tylko faceci.
- Kobiety też grają, Fatima, tylko tych meczów nie puszczają w telewizji.
- No to jak ich nie ma w telewizji, to znaczy, że nie są ważne.

Anton nie słucha dalej tej rozmowy. W końcu jest tu po to, żeby opiekować się dziećmi, a nie żeby wyjaśniać im kwestie manipulacji w mediach. Poza tym wie, że Fatima jest uparta - to taki Salim w dziewczęcym wydaniu - i uwielbia się kłócić.

Fatima zawsze opowiada o swoim ojcu. Ojciec Fatimy dziś jest pilotem, jutro piłkarzem, a pojutrze strażnikiem na królewskim dworze, zależnie od fantazji dziewczynki. Anton przypuszcza, że Fatima nigdy nie widziała swojego ojca.

Na horyzoncie pojawia się gruba Ketii objuczona torbami z podwieczorkiem. Zbliża się zwirową alejką, na jej twarzy maluje się zmęczenie, w końcu staje przed nimi.

- Cześć, dzieciaki. Cześć, Anton. Gdzie Claudia?
- Poszła do domu, źle się czuła, było po niej widać...
- No jasne, rozumiem. Biedaczka... Uganianie się z tymi dziećmiakami nieźle ją musi męczyć...

38

- Wszystkich nas męczy.
- No tak, ale Claudię szczególnie.

Anton czuje niepokój.

- Coś jej jest? Jest chora?
- Nie jest chora, ale jest w ciąży.

Ta nieoczekiwana wiadomość sprawia, że Anton błędnie, jakby dostał w twarz.

- Ale mnie nikt o tym nie powiedział...
- Pewnie, przez pierwsze trzy miesiące lepiej się nie chwalić...
- A... - zawstydzony Anton z trudem stawia pytanie, które parzy mu język - ona ma męża?
- Nie, coś ty, nie ma męża, ale to tak jakby go miała. Ma chłopaka, już od dawna, też pracuje w ośrodku, w grupie Pozytywnych, to taka grupa wsparcia dla kobiet. Ma na imię Isaac, taki niewysoki, w okularkach, nie wiem, musiałeś go widzieć, nic nadzwyczajnego, to znaczy nie jest zbyt przystojny, ale ma dobre serce... Bardzo fajna z nich para. No dobra, idę, bo jak nie, to dzieci nie dostaną podwieczorku. Przyrowadź je za dwie minuty.

Anton nie płakał już od wielu lat i gdyby nie dzieci obok, chętnie by to zrobił. W sercu czuje mieszaninę smutku, rozczarowania, gniewu i zazdrości. Jak mógł się tak wygłupić? Przez

dwa miesiące przychodzi tu, żeby się z nią spotkać, sześćdziesiąt dni znosi dziecięce wrzaski i kłótnie, a wszystko na darmo. Bo gdyby problemem był narzeczony, to jeszcze dałoby się to jakoś załatwić, ale ciąża... Nie widzi nawet cienia szansy. I to wszystko z głupoty, bo bał się zapytać. Trzeba było zagadnąć zaraz na początku: „Claudia, a ty masz teraz kogoś?”, ot, tak, po prostu, a nie stać jak ciełę, a nuż ona się domyśli. To dlatego miała takie duże piersi, myśli Anton, Mama mu kiedyś wyjaśniła, że w ciąży biust się powiększa. W głowie tłucze mu się jedna myśl: „Ale z ciebie idiota, ale z ciebie idiota, ale z ciebie idiota”, tak mocno, że niemal czuje fizyczny ból. I właśnie w chwili, kiedy Anton

39

postanawia, że jutro już tu nie przyjdzie, czuje, jak ktoś ciągnie go za rękaw:

- Panie wychowawcooooo!

To Mahamud, który patrzy swoimi wielkimi czarnymi oczyma, okrągłymi ze zdziwienia na widok pana wychowawcy (dzieci nazywają tak wszystkich dorosłych, bo nie odróżniają wychowawców od wolontariuszy), który stoi nieruchomo od dłuższego czasu.

- O co chodzi?

- Piłka... - Mahamud pokazuje wzrokiem plac, gdzie pijacy znów zabrali im piłkę.

- Kurczę, znów to samo - burczy pod nosem Anton i biorąc za rękę Mahamuda z jednej, a Selene z drugiej strony, idzie na plac, przekonany, że Salim kopie piłkę w stronę pijaków specjalnie, by ich obudzić, i że dziś znów skończy się to awanturą. I jutro też. I pojutrze. I tak już będzie zawsze.

ZOŁZA

Ojciec mi wciąż powtarza, że sama nie wiem, ile mam szczęścia, że on, jak był młody, nie mógł kupować prezerwatyw ani matka pigulek, że nie wolno im było robić tego i owego... Na co ja mu odpowiadam, że wołałabym sto razy uciekać przed glinami, niż pracować jako teleoperatorka. A co do pieprzenia, to nie ma o czym gadać, bo jak na razie nie mam widoków na własne mieszkanie, on przecież nie pozwala mi sprowadzać chłopaków do naszego domu, a ja mam stracha przed uprawianiem seksu w parku, ostatnio omal mnie nie zgwałcili jacyś latin kings, a znowu w samochodzie jest trochę ciasno... Niby Anton ma własne mieszkanie, ale coś czuję, że z tym Antonem to długo nie potrwa, i to nie dlatego, że ja nie chcę, no, tylko tak wyczuwam przez skórę, w końcu coś tam o życiu wiem.

No więc to prawda, nie wiem, ile mam szczęścia.

Mam doła, to wiem.

„Błękitna linia, Sonia López przy telefonie, w czym mogę pomóc?”. „Wie pani co, nie działa mi ...”. „W takim razie poproszę o pana dane, kolor oczu i rozmiar buta i niewykluczone, że z kimś pana połączę i być może niebawem przywrócimy linię...”. „Ale ja potrzebuję ADSL do pracy...”. No i wtedy otwierasz historię klienta i widzisz, że dzwoni już enty raz z tym samym

problemem, i już wiesz, że skoro nie udało się go rozwiązać nikomu innemu, to tobie na pewno też się nie uda, zwłaszcza że nie masz zielonego pojęcia, jak to działa. Ale wiesz doskonale, że twoja szefowa słucha tej rozmowy, i starasz się rozwiązać

41

problem: „Chwileczkę, połączę pana z serwisem albo z działem sprzedaży”, i przełączasz rozmowę komuś, kto nawet nie ma zamiaru podnieść słuchawki, bo też ma przed sobą na ekranie historię reklamacji i doskonale zdaje sobie sprawę, że rozwiązanie nie istnieje. Ważne, żeby ta rozmowa była jak najkrótsza, klienta trzeba szybko przełączyć na 902, niech płaci 50 centów za minutę. Opieprzają cię średnio z pięćset razy na dzień: bo koleżanka, która nie miała pojęcia, co zrobić, stuknęła w nie ten klawisz co trzeba i zostawiła klienta na lodzie i bez telefonu, bo serwis od miesięcy nie naprawił komuś linii, bo jakaś nowa pracownica spowodowała awarię i znieacka przeciążyła linię, bo źle zdiagnozowano problem... jasne, błędnie zdiagnozowano, bo czego od nas można oczekiwać, skoro żadna z nas nie skończyła informatyki? Szkoda, że nikt nie widzi, jak teleoperatorka, ledwie podniesie słuchawkę, rozpaczliwie rozgląda się za kimś z działu technicznego, kto zresztą jej nie pomoże, bo właśnie uspokaja dziesięć innych idiotek, które nie mają pojęcia o aplikacjach ani o niczym, o co pyta klient. Trzymają nas w obskurnym biurze, ściśnięte jak sardynki, bez dziennego światła, przed ekranem komputera przez bite siedem godzin. Przysługuje nam pięć minut przerwy na godzinę. A pięć minut nie wystarcza na wysusianie, bo na kilkaset teleoperatorok jest tylko jedna ubikacja. No i rewelacyjnie ci płacą, dostajesz marne sześćset euro na miesiąc, co nie wystarcza nawet na wynajęcie pokoju. Za to nie musisz się martwić, że nie masz planów na weekend, bo dostajesz tylko jeden dzień wolnego i nigdy nie wypada on w sobotę ani w niedzielę. Sama radość... Aż pewnego dnia któraś nie wytrzyma i radzi dzwoniącemu: „Niech pan idzie do sądu, jaja sobie z pana robią”, i taką radę słyszy jej szefowa, i już wiesz, jak skończy. Za szczerłość wylatuje na bruk... W ulotce na tablicy ogłoszeń w salce rekreacyjnej napisali, że gdybyśmy pracowały bezpośrednio dla firmy telefonicznej, to zarabiałabyśmy trzy razy więcej. No ale zatrudnia nas podwykonawca. A na dodatek wciąż wisi nad nami

42

groźba res... restrukturyzacji niczym... jak to się nazywało, uczyliśmy się o tym w szkole? Miecz Peryklesa? Bo pracownicy generują zbyt wysokie koszty, bo inne firmy już to zrobiły, bo takie są tendencje na rynku... Teleoperatorzy siedzą w Maroku albo w Tangerze, albo w Argentynie i mają jeszcze mniejsze pojęcie o tym, jak likwidować awarie. Ktoś mi mówił, że w Maroku zabroniono mówić: „Błękitna linia, przy telefonie Hasan”, muszą się przedstawiać jako Jose na przykład. A jeśli to dziewczyna o typowo arabskim imieniu, choćby Suad, musi się przedstawiać jako Susana, żeby dzwoniący nie zorientowali się, w czym rzecz. Po prostu wciskasz kit naiwniakom.

No więc stale powtarzam mojemu ojcu: „Naprawdę, wołałabym uciekać przed glinami i żyć w czasach, kiedy nikt nie słyszał o ADSL”.

Ale kiedy ja to mówię, to puszczają mu nerwy, zaczyna wrzeszczeć, robi się czerwony jak pomidor, oczy wychodzą mu z orbit... niezły z niego szajbus. Już nas nie bije, nawet palcem nie dotknie, bo wie, że jak tylko zbliży się do matki i choćby ją potrąci, zaraz pójdziemy na komisariat, tak jak ostatnim razem, skąd nas wysłali na pogotowie, żeby lekarz potwierdził, że matka nosi ślady obrażeń. Jak mogła nie nosić, skoro miała podbite oko? Policjanci to widzieli i wcale nie trzeba było lekarza, żeby wydać zaświadczenie o czymś tak oczywistym, moim zdaniem, i za chwilę w domu zjawilo się dwóch i zabrali ojca w kajdankach. Nie masz pojęcia, jak się sąsiadki cieszyły, one to lubią paplać, zaraz następnego dnia Amina pyta się przy windzie: „Cześć, to prawda, że waszego ojca policja zabrała? Coś się stało?”. A ja jej na to: „Stało się, ale tobie nie zamierzam się zwierzać”, i poszłam sobie zadowolona. Amina nie mieszka z ojcem, zdaje się, że on siedzi w więzieniu. Amina mieszka z matką i z młodszym bratem, chyba na imię ma Salim, niezły łobuz z tego dzieciaka, śliczny, tylko strasznie niewychowany, zawsze pokazuje mi język. Rzadko się zdarza, żeby Marokanki

43

mieszkały same, bez mężczyzny. Ja tam się nie pytam Aminy, gdzie jest jej ojciec, to niech ona nie wypytuje o mojego. Alba też zaczęła mnie na schodach, ale trochę delikatniej: „Sonia, wszystko w porządku u was w domu? Nie potrzebujecie pomocy?”. Alba jest zdecydowanie bardziej dyskretna, zresztą nie ma innego wyjścia, skoro o niej krążą najróżniejsze opowieści, oplotkowano ją ile wlezie, od kiedy zaczęła chodzić z tym Arabem. Dlatego ona nie wtyka nosa w nie swoje sprawy i o nic nie pyta, wystarczy, że sama mieszka z Marokańczykiem, skandal gwarantowany, zresztą w naszej okolicy wszystko jest skandalem. Przedtem Alba miała takiego okropnego chłopaka, który przez cały dzień tylko wrzeszczał i wrzeszczał. Słysząc go było nawet w naszym mieszkaniu, to musiał być Ekwadorczyk, bo tylko oni wrzeszczą o byle co i puszczają muzykę na okrągło. No choćby ci na trzecim piętrze. Ciągłe podniesione głosy, krzyki i to wszystko niesie się po klatce. Anton mówi, że tego chłopaka z trzeciego, Nicky'ego, zna ze świetlicy i że niezły z niego ziółko. Wcale mnie to nie dziwi, bo jak z takiego domu, gdzie wciąż wrzeszczą, ma wyjść normalny dzieciak. A tamten narzeczony Alby też tak wrzeszczał. Dziwne, że nasz dom się jeszcze nie rozpadł od wrzasków mojego ojca i wszystkich innych. A teraz Alba mieszka z Azizem, to jej nowy chłopak, ma herbaciarnię dwie przecznice dalej, i chyba z nim Alba w ogóle się nie kłóci, w ogóle nie ma z nim problemów, a ludzie gadają, że z Arabami trudno wytrzymać, ale to musi być jakiś święty, tak myślę. Amina mi mówiła, że jacyś wspólni znajomi, jak ich razem widzieli, to potem mówili, że z niego straszny pantoflarz i tylko dlatego ją znosi. Ludzie są zawistni. A rodzina Alby,

skrajni katolicy, jakaś sekta czy coś w tym rodzaju, niespecjalnie się na tym znam, no więc ta rodzina wciąż powtarza: „A ta nasza Alba taka dobra, i proszę, z Arabem się związała”. Tak jakby to Alba wyświadczała przysługę Azizowi, a nie na odwrót. No właśnie, o czym ja to mówiłam, aha, więc ten dupek, mój ojciec, bije matkę, matka dzwoni na policję, zabierają go w kaj-

44
dankach... a potem sąd, ekspresowo, czyli za dwa dni, kiedyś trzeba było czekać miesiącami, a teraz w takich przypadkach, to znaczy, jak cię mąż bije, to już nie, i matka się popłakała i zeznała, że ona też go pobiła, że to była kłótnia, plotła jak głupia, trzeba być debilką, żeby bronić faceta, który cię bije, skończoną idiotką, niepojęte... Tak czy inaczej ojca uznali za winnego i dostał sądowy zakaz zbliżania się do nas, czyli nie mógł wrócić do domu, a jednak przylazł, matka otworzyła mu drzwi i już został. Ale to prawda, że teraz tylko na nas krzyczy, nawet nie śmie nas dotknąć, bo wie, że w razie czego idzie prosto do pudła. Codziennie myślę tylko o tym, jak się wyrwać z domu, chciałabym jak najszybciej, ale z moją pensją nie mam nawet co marzyć, no i jeszcze trochę się boję, żal mi zostawić matkę, chociaż czasami to myślę, że sama tego chciała, niech teraz pije piwo, którego sobie nawarzyła, po co za niego wychodziła, przecież nikt jej nie zmuszał, takie jest moje zdanie, choć ona z uporem powtarza, że jak byli młodzi, to on był tak przystojny, że żadna by się mu nie oparła, taki był zabójczo męski, to są jej słowa, znaczy się ta zabójcza męskość, ale też opowiadała, że już wtedy ojciec wkurzał się, jak włożyła za krótką spódniczkę, czyli coś tam można było przewidzieć. Kurczę, jakby mnie facet opieprzył, że noszę mini, to by mnie już więcej nie zobaczył, i już. I dlatego zawsze chodzę w superkrótkiej mini, żeby ojca zdenerwować przede wszystkim, wiem, że szlag go wtedy trafia. No to niech go trafi. „Kurwa - mówi - wyglądasz jak kurwa”. Kiedyś mu odpowiedziałam: „No to chyba ci się podobam, bo ty lubisz kurwy, nie? Znasz się na kurwach, co?”. I jakby go piorun trafił, dał mi w twarz, że głowę mi odwinęło na drugą stronę. „Sama się prosisz, żeby po gębie dostać - powiedział. - Jeszcze ci ją ktoś rozkwasi”. Wyszłam z domu i wróciłam następnego dnia rano.

W ten wieczór, kiedy poznałam Antona, byłam właśnie w mini. I on mi powiedział, że mam świetne nogi, i tej samej nocy wylądowaliśmy u niego w domu. Susana powiedziała, że Anton

45
mówi o mnie Zołza, najpierw tak mówił o mnie Silvio, chłopak Susany, a Anton to przejął. No cóż, wolę być zołzą niż taką idiotką jak moja matka, która wpuszcza do domu ojca, choć skurwiel wcześniej ją pobił. Nie znam się na tym, ale wiem, że Anton nie przepada za zołzami, przynajmniej na to wygląda, bo Susana mówiła, że Anton łązi za inną, że tamta go kręci, bo jest milutka, tak mówi Susana. No cóż, może wszyscy faceci są podobni: szukają takich potulnych cieląt jak moja matka, najpierw je tłuką, a potem czekają, aż taka jedna z drugą z otwartymi

ramionami przyjmie ich z powrotem do domu, po prostu jaja sobie robią, a mnie to wkurwia.

Susana się dziwi, że wciąż spotykam się z Antonem, skoro od razu widać, że mu na mnie nie zależy i zaraz mnie zostawi na lodzie. Ale mnie się wydaje, że Susana chce mi pokazać, że ona ma prawdziwego chłopaka, takiego na stałe, ale coś czuję, że skończy jak moja matka - Silvio będzie się upijał dzień w dzień, a raz na tydzień chodził na dziwki. Bo Silvio nieźle tankuje, szkoda gadać, no i bierze, nieźle ma odjazdy, a jak mam mini, to gapi się za mną jak dziecko, co zobaczy loda, wiem o tym doskonale. Ale nic nie mówię Susanie, tak samo jak nie mówię Aminie, dlaczego zabrali mojego ojca. Bo widzę, jak Susana patrzy na Antona, mam przecież oczy. I wiem, że ona jest zazdrosna, bo Anton jest przystojny, wiesz, o co chodzi. Nie opowiadam, że jak śpię u Antona, to przynajmniej nie muszę spać u ojca i wysłuchiwać jego pochrząkiwań, i nie muszę patrzeć na plamę wilgoci na suficie nad moim łóżkiem, którą znam na pamięć, i że wiem, że to z Antonem do niczego nie prowadzi, ale przynajmniej przez chwilę jest miło, to zawsze coś.

Czasami w nocy, kiedy nie śpię z Antonem, śnię na jawie, bo nie dam rady zasnąć przez to chrapanie starego i strach... Czego się boję? No nie wiem... Bałam się od dziecka, zawsze się bałam, że zbudzę się w środku nocy, bo stary wróci pijany i pokłóci się z matką, tak mi zostało od tamtego czasu, nie potrafię spać

46

spokojnie, nigdy nie przesypiam całej nocy i potwornie się męczę, żeby zasnąć, i całymi godzinami wpatruję się w plamę wilgoci na suficie, która czasami przypomina smoka, a czasami konia albo egzotyczny kwiat, to zależy, co zobaczę, i wtedy zaczynam wyobrażać sobie, jak zmieniłoby się moje życie, gdyby ojciec umarł. Potem sumienie mnie gryzie i próbuję to naprawić, może by wystarczyło, gdyby się od nas wyniósł, nie musi od razu umierać. Gdyby tak poznał kogoś i odszedł! Ale kto zniesie takiego chama, chyba jakaś inna idiotka, podobna do matki, ale matkę omotał jak była młodziutka, to było dawno. Teraz już innej nie oszuka. Albo sobie myślę, że gdybym tak została dziwką, tak tylko sobie wyobrażam, ale taką lepszą, z tych, co się ogłaszają w gazetach i zarabiają naprawdę niezłą kasę, nie z takich, co stoją na ulicy, młoda jestem i mam świetne nogi, to za rok miałabym na opłacenie jakiegoś kursu, dajmy na to dekoracji wnętrz czy czegoś w tym stylu. Oczywiście, że pieprzenie się z obcymi facetami jest obrzydliwe, no ale skoro to są goście z kasą, to chyba się myją i pachną dobrą wodą kolońską. Czasem mam ochotę wyjechać gdziekolwiek, choćby na Ibizę, i tam popracować jako kelnerka. Tylko że kelnerki zarabiają tyle co teleoperatorki albo jeszcze mniej. A do tego na Ibizie wszystkie dziewczyny chcą być kelnerkami i kończą jako dziwki. Czasami wyobrażam sobie, że znajduję lepiej płatną pracę albo faceta, który mnie kocha, a może nawet i to, i to, i dopiero wtedy, tylko wtedy, zasypiam.

CZARNA

Jak pani widzi, mieszkanie nie jest zbyt duże, może lepiej byłoby umówić się gdzie indziej, no trudno, coś mi się wydaje, że to głupi pomysł, że zaprosiłam panią do siebie. Na dodatek ten dzień jest okropny, wstałam dziś lewą nogą, wczoraj pożałam się z Silviem, już wspominałam, że nie za dobrze się nam układa. Tak, mieszkanie jest wysprzątane, bardzo dbam, żeby tu było czysto, zawsze powtarzam, że nawet jak nie masz dużego i ładnego domu, to możesz mieć porządek w tym, który masz. Po pani telefonie zdążyłam wysprzątać każdy kącik, nie ma pani pojęcia, co tu się działo po wczorajszej awanturze. Chce pani, żebym opowiadała, tak? Po prostu opowiadała, tak? Jak dla mnie nic łatwiejszego, uwielbiam mówić, dziś tym bardziej, choć czuję się trochę onieśmielona, ale jak pani chce, mogę paplać, tak, może pani włączyć dyktafon, mnie to zupełnie nie przeszkadza.

Mama opowiadała mi, kiedy jeszcze wszystko pamiętała, zanim wzięli ją do szpitala, że jak byłam mała, to budziłam się i pytałam: „Dziś jest już jutro?”. Dziś rano zdałam sobie sprawę, że pytanie małego dziecka wcale nie było dziwne, wręcz przeciwnie, było bardzo rozsądne, bo dziś rano nie wiedziałam, czy to już dziś, czy wciąż jeszcze wczoraj, bo ta noc była taka straszna, bezsenna, przewracałam się w łóżku, przysypiałam, budziłam się co chwila, nie wiedząc, czy to, co mam w głowie, to sen czy rzeczywistość, śniłam koszmary, wciąż na nowo przeżywałam tę straszną wczorajszą kłótnię, nie wiedziałam, gdzie jestem. I przypomniałam sobie zdanie, które słyszałam od Antona: „Dziś zawsze jeszcze
48

trwa”, Anton mówi, że to z Machado, bo Anton czyta, czyta poezję, ale jakby czytał powieści o templariuszach, też byłabym pod wrażeniem, choć może nie aż tak bardzo, czytanie poezji zawsze mnie fascynowało, nie żebym sama dużo czytała, ale Silvio nie czyta nic, ale to absolutnie nic, nawet „Przeglądu Sportowego”, co najwyżej przeczuci strony i zerknie na tytuły, choć w takim „Przeglądzie” nie ma specjalnie dużo do czytania, prawda? I kiedy Irene opowiedziała mi, że Anton pisał wiersze, specjalnie dla niej, i to już było, jak chodzili ze sobą od co najmniej roku, poczułam wielką zazdrość. Bo Silvio nigdy niczego dla mnie nie napisał, nigdy. Anton zawsze mi się bardzo podobał, nie zamierzam tego ukrywać, i kiedy zaczął kręcić z Sonią, serce ścisnęło mi się z żalu, ale wiem, że Sonia jest bardzo zgrabna, a ja nie. Kiedyś na imprezie u Jennifer, potwornie, ale to potwornie się spiłam i zaproponowałam Antonowi, że mu pokażę, jak przygotować mojito po gwinejsku. Oczywiście w Gwinei nie przyrządzają, to znaczy, nie przyrządzamy mojito, to był tylko taki mój głupi pomysł. Kiedy opowiadam o Gwinei, myślę o swoim rodzinnym domu, choć już tam nie mieszkam. Moja mama jest Gwinejką, ojciec Gwinejczykiem, a ja zawsze mówię o sobie Hiszpanka, bo przecież nią jestem, prawda? Ale jestem też Gwinejką i jestem z tego dumna. No więc na tej imprezie tak się upiłam, że jak próbowałam wycisnąć cytrynę, to tylko mi sok ciekł po dłoniach, bo nie trafiałam w kieliszek. Anton zaczął oblizywać moje palce

i to mnie tak... tak strasznie podnieciło. I zaczęliśmy się całować. I nagle on przestał i sobie poszedł. I zostawił mnie w tej kuchni samą z cytrynami. I od tamtego czasu, chociaż wstyd mi, że to mówię, często wyobrażam sobie, jak Anton liże moje palce... Zbyt często. I dlatego tak mnie wkurzyło, że zaczął kręcić z Sonią, bo Sonia to naprawdę niezła laska, w przeciwieństwie do mnie. W tę jej wyzywającą mini nie wcisnęłabym nawet mojej jednej nogi, zresztą przy moich biodrach raczej nie włożę mini. Sonia ma superfigurę, ale w mini wygląda wulgarnie jak dziwka.

49

Jest dość szczupła, ale niezłe umięśniona, sto razy silniejsza ode mnie i z nikim się nie patyczkuje.

Tuż przed pani przyjściem chciałam się ubrać - wyciągnęłam z szafy marynarkę i z wieszaka zsunęły się czarne spodnie, w które już się nie mieszczę. To tak, jakby na wieszaku wisiało parę lat mojego życia. Kiedyś byłam szczupła. Nigdy nie byłam taka chuda jak Sonia, ale nosiłam rozmiar trzydzieści osiem. Niestety, w moim przypadku jest inaczej niż u większości ludzi, którzy tracą apetyt, kiedy dopada ich depresja. Ze mną jest na odwrót. Kiedy ogarnia mnie smutek, pędzę do lodówki. Więc staram się wtedy nie kupować jedzenia, żeby mnie nie kusiło. I kończy się tak, że wchodzę do pierwszego lepszego sklepu i kupuję czekoladę. To jak narkotyk. Słyszę w głowie z jednej strony głos, który mnie poucza: „Susana, nie jedz czekolady, bo przytyjesz, kup sobie jabłko”. A druga strona dopomina się czekolady, potrzebuje jej, czuję, jakbym w brzuchu miała ryczącego potwora. I od kiedy zaczęły się awantury z Silviem, mój potwór wciąż tylko prosi i prosi. Nie kłóciłam się z Silviem, dopóki nie zamieszkaliśmy razem. Przedtem to był prawdziwy anioł, najfajniejszy facet pod słońcem. Ale kiedy wynajęliśmy mieszkanie, wyszło szydło z worka. No bo on wcześniej mieszkał u matki, a jego matka, moim zdaniem, w rodzinie robi za niewolnicę, gotuje, sprząta, zmywa po wszystkich, i jak Silvio zaczął ze mną mieszkać, to nie umiał zrobić nawet omletu, przysięgam, nie wiedział, że trzeba wylać na patelnię oliwę, podgrzać, a w tym czasie rozbić i rozbełtać jajka, a potem wylać masę na patelnię; po prostu wlewał oliwę i jajka na patelnię i dopiero wtedy wszystko mieszał. I nie umiał myć naczyń, nie płukał talerzy i po umyciu były jeszcze brudniejsze. Ubrania nosił do mamy, żeby mu je prała i prasowała. Od czasu do czasu odkurzał, ale z wielkim oporem. A tymczasem ja też chodziłam do pracy i wracałam półżywa po ośmiu godzinach stania, i wkurzało mnie, że muszę w domu robić wszystko sama, a on wyleguje się na sofie. No i zaczęliśmy się kłócić.

50

Pracowałam wtedy w Mango jako sprzedawczyni. Płacili mi główniane pieniądze, a w sklepie przez cały czas musiałam stać. Jedyny plus to ten, że pracowałyśmy na zmianę, na rano albo na popołudnie, miałam więc sporo wolnego czasu. Ale co do pensji, to naprawdę była niewielka, więc Silvio płacił na czynsz więcej niż ja, o czym codziennie mi przypominał. No więc ponieważ

on przynosił więcej kasy, to ja powinnam była w zamian więcej sprzątać, tylko że on ma siedzącą pracę, a ja nie, więc to nie jest to samo. Zaczęłam się tym martwić i to wtedy zbudził się mój potwór, i wracając z pracy musiałam sobie kupować czekoladę. Na początku jakiś batonik, na przykład Toblerone, potem postanowiłam chodzić na piechotę do sklepu, bo przytyłam, tylko że jak jedziesz autobusem, to nie wyskoczysz z niego na widok cukierni, ale jak idziesz, to ciastka wabią cię zza szyby, a potwór zaczyna ryczeć. I już po miesiącu zatrzymywałam się dwa albo i trzy razy po drodze do pracy. Najpierw kupowałam sobie Toblerone, potem francuskie w czekoladzie, a w kiosku naprzeciw Mango - paczkę Smarties. Nienawidziłam za to samej siebie, ale mój potwór wciąż ryczał. I pewnego dnia okazało się, że w te spodnie już się nie zmieszczę. Sęk w tym, że Murzyni mają bzika na punkcie jedzenia, kiedy wchodzisz do murzyńskiego domu, zawsze słyszysz to samo: „Jadłeś coś? Chcesz coś zjeść?”. A kobiety wciąż siedzą w kuchni, gadają, plotkują, gotują. No więc ja, kiedy jest mi smutno, to ponieważ jestem Murzynką, idę do kuchni, najbardziej przyjaznego miejsca w domu. No i przytyłam i pożegnałam się z rozmiarem 38. I postanowiłam: od jutra - sałatki. I następnego dnia jadłam sałatkę, wsiadałam w autobus i nie kupowałam czekolady po drodze, ale po pracy mój potwór zaczynał ryczeć jak oszalały i czułam, że zaraz pazurami rozszarpie mi wnętrzności, ulegałam i karmiłam go. Czas płynie, Silvio i ja kłócimy się całymi dniami, ja mam dość, a potwór wciąż domaga się jedzenia. I wiem, że powinnam rozstać się z Silviem, ale wystarczy, że spojrzę w lustro i jak widzę, jaka 51

jestem gruba, to wydaje mi się, że już nikt mnie nie pokocha, a do tego jestem histeryczką i perfekcjonistką, i jedzą, mam tak wredny charakter, że nikt ze mną nie wytrzyma. I nie wiem sama, czy rzeczywiście jestem histeryczką i perfekcjonistką, i jedzą i mam tak wredny charakter, że nikt ze mną nie wytrzyma, czy uwierzyłam w to, co ciągle powtarza mi Silvio, ale problem w tym, że nie chcę zrywać z Silviem, bo nie chcę znów mieszkać z ojcem, no i dlatego, że boję się, że już nigdy nikogo nie spotkam. I wciąż tyłam. No i to jest poważny problem, bo w Mango zatrudniają tylko szczupłe dziewczyny. Wszystkie, które tam pracują, wyglądają jak szkielety, przez cały dzień chodzą z butelką wody mineralnej i prawie nie jedzą. A te butelki mineralnej to największy absurd pod słońcem. Ktoś kiedyś powiedział, że żeby schudnąć, wystarczy wypijać dziennie dwa litry wody, no i dlatego wszystkie modelki noszą w torebkach butelkę mineralnej, więc wszystkie sprzedawczynie też mają te butelki pochowane pod ladą. No ale skoro tyle pijesz, musisz co godzinę biegać do ubikacji, a jeśli pracujesz w sklepie, gdzie jest tylko jedna toaleta, sprawa się nieco komplikuje. Potem przeczytałam gdzieś, że w rzeczywistości picie takich ilości wody jest szkodliwe, bo wypłukujesz z organizmu sole mineralne i coś tam jeszcze, nie pamiętam co, ale one mnie wcale nie chciały słuchać, jak im to

tłumaczyłam, dalej nic nie jadły i dużo piły. Kiedy mnie zatrudniano, byłam szczupła, rozmiar 38, już mówiłam, ale potem nie byłam i w związku z tym któregoś dnia zdałam sobie sprawę, że zaraz mnie zwolnią, jak tylko minie pół roku, na tyle miałam umowę, przecież widziałam, jak zwalniali inne... To dobijało mnie jeszcze bardziej, więc zaczęłam całkiem wariować. Wytrzymałam trzy dni bez jedzenia, piłam tylko czerwoną herbatę, bo ona podobno spala tłuszcz. A czwartego dnia dopadał mnie głód i pożerałam kilogram ciastek kupionych w cukierni, a potem wymiotowałam. Ledwie wchodziłam w sklepowe ciuchy. Silvio się ze mnie chamsko naśmiewał: „No, maleńka, wyglądasz coraz

52
lepiej". A ja cierpiałam wciąż bardziej i bardziej i czułam, że brnę w ślepy zaułek. Bo jeśli stanę się taka, jak on tego chce, to stracę siebie. Przechodziłam raz obok sklepu Superwoman i zobaczyłam ogłoszenie: „Zatrudnimy ekspedientkę". Przecież nie wyrzucą mnie ze sklepu dla kobiet w rozmiarze XL, ale szefowa powiedziała: „Wiesz co, jesteś trochę za ciemna, klientki mi wystraszysz", tak prosto z mostu. No ale przynajmniej była szczerą. Bo kiedy szukałam pracy, jeszcze przed Mango, tak otwarcie nikt mi tego nie powiedział. Wysyłałam cv, oddzwaniali do mnie i przez telefon wydawali się zachwyceni, ale jak tylko pojawiałam się na rozmowie, słyszałam od razu: „Ogłoszenie jest już nieaktualne", bo nie mieli odwagi ani nie byli tak szczerzy jak tamta kobieta. „Klientki mi wystraszysz". I pyta mnie dalej: „A skąd ty jesteś?". „Z Alcala de Henares, proszę pani". „No tak, ale gdzie się urodziła?". „W Alcala de Henares, proszę pani". „No tak, ale skąd są twoi rodzice?". „Przez całe życie mieszkają w Alcala de Henares". Nieźle ją wkurzyłam. „Ale skoro są Murzynami, nie mogli się urodzić w Alcala de Henares". „To prawda, mój ojciec urodził się w Gwinei". I kobieta poczuła wyraźną ulgę, kiedy w końcu dowiedziała się, skąd mam taki kolor skóry. „I po jakimu tam mówicie, po francusku czy w jakimś własnym narzeczu?". „Mówimy po hiszpańsku, proszę pani, normalnie po hiszpańsku". Sama nie wiem, jak wytrzymałam tę głupią gadkę, zamiast od razu posłać babę do diabła, ale chyba się jej spodobałam, bo w końcu zaproponowała: „Wiesz co, może przyjdź tu jutro i popracuj na próbę dwa dni, a potem zobaczymy". I tak już zostało.

Przepraszam, że opowiadam tak naokoło i nieskładnie. Boli mnie głowa, bardzo mnie boli, trochę z niewyspania, a trochę dlatego, że Silvio rozbił mi na niej popielniczkę. Tak, mówię poważnie, rozbił mi popielniczkę. Nie, pewnie, że tego nie zgłoszę, jeszcze nie zwariowałam, po co mi kłopoty. Nie wiem, jak sobie poradzę z tym bólem i zmęczeniem. Na całe szczęście

53

mam dziś na popołudnie, gdybym miała na rano, pewnie bym nie poszła. Na dodatek ta pieprzona popielniczka była pełna niedopałków i włosy śmierdzą mi tytoniem. A ja nie znoszę

papierosów. Zawsze go prosiłam: „Kochanie, nie pal w mieszkaniu. Wszystko śmierdzi, nawet zasłony. Widzisz, że ja wciąż kaszlę”. A on: „Ej, nie przesadzaj. Tobie to już nie zaszkodzi... jak tak dalej pójdzie, to jeszcze i pieprzenia zabronią. Zresztą na coś umrzeć trzeba”. I mówił to ze złością, z taką męską wyższością. No więc milczałam, otwierałam okna, paliłam świece, które miały zabijać smród tytoniu, i opróżniałam popielniczki. Nie znoszę papierosów. Murzynki nie palą, to jest źle postrzegane, to raczej męskie zajęcie albo nałóg białych, niewielu Murzynów pali. Ja nie palę, jak wszystkie Murzynki, no i mam doskonały węch, jak wszyscy Murzyni. I ten papierosowy smród, którym przesiąkły moje ubrania, przyprawia mnie o mdłości. Próbowaliśmy się go pozbyć, używałam kwiatowych perfum, ale to nic nie daje. Mieszanka zapachów okazała się nie do zniesienia. Śmierdziałam jak tania dziwka. Ponoć my, Murzynki, wydzielamy specyficzną woń, a perfumy w zetknięciu z naszą skórą pachną intensywniej. Nie wiem, czy to akurat prawda, czasami takie opowieści to rasistowskie bzdury, ale ten zapach naprawdę przyprawiał o mdłości, nawet ja to czułam. A kiedy w biurze u Silvia wprowadzono zakaz palenia, on zaczął jeszcze więcej palić w domu. Mój dom to moja twierdza, jedyna przestrzeń wolności, jaka mi pozostała. W tej modnej knajpie, na dole naszej kamienicy, właściciel, taki przystojny malarz, Arab, nazywa się Yamal, też w pewnym momencie zabronił palić, choć bardzo szybko zmienił zdanie, bo tracił klientów. A co do Silvia, lepiej z nim nie dyskutować, zaraz mówi, że bym przestała mu wiercić dziurę w brzuchu, że tylko zrzędzę. Robiłam swoje, rozstawiałam po domu miseczki z octem, bo to ponoć usuwa brzydkie zapachy, ale gdzie tam, Silvio dymił jak komin. Potem napełniłam miski wodą i ziarenkami kawy i dalej nic. No i wreszcie położy-

54

łam na kaloryferze miskę napełnioną naparem z tymianku, bo ponoć jak woda paruje, to zbiera smród papierosów, a mój siostrzeniec ją wypił - dzieci to dopiero mają pomysły - i musiałam z nim pojechać na pogotowie, bo rozbolał go brzusek. Kiedyś go przyłapałam, jak palił papierosa, znalazł paczkę, którą Silvio zostawił w przedpokoju... A Silvia to jeszcze rozbawiło: „Nieźle popieprzony ten smarkacz...”. Tego mi tylko brakowało, o mało się nie poryczałam, kurczę, on ma dopiero sześć lat. I jeszcze ta nasza dzielnica, gdzie dzieciaki ze świetlicy - Anton mi opowiadał - wachają klej, tego tylko brakowało, żeby synek siostry się od czegoś uzależnił. Potem skrapiałam wszystko wodą kolońską, tak jak to robiła moja matka, skrapiałam wszystko wodą, żeby przegnać złe duchy i przy okazji smród po papierosach, pokropiłam drzwi w bramie naszej kamienicy, tak jak to robiła matka, przesłałam jak z wonnym kadzidłem przez wszystkie pokoje, tak jak robiła matka, choć ona robiła to po to, by przegnać złe duchy (kiedy jeszcze coś tam kojarzyła, oczywiście), a ja robiłam to, bo miałam nadzieję, że przegnam raz na zawsze smród papierosów.

Nocą męczyły Silvia napady suchego, drażniącego kaszlu, przez to nie mogłam spać, przez całą noc nie zmrużyłam oka, wpatrywałam się w gąbkę nasączoną wodą w miseczce na nocnym stoliku, postawiłam ją tam, bo przeczytałam w gazecie, że w ten sposób można pozbyć się smrodu papierosów. Ale pomimo tych wszystkich sztuczek nie udało mi się go pozbyć. Moje ubrania też śmierdzą, a w sklepie nie wolno palić, szefowej to przeszkadza. Przeszkadza jej, że od kogoś czuć papierosami, a nos ma jak kiper, ta cała Dora, moja szefowa. Kiedyś była modelką albo aktorką, albo czymś w tym stylu, i porusza się jak królowa, tylko berła jej brakuje. Ładna jest, nie można zaprzeczyć, ale patrzy na innych tak wyniośle... Ma piękne oczy, niebieskie, ciemne, jakby szafirowe, nigdy wcześniej nie widziałam oczu w takim kolorze, ale chodzi cały dzień ze zmarszczonym

55

nosem i z takim zmarszczonym nosem pyta: „Susana, ty palisz?”. A ja na to: „Nie. Dlaczego pani pyta?”. „Tak sobie, nieważne...”, ale na jej twarzy pojawia się grymas obrzydzenia. I to mnie martwi, bo wiem, że nigdy nie uda mi się przekonać Silvia, żeby nie palił w domu, że zawsze będę śmierdzieć papierochami, mam doła, a mój potwór ryczy i domaga się jedzenia, ja mu daję jeść, a ubieram się w ciuchy z tego nowego sklepu. No bo w końcu zostałam w tym sklepie, choć trudno w to uwierzyć. Szefowa, Dora, jest zdeklarowaną rasistką, ale ja od początku rozumiałam, w czym rzecz - musiałam być na bieżąco z wszystkimi plotkami o życiu gwiazd. Bo wiadomo, że Murzynki uwielbiają telenowele, a Hiszpanki plotki. I wiedziałam, że jeśli będę znała plotki o sławnych aktorkach, to mnie przyjmą. I jak tylko byłam w domu, starałam się obejrzieć jeden z tych plotkarskich programów i zaraz wybuchła kłótnia z Silviem, bo on to by tylko mecze oglądał. A ja musiałam posłuchać trochę plotek, bo klientki z naszego sklepu widziały Murzynki tylko w telewizji, w filmach dokumentalnych, jak tańczyły z cyckami na wierzchu, błagając o deszcz, no i rzecz jasna brały mnie za jakąś Masajkę. Pierwszego dnia szefowa nie odstępowała mnie na krok i cały czas pilnie obserwowała. I pamiętam, jak jedna klientka stała sobie i oglądała ubrania, podeszłam do niej i grzecznie zapytałam: „Mogę pani w czymś pomóc?”, a wtedy kobieta odwróciła się, zobaczyła mnie i wrzasnęła tak przeraźliwie, jakby zobaczyła samego diabła: „Aaaaaaaaaaaaaa!!!”, a potem, kiedy zrozumiała, że zachowała się niezbyt grzecznie, próbowała to naprawić: „Przepraszam, przestraszyłam się, bo tak świetnie mówisz po hiszpańsku...”. Tak jak mówiłam, brała mnie za Masajkę, a Masajowie nie mówią po hiszpańsku. I wtedy podeszła Dora i pocieszyła mnie: „Nie martw się, Susana, ja ją obsłużę”, a kiedy tamta już sobie poszła, dodała: „Z czasem się przyzwyczają, tylko na początku będą tak reagować”. To wszystko było w sumie mocno wkurzające, ale jak wiadomo, nie ma

56

co się obrażać, honorem się nie najesz. I podobne sytuacje zda-

rzały się codziennie. Pewnego razu przyszła do sklepu kobieta z córeczką, ja stałam spokojnie za ladą, nie należy zbyt szybko proponować pomocy, klientka musi sobie najpierw sama pomyszkować. Dziewczynka puściła rękę mamy - mama oglądała sweterki - i podeszła do lady, gapiąc się na mnie oczyma okrągłymi ze zdziwienia. Na co ja, w końcu jestem kulturalna i dobrze wychowana, mówię do niej z uśmiechem: „Dzień dobry”, a dziewczynka w ryk: „Aaaaaa!!!!”, i pędem do matki, z płaczem. „Mamo! Mamo! Ta lalka mówi! Ta lalka mówi!”. Więc z kolei ja się przestraszyłam i zbladłam jak ściana. Matka podeszła do mnie, straszliwie zmieszana, i próbowała się tłumaczyć: „Bo wiesz, moja córeczka ma lalkę zupełnie do ciebie podobną i... to znaczy ma takie same warkoczyki i...”. Chciała mi po prostu powiedzieć, że dziewczynka nigdy w życiu nie widziała Murzynki, bo mieszkają w takiej dzielnicy, gdzie nie ma czarnych.

No tak, już mówiłam, że zostałam w tym sklepie. Ale ta kobieta, szefowa, nie znosi papierosów. Nawet jak przychodzą nasze najlepsze klientki, Dora nie pozwala im palić. Mamy taką jedną, która zostawia u nas mnóstwo kasy, moim zdaniem ona cierpi na jakiś rodzaj nerwicy, przychodzi do nas średnio raz na tydzień i zawsze coś kupuje. I wcale nie jest jakimś grubasem, zupełnie normalna, przy kości, ale bardzo, bardzo ładna, blondynka, z dziecienną twarzą. „To jakiś absurd, żeby kobiety po czterdziestce musiały się ubierać w sklepach XXL, tak jakby były wielorybami”. Tak mówiła w przebieralni. „Przecież ja nie jestem gruba, no nie?”. „Oczywiście, że nie”, odparłam, choć tak naprawdę ta kobieta była mniej więcej tak gruba jak ja, a według mnie jestem już dość tłusta, chociaż jak idę ulicą, to nikt nie powie o mnie: „Patrz, jaka gruba”, ale też nikt nie powie: „Nieźła laska”, a kiedyś tak o mnie mówili. Kurczę, naprawdę tak mówili, szłam sobie, a goście się za mną oglądali i Silvio co chwila powtarzał: „Lepiej, żeby się tak nie gapili, bo jak nie przestaną, to dostaną ode mnie

57
w łeb”. I jak któryś faktycznie za długo się patrzył, to Silvio był wkurwiony: „Co się gapisz? Uważaj, bo jak ci przypierdolę, to ci łeb pęknie na pół i sobie ją z dwóch stron obejrzysz”. Kawał skurwysyna z tego Silvia, zawsze taki był, ale wtedy to mi się podobało, bo sama byłam dość nieśmiała. Trochę się zdziwiłam, jak mi ta kobieta powiedziała, że ma czterdziestkę, bo wydawało mi się, że ma koło trzydziestki, pewnie z powodu tej dziecięcej buzi. Gdzieś słyszałam, że masz do wyboru: albo twarz, albo tyłek, że jak jesteś gruba, to przynajmniej nie masz zmarszczek, sama nie wiem. Poza tym chociaż według karty kredytowej ma na imię Elena, powiedziała kiedyś, że ma na imię Poppy, a to przecież nie jest imię, które pasuje do czterdziestoletniej kobiety, przynajmniej moim zdaniem. Kiedyś zapytałam, dlaczego tak o sobie mówi, a ona opowiedziała, że jak była małą dziewczynką, w telewizji był program dla dzieci, Dom Zegara, i tam występowały trzy kukiełki: Poppy, Marta i Manzanillo, i ona była bardzo podobna do Poppy, więc jej tata tak zaczął do niej mówić. I rze-

czywiście ta kobieta wciąż miała twarz lalki, szefowa powiedziała-
by o takiej „śliczna buzia”, co ciekawe, tego określenia nie używa-
ła nigdy w odniesieniu do dzieci, tylko właśnie do kobiet, i mnie
się wydaje, że to znaczyło, że one nie dorosły, że ciągle są jak
dzieci. I właśnie ta śliczna buzia usilnie mnie przekonywała, że-
bym zostawiła Silvia. To dzięki tej dziewczynie, albo kobiecie,
czy kim tam ona była, ta Poppy, wreszcie nabrałam wątpliwości,
gdyby nie ona, to wciąż tkwiłabym w głębokim przekonaniu, że
naprawdę mam wielkie szczęście, że jestem z Silviem. Ale któ-
regoś popołudnia, kiedy Dora zapytała mnie enty raz, czy palę,
nie wytrzymałam i wyzaliłam się przed klientką, przed Poppy,
kurczę, nie rozumiem tych bogatych ludzi, nazywać się Pipi czy
Poppy w wieku czterdziestu lat, no ale to właśnie Poppy opo-
wiedziałam o Silvio i o tym, że on pali. I tak to jakoś samo
poszło, za każdym razem, kiedy do nas przychodziła, opowiada-
łam jej o Silvio coraz więcej i pewnego dnia usłyszałam od niej:
58

„Przecież ten facet tobą manipuluje, nie widzisz tego? Wciąż ci
dokucza, a jak w końcu nie wytrzymujesz i wybuchasz, to cię
wyzywa od wariatek”. Długo ze mną rozmawiała i przekonała
mnie. Ona nie jest taka jak inne nasze klientki, nie ma pstro
w głowie, jest doświadczona i inteligentna, chociaż z początku,
przez tę dziecięcą buzię myślałam co innego, bo te nasze klientki
to są strasznie głupie, nie pracują poza domem, a w domu też
nic nie robią, bo mają pomoc i niańkę. Ale Poppy jest z zupełnie
innej bajki. Pracuje i na dodatek jest zarządzającą albo doradcą,
nie wiem dokładnie, w księgowości. Potrząsnęła mną, zmusiła
do myślenia. Zna twój słaby punkt, wyjaśniała, wie, że jak cię
podręczy, to w końcu wybuchniesz, i wie, że boisz się, że zwa-
riujesz tak jak twoja matka. Posłuchaj, powiedziała do mnie, ty
mu to po prostu ułatwiasz. Zna twój słaby punkt.

I dziś od rana te słowa Poppy tłuką się w mojej głowie i mie-
szają z bólem po uderzeniu popielniczką.

„Po prostu mu to ułatwiasz”.

„Zna twój słaby punkt”.

Pamiętam, jak zaczęłam spotykać się z Silviem. Często chodzi-
liśmy do salonu gier w centrum miasta, żeby pograć w grę, która
nazywała się - i dalej tak się nazywa - The Home of Dead. Grało
się plastikowymi pistoletami, które były podłączone do ogromne-
go ekranu takimi gumowymi węzami. Teraz pewnie można ściąg-
nąć tę grę na Play Station, zresztą nie wiem, moi siostrzeńcy nie
mają żadnych gameboyów i konsoli, bo ja jestem pacyfistką i czę-
sto im powtarzam, że w kraju ich dziadków trwa wojna między
plemionami Fang i Bubi, no i że na świecie przelewa się tyle
prawdziwej krwi, że nie ma potrzeby bawić się w przelewanie
sztucznej, ale sama, i owszem, zabijałam zombi dla zabawy, choć
teraz nie wiem, czy robiłam to, bo chciałam zaimponować Sil-
vio, czy też próbowałam być bardziej agresywna, bo potrzebo-
wałam tego, żeby z nim być. Gra polega na tym, że wchodzisz
do wielkiego domu opanowanego przez zombi i posuwasz się do

przodu przez korytarze i pokoje i zabijasz jednego zombi za drugim, a jak kończy ci się amunicja, musisz ją uzupełnić, ale ostrożnie, tak żeby zombi nie wykorzystali twojej chwilowej bezbronności i cię nie pozarli. Jeśli gracz jest dobry - a ja byłam, grałam o wiele lepiej niż Silvio, co bardzo go wkurwiało - dociera do drugiego poziomu, gdzie pojawia się Superpotwór i informacja, który to typ (Type 0053 albo Type 4567) i co stanowi jego weak point, czyli punkt, w który musisz trafić, żeby go zabić. Czasami trzeba było strzelić w serce, innym razem w brzuch, czasami w głowę i oczywiście to zawsze była ta część ciała, którą potwór chronił najbardziej. I mnie się właśnie wydaje, że to taka gra w wojnę i Silvio wygrywa, bo zna mój słaby punkt, a ja jego nie znam. Chce pani, żebym opowiedziała o tej awanturze? To nie takie łatwe, mam w głowie fragmenty scen. Muszę je po kolei poukładać, choć nie umiem do końca wszystkiego raz jeszcze przeżyć. Nie potrafię przywołać niepokoju i strachu, które są prawdziwe i mocne, kiedy je odczuwam, ale kiedy je sobie tylko przypominam, już takie nie są. Tak jak zapachy, ich też nie potrafię zapamiętać. Słyszę kroki sąsiadów z góry, płacz dziecka, trzaśnięcie drzwiami i wiem, że to poranek, że życie toczy się dalej.

No więc spędziłam ostatni długi weekend poza domem, u mojej siostry, tej, co odeszła od męża, w Saragossie, bardzo lubię tam jeździć, to zupełnie inny, trochę wiejski świat, mniej się tam stresuję, ale Silvio nie chciał jechać, bo twierdzi, że się tam nudzi. I też dlatego że wie doskonale, że moja siostra nie może na niego patrzeć. I jak jej opowiadam coś o naszych kłótniach, mówi tylko: „To normalne, po co zadajesz się z białym”. Niech pani sobie tylko nie myśli, że ona ma lepiej ode mnie, mąż trzymał ją w domu, przy dzieciach, a sam zdradzał z wszystkimi naokoło, ale tak już się przyjęło, że Murzynki nie powinny chodzić z białymi facetami, choć Murzyni mogą chodzić z białymi kobietami. To absurdalne, ale z Cyganami jest dokładnie tak samo: jak Cygan ma dziewczynę nie-Cygankę, nic się nie dzieje,

60

ale jak Cyganka umówi się z białym, bójka gotowa. To samo Arabowie. Marokańczycy zabawiają się przez cały czas z białymi dziewczynami, ale nie spotka pani w tej dzielnicy ani jednej Marokanki, która umawia się z Hiszpanem. No więc czarnym podobają się białe kobiety, im jaśniejsze, tym lepiej, a zwłaszcza blondynki. Umawiają się z blondynkami albo z Murzynkami, ale nie z Mulatkami. Mulatki podobają się białym facetom. Ja rozjaśniłam sobie końcówki włosów, w mojej rodzinie to się podoba. Ale czarnym dziewczynom nie powinni podobać się biali mężczyźni. Dlatego mój ojciec, ile razy pojawiam się w domu, patrzy na mnie krzywo: „A jak urodzisz Mulata? Jak przyjedziesz tu z małym Mulatem, nawet mi go nie pokazuj, nie chcę się wstydzić przed całą wioską”. Choć przecież od lat już nie był w swojej wiosce, nikt tam już o nim nie pamięta. A najgorzej to było wtedy, kiedy Silvio przyjechał do mojej siostry,

akurat siedziały tam też wszystkie moje ciotki i zaczęły go wy-
pytywać: „A twoi rodzice lubią naszą siostrzenicę? Podoba im
się?”. Na co on odparł: „Nie mam ojca, proszę pani, a moja
mama uwielbia Susanę”. Wierutne kłamstwo. A moje ciotki py-
tały dalej: „Masz braci?”. A on: „Owszem, piątkę”. „I dobrze
traktują naszą siostrzenicę?”. „Tak, bardzo dobrze”. Kolejne
kłamstwo, bo jego bracia, kiedy widzą mnie na ulicy, przechodzą
na drugą stronę, wyjątek stanowi najmłodsza siostra, Esther,
bardzo sympatyczna, ale co z tego, skoro nie rozmawia z Silviem.
A co do tych „braci”, to ciotki pytały dlatego, że czarni żyją
zawsze w dużych rodzinach, i chciały wiedzieć, czy jego bracia
jakoś dogadają się z moimi.

Ja też czasami myślę, że lepiej byłoby mieć czarnego chłopaka,
tak jak mają moje siostry. Na rogu naszej ulicy, zaraz obok
knajpy malarza, jest nieduży sklepik, otwarty prawie 24 godziny
na dobę, do późna w nocy, jak wychodzę z baru, od tego malarza
czy jakiegokolwiek innego baru, bo mam ochotę na batonika,
to sklep jest zawsze otwarty. I prawie codziennie w tym sklepie
61

kupuję czekoladę. I pracuje tam taki przystojny Murzyn, ale
naprawdę ciacho, nie do uwierzenia... Ma takie ciało, że aż ciarki
przechodzą, naprawdę. Kiedyś się zapytał, skąd jestem. Na co ja
jak zawsze odpowiedziałam, że jestem Hiszpanką, on na to, że mi
nie wierzy, ja mu na to, że moi rodzice pochodzą z Gwinei,
z plemienia Bubi, a on na to, że jest z Wybrzeża Kości Słoniowej,
i zaczyna dość bezczelnie mnie podrywać, no bo jeśli można coś
powiedzieć o Murzynach, to to, że są dość bezpośredni, nie tak
jak Hiszpanie, którzy chodzą naokoło i tracą czas na pytania
w rodzaju, czy pójdziemy na kawę, a może pójdziemy do kina,
kiedy chcą tego, czego chcą, a to, czego chcą, to nie jest ani kawa,
ani kino. Ismael, bo tak ma na imię ten Murzyn ze sklepu, jest
bardzo bezpośredni: ale z ciebie śliczna dziewczyna, ależ masz
piękne oczy, ale jesteś zgrabna, i jasne, że po tym „ale jesteś
zgrabna” poczułam się jak królowa, wiem, że Afrykańczykom nie
podobają się szczupłe kobiety i widziałam, jak na mnie patrzy,
spodobałam mu się, naprawdę się spodobałam i pomyślałam so-
bie: „Może zacznę kręcić z tym chłopakiem, on na pewno nie
będzie się ze mnie wyśmiewał, tak jak ten głupi Silvio”. Ale
szybko sobie to przemyślałam: „No dobra, tylko jak daleko zajdę
z facetem, który pewnie nie ma nawet legalnych papierów, zarabia
grosze i pracuje po dwanaście godzin, i pewnie jak wszyscy Mu-
rzyni ma żonę w Afryce. A może i dwie”. No więc powiedziałam,
że mam narzeczonego, i chłopak przystopował. Bo co prawda
Afrykańczycy są dość bezpośredni, ale szanują reguły. A jeśli
chodzi o mnie, to czasem łapię się na tym, że sobie wyobrażam,
jak idę do sklepu i robię to z nim na zapleczu, pośród stosów
konserw. Wiem, że to mocno brzmi, ja pani przecież za dobrze
nie znam, ale ten Murzyn ma takie ciało, że aż się wierzyć nie
chce, naprawdę, opowiadał mi, że mieszkał w Senegalii i walczył,
bił się zawodowo, widziałam jego ramiona i myślałam sobie:

Może i życie z nim nie byłoby za ciekawe, ale przynajmniej byłby lepszy w łóżku. Czasami zdarza mi się myśleć o Ismaelu,

62

pewnie częściej, niżby wypadało, przyznaję się bez bicia. Staram się omijać sklep z daleka i kupować czekoladę gdzie indziej, ale czasami ulegam i idę tam tylko po to, żeby go zobaczyć. To cholernie przystojny facet i ten jego sweterek z second-handu leży na nim jakby był od Armaniego, i przyznaję, że jak jestem w łóżku z Silviem - choć ostatnio Kochamy się coraz rzadziej - to często wyobrażam sobie, zupełnie mimowolnie, jak by to było kochać się z Ismaelem albo z Antonem.

Tak, tak, jasne, opowiadałam pani o tej wczorajszej kłótni, ma pani rację, zaczynam coś opowiadać i temat mi ucieka. No więc pojechałam sama do Saragossy, chciałam zobaczyć siostrzeńców. A Silvio oznajmił, że zamierza wykorzystać moją nieobecność i pomalować pokój, wzięło mnie, bo już od roku prosiłam, żebyśmy zrobili malowanie, ściany były szare od dymu, a on ciągle to odwlekał, że nie w ten weekend, że w następny, a za tydzień znowu nie, tylko w jeszcze następny. Zapytał: „Na jaki kolor mam je pomalować?”. „Na żółto, tylko to ma być taki bardzo jasny, delikatny odcień żółci”. Nie chciałam, żeby malował je na białe, bo to pokój bez okien, z którego wchodzi się do salonu, wpada tu mało światła i pomyślałam, że żółty trochę go rozświetli. No i kiedy wróciłam do domu, zamarłam. Ściany były wściekle jaskrawe, kanarkowożółte, powiedziałam, że nie zasnę w pokoju z takimi ścianami, że to zbyt intensywny odcień, że dostanę rozstroju nerwowego, że nie zmruję oka. Ale mówię to spokojnie, cichutko, ze ściśniętym gardłem, bo wiem, że on nie znosi jakiegokolwiek krytyki. Teraz jak się nad tym zastanawiam, to może faktycznie niepotrzebnie się wtedy odezwałam, ale przecież nigdy nie umiałam go okłamywać. Na co on stwierdził, że zmarnował cały weekend na malowanie, a ja nie potrafię tego docenić, i tak jak stał, otworzył drzwi i sobie poszedł. Zadzwoiłam do niego na komórkę. „Silvio, chcę tylko wiedzieć, czy przemalujesz te ściany, czy mam to zrobić sama?”. I wtedy on dostał szału: **JESLI CI SIĘ KURWA NIE PODOBA PIERDOLONY**

63

KOLOR, TO IDZ SOBIE KURWA DO PIERDOLONEGO SKLEPU I KUP PIERDOLONĄ FARBĘ I PIERDOLONY PĘDZEL I POMALUJ SOBIE KURWA PIERDOLONY POKÓJ JAK CI SIĘ KURWA PODOBA. I kończy rozmowę. Dzwonię jeszcze raz. Poczta głosowa. Numer nie odpowiada. Czekam w domu. Rozpakowuję walizkę. Otwieram lodówkę. Pusta. Zupełnie pusta. Idę do sklepu. Kupuję mleko, jajka, chleb. Wracam. Mija siódma, ósma, dziewiąta. Włączam telewizor. o dziesiątej zjawia się Silvio. „Silvio - zaczynam - musimy pogadać. Nie warto się tak kłócić bez sensu”. „Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać”, odpowiada. Idzie do kuchni. Otwiera lodówkę, rozrywa karton mleka i przystawia go sobie do ust, zaczyna pić. „Silvio, Kochanie - to znowu ja - nie ma potrzeby, żebyś się tak unosił”.

„Odchodzę - oznajmia. - Mam cię dość. Jesteś popierdolona. Odchodzę. Zamieszka z matką. BO MAM CIĘ DOŚĆ. ROZUMIESZ? DOŚĆ!“. Wrzeszczy. Na całe gardło, wielkimi literami. I przypominam sobie, że tak krzyczał mój ojciec. I czuję, że gdzieś blisko czai się niebezpieczeństwo. Wiem, że tamto zagrożenie już minęło dawno temu, ale czuję, jakbym raz jeszcze przeżywała całą tę historię, jakbym znów miała sześć lat, jakby ojciec nas nie zostawił. Przerażająca rzeczywistość wdziera się na scenę, to moja zwielokrotniona echem obsesja, widzę wszystko, patrząc wstecz. Ale teraz nie jestem już sześciolletnią dziewczynką, potrafię się bronić. Patrzę na Silvia i widzę w nim mojego ojca, uderzam go w twarz, nienawidzę go. Wtedy on łapie, co ma pod ręką, popielniczkę i wali mnie w głowę. Upadam. On biegnie do salonu, bierze moje zdjęcie w ramce i rzuca nim o podłogę. Słychać brzęk tłuczonego szkła i jego krzyki: JESTEŚ WARIATKĄ, PIERDOLONĄ WARIATKĄ, TY CZARNA KURWO! I zbliża się do mnie, a ja zaciskam pięści i w przypływie ślepej odwagi znów go uderzam. Przewraca mnie na ziemię. Z płaczem wlokę się do sypialni. Idzie za mną. JESTEŚ WARIATKĄ, PRAWDZIWĄ WARIATKĄ. I zaczyna pakować walizki, nie przestając gadać: że

64

jestem wariatką, że go uderzyłam, że jestem popierdolona, że zamieszka u matki, że nie chce mnie znać. Powtarza to w kółko. A ja marzę tylko, żeby sobie już poszedł, ale on pakuje tę swoją pieprzoną walizkę cholernie długo i wreszcie wychodzi, ale bez walizki.

Wiem, że wróci, to jest w tym najgorsze, wiem, że wróci, dlatego zostawił tu walizkę, że wróci kiedyś późno w nocy, mocno schlany, i ja otworzę mu drzwi, tak samo jak matka Soni, i on tu zostanie, tak po prostu, wstyd mi się do tego przyznać, bo Sonia wciąż powtarza, że nie pojmuje, jak jej matka może mieszkać z takim łajdakiem jak ojciec. Dlatego ja jej nigdy nie opowiadam o naszych kłótniach, tak na wszelki wypadek. Ona nie ma o niczym pojęcia. Ale ja wiem, że Silvio wróci. A ja mu otworzę, bo sama nie jestem w stanie wynajmować tego mieszkania. I jeszcze dlatego, że się boję. Boję się zostać sama. Patrzę w lustro i widzę, że jestem taka gruba, że chyba to jest niemożliwe, żebym sobie jeszcze kogoś znalazła. I że jestem taka beznadziejna, że zasłużyłam sobie na Silvia, że to ja go sprowokowałam tym wybrzydzeniem na kolor ścian, że trzeba umieć się opanować, dążyć do kompromisów, że jestem wariatką, taką samą wariatką jak moja matka. A potem zastanawiam się, czy Silvio nie dlatego nazywa mnie wariatką, bo wie, że to mój najczulszy punkt, coś, co mnie najbardziej boli i przeraża. Boję się, że skończę tak jak matka, w szpitalu, łkając stopy pigulek. Dlatego mówi o mnie wariatka. Gdybym była taka jak Irene, była dziewczyna Antona, która najbardziej na świecie bała się zdrady, pewnie opowiadałby mi, jak się pieprzy z innymi. Ale on wie doskonale, że w gruncie rzeczy to akurat jest mi obojętne, niechby i miał pięćdziesiąt na boku, pewnie i tak jest, mam to w dupie. Ale kiedy nazywa mnie

wariatką, to czuję przerażenie, prawdziwe przerażenie.

Poza tym z kim mógłby iść do łóżka, teraz, kiedy tak przytył? siedzi ciągle u matki, a ona gotuje i podaje mu jego ulubione potrawy... Te, których zabronił mu lekarz. Tłustą grochówkę

65

z kielbasą, bigos, bób, ciasta, kremy, kanapki z gęsim pasztetem. Kiedy chodziliśmy na obiady do jego matki, nie brałam niczego do ust. Skubałam sałatkę, patrząc, jak wszystko znika w jego wielkiej paszczy z żółtymi zębami. Już tam nie chodzę, od czasu jak się dowiedziałam, że jego matka opowiada wszem wobec, że nie jestem warta jej syna, i przypisuje mi wszystko, co najgorsze. Od początku mówiła o mnie „Murzynka”. „Mój syn chodzi z Murzynką - opowiadała sąsiadkom - ja tam nie jestem żadną rasistką, skądże znowu, ale tak mi się zdaje, że jak kiedyś będą mieli dziecko, to w szkole dzieciaka będą przezywać, wiadomo, jakie są dzieci...”. Sonia mi opowiedziała, dowiedziała się od Alby, dziewczyny Aziza, tego, co ma herbaciarnię. Alba ma długi język i zawsze wszystko wypapla. Alba słyszała, jak matka Silvia opowiadała to w kolejce do kasy w Carrefourze. Dzieci to potrafią być okrutne, proszę pani, pewnie, ale nie aż tak jak niektórzy dorośli. No więc przestałam do niej chodzić na obiady, bo to źle rokująca rasistka. Poza tym do wszystkiego dodawała czosnek, choć wiedziała, że ja go nie jadam, Murzynom czosnek w ogóle nie smakuje. W Gwinei tylko masa dodawali czosnek do potraw. Moja babcia była kucharką i służyła u bogatych Hiszpanów, znaczy się tych złodziei, którzy przybyli i zawłaszczyli sobie nasze ziemie. Babcia miała na imię Susana, tak jak ja, i biedaczka zawsze śmierdziała czosnkiem, więc we wsi wszyscy jej mówili: „Śmierdzisz jak masa”. My, Murzyni, mamy bardziej wyczulony węch, natychmiast wiem, czy w potrawie jest czosnek, a matka Silvia, wstrętna jędza, wszystko przyrządzała z czosnkiem. No więc przestałam tam chodzić. Przez tę wstrętą jędzę. Nie chcę mieć z nią więcej do czynienia. Doskonale wiem, co ona opowiada synowi, sam mi to powiedział, kiedyś, jak był bardzo pijany: „A co to, nie ma już Hiszpanek w twoim wieku, że musisz chodzić z Murzynką?”. A on na to: „Mamo, ona jest Hiszpanką!”. „Ale czarną!”. I ciągle karmi swojego ukochanego synka, tuczy go jak wieprzka. I on śmie mówić o mnie: gruba. Sam jest gruby

66

jak świnia, a mnie dokucza. Niby żartem, ale tak właśnie mnie nazywa: „Susana, zdaje się, że nieźle żeśmy się utuczylili, co?”, śmieje się, jakby sam w to nie wierzył. A czasami robi to w mniej przyjemny sposób. Byliśmy kiedyś w restauracji i nagle on się odzywa: „No, dalej, jedz, napychaj się, tylko potem nie płacz i nie jęcz!”, no i oczywiście przystopowałam, choć zaraz zauważyłam, że mnie to się czepia, ale sam obżera się do nieprzytomności kuskusem, mógłby go zjeść całą furę. A potem gapi się w nogi Soni, która wygląda jak szkielet. Za plecami to mówi o niej „Zołza”, ale ma na nią ochotę, drań jeden, od kiedy tylko ją zobaczył.

Pewnego razu gapił się na nią tak długo, że poczułam się zazdrosna i zaraz następnego dnia kupiłam sobie czarną, przezroczystą koronkową koszulę nocną. Nigdy mnie w czymś takim nie widział, jasne, że nie, wszystkie moje piżamy są bawełniane, kupione za sześć euro w Carrefourze. W domu jest zimno, nie ma centralnego ogrzewania, trudno żeby spała w tiulach. I to nie o to chodzi, że widzę coś złego w noszeniu takich fatałaszków, Sonia nosi dość wyzywającą bieliznę, a ja po prostu nigdy na to nie zwracałam uwagi. A poza tym ciężko coś kupić w moim rozmiarze. Nie szyją koronkowych biustonoszy w takich rozmiarach. I dosiadłam go, choć prawie nigdy tego nie robiłam, najpierw musiałam odgarnąć mu brzuch, przesunąć do przodu, przytył tak strasznie, że brzuch mu wszystko zakrywał... No i przemogłam się, dałam z siebie wszystko. Kochałam się, ale myślałam o świecach zapachowych, o gąbce nasączonej zimną wodą, o żółtych zębach, o nieświeżym oddechu, o kaszlu, który przeszkadzał mi nocą, o siostrzeńcu, który zapalił papierosa, o smrodzie, który przeniknął moje ubrania i którego niczym nie daje się wywabić... A on mówił: „Dalej, kochanie, dalej”, tym swoim chrapliwym głosem palacza. I kiedy dochodził, głośno krzyczał, zawsze krzyczy, ale tym razem był wyjątkowo głośny. Niezły wstyd, pewnie wszyscy sąsiedzi nas

67

słyszeli. Potem podałam mu papierosa. Nawet sama go zapaliłam, choć brało mnie obrzydzenie i nie znoszę, kiedy Silvio pali w łóżku, bo wypala dziury w pościeli.

Teraz, jak sobie o tym rozmyślam, to wydaje mi się, że wczoraj wpadł w histerię, bo gdzieś się szlajał i ciągnął kokę, jak zawsze w weekendy, to oczywiste. To wyjaśnia, dlaczego pomalował pokój na kanarkowo. Był na haju, kiedy wpadł na ten idiotyczny pomysł. Musiał być upalony i zalany też. Kiedyś nie brał, tylko dużo pił, od zawsze się szlajał i tankował, drań jeden, nic go bardziej nie pociągało. No a potem poznał tego aktora, Alexa - sława działa na Silvia ogłupiająco, strasznie się podnieca takimi znajomościami. Bo teraz, jak ten arabski malarz zrobił się taki znany, to w jego knajpie bywa mnóstwo artystów, aktorów, pisarzy, muzyków, sławnych, choć nie takich z pierwszych stron gazet. Na przykład David Martin często tam przychodzi, jak go zobaczyłam pierwszy raz, to zaniemówiłam z wrażenia, bo Sonia, jak była młodsza, to się w nim kochała, to był jej największy idol. Dalej jest przystojny, ale nie tak jak kiedyś, widać, że się postarzał, no i brzuch sobie wyhodował, chociaż akurat ja, przy mojej wadze, raczej nie powinnam krytykować innych. Nasza dzielnica jest dość biedna, na taką zresztą wygląda, ale ostatnio stała się modna, to całe multi-kulti, ceny mieszkań poszły w górę, zwłaszcza w okolicach dworca, niedaleko muzeum, i tam mieszka coraz więcej snobów. Ale to jest dokładnie tak, jak mówi Anton - owszem, w naszej dzielnicy jest wiele kultur, ale one się nie mieszają, bo tu nikt z nikim się nie wymienia swoją kulturą. To akurat doskonale rozumiem, bo jak się można mieszać, skoro

mieszkają tu wstrętne baby w rodzaju matki Silvia. No, ale wracając do tej knajpy, to przychodzi do niej mnóstwo artystów i bywalców modnych lokali, a ten cały Alex Vega też się tu często pojawia i Silvio go tak właśnie poznał. Ten Alex nazywał Silvia „misiem”, a Sonia, ta plotkara, ostrzegła mnie: „Uważaj, bo Yamal, właściciel knajpy, mówił mi, że Alex to pedał, który

68
się chwali, że jest specjalistą w nawracaniu hetero”. Yamal dużo gada z Sonią, na moje oko to Sonia mu się podoba, tak się w siebie wpatrują... Zaproponował jej pracę w knajpie, w weekendy, wtedy potrzebują więcej ludzi, mnie tam jednak ten Yamal coś nie do końca pasuje. Ma jakiś taki złowieszczy uśmiech, nie wiem, jak to nazwać, ale ja to wyczuwam. I nie wydaje mi się, żeby Silvio i Alex mieli ze sobą coś wspólnego, nawet jestem tego całkowicie pewna, choć czasami nachodzą mnie wątpliwości, bo skoro wiem, że Alex bierze kokę i częstuje Silvia, a Silvio jak bierze, to się robi strasznie napalony, zwłaszcza jak koka przestaje już działać. I zaczynam kojarzyć fakty, kurczę blade, przecież w sobotę poszedł w miasto, na pewno umówił się z Antonem i spotkali Alexa, no a Murzyni mają wyczulony węch: między brudnymi ciuchami znalazłam koszulę, której Silvio nie zdążył zanieść do matki, a to jest ładna i droga koszula, zazwyczaj w niej wychodzi na miasto, i ona pachnie perfumami Alexa, bardzo drogimi, chyba od Diora, nie wiem. Pomyślałam sobie: Ale jaja, ale jaja, jak on tak może? I właśnie mógł, niezłe jaja. Ja jestem dość otwarta, rozumiem innych i nie unikam trudnych związków, ale Silvio z tym facetem to już lekka przesada. Od kiedy poznał Alexa, za każdym razem wyglądało to podobnie: ktoś dzwonił do niego na komórkę, Silvio szybko się ubierał, a następnie oznajmiał: „Wiesz co, Susana, idę się przejść, zaraz wracam”. I za chwilę przesyłał wiadomość: „Przepraszam, coś mnie zatrzymało, wrócę o dwunastej”. Dwunasta, pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta, siódma. Wracał i mnie budził. Zawsze kładłam pod drzwiami zabawki mojego siostrzeńca, żebym słyszała, jak drzwi się otwierają. I jak się obudziłam, to nasłuchiwałam. A on, zamiast wejść do sypialni i położyć się do łóżka, szedł pod prysznic i myślałam sobie: Coś jest na rzeczy, bo Silvio bierze prysznic, i owszem, codziennie, ale rano, dba o czystość, owszem, ale nie aż tak, no i wtedy brał prysznic przed snem, bo wiedział już, że mam bardzo wyczulony węch i nie jestem głupia. A następnego

69
dnia, kiedy byłam w pracy, dostawałam SMS-a: „Przepraszam, wybacz mi, kochanie, głupek ze mnie. Obiecuję, że będę dla ciebie miłszy i jak umówię się jeszcze kiedyś, to pójdziemy razem”. Zachowałam te wszystkie SMS-y. Wszystkie zaczynają się od przepraszam: Przepraszam, wybacz mi. Przepraszam, baran ze mnie. Przepraszam, kocham cię. Przepraszam, kochanie... Pierwszy z piątego, drugi z dwunastego, trzeci z dziewiętnastego, czwarty z dwudziestego trzeciego... W ciągu miesiąca miałam z dziesięć takich SMS-ów i liścików, pozostawionych w łazience,

na łóżku, na stole. „Kochanie, wybacz, straszny ze mnie baran i naprawdę nie doceniam tego, co mam w domu”. A kiedy wracałam z pracy, pytał: „Widziałaś list ode mnie? Dostałaś SMS-y?”. Odpowiadałam: „Tak”. „I co ty na to?”. Niezły z niego numer. I jeśli to było po jakiejś większej imprezie, a jego koszula zbyt mocno pachniała perfumami Diora, robił mi śniadanie i rozwieszał pranie. I znów ta sama śpiewka: „Głupek ze mnie, przepraszam... Może przyjdę po ciebie do sklepu?”. „Nie, dziękuję, sama chodzę i sama wracam”. „Przecież do ciebie piszę, dlaczego mnie tak traktujesz?”. A ja już nic nie mówiłam, bo afrykańska kobieta jest właśnie taka, bardzo cierpliwa, naprawdę bardzo cierpliwa.

Nie rozumiem tylko, dlaczego wciąż z nim jestem. Dlatego że go kocham. Tak, właśnie tak, bardzo go kocham. Pamiętam wszystkie dobre chwile, a było ich tak wiele przez te wszystkie lata! Kiedy jest w dobrym humorze, nikt mu nie dorówna, taki jest miły. Roztkliwiam się i wiem, że jestem idiotką, że to czuję, ta żalosa tęsknota jest jak pijawka, która się we mnie wczepiła i wysysa mi krew. Czy go kocham? Tak. Nie wiem. Wydaje mi się, że unikam tego, co chcę powiedzieć, bo nie chcę tego poczuć. Może nie chcę go zostawić ze strachu, że musiałabym powiedzieć babci, że to koniec, że to koniec bajki o narzeczonym, z którym mieszkam od pięciu lat, koniec prawdziwej kobiety, jestem taka sama jak ojciec - agresywna, albo

70
jak matka - popieprzona, albo jak moje rodzeństwo: jedna siostra w separacji, druga też, brat, który zostawił dziewczynę z niespełna miesięcznym dzieckiem i potem rozpowiadał wszem wobec, że to nie jego syn, drań jeden, choć chłopczyk jest jak skóra zdjęta z ojca i ma czekoladową buzię. Tak się cieszyłam, że jestem tą jedyną, której się udało, że ominęła mnie rodzinna klątwa i dlatego wkurzam się, kiedy Silvio nazywa mnie wariatką, bo chciałam być normalna.

Przypuszczam, że Silvio wróci za tydzień albo dwa, tak jak zawsze, łaskawie darując mi życie. Nie wiem jak ani dlaczego, ale wiem, że wróci, że wciśnie mi jakiś kit i znów zamieszkamy razem. Zadzwoni, powie, że chce wrócić, że musi wrócić, że chce ze mną porozmawiać, że powinien mnie nienawidzić, ale nie potrafi mnie nienawidzić. Kiedyś w to wierzyłam, jakie to mam szczęście, że jestem z facetem, który do mnie wraca, choć dostaje ode mnie w pysk, ale teraz zaczynam wątpić. Wkurza mnie, że on uważa, że to potworne, że daję mu w pysk, ale nie widzi niczego nienormalnego w tym, że traktuje mnie jak powietrze, zostawia mnie albo się na mnie wydziera. Wkurza mnie, że to tylko ja jestem tą złą. Czasami wydaje mi się, że oszalałam jak matka, czasami myślę, że to on jest jak mój ojciec, czeka, aż wybuchnę. Jedna część walczy z tą drugą częścią mojej osobowości i czuję się wrogiem samej siebie.

Chciałabym przejść się po podwórku, spojrzeć przez okno i wejść do mieszkania jednej z tych szczęśliwych rodzin. Pewnie

Poppy ma taką szczęśliwą rodzinę, tak mi się wydaje. Opowiadała mi o swoich dzieciach, ma dwóch synów i mieszka w domu na przedmieściach, zapewne pięknie urządzone, z zasłonami pasującymi do fotelowych obić, tak jak na zdjęciach w pismach wnętrzarskich, gustownie, ale prosto, bez ekstrawagancji. W naszej kamienicy też pewnie mieszkają szczęśliwe rodziny, które zasiadają wspólnie do nakrytego stołu, przy włączonym telewizorze, matka z kuchni pyta córkę, czy nie brakuje chleba na

71

stole, córka na jawie śni o narzeczonym, ojciec z synem nucą hymn ulubionej drużyny, niemowlak, w specjalnym krzeselku, radośnie potrząsa grzechotką. Dziecko z góry przestało płakać. Mama nuci mu kołysankę. Fałszuje. Z dziedzińca dolatuje woń smażeniny, sąsiadki przygotowują obiad. Słychać też muzykę z programu Randka w ciemno. A wszystkie te hałasy takie swojskie, wymieszane jak groch z kapustą, przypominają mi, że dziś już jest jutro i życie biegnie dalej.

MAMA

Kiedy Miriam wkłada małego do łóżeczka, dziecko przytula mocno czerwonego misia, gwiazdkowy prezent od babci. Potem odwraca się i zamyka oczy. Miriam dziwi się zawsze, że mały tak szybko zasypia, ale to pewnie dlatego, że każdy dzień dostarcza mu wielu wrażeń. Miriam odbiera synka ze szkoły i razem idą do parku, gdzie Teo potrafi zjechać na zjeżdżalni nawet pięćdziesiąt razy z rzędu. Miriam wraca do domu dopiero kiedy park pustoszeje, by mieć pewność, że jej dziecko jest już tak zmęczone, że po kąpieli natychmiast zaśnie.

Miriam chodzi do parku leżącego poza granicami dzielnicy Lavapies, już w obrębie Huertas, w droższej, turystycznej części miasta. Tu wszystkie dzieci są białe, z wyjątkiem paru adoptowanych Chinek. I większość przychodzi tu ze swoimi opiekunami, dziewczynami z Ekwadoru albo z Kolumbii. Anton uważa, że powinna chodzić z dzieckiem do parku przy świetlicy, ale Miriam nie cieszyła perspektywa towarzystwa pijaków i Marokańczyków, wachaczy kleju, więc próby przekonania spełzły na niczym. Miriam nie zdradza Antonowi, że nie chce zapuszczać się w tamten rejon dlatego, że wcześniej mieszkała tam z Yamalem i woli pozostać w bogatszej części miasta, czyli tu gdzie mieszkała z Danielem. Ciekawe, że te dwa tak różne światy dzieli tylko jedna szeroka ulica. Po jednej stronie Las Letras, designerskie lofty, knajpy dla turystów, teatry, hotele, kawiarnie, a po drugiej imigranci, dzieci z opieki społecznej, pijaczkowie sączący Piwo, Latynosi, gangi, nożownicy, narkotykowi dilerzy. Taka

73

sama kawa kosztuje 1 lub 3 euro, w zależności od miejsca, gdzie się ją serwuje.

Anton przyjdzie za chwilę, kiedy dziecko zaśnie, Miriam nie chce, żeby Teo widział go w domu, chłopczyk dużo mówi i któregoś razu powiedział tacie, że do mamy przychodzi jakiś chłopak. Kiedy Daniel zapytał Miriam, odparła że to hydraulik, który

pojawił się parę razy z polecenia spółdzielni i miał sprawdzić szczelność trzydziestoletnich rur, nadających się do wymiany. Daniel udał, że wierzy, i już więcej nie pytał. Zresztą to, czy Miriam z kimś się spotyka albo nie spotyka, nie powinno już obchodzić Daniela. Niby jest tego świadoma, ale woli, by Daniel o niczym nie wiedział.

Kiedy tak patrzy na śpiącego synka, obejmującego czule czerwonego misia, przypomina sobie pytanie pani adwokat: „A może zrzekłabyś się opieki nad dzieckiem? Pobraliście się bez intercyzy, dostaniesz równowartość połowy domu, to sporo pieniędzy, mogłabyś wrócić do pracy i zacząć nowe życie, a dziecko możesz przecież zawsze widywać. Pamiętaj, że jak zostaniesz z dzieckiem, to będzie ci o wiele trudniej kogoś znaleźć”.

Nigdy by nie przypuszczała, że Daniel będzie domagał się opieki, i wciąż jest przekonana, że zrobił to dla pieniędzy, nie chciał jej zostawić domu i płacić alimentów. I zapewne uczynił to podjudzany przez matkę, teściową Miriam, która nigdy nie darzyła synowej sympatią, bo wolałaby widzieć u boku Daniela dziewczynę bez przeszłości, taką, która nigdy nie mieszkała z innym mężczyzną, a jeśli już, to przynajmniej nie z Arabem. Bo to jest właśnie najgorszy problem, że wszyscy wszystko wiedzą, teściowa wiedziała więc całkiem sporo o przeszłości Miriam, nawet o jej pobytach w klinice Ramon y Cajal, gdzie Miriam przebywała na leczeniu po atakach neurozy i gdzie przyznała się lekarzowi do palenia haszysz. Teściowa dotarła również do informacji o niesławnej pamięci „działaniach autodestrukcyjnych”, co jest stosowanym przez lekarzy eufemizmem na określenie próby

74

samobójczej. Naiwna Miriam przechowywała wszystkie dokumenty w teczce i zdaje się, że Daniel przypadkiem na nią trafił.

- Ale to jest nielegalne, prawda? - zapytała Miriam panią adwokat. - To są poufne dokumenty, chyba nie mogą ich wykorzystywać?

- No cóż... - Pani adwokat przybrała bardzo poważną minę, zdając sobie sprawę, jaki efekt może wywrzeć to, co zaraz powie. - Jeśli chodzi o fakty, które mogą zagrozić dobru dziecka, sędzia może zażądać, by przesłano te informacje ze szpitala. Nie wiem, co ci mam powiedzieć. Po pierwsze, to są wszystko wydarzenia z czasów przed urodzeniem dziecka, więc w żaden sposób nie powinny teraz i w przyszłości ograniczać praw do opieki nad nim. Z drugiej strony, sama wiesz, że twój mąż znalazł sobie doskonałego adwokata i jego rodzina ma wszędzie znajomości, a w tym kraju zdarza się, że sędziowie wydają absurdalne wyroki. Już po rozprawach Diana wyraziła przypuszczenie, że być może pani mecenas tylko sprawdzała, do jakiego stopnia Miriam jest zdeterminowana w walce o dziecko. Ale po zadaniu takiego pytania Miriam znienawidziła tę adwokat z całego serca. „Nie zamierzam zrzekać się praw do dziecka. Nigdy w życiu”, powiedziała twardo, czując, że łzy spływają jej po policzkach, a ona nie umie ich powstrzymać. Na samą myśl, że miałyby zamieszkać

bez Teo, serce zamierało jej w piersi. Była zakochana w swoim synku bardziej niż kiedykolwiek w jego ojcu, bardziej nawet niż w Yamalu. Uważała, że jest doskonały: śliczny, dobry, słodki, kochany, zabawny, czuły. Nie wiedziała, czy wszystkie inne matki czują to samo w stosunku do własnych dzieci. Pewnie wiele nie czuje. Wiele matek bije dzieci, choćby w ich dzielnicy, nie trzeba daleko szukać. Pewnego popołudnia Miriam spacerowała, pchając wózek z synkiem, a tuż przed nią matka uderzyła w twarz córkę, bo dziewczynka nie nadażwała za jej szybkim marszem. Miriam podeszła do tej kobiety i wypaliła prosto z mostu: „Odbiło ci?”. A matka odpowiedziała: „Tobie odbiło. To moje dziecko

75

i robię z nim to, co mi się podoba”. Miriam, nie panując nad sobą, zaczęła mówić podniesionym głosem: „Dziecko nie jest twoją własnością, to nie jest dywan ani samochód, to żywa istota!”. A potem powiedziała do dziewczynki: „Posłuchaj, kochanie, nieważne, co powie mama, ale ona nie ma prawa cię uderzyć, rozumiesz? To ona popełnia błąd, nie ty”. Po czym odeszła ze łzami w oczach. Zapewne tamta matka bardzo chętnie zrzekłaby się prawa do opieki nad córką, nie musiałyby się już martwić tym, czy dziewczynka biegnie obok wystarczająco szybko. Daniela poznała na imprezie, na którą poszła z Dianą. Znali się od małego, mieszkali w tej samej okolicy, ale przestali się widywać, kiedy Miriam wyprowadziła się od rodziców. Kiedy ona miała trzynaście lat, a Daniel szesnaście, zakochała się w nim, przynajmniej tak jej się wydawało, bo czy można zakochać się w osobie, z którą zamieniłaś w życiu nie więcej jak trzy słowa? Na ścianie bramy kredką do oczu napisała „Miriam i Daniel”, a ilekroć odwiedzała rodziców, zaskakiwała ją trwałość tego świadectwa dziecięcych fantazji. Nieco później miała zinterpretować to trwanie dwojga imion jako znak czy raczej ostrzeżenie, że los ich połączy, choć Daniel twierdził, że po prostu ołówek był dość tłusty i dlatego napis wsiąkł głęboko w wapienne podłoże. Nigdy nie miała wątpliwości, kto w ich związku jest prozaicznym realistą, a kto romantykiem z głową w chmurach.

Daniel poprosił ją o rękę, Miriam miała białą suknię, ślub kościelny, tiulowy welon i małą kuzynkę niosącą dary na tacy. A potem było mieszkanie w centrum miasta i żona, która przestaje pracować i zajmuje się dzieckiem, potem kolejnymi, i pozwala, by jej życie upływało w ciągu identycznych dni, w przewidywalnej monotonii rutyny, przyjemnej i radosnej w części dotyczącej dziecka, nudnej we wszystkich pozostałych. Miriam zapanowała nad domową codziennością, której obfitość zadziwiała ją samą. Ale nuda i samotność pożerały ją od środka niczym robak, który toczy różę, na pozór zdrową i wspaniałą. Kiedy Daniel był jesz-

76

cze narzeczoną, a nie mężem, otaczała go romantyczna aura i Miriam widziała w nim raczej to, co sobie wyobrażała aniżeli to, kim był w rzeczywistości. Małżeństwo położyło kres złudzeniom, ich relacja spowszedniała i mąż zaczął się jej wydawać

osobą nieciekawą, nijaką, niewykształconą, pozbawioną pasji. Skończyły się romantyczne kolacje, prezenty i kwiaty. Daniel dużo wyjeżdżał, zbyt dużo, a kiedy zostawał w Madrycie, wracał zawsze późno i bardzo zmęczony. Spał z nią w jednym łóżku, ale jego myśli zdawały się być odległe o całe lata świetlne. A seks stał się formalnością, której dopełniali coraz rzadziej. Wszystko zmieniło się na gorsze po zajściu w ciążę: ciało Miriam i zainteresowanie Daniela. Właściwie przestał jej dotykać. A i synek zajmował go nie więcej niż zwykły pluszowy miś. Daniel zawsze powtarzał, że dzieci go nie interesują, ale Miriam nie mogła przypuszczać, że poświęci tak niewiele uwagi swojemu własnemu dziecku, i zastanawiała się, dlaczego Daniel pozwolił, by zaszła w ciążę, czy przypadkiem nie uczynił tego, by dogodzić matce, która bardzo chciała zostać babcią już od czasu ich zaręczyn. Znudzenie i frustracja sprawiały, że myśli Miriam dryfowały ku niebezpiecznym mieliznom - bezwiednie wspominała Yamalę, o wiele częściej, niż powinna, a co gorsza, snuła fantazje erotyczne, obsadzając go w głównej roli. Bo Yamal był co prawda beznadziejnym narzeczonym, ale kochankiem - doskonałym.

I właśnie wtedy, pewnego popołudnia, spacerując z wózkiem po parku, wpadła na Yamalę, który prowadził za rękę pięcio- albo sześciolatniego chłopca, i kiedy ją zobaczył, w melodramatycznym geście uniósł dłoń do ust tak nagle, że wyglądało to na prawdziwe zaskoczenie. Miriam stanęła na chodniku jak przygwożdżona, zaciskając dłonie na rączce wózka tak mocno, że aż pobiegały jej kostki. Zamknęła oczy i po chwili je otworzyła, sprawdzając, czy to, co widzi, nie jest halucynacją. Poczula nagłą suchość w gardle i usiłowała przełknąć ślinę, by odzyskać głos i wykrztusić „cześć”, które zabrzmiałoby w miarę naturalnie. Poczula

77

w ustach jego kwaśny smak. Potem zapadła długa i głęboka cisza, pełna słodko-gorzkich wspomnień i dopiero co obudzonych lęków, a przerwał ją wesoły i dzwięczny głos Yamalę. „Miriam, jesteś taka śliczna, że cię nie poznałem”. I zdała sobie sprawę, że on się nie zmienił. Ani na jotę. Pomyślała, że ten szkrab to pewnie syn Yamalę, i poczuła ścisk w żołądku, niewątpliwie oznakę zaskoczenia albo zazdrości, a tymczasem Yamalę wyjaśnił, że to Salim, brat Aminy, „tej dziewczyny, co przychodziła do nas sprzątać, pamiętasz?”. A potem dodał po francusku - żeby chłopiec, który mówił tylko po arabsku i po hiszpańsku, nie zrozumiał go - że jego ojca przymknęli, a on daje matce chłopca pieniądze i czasami zabiera go na spacer. Opowiedział też, że otworzył w okolicy knajpę, Płonącą Tawernę, jest jej właścicielem, ale zatrudnił kogoś, kto ją prowadzi. Nie, nie został hotelarzem, ta knajpa to po prostu próba zainwestowania pieniędzy albo raczej zabawy, w zasadzie nie przynosi specjalnych zysków; tak, on wciąż maluje; nieźle mu idzie, wystawia u Yvonne Lambert i jeszcze tego roku ma mieć wystawę w Arco.

Yamalę spotkała w Paryżu, dawno temu, miała dwadzieścia cztery lata, to był ostatni wypad ich grupy, już pod koniec stu-

diów. Kompletnie straciła głowę. Poznali się na dyskotecce, zakochała się w nim natychmiast. Miała wrażenie, że w życiu nie widziała tak pięknego faceta. Przez kolejnych sześć dni nie uczestniczyła w zajęciach swojej grupy i umawiała się z Yamalem, który - choć również studiował - miał mnóstwo czasu i gotów był go jej poświęcić. Te cudowne chwile, płynące gdzieś obok toczącego się normalnie życia, ujęte w magiczny nawias, spędzali głównie na spacerach w Ogrodzie Luksemburskim. Paryż lśnił w promieniach ciepłego wiosennego słońca, a ona czuła, że jej miłość podlega jedynie odwiecznym prawom natury i ona sama może co najwyżej poddać się im i podążyć ku szczęściu, jak nakręcona zabawka. Kiedy szła obok Yamala, wydawał się jej tajemniczy i dostoyny, prawdziwy młody bóg, który zszedł, zagoś-

78
cił wśród śmiertelnych i uczestniczy w nieznanym mu życiu, pełnym rozkoszy i niespodzianek, do których drogę wskazywała mu ona, prowadząc go przez długie tunele pocałunków.

Tydzień po tym, jak Miriam wróciła z Paryża, Yamal wsiadł w pociąg i zjawił się w Madrycie. Wynajął pokój w hoteliku przy Plaza del Carmen i tam spędzili kolejny tydzień, prawie nie wychodząc z łóżka. Miriam zjawiała się w domu u rodziców, żeby wziąć prysznic i zjeść śniadanie, a przede wszystkim pokazać się rodzinie, by ta nie wpadła w panikę. Ten niezwykle tydzień utwierdził Miriam w przekonaniu, że oto spotkała Mężczyznę Swojego Życia.

Yamal miał pieniądze, zauważyła to już na samym początku ich znajomości, sam co prawda nic na ten temat nie mówił, ale szastał sumami, którymi przeciętny dwudziestosześcioletni człowiek raczej nie dysponuje. Wyjaśnił jej kiedyś, że odziedziczył pieniądze po dziadku, a fundusz powierniczy wypłaca mu co miesiąc stałą kwotę. Innym razem wspomniał Miriam, że zerwał wszelkie kontakty z ojcem, po tym, jak odsunął on matkę, i od tamtej pory nic o nim nie wie. Być może Yamal dostawał jakieś pieniądze od matki, tak czy inaczej pieniędzy miał sporo i mógł zamieszkać, gdzie mu się spodobało. Bez problemu mógł też rozstać się z Paryżem - jego korzenie sięgały tylu miejsc, że nie czuł się przywiązany do żadnego konkretnego krajobrazu. Mógłby ją utrzymywać, mogliby razem zamieszkać. Nigdy jednak nie wspominał o ślubie. Zresztą i ona o tym nie myślała. „Uwielbiam to miasto - powtarzał. - Chętnie tu zamieszkać”. Te trzy słowa zapowiadały spełnienie długo snutyh marzeń. Po otrzymaniu dyplomu ukończenia Akademii Sztuk Pięknych Yamal przyleciał do Madrytu i wynajął tu mieszkanie, a dziewczynka z dobrego domu zamieszkała w imigranckiej dzielnicy, do której jej matka nie chciała nawet przyjść z wizytą.

Rodzina Miriam nie była zachwycona, że ich ukochana córeczka dzieli życie z mężczyzną, a tym bardziej kiedy dowiedzieli

79
się, że ów mężczyzna jest Arabem. „Arab, jak możesz - czyniła wyrzuty matka, zasklepiona w swoim zaściankowym patrioty-

zmie - wstyd, ty zupełnie zgłupiałaś! Przecież oni biją swoje żony i każą im chodzić z zakrytą twarzą. Sama zobaczysz, jak to się skończy. Wyjedźcie do jego kraju i nigdy więcej cię nie zobaczymy. Córeczko, zastanów się nad tym, co robisz, proszę". „Ale jego ojczyzną jest Francja, nie przesadzaj, mamó - odpowiadała Miriam. - Nie masz pojęcia, o czym mówisz". Miriam wiedziała, że rodzice oczekiwali innego zięcia. Inżyniera, adwokata, ekonomisty. Zareczyn, ślubu w kościele, białej sukni, welonu i kuzynki niosącej dary na tacy. Teściów mówiących w tym samym języku, z którymi można by powspominać, jak to w tamtych, dawnych czasach wszystko było inne, w ich mniemaniu lepsze. I być może właśnie owa pewność, że Yamal zupełnie nie podoba się rodzicom, utwierdzała ją w postanowieniu, by dalej z nim mieszkać. Niestety, piękny sen powoli zaczął się rozwiewać. Słowo miłość wzięło jej w gardle niczym mięsna gula, której - będąc małą dziewczynką - nie mogła przełknąć mimo czynionych wysiłków. Yamal często wychodził wieczorem, zazwyczaj sam. Zjawiał się o świcie i nigdy nie mówił, skąd wraca. Przesypiał cztery czy pięć godzin, a potem zamykał się w pracowni i malował. Miriam odkurzała, prała, prasowała - jak zwykła pomoc domowa. W uszach dzwięczały słowa matki: „Oni są inni niż my, nie szanują kobiet". Kiedy dzwoniła Diana, jej przyjaciółka, z pytaniem: co u ciebie? Miriam odpowiadała „Yamal nie wrócił dziś na noc" - lekkim głosem, jak ktoś, kto nie mogąc skrywać dalej bolesnej prawdy, woli ją rozgłaszać pod pozorem, że jej ujawnienie nie stanowi problemu, że może ją wyjawiać w sposób całkowicie naturalny, tak jak dzielimy się spostrzeżeniami o pogodzie, choćby i o nadciągającej burzy. Ale kiedy postanawiała już, że się z nim rozstanie, kiedy już pakowała walizki, Yamal pojawiał się w progu z bukietem kwiatów i zapraszał ją na kolację do jakiejś miłej restauracji albo jechali na dwa dni nad morze i Miriam chwyciła

80

się kwiatów, kolacji czy czarującego hoteliku niczym brzytwy, którą odcinała się od nocnych wypadów Yamala, jego nonszalanckich zachowań i ciągłego uchylania się od domowych obowiązków.

Potem miał swoją pierwszą wystawę, w niedużej madryckiej galerii. Yamal malował Obrazy bliźniacze, obrazy bardzo podobne, ale nie identyczne, które można było kupować razem bądź oddzielnie, po dwa albo po cztery, po sześć, po osiem. Sprzedały się wszystkie, przynajmniej tak sądził właściciel. W rzeczywistości znakomitą ich większość kupił sam Yamal. Miriam jeszcze dziś pamięta, jak prosiła Dianę, żeby zarezerwowała jeden z obrazów na swoje nazwisko, i jak w końcu zapłacono za obraz pieniędzmi Yamala. Inne „kupili" jego nowi przyjaciele, a było ich mnóstwo, bo w czasie swojego krótkiego pobytu w Madrycie Yamal poznał tu więcej ludzi niż Miriam w całym swoim dwudziestopięcioletnim życiu. Yamal miał dar zjednywania sobie ludzi. Jego uprzejmość i wdzięk miały lekkość właściwą tym szczęśliwcom, którzy z racji urodzenia od dziecka przywykli do

obracania się wśród najróżniejszych osób. Pośród nowych przyjaciół było wielu artystów, których poznał na wernisażach, bo Yamal nie opuszczał żadnych artystycznych imprez. Byli też krytycy i właściciele galerii. Dziennikarze i pisarze. I całe mnóstwo Marokańczyków, w większości bez stałej pracy i dochodów, zwykłych włóczęgów. Ilekroć o nich wspominał, mówił „mój kuzyn”. Mój kuzyn Hammed, mój kuzyn Tarik, mój kuzyn Aziz, mój kuzyn Nayib, mój kuzyn Abdul. Być może z niektórymi istotnie wiązały go więzy dalekiego pokrewieństwa, ale Miriam podejrzewała, że te przyjaźnie mają wiele wspólnego z haszyszem - Yamal palił przez cały dzień. Twierdził, że to mu pomaga w malowaniu.

A ona z każdym dniem czuła się bardziej samotna, bardziej sfrustrowana. Postanowiła poszukać pracy i zaczęła przeglądać ogłoszenia w gazetach, ale Yamal ją od tego pomysłu odwoził:

81

„W sklepie albo w barze zarobisz tyle, że nie będzie cię stać nawet na pomoc domową, to bez sensu”. Jakby Yamal absolutnie nie wierzył w to, że uda się jej znaleźć ciekawą pracę. A przecież miała prawie skończone studia. Zostały jej do zdania dwa egzaminy, żeby mieć dyplom w ręce. Powinna była je zdać we wrześniu, ale po powrocie z Paryża myślała wyłącznie o Yamalu, nie o książkach. W końcu znalazła pracę w biurze podróży i to wyraźnie zaogniło sytuację. Yamal narzekał, że w domu jest brudno, ale, rzecz jasna, sam palcem nie ruszył. Znalazła dziewczynę do sprzątanego. Wybrała Marokankę, sądząc, że on będzie z tego zadowolony.

Amina była śliczną dziewczyną, miała piękne, gęste czarne włosy, sięgające jej do pasa, i została polecona przez jednego z licznych „kuzynów”, ale pracowała u nich niespełna miesiąc. Pewnego dnia oznajmiła, że nie chce już tu więcej przychodzić, i choć Miriam miała konkretne podejrzenie, co było tego przyczyną, to z uporem je odrzucała. Zaraz potem znalazła Kerli, Kolumbijkę, zupełnie nieatrakcyjną, na którą Yamal wciąż narzekał. „Przekłada mi wszystkie rzeczy, nie mogę znaleźć mojego portfela, dziwnie prasuje moje ubrania”. Miriam wracała z pracy wykończona i nie miała siły na wysłuchiwanie skarg i żalów rozkapryszonego chłopczyka. „Jeśli ci się nie podoba, że ktoś rusza twoje rzeczy - nie wytrzymała jednego wieczoru - sam je sobie składaj, po co ktoś ma sprzątać po tobie”. Yamal zareagował na tę uwagę wybuchem złości. Wyzwał ją od histeryczek, warietek, wieśniaczek i tak dalej, ale dziś Miriam nie ma ochoty sobie tego przypominać. Potem wyszedł i nie wrócił już tej nocy, a ona nie zmrużyła oka, nasłuchując odgłosu otwieranych drzwi. Kerli przestała u nich pracować, teraz sprząta u Diany, przyjaciółki Miriam, a Diana czasem zabiera na spacer jej córkę, Selene, małą Mulatkę z warkoczykami, o której Kerli tyle opowiadała, kiedy Selene była jeszcze niemowlakiem.

Awantura, która wybuchła z powodu Kerli, okazała się pierwszą z serii kłótni rozpoczynających się zniechęca, na pozór bez

82

powodu, a ich związek zaczął przypominać pole minowe, bo Miriam nigdy nie potrafiła przewidzieć, kiedy i dlaczego Yamal dostanie szału. Gdy chciała go o coś zapytać, długo zastanawiała się nad sposobem, w jaki ma to uczynić, a kiedy już zadała pytanie, ukradkiem obserwowała najdrobniejsze zmiany na twarzy i wsłuchiwała się uważnie w ton odpowiedzi, próbując odgadnąć, czy Yamal wybuchnie gniewem i czy nastąpi to zaraz, czy dopiero po jakimś czasie, czy może akurat to pytanie nie wywoła burzy i spokój potrwa jeszcze chwilę. Ponieważ czuła, że daleko jej do wyobrażeń Yamala o idealnej kobiecie, za którą wciąż tęsknił - a tylko przez moment miał wrażenie, że jest nią Miriam - starała się przynajmniej mu nie sprzeciwić, nie buntować przeciw jego zachciankom, jego przyjaciółom, jego jointom i nocnym wypadom, próbowała je nawet doceniać jako te cechy, które stanowiły o wyjątkowości Yamala, tak jak zaakceptowałyaby bez oporu naturalny brak grzeczności u małego dziecka czy brzydotę ekspresjonistycznego płótna. Starła się zrozumieć jego upodobania i znaleźć przyjemność w naśladowaniu jego przyzwyczajień i dlatego sama zaczęła palić haszysz, na darmo próbując się schronić w urojeniach, dzięki którym odrzucała istotę rzeczywistości i czuła bliskość ukochanego, dzieląc jego upodobania. Ale haszysz jej nie służył, pogłębiał lęki i zaostrzał paranoję. Na dodatek Yamal został przyjacielem kluczowej postaci artystycznego światka, tak niezwyklej, że zdawać się mogło, iż Yamal wypowiada jej imię złotymi zgłoskami: „Byłem na kolacji u Trentino”.

Fulvio Trentino był znany w tym środowisku zarówno ze swojej działalności zawodowej, czyli z zarządzania projektami promującymi sztukę nowoczesną w Hiszpanii, jak i ze swojej nieskrywanej rozwiązłości. Podobno każdy z młodych artystów, który chciał mieć wystawę w Muzeum Reina Sofia, musiał się wcześniej przespać z Trentino. Przynajmniej tak twierdziła Diana, która dużo lepiej orientowała się w plotkach z artystycznego

83
światka. Yamal zachwycał się swoim nowym przyjacielem, opowiadał, że Fulvio został kuratorem niezwykle ważnej wystawy o nowych prądach w sztuce przygotowywanej w MUSACe, i oznajmił Yamalowi, że uwzględni jego prace na tej ekspozycji. Od rana do nocy nazwisko Trentino nie schodziło z ust Yamala. Któregoś wieczoru Miriam wybrała się z Yamalem na wernisaż do galerii Przestrzeń Minimalna i tam właśnie poznała Trentina. I kiedy dostrzegła błysk w oczach młodego kuratora na widok malarza, błysk ożywienia i olbrzymiej zazdrości, i o wiele mniej przyjazne spojrzenie, które skierował w jej stronę przy powitaniu: „Bardzo mi miło” - to były jedyne słowa Trentina wypowiedziane do niej przez cały wieczór - poczuła ukłucie, identyczne jak wtedy, gdy dziewczyna od sprzątnięcia oznajmiła, że kończy u nich pracę. Ale tak jak i wtedy, teraz też nie odezwała się słowem, bo podejrzenia paliły się słomianym ogniem i szybko gasły z braku solidnego paliwa.

Po nawiązaniu znajomości z Trentinem Yamal zaczął wychodzić z domu każdego wieczoru, bez Miriam, i wracać nad ranem albo w ogóle nie wracać. Budziła się o siódmej, wychodziła do pracy o ósmej, a Yamala jeszcze nie było. A jeśli wracał pijany i kochał się z nią, czuła, jak w jej ciało wbija się tysiące zimnych ostrzy. Mijały kolejne miesiące, naznaczone tęsknotą i cierpieniem, głuchą rozpaczą dziecka zagubionego w wielkim sklepie, a silne uczucie miłości przeniosło w niepamięć pierwszy obraz chłopca, w którym się zakochała, uroczego i czarującego, zastępując go podobizną okrutnego i obcego mężczyzny, którego kochała może i bardziej, jakby smutek łagodził jej nieszczęście, aż pewnego dnia Miriam sięgnęła po fiolkę środków nasennych, przepisanych przez lekarza, któremu, szlochając, opowiedziała o trudnościach z zasypianiem.

Ale nie czuła do niego żalu. Bo go kochała, bardzo go kochała. Muzeum Sztuki Współczesnej Kastylii i Leon.

84

Może dlatego znów zaczęła się z nim widywać, choć ledwie zobaczyła go z tym małym chłopcem uczeptionym jego ręki, natychmiast przeczuła bliskość nieuchronnej i ostatecznej klęski. Yamal nie miał stałego rozkładu dnia, toteż Miriam mogła się z nim spotykać podczas spacerów z dzieckiem w parku, kiedy mąż pracował. Daniel dużo wyjeżdżał i czasami nie było go w domu dwa albo trzy dni, więc pewnego dnia, wiedząc, że nie wróci na noc, zawiozła dziecko do mamy i wieczorem umówiła się z malarzem na piwo. Bawili się świetnie, Miriam zaprosiła Yamala na ostatniego drinka do siebie. I, co było łatwe do przewidzenia, wylądowali na sofie, całując się namiętnie. Jednocześnie zdali sobie sprawę, że nie mają przy sobie prezerwatywy, bo żadne z nich nie przewidziało, że wieczór zakończy się tak obiecująco. I wtedy Miriam wpadła na pewien pomysł, pomysł, który wykluwał się dość długo, bardzo długo, ukryty w zakamarkach umysłu, by w końcu nabrać pełni kształtu i gotowości do zrealizowania. Miriam podeszła do stylowego biurka męża, mebla odziedziczonego przez nią po ojcu. Jedna z szuflad biurka była zamykana na klucz, a Miriam jako dziecko otwierała ją nieskończoną ilość razy za pomocą szpilki do włosów, chociaż mieszkając z Danielem, nigdy tego nie robiła, bo myszkowanie po cudzych szufladach oznaczało dla niej brak szacunku i zaufania. Ale tej nocy to zrobiła. I znalazła w szufladzie stare okulary, zegarek, stare zeszyty, mnóstwo ołówków i długopisów, plik wyciągów bankowych spiętych spinaczem, niedużą teczkę z dokumentami z ubezpieczenia mieszkania, opakowanie aspiryny, parę zużytych baterii, rolkę celofanu... i paczkę prezerwatyw, znalezisko, które mogło stać się kamieniem węgielnym rodzącej się nauki. Otworzyła ją i wyciągnęła dwie, obu użyła jeszcze tej samej nocy.

Jeśli Daniel zorientował się, że brakuje dwóch prezerwatyw, nigdy się do tego nie przyznał, zapewne dlatego, że musiałby wyjaśnić, po co trzymał je w zamkniętej szufladzie. Wkrótce

85

potem się rozstali. Miriam siedziała przez tydzień sama w domu, Daniel wyjechał służbowo, a przynajmniej tak twierdził, synek złapał zapalenie oskrzeli, a w komórcie Daniela wciąż odzywała się automatyczna sekretarka. Przez ten tydzień uczucie zawodu rosło w niej niczym śniegowa kula, staczająca się z boczem pagórka. I to z tego powodu, nie zaś dlatego, że sądziła, że ma jakąkolwiek szansę na ponowny związek z Yamalem, opowiedziała Danielowi, że przespaała się z innym mężczyzną. A jej były mąż spakował byle jak walizkę i wyszedł. Miriam pomyślała, że jej mąż bardzo chciał ją zostawić, zapewne czekał tylko na pretekst, który żona tak usłużnie mu podzuciła.

Nie spotkała się z Yamalem od czasu tamtej wspólnie spędzonej nocy. Nie zadzwonił do niej, a ona pomyślała sobie, że skoro on tego nie uczynił to, i ona nie będzie szukała z nim kontaktu, to była kwestia poczucia dumy. Poszła kilka razy do Płonącej Tawerny, licząc na przypadkowe spotkanie, ale nie miała szczęścia. I pewnej nocy, kiedy siedziała tam z Dianą, poznała Antona. Anton znaczy dla niej niewiele, mniej więcej tyle co Yamal, a o wiele mniej niż Daniel. Dla Miriam liczy się jedynie jej synek, któremu ostatnio pogorszył się apetyt. Kiedyś myślała, że Yamal jest Mężczyzną Jej Życia, potem myślała tak o Danielu. Nigdy zaś nie łudziła się co do Antona, bo Miriam już wydorosła, nie jest głupią dziewczynką i teraz wie doskonale, że jedynym Mężczyzną Jej Życia jest chłopczyk, który śpi z przytulonym mocno czerwonym misiem, nieświadomy, że świat wokół niego czeka z otwartą paszczą, aż chłopczyk dorośnie.

RZECZYWISTOŚĆ I POŻĄDANIE

David, z łokciami na barze, popija czwarty już tego wieczoru gin z tonikiem, gapiąc się bezwstydnie na nogi barmanki. Skandalicznie krótka spódniczka czy raczej rodzaj szerokiego, obcisłego paska odsłania długie zgrabne nogi. To jej największy kapitał, bo barmanka nie ma ślicznej buzi. Jak to mówią, ma raczej oryginalną urodę i zabawny profil, jeśli spojrzeć na nią z boku. Zwracają uwagę i usta, wydatne, mocno umalowane, ale ona często zaciska wargi, jakby przełykała ślinę, co przy całej ich delikatności sprawia, że twarz nabiera surowego wyglądu. Jest ładna jak wszystkie młode dziewczyny, ale ten grymas ust zdecydowanie nie podkreśla jej urody.

Dziewczyna zgodziła się pracować w czwartki i soboty, żeby dorobić sobie do pensji teleoperatorki, i to jest jej pierwsza noc za barem. Jako barmanka może zarobić tyle samo co teleoperatorka, pracując o połowę krócej. Dobrze jej tu płacą, dużo lepiej niż w większości okolicznych barów, gdzie pensje zjechały w dół, bo ci, których tam zatrudniają, to imigranci, a z nimi trudno się dogadać. Ale w takiej knajpie jak ta nie można postawić za barem przysadzistej Ekwadorki, tu pasuje tylko ładna dziewczyna z długimi nogami i dlatego zgodzili się na 50 euro za noc. Nieźle pieniądze jak na tę dzielnicę. Na razie nie zdecydowała się zostawić pierwszej pracy, chciałyby oszczędzić trochę kasy, marzy o tym, żeby jak najszybciej wyprowadzić się od ojca. Jej najlep-

sza przyjaciółka rozstała się - nareszcie! - z tym swoim okropnym chłopakiem, idiotą, który jak tylko Susana się odwracała, zaraz ją

87

podrywał, więc teraz mogą we dwie spróbować coś wspólnie wynająć.

Do baru podchodzi dziewczyna z zamglonym wzrokiem i prosi o szklankę wody. To już trzeci raz tej nocy. Pewnie coś łyknęła i stąd to wzmożone pragnienie. Obrażona barmanka rzuca:

- Wiesz co, mała, mam już dość usługiwania. Jak ci się chce pić, to idź do łazienki i sama sobie nalej.

- Kurczę, ale jesteś niemiła.

- Bardzo niemiła. I jestem z tego dumna. Mówią na mnie Zołza, jakbyś nie wiedziała.

Yamal, właściciel baru, pojawia się nagle, staje twarzą twarz z naćpaną dziewczyną i pyta:

- Masz jakiś problem?

- Nie, nie mam... - mamrocze cichutko w odpowiedzi, wyraźnie przestraszona widokiem wysokiego mężczyzny, który zadał pytanie tak stanowczym tonem, że miała wrażenie, jakby obok przejechał walec miażdżący kamienie. Zwrócił się do barmanki:

- Jak ktoś ci tu będzie przeszkadzał, to mnie zawołaj, dobrze?

Barmanka się uśmiecha, pierwszy raz tej nocy, i David ze zdziwieniem stwierdza, że to naprawdę ładna dziewczyna, o ile tylko na jej twarzy nie pojawia się tamten gniewny grymas, ten zaś niemal dziecienny uśmiech to - zdaniem Davida - swego rodzaju zaproszenie, skierowane rzecz jasna nie do niego, tylko do Araba.

Yamal wraca do swojego stolika, w kącie, w głębi baru, skąd łatwo można objąć wzrokiem cały lokal, samemu pozostając w ukryciu. Przy stole czeka czterech przyjaciół, dwóch Marokańczyków i dwóch Murzynów. Wszyscy czterej rozmawiają po francusku, choć każdy z innym akcentem, i dlatego starają się mówić wolno i poprawnie, bo inaczej pewnie mieliby trudności z wzajemnym zrozumieniem. Takie spotkanie to rzadkość w tej dzielnicy. Arabowie i Murzyni niechętnie się przyjaźnią, a mówiąc wprost - nie przyjaźnią się wcale. Yamal zaś słynie z umiejętności zjednywania sobie ludzi i przekonywania ich do siebie nawzajem.

88

Aziz jest właścicielem herbaciarni, znajdującej się dwie ulice dalej. Mieszka z Hiszpanką, która podobno porzuciła narzeczonego z Ekwadoru, dokładnie na dwa miesiące przed zaplanowanym ślubem - zostawiła mu ślubny garnitur i rozesłane zaproszenia i odeszła z Azizem. Herbaciarnia pozostaje herbaciarnią głównie z nazwy. Oczywiście można się w niej napić herbaty, ale tak jak i w każdym innym barze również piwa, coca-coli i czerwonego wina. Aziz, dobry muzułmanin, nigdy nie pije, ale interes to interes. Pewnie i teraz jego dziewczyna obsługuje klientów, jak każdego wieczoru. Nie za bardzo mu się podoba, że się tak wszyscy za nią oglądają, że się do niej uśmiechają i pytają, kiedy kończy, ale ona na początku zaznaczyła, że nie zamierza rezygnować z pracy, a on nawet nie śmiał jej tego wyperswado-

wać. Za jakąś godzinę, kiedy będą zamykać herbaciarnię, Aziz pójdzie do Alby, pomoże jej przeliczyć kasę i spokojnie zamknać lokal. Okolica jest dość niebezpieczna, więc lepiej, żeby kobieta nie wracała nocą sama.

Hisham pracuje na budowie, podobnie jak Youssou. Od siódmej wieczorem do siódmej rano, dwanaście godzin z ledwie jedną przerwą na pospieszne przełknięcie kanapki. Pracuje przy przebudowie stacji metra w centrum miasta. Na zlecenie Urzędu Miasta do 20 września mają powstać cztery wyjścia awaryjne i cztery windy. Budżet inwestycji to trzynaście milionów euro. Hisham wie doskonale, że ta budowa nie powinna tyle kosztować, że wiele milionów euro przechodzi z rąk do rąk w postaci najróżniejszych prowizji, chociaż jemu też nawet nieźle płacą, trzy tysiące euro miesięcznie. Oczywiście płacą mu mniej niż jakimkolwiek Hiszpanowi za równie ciężką i niebezpieczną pracę, na dodatek w takim wymiarze: dwanaście godzin dziennie, od siódmej wieczorem do siódmej rano, ale jemu to odpowiada, bo chce zaoszczędzić i kupić sobie furgonetkę. Nie byle jaką, w żadnym wypadku, to musi być porządna furgonetka, najlepiej mercedes, a taki mercedes kosztuje (i jest tyle wart) piętnaście tysięcy euro.

89

I to musi być mercedes, bo będzie on kursował między Madrytem a Tangerangem. Hisham pracował w Tangerangze jako mechanik i wie, że tam przy naprawie samochodów korzysta się z używanych części zamiennych. Natomiast w Madrycie części używane nie są wiele warte, samochody idą na złom i takie części można kupić za grosze. Hisham zamierza zaoszczędzić trochę pieniędzy i zająć się skupywaniem tych części w Madrycie, żeby sprzedawać je z zyskiem w Tangerangze. I wtedy kiedy zdobędzie już pieniądze i stosowną pozycję, oświadczy się Aminie. Na razie spotyka się z nią po kryjomu. Umawiają się zawsze poza obrębem dzielnicy, żeby nikt ich nie przyłapał i nie opowiedział matce Aminy, a przede wszystkim, by ta wieść nie doszła do uszu jej ojca, odsiadującego wyrok. Jeśli spotkają się na ulicy w pobliżu swoich mieszkań, nawet na siebie nie spojrzą. Dziś po południu Amina wracała z parku Casino, właśnie odebrała ze świetlicy młodszego brata, Salima, prowadziła go za rękę i omal nie zderzyła się z Hishamem w bramie parku. Popatrzyli sobie w oczy przez chwilę, która im wydała się wiecznością, potem Amina spuściła wzrok i pociągnęła brata. Amina sprząta po domach, ale zarobione pieniądze nie starczą jej nawet na zapłacenie czynszu. Amina powiedziała Hishamowi, że to Yamal pomaga im utrzymać rodzinę, choć ona nie wie do końca dlaczego. Niewykluczone, że jakieś dalekie pokrewieństwo łączy ojca Aminy z tym młodym Libañczykiem, ale Amina podejrzewa, że Yamal ma dług wdzięczności u ojca, który siedzi w więzieniu i milczy, i chyba Yamal za to milczenie płaci. Dlatego Hisham nie może przyjąć prezentów od swojej dziewczyny, bo Koran mówi, że nie można przyjmować podarków, które opłacono grzeszną monetą. Choć właściwie prawie nikt już nie stosuje się do tego prawa i wszyscy uważają

jego łamanie za grzech lekki. Hisham słyszał nawet o jakimś szefie mafii, który odbył pielgrzymkę do Mekki za pieniądze zarobione na handlu haszyszem. Natomiast Hisham wyznaje tę niepopularną dziś zasadę zapewne dlatego, by pokazać, że skoro

90

ojciec Aminy jej nie przestrzega, to on nie zamierza okazywać mu szacunku. Hisham stara się zacieśniać przyjacielskie kontakty z Yamalem, bo w tej przyjaźni widzi jedyną drogę do poślubienia ukochanej kobiety. Jak wiadomo, rodzinne krzywdy przechodzą z pokolenia na pokolenie, a jeszcze w Tangerze rodziny Aminy i Hishama żywiły do siebie wrogie uczucia. Nie wie za wiele o przyczynie zatargu, ale zdaje się, że miał on związek z domem, który przed laty ktoś komuś sprzedał. Ojciec Aminy nawet nie chce słyszeć o ich ślubie, a bez podpisu ojca, złożonego obok podpisów dwóch adułów, małżeństwa nie można zawrzeć, przynajmniej w tradycji islamskiej. Hisham i Amina mogliby wziąć ślub cywilny zgodnie z prawem hiszpańskim, a nawet marokańskim, ale wówczas rodzina Aminy musiałaby się jej wyrzec, nie mogliby nawet powiedzieć jej dzień dobry, gdyby przypadkiem spotkali się na ulicy. Czasami Amina prosi, by zaryzykowali: jeśli powie matce, że straciła dziewictwo z Hishamem, ta nie będzie miała innego wyjścia, tylko zgodzić się na ten związek, by ratować honor rodziny. Hisham nie chce tak postępować, nie chce nikogo okłamywać, pragnie mieć ślub w Tangerze i trzydniowe wesele, chce, żeby Amina udała się z kobietami do hammamu, żeby pomalowano jej dłonie i stopy henną, żeby jako panna młoda przywdziała trzy albo i cztery kaftany, uszyte i bogato ozdobione przez kobiety - krewne Hishama, pragnie wesela zgodnego z wolą Allaha, z aammarią* i całym stosownym rytuałem. Hisham wierzy, że Yamal nakłoni ojca Aminy, by po wyjściu z więzienia złożył ten przeklęty podpis.

Ferba prowadzi niewielki sklepik, otwarty od dziewiątej rano do dwunastej w nocy, i sprzedaje wszystko, od kaszy po lody. Dostarcza lód do knajpy Yamala. Yamal pozwala mu pić na koszt Rodzaj drewnianej klatki, ozdobionej haftowanym w jaskrawe wzory płótnem, w której goście weselni przenoszą pannę młodą do domu męża.

91

firmy, a to nie kosztuje go zbyt wiele, bo Ferba też jest dobrym muzułmaninem, nie pije alkoholu, tylko soki, odmawia sobie nawet coca-coli, bo uważa, że kofeina to też narkotyk. Ferba jest szczęśliwym człowiekiem. To jeden z niewielu Senegalczyków, któremu udało się załatwić legalne papiery, a na dodatek sprowadzić do Hiszpanii żonę i synka.

Ismael pracuje w sklepie u Ferby. Jest Murzynem - wysokim, postawnym i naprawdę pięknym mężczyzną o smutnych, zmęczonych oczach, pamiętających inne krajobrazy i lepsze czasy, a niewykluczone, choć on sam tego nie wie, że to głębokie spojrzenie czyni go jeszcze bardziej atrakcyjnym.

Aziz opowiada Yamalowi o grupie młodych Marokańczyków, wachających klej, którzy bójką na noże tuż przy kawiarnianym

ogródki wystraszyli mu klientów. Jeden z nich wypił coca-colę siedzącemu przy stoliku mężczyźnie - przechodził obok i nagle, bez uprzedzenia, jednym haustem opróżnił całą szklankę. Kiedy klient wstał z zaciśniętą pięścią, cała banda rzuciła się na niego i w mgnieniu oka wywiązała się regularna bitwa, a młodzi napastnicy skryli się w pobliskich uliczkach dopiero na widok nadchodzących policjantów. Parę dni później doszło do bójki na noże między dwoma handlarzami haszyszu, którzy walczyli o terytorium. Na kamiennym chodniku wciąż widać krwawe ślady. Ale nikt nie interweniuje, dzielnicowa policja patrzy przez palce na drobnych handlarzy, którzy w zamian za to dostarczają jej informacji o sekretnych działaniach, w które najprawdopodobniej zamieszane są grupy islamskich fundamentalistów.

- Tak dalej być nie może. Teraz nikt nie przyjdzie do mojej kawiarni. Tu się robi coraz niebezpieczniej. To ci z północy, wszyscy jak jeden - ciągnie Aziz - z Tangeru. Poznać po akcentach. I widać po zachowaniu. My, z Marrakeszu, mamy zdecydowanie więcej kultury. Nimi rządzą Hiszpanie i wystarczy pomieszkać w tym kraju, żeby przekonać się, skąd taka różnica. Hiszpanie wszystko załatwiają krzykiem i bójką. Francuzi tyle

92
nie wrzeszczą. I nie zamierzam chwalić Francuzów, nieźle nas wykorzystywali, ale różnicę w kulturze widać.

Hisham chce zaoponować, on pochodzi właśnie z Tangeru, ale Yamal go ubiega i zabiera głos:

- Mylisz się, bracie. To fałszywy argument. To nie my i oni, wszyscy jesteśmy tacy sami. Mówisz jak Amerykanie. Jeśli mówią, że my jesteśmy inni, że różnimy się od nich, że czujemy inaczej niż oni, że nie kochamy naszych dzieci tak jak oni, to ich zdaniem mają prawo najeżdżać nasze ziemie i atakować nasze dzieci. Marokańczyk z północy nie jest inny od tego z południa, wszyscy jesteśmy braćmi. Nie ma mojej prawdy albo jego prawdy, istnieje i moja, i jego prawda. A agresja tych chłopaków nie ma nic wspólnego z tym, czy mówią po hiszpańsku, czy po francusku, jest wynikiem biedy, dezintegracji i oddzielenia od rodziny zostawionej gdzieś daleko.

Yamal mówi po francusku, tak by rozumieli go Ferba i Ismael. Dwaj Afrykańczycy wpatrują się w niego z podziwem i przytaczają, kiwając głowami, doceniają głęboką mądrość tej niepodważalnej argumentacji. To właśnie dzięki takim przemowom Yamal zyskał sobie miano uczciwego człowieka.

Dwaj Afrykańczycy to bez wątpienia przystojni mężczyźni. Choć Ismael zdecydowanie bardziej: wysoki, dobrze zbudowany, elegancki, szlachetny, posągowo piękny. Przyszedł na świat w Korhogo, na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Zajmował się handlem: kupował aspirynę, kremy, ubrania, wkładał do kosza i wyruszał w góry, do małych wiosek, gdzie sprzedawał swój towar. To ciężka i żmudna robota, Ismael miał poranione stopy i nieustannie bolały go plecy. Wybuchła wojna domowa. Buntownicy zabili mu ojca i spalili chatę. Reszta rodziny - matka, siostry,

kuzyni i kuzynki, ciotki, wujkowie - schroniła się w salezjańskiej misji, a Ismael uciekł do Burkina Faso, potem do Mali, starając się zarobić jakieś pieniądze i wspomóc rodzinę. Miał narzeczoną, z którą planował się ożenić, kiedy skończy dwadzieścia lat, ale

93

wojna pokrzyżowała te plany. Tamta dziewczyna była jego kuzynką i znali się od dziecka, obie rodziny cieszyłyby się z tego małżeństwa. Musieli przełożyć ślub, bo nie mieli pieniędzy. Po-czekam na ciebie, obiecała, tak długo jak będzie trzeba.

W Mali nie prowadzono działań wojennych, ale woda na półno-cy była bardzo droga, a Ismael był cudzoziemcem i nie było mu łatwo. Udał się do Mauretanii. Przetrwał, pracował przy łowieniu ryb. Potem postanowił wyruszyć do Senegalu. Z nikim się nie zaprzyjaźnił, obawiając się, by nie ukradziono mu tych niewielu pieniędzy, które zdążył zarobić. Na pustyni rosły dziwne rośliny o długich kolcach, wczepionych w bielejące szkielety zwierząt, mordercze słońce wypalało resztki drzew, przemykały jaszczurki, najwyraźniej odporne na żar lejący się z nieba, na piasku kładł się rozpaczliwie długi cień Ismaela. Czasami zatrzymywał go poli-cjant, żądał tysiąca albo dwóch tysięcy franków i pozwalał iść dalej. Potrzebował mieć w kieszeni co najmniej tysiąc franków, mógł nie jeść, ale te pieniądze musiał zawsze mieć ze sobą. Spał, gdzie popadło: na ulicy, na ziemi, w autobusie.

I tak z wioski do wioski, piechotą, taxi brousse, a czasem cięża-rówką dotarł do Dakaru, miasta w nieustannym ruchu, na podo-bieństwo wielkiego mrowiska. Krzyżują się tu uszy i nosy z najróż-niejszych plemion, mieszkają ludzie najróżniejszych profesji, stada bosych dzieciaków biegają za kozami po krętych, piaszczystych uliczkach, w porze deszczowej zmieniających się w błotniste zaułki. Zamieszkał na ulicy. Szukał szczęścia w walkach, jako zaprawiony amator, wszak w swojej wiosce uchodził za najlep-szego wojownika. Zarobił trochę pieniędzy. Smukły, doskonale umięśniony, podobny greckim herosom z antycznych ornamentów, poruszał się z wdziękiem, niemal tańczył, ale jednocześnie szukał słabego punktu u przeciwnika, czujny niczym dzikie zwierzę, groźny jak lew, majestatyczny jak orzeł, cichy jak wąż. W Senegalu walki odbywały się legalnie i brali w nich udział zawodowcy, dużo lepsi niż on - zrozumiał, że tą drogą nie zajdzie daleko. Czasami

94

kupował wyroby u rzemieślników w okolicznych wioskach i sprze-dawał je w mieście głupim toubabs*. Kradł, nigdy jednak nie okra-dał tubylców, synów Afryki, co najwyżej kradł portfele białym. Miał nowych przyjaciół, poznał wielu ludzi, czasami szedł do łóżka z francuską turystką, której wydawało się, że jest nowoczesna i tolerancyjna, bo pozwalała sobie na coś, co w rzeczywistości sprawiało większą przyjemność jej niż jemu. Nowi przyjaciele zostawiali mu swoje adresy, ale szybko o nim zapominali. Pisał do nich długie listy, na które nigdy nie dostawał odpowiedzi. Europej-czyccy nie dotrzymują obietnic, szybko to zrozumiał, ale czuł rozgoryczenie.

Życie samo w sobie nie było gorzkie, co najwyżej bez perspektyw. Tak jak inni rozważał wyjazd do Europy, ale do tego potrzebował wiza. Ponieważ matka nie zarejestrowała go po urodzeniu, trudno mu było uzyskać jakikolwiek dokument tożsamości. Paszport tak, jeśli by za niego zapłacił, co do daty urodzenia, wystarczyło, że poświadczą ją czterej świadkowie, ale z wizą było gorzej, dużo kosztowała. Słuchał opowieści o przeprowie łodzią motorową. Miejsce na łodzi kosztowało czterysta euro albo milion franków afrykańskich. Po dziesięciu miesiącach pobytu w Senegalii zdecydował się.

Na łodzi było ich dwudziestu trzech, prawie sami rybacy, żadnej kobiety. Właściciel, dość nieprzyjemny Marokańczyk, miał na łodzi swój towar. Wyruszyli z plaży usłanej śmieciami i przez tydzień przepłynęli dwa tysiące kilometrów. Ryzykowali wiele, bo starali się unikać wybrzeży Zachodniej Sahary i wypłynęli na niebezpieczne wody otwartego morza. Kiedy ląd zniknął im z oczu, Ismael stanął, rozglądając się dookoła i próbując dojrzeć coś więcej niż tylko wodę. Przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, starał się zrównoważyć kołysanie łodzi, szukał linii horyzontu i ogarniało go przerażenie na myśl, jak bardzo jest

Określenie białego człowieka, zwłaszcza w Senegalii i Zambii.

95
bezbronny, otoczony zewsząd wodą. Usiłował powstrzymać mdłości, zastanawiał się nad własną przeszłością pozostawioną gdzieś daleko za sobą, próbując przekonać samego siebie, że podąża ku przyszłości, choć łódka, z czterech stron otoczona wodą, zdawała się nie płynąć w żadnym kierunku. Za jedynych przewodników w tej wyprawie mieli słońce, księżyc i gwiazdy. Ponieważ płynęli na północ, słońce powinno było się znajdować po prawej stronie rano i po lewej po południu. Nocą księżyc świecił po lewej, a siedem gwiazd stanowiło punkty odniesienia: trzy po lewej wskazywały szlak do Ameryki, dwie z tyłu wskazywały południe, dwie na północy wskazywały kurs na Teneryfę. Koło południa dostawali ciastka i plastikowy kubeczek ze słodką wodą. Po pięciu dniach woda się skończyła. Niektórzy zaczęli płakać, płakali i nie mogli przestać. Zginiemy, powtarzali, zginiemy. Nigdzie nie było widać stałego lądu. Pomyślał sobie, że postąpił jak idiota, że powinien był kupić paszport i bilet na samolot, tak jak zrobili to inni. Pomyślał, że po prostu umrze, to wszystko. Nigdy nie znajdą mojego ciała, zjedzą je ryby, mama nigdy się nie dowie, co stało się z synem, mój cień uszczęśliwi inną matkę, kiedy narodzi się ponownie w ciele jakiegoś niemowlęcia. Matka będzie wypłakiwać sobie oczy i trwać w złudzeniach, a tymczasem on czekać będzie w wiosce zmarłych, przy nakrytym stole, na przybycie innych. Zasnął, znękany pragnieniem, upałem, mordercą, strachem, ostrym słońcem, piorunami, które, uderzając, zatruwały mu skórę. I wtedy usłyszał ojca, przybyłego wprost z wioski zmarłych: „Nie płacz, nie zginiesz”. I szóstego dnia morze, do tej pory zielone, zmieniło barwę na ciemnoniebieską, niechybną oznakę bliskiego już lądu. Nocą na niebie dostrzegli

łunę miejskich świateł i płynąc ku niej niczym ku światłu latarni, zbliżali się ku ziemi.

Dotarli do portu, gdzie czekała już policja i karetka. Kiedy funkcjonariusze straży morskiej puścili go, by podtrzymać następnego z uciekinierów, słaniając się na nogach, z trudem prze-

96
szedł parę metrów, które dzieliły go od polowego szpitala. Noc wszyscy spędzili na komisariacie, spali stłoczeni na podłodze. Pojawiła się pani adwokat, która wyjaśniła po francusku i każdemu z osobna, że zostaną przewiezieni do ośrodka dla uchodźców i po czterdziestu dniach władze zdecydują, czy ich repatriują, czy też wypuszczą na wolność w Hiszpanii. Powiedział, że pochodzi z Gwinei, bo z tym państwem nie podpisano umów i repatriacja nie była możliwa. Już w Senegal ostrzegali: nie mów, skąd pochodzisz.

Przewieziono ich do ośrodka dla uchodźców. Materac, koc, ręcznik, mydło. Dziedziniec. Trzy ubikacje i trzy prysznice na 200 osób. Codziennie po śniadaniu dwie godziny na dziedzińcu. Potem rozlegał się gwizdek i wszyscy wracali na salę z materacami. W porze obiadu wszyscy znów szli do jadalni. Od czwartej do szóstej czas na powietrzu, potem powrót na materace. Dzień w dzień to samo, przez czterdzieści dni. W ośrodku zaprzyjaźnił się z Youssou'em, Senegalczykiem o błyszczących oczach, który wcześniej pracował na morzu.

Youssou był niski i gruby, klockowaty, miał szyję, kark, barki i ramiona jak zapaśnik, a do tego kamienną twarz. Zanim wyruszył w wielką podróż, pracował z rybakami w Mauretanii. Połowy stawały się coraz mniej obfite, statki musiały wypływać coraz dalej w morze, by napełnić sieci, a zarobki malały. Zależały od wielkości i jakości połowu, a każdą zarobioną sumę trzeba było podzielić na trzy równe części: jedną dla kapitana, drugą na opłacenie łodzi i paliwa i trzecią do podziału między pozostałych rybaków. Nie starczało im nawet na jedzenie, pomyśleli, że czas opuścić ten kraj. Zaoszczędzili nieco pieniędzy, znaleźli małą łódź, silnik, kupili paliwo i postanowili spróbować szczęścia. Podróż trwała trzy dni. Youssou opowiadał o swoich planach, kontaktach w Hiszpanii, na myśl o przyszłości jego twarz rozjaśniała się uśmiechem.

Dni w ośrodku płynęły monotonnie, wreszcie któregoś ranka usłyszeli: Wychodzić!

97

Nic więcej.

Przewieziono ich na lotnisko i samolotem odstawiono do Madrytu. Nieco później dowiedział się, że to typowa procedura. Uciekinierzy z Afryki docierali do Wysp Kanaryjskich tak licznie, że nie mieścili się w ośrodkach dla imigrantów, więc rząd rozsyłał ich bezpośrednimi lotami do Madrytu, Barcelony i Walencji, stolic trzech autonomii, gdzie nowo przybyli mieli największe możliwości osiedlenia się.

W Madrycie Ismael nie znał nikogo, nie miał pojęcia, dokąd się udać, a w kieszeni nie miał ani grosza. Razem z Youssou'em poszli

do katolickiej parafii. Dostali dwa koce, spali pod gołym niebem, a w ciągu dnia zebrali. Youssou miał adres kuzyna i postanowili go odszukać. Kuzyn mieszkał w domu z dziesięcioma innymi osobami, ale pozwolił im spać na podłodze, na kocach. Dał im pieniądze i listę adresów. W Madrycie żywili się w jadłodajniach dla bezdomnych: Ave Maria, Guzman el Bueno, Puente de Arena, Mama Africa, i spali pod schodami. Youssou miał jeszcze jednego kuzyna, który mieszkał w Lavapies, bogatego człowieka, dobrze ustawionego. Youssou miał wielu „kuzynów”. Jego kuzynem również mógł być nawet syn przyjaciółki jego matki. Nie od razu znalazł tego bogatego kuzyna, bo nie znał jego adresu. Ale nie szukali go długo. Wypyтали wszystkich Senegalczyków, których spotkali w okolicy, i w końcu do niego trafili.

Ferba Tali był naprawdę bogaty, a przynajmniej bogaty na tyle, że mógł zostać ich bratem: miał sklep, żonę i syna, mógł zaproponować im pracę. Ferba nie był zwykłym człowiekiem, co to, to nie. Jego przodkiem był - przynajmniej Ferba tak twierdził - al Hadżdż Umar Tali, założyciel państwa Tukulerów, i kiedy Ferba wspominał swoich przodków - a czynił to codziennie - aż pękał z dumy. Przed laty Ferba przyleciał z Senegalu, miał bilet lotniczy i wizę. Skontaktował się z rodakiem, który sprowadzał ludowe rzemiosło, biżuterię, naszyjniki i bransoletki z fałszywego złota. Obłożony towarem udał się na południe, na

98 nadmorskie plaże. Sprzedawał turystom złote bransoletki po sto peset, klient się targował i cieszył, przekonany, że zrobił interes życia, kupując bransoletkę za sześćdziesiąt peset, a tymczasem była ona warta ledwie dziesięć. Przez jedno lato Ferba zarobił tyle, że mógł wpłacić na konto kwotę, której wymagał rząd hiszpański przy przedłużeniu wizy. A potem wszystko się już jakoś potoczyło: Ferba wynajął lokal, sprowadził z Senegalu żonę z dzieckiem - reszta rodziny czekała w wiosce, nadzorując budowę domu, wznoszonego za pieniądze zarobione w Europie. Ferba zatrudnił Yuossou'a, ale nie miał nic do zaproponowania Ismaelowi.

Ismael sprzedawał gazetkę „La Farola”, żywił się w jadłodajniach dla bezdomnych i spał w przytułkach, jeśli było miejsce, a jeśli nie, to na ulicy, z nieopuszczającą go świadomością, że nikt z tłumu ludzkich cieni, o które wciąż się ocierał i na które czasami wpadał, pogrążonych we własnych problemach i rachubach, nikt nie przyjdzie mu z pomocą, gdyby któregoś dnia padł z wyczerpania.

W oczach, które go nie zauważały, domyślał się podejrzliwej pogardy wobec nieruchomego czarnego wyjątku w tłumie pracującym do przodu; spisku milczących cieni, nieprzyjaznych duchów, które za podszeptem wyobraźni dostrzegał w rzeczywistych postaciach: w młodej dziewczynie z pieskiem, w starszej kobiecie ciągnącej wózek na zakupy, w mężczyźnie w garniturze, z komórką przy uchu. Z zazdrością spoglądał na wysokie budynki, wieże pogardy, do których nigdy nie będzie miał wstępu, i wyobrażał sobie w ich wnętrzu ciepłe jedzenie, czystą pościel i centralne ogrzewanie. Znosił wszystko w milczeniu, bo synowie potępionych plemion

składają się głównie z milczenia. Śnił o europejskim raj, ale Europa przypominała mu Afrykę, a jemu żyło się tu gorzej niż w Afryce, bo tam był bratem, a tu czymś niewiele lepszym od zwierzęcia, osobnikiem drugiej kategorii. Wciąż przyjaźnił się z Youssou'em, każdego popołudnia odwiedzał go w sklepie. Sklep był otwarty od dziesiątej rano do północy, czasem nawet dłużej, Youssou pracował od wtorku do niedzieli, w poniedziałek miał wolne.

99

Pewnego razu Youssou oznajmił, że zaczyna pracę na budowie, więc jeśli Ismael chce, może po nim przejąć pracę w sklepie Ferby. Dostawałby 500 euro, na czarno. Gdyby ktoś go pytał, miał odpowiadać, że tu nie pracuje, że jest krewnym właściciela i tylko pilnuje sklepu, bo właściciel musiał pójść z dzieckiem do lekarza czy coś w tym stylu. Ismael zdążył się przyzwyczaić do mozolnych, bezcelowych, długich, identycznych dni, do nieustannego rozkładania towaru na półkach.

Do sklepu często wpada Mahamud, synek Ferby, siada obok i wpatruje się szeroko otwartymi oczyma w pudełka z kuskusem, puszki z tuńczykiem, puszki z piwem, piętrzące się na półkach, w niewielkie - o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych - królestwo należące do ojca. Ferba zajmuje się prowadzeniem jeszcze innych interesów, jest właścicielem rozmównicy telefonicznej i firmy, która sprowadza z Afryki wyroby ludowego rękodzieła. Fagueye, żona Ferby i matka Mahamuda, pracuje w rozmównicy. Dziecko musi spędzać dużo czasu w samotności, ale Ferba jest przekonany, że zapewni synkowi dobre życie. Za parę lat chłopiec przejmie jego interesy i wielki dom w Senegal.

Ismael wynajmuje do spółki z Youssou'em pokój w Lavapies. W domu są cztery pokoje i mieszka tu ośmiu mężczyzn. Ismael płaci sto pięćdziesiąt euro. Kolejnych pięćdziesiąt albo sto wysyła co miesiąc matce. A reszta musi mu wystarczyć na jedzenie i jakoś sobie radzi. Uważa się za szczęśliwego człowieka, bo udało mu się tu dotrzeć, ma pracę i miejsce do spania. Powinien się zarejestrować, ale nie może, bo nie ma paszportu. Youssou zaproponował, żeby zrobili kopię dokumentów ich rodaka, który pracuje w innym regionie autonomicznym. Kosztowałyby to sześćset euro, ale może warto to zrobić, bo dzięki temu Ismael mógłby się zarejestrować i starać się nawet o pobyt czasowy. I mógłby pracować na budowie, jak Youssou, więcej zarabiać, więcej wysyłać matce, a z czasem, kto wie, nawet wrócić do Afryki. Od czasu do czasu czuje ukłucie w żołądku: nieuchronna straceńcza samotność.

100

I z każdą godziną, z każdym dniem ich nieobecności, zaciera się w pamięci twarz matki i siostr, kiedy walczy o przeżycie w mieście podobnym do gniazda jadowitych skorpionów. Wie doskonale, że najbardziej bolą absurdalne uczucia: pragnienie rzeczy niemożliwych, tęsknota za czymś, czego się nie przeżyło, marzenia o tym, co mogło się przydarzyć, zazdrość wobec innych, niezadowolenie z życia na tym świecie, więc dlatego próbuje przekonać samego siebie, że jest szczęśliwy, ma pracę, przyjaciela, miejsce do spania,

no i dotarł tu zdrów i cały, nie utonął w morzu. Tymczasem inni ludzie, bez wyjątku biali, którzy nigdy go nie widzieli ani go nie znają, tworzą programy, piszą artykuły, podpisują manifesty i układają prawa, które zadecydują o jego przyszłości.

David, oparty łokciami na barze, myśli o Dianie, choć nie powinien tego robić; Diana znikła już z jego życia, nie warto nawet o niej myśleć. Rząd butelek naprzeciw, twarz odbita w lustrze, niczym elegancka fotografia, delikatnie przymglona. Poznaje tę twarz, uśmiecha się gorzko, z dystansem i upija kolejny łyk. Kostki lodu w szklance migają jak w kalejdoskopie. Nie powinien zamawiać tego rumu, Hawana 7, nie powinien był go zamawiać, zwłaszcza z dodatkiem angostury, bo wystarczyło, że poczuł ten smak, i natychmiast przeniósł się w czasy, kiedy mieszkał z Dianą. Przebiega korytarze pamięci, zasnute pajęczyną, bo już od dawna nikt się tu nie zagłębiał, i przywołuje sceny, chwile, obrazy. I na koniec słyszy znajomą piosenkę. Strach podpełza coraz bliżej, nie poddaję się, choć przedziwną siłą ty przyciągasz mnie. Idziesz wszędzie za mną, w myślach moich się kryjesz, w każdym westchnieniu i w krwi mojej żyjesz. I głos Emmy w żeńskim chórk: Bo idziesz za mną wszędzie, w myślach moich się kryjesz, w moich westchnieniach i w krwi, co buzuje mi w żyłach. Pewnie puszczone to specjalnie dla niego, ktoś go rozpoznał. To jedna z jego starych piosenek, z tekstem przerobionym z wiersza, zadedykowana Dianie, teoretycznie, ale napisana również, w sekrecie, choć z dumą, 101

z myślą o Emmie, skomponowana wieki temu, kiedy był jeszcze na tyle zarozumiały i śmieszny, że śpiewał podobne głupoty, kiedy każdy dzień niósł mnóstwo obietnic, kiedy miał całe życie przed sobą, z całym jego bogactwem, kiedy być może nie był do końca szczęśliwy, ale czuł, że szczęście, choć ukryte, jest na wyciągnięcie ręki. Czy istnieje coś bardziej bezsensownego i groteskowego jak upijanie się przy muzyce poranionej wspomnieniami? Żyli jedną miłością, w dwóch domach, wśród mnóstwa piosenek, wszystkich równie złych. Gdy wtedy po koncercie zjawiała się w garderobie i zobaczył jej długie, czarne lśniące włosy, zrozumiał, że przyszła tylko po to, żeby go wkurwić, żeby pokazać, jak doskonale sobie radzi od czasu ich rozstania. Popatrz, świetnie wyglądam, jeszcze lepiej niż kiedyś, mam nowego narzeczonego i jestem w ciąży. Minęły prawie trzy lata, nie widział jej przez ten czas, i nagle ona, niby przypadkiem, ale z niej dziwka, zjawia się na jego koncercie. Żeby mu przypierdolić. Diana rozpuszczała włosy tylko na specjalne okazje, więc przyszła na ten koncert w konkretnym celu. Żeby zrobić na nim wrażenie. Spadaj, Diana, rób się na bóstwo, kiedy tylko zechcesz, wydaj wszystko na fryzjera, jak masz taki kaprys! Miej czwórkę dzieci z tym swoim nowym narzeczoną, jeśli tylko masz ochotę, ale zostaw mnie w spokoju! Nienawidził Diany. Nienawidził myśli, że Diana jest w ciąży, i to nie z nim! Nienawidził złośliwego losu, bo okazało się, że to Emma zostanie matką jego dziecka i wystąpi w roli, którą napisał dla Diany. Nienawidzi Diany. A może dziś

to już nie jest nienawiść, może to tylko wspomnienie tamtej głębokiej nienawiści, na pozór zablizniona rana, która czasem otwiera się i broczy świeżą krwią.

Rozstali się w najbardziej nieoczekiwany sposób. W poniedziałek Diana wysłała mu czułego SMS-a: „Bardzo cię Kocham i tęsknię za tobą”, a w piątek zmieniła zamek w drzwiach.

Tamtego popołudnia Diana wróciła z pracy w bardzo złym nastroju. Weszła do łazienki i wypadła z niej z wrzaskiem: ILE

102
RAZY MAM CI JESZCZE POWTÓRZYĆ, żeByś WIESZAŁ SWOJE CIUCHY, ZAMIAST RZUCAĆ JE NA ZIEMIĘ, DO JASNEJ CHOLERY?! Zwyczajowa odzywka: „To po co płacimy dziewczynie od sprzątanania?”, nie miała sensu, bo doskonale wiedział, co usłyszy: dziewczyna nie jest niczyją niewolnicą, nie jest tu po to, żeby chodzić za tobą i zbierać twoje ciuchy, to kwestia odrobiny szacunku, jak twoja matka była taka głupia i to robiła, to nie znaczy, że wszystkie kobiety są takie same i w końcu ja sama sprzątam te ciuchy, bo mi wstyd przed Kerli, że musi zbierać z podłogi twoje brudne majtki. Zawsze mu się wydawało, że Diana jest za dobra dla Kerli. Kerli opowiadała jej o swoim mężu, który przepijał „wszystkie piniondze”, czyli całą pensję, i raz przyszła z córeczką, Selene, śliczną dziewczynką, z głową całą w warkoczykach. Diana ją bardzo polubiła i czasami nawet brała w sobotę do parku, bo Kerli pracowała też w weekendy, w innym domu, a mała uwielbiała setera Diany i całymi godzinami mogła mu rzucać piłkę. Davidowi przeszkadzało to z dwóch powodów: po pierwsze, osobiście wolałby spędzać sobotnie poranki w łóżku z Dianą, oglądając telewizję, przerzucając stare gazety albo kochając się, choć właściwie kochali się coraz rzadziej i nie tak namiętnie jak dawniej; a po drugie - co było potwornie dziecinne i do czego wstydził się przyznać nawet przed samym sobą - czuł się zazdrosny o dziewczynkę w warkoczykach, bo widział, jak Diana czule się do niej uśmiecha i używa tych samych pieszczotliwych imion, którymi kiedyś nazywała i jego, i może właśnie dlatego, któż to wie, David rzucał na ziemię brudne majtki, pragnąc ściągnąć uwagę Diany, przekonany, że ją traci. Dziś obudził się o czwartej po południu, włożył pierwsze lepsze dżinsy i koszulę znaną w szafie, zszedł do baru na rogu coś przekąsić i po powrocie do domu wziął prysznic, potem narzucił szlafrok i siadł przed telewizorem. I rzeczywiście zapomniał zabrać dżinsy i koszulę z podłogi w łazience. I rzeczywiście Diana przez trzy lata wciąż powtarzała, żeby nie zostawiał ubrań na

103
ziemi, że już ma dość wieszania ich w szafie, i rzeczywiście on miał w nosie to, co mówiła ona. Więc David wstał z fotela, poszedł do łazienki, zdjął szlafrok, włożył spodnie, koszulę i buty i wyszedł z domu, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Wszedł do baru i zamówił dwie kawy z koniakiem. Wypił je i był już w lepszym humorze, na delikatnym rauszu, wtedy zadzwonił do niego przyjaciel, Victor Coyote, i powiedział, że o dziewiątej jest

jakiś koncert w Siroco. Doskonały pomysł. W Siroco barmanka zawsze nalewała mu drinki na koszt firmy, pewnie dlatego, że jest - a przynajmniej kiedyś był - sławny. Kiedy o czwartej nad ranem zamykali bar, nie wiedział, ile wypił. Przy wyjściu zaczął mu pikać telefon, w barze nie było zasięgu i naraz zaczęły spływać SMS-y. Wszystkie od Diany, która pytała, gdzie jest i o której zamierza wrócić do domu. Niech spada na drzewo - pomyślał - niech sobie pocierpi, następnym razem zastanowi się, zanim zacznę mnie opieprzać.

Victor poznał w knajpie dwie młode dziewczyny i zaprosił je do siebie na ostatniego drinka. A tam David i dwie laski wypalili parę skrętów i wciągnęli parę kresek. Victor dalej pił tylko piwo, bo narkotyki jakoś nigdy go nie interesowały. David obudził się na sofie Victora z dziewczyną, która w świetle dnia, z rozmazanym makijażem i rozczochranymi włosami, wyglądała na dużo młodszą i brzydszą, niż w nocy. Błada, z rozmazanym tuszem przypominała misia pandę. David zerknął na zegarek i okazało się, że dochodzi czwarta po południu. To był piątek, a w piątki Diana kończyła pracę wcześniej, o trzeciej, i z pewnością zdążyła wrócić do domu. Wziął szybki prysznic i nawet nie pożegnał się z dziewczyną. Był w domu o piątej, ale kiedy włożył klucz do zamka, ze zdumieniem odkrył, że nie może otworzyć drzwi do własnego mieszkania. Omal nie zepsuł dzwonka, tak długo go naciskał, ale nikt mu nie otworzył. Zadzwoił do Diany - odpowiedziała poczta głosowa. Potem dostał SMS-a: „Zmieniłam zamek. Daj znać, gdzie wysłać twoje rzeczy”. Wkurzył się tak,

104
że próbował otworzyć drzwi, kopiąc w nie z całej siły. Nie było to możliwe, bo drzwi antywłamaniowe miały specjalne zabezpieczenia. Po chwili pojawiła się policja, którą wezwali zaniepokojeni sąsiedzi. Kiedy opowiedział policjantom, co się stało, spytali, czy to ich własne mieszkanie, czy wynajmowane. „Wynajmowane”, odparł. „Na kogo jest podpisana umowa?”. „Na nią, to ona płaci czynsz”. „To w takim razie, stary, nie możesz tu wejść, jeśli ona się nie zgadza, i przestań kopać w drzwi, bo będziemy musieli zabrać cię na komisariat”.

Wrócił do Victora i tej samej nocy znów szlajał się do siódmej rano. Dostał kilka SMS-ów od Diany: „Gdzie mam wysłać twoje rzeczy?”. Odpisał: „Na razie nie mam gdzie mieszkać. Daj mi czas”. Pomyślał, że lepiej będzie przeczekać burzę, w końcu ona przecież pozwoli mu wrócić, jak wiele razy przedtem, po wielu podobnych awanturach. Wysłał jej do pracy bukiet kwiatów i mnóstwo czułych SMS-ów. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, żadnego telefonu. W końcu nadszedł SMS następującej treści: „Daję ci dwa tygodnie na znalezienie domu, bo jak nie, to wystawiam twoje rzeczy na ulicę. Pospiesz się”. Trochę przegina, pomyślał, i dalej się zabawiał, noc w noc, spał u Victora, czasem z kimś, czasem sam. Minęły dwa tygodnie. W końcu Diana zadzwoniła, ale nie odezwała się słodkim cichym głosem, na co skrycie liczył, tylko mocnym i zdecydowanym, i powtórzyła, że ma natychmiast

zabrać swoje rzeczy z jej domu, z naciskiem na zaimek dzierżawczy. Z mojego domu, powiedziała, nie z naszego domu. Pokłócili się, krzycząc na siebie. Diana przerwała rozmowę.

Minęło dziesięć dni. Victor oznajmił, że David może tu zostać tak długo, jak będzie potrzebował, od czego w końcu człowiek ma przyjaciół. Upłynął prawie miesiąc i David postanowił pójść do mieszkania Diany, zabrać swoje rzeczy i na razie przechować je u Victora, a samemu zająć się szukaniem mieszkania. Zadzwoił do Diany. „To kiedy mogę przyjść po moje manele?”. „Nie ma tu już żadnych maneli”. „Jak to nie ma?”. „Powiedziałam dwa

105 tygodnie, a minął już miesiąc, więc odniosłam twoje ciuchy do parafii San Lorenzo”. Przegina, pomyślał. „A moja gitara? Płyty?”. „Podarowałam je siostrzeńcowi, zadzwoń do niego, może ci odda. Mogę ci dać jego numer, ale do mnie już nie dzwoń”. „Nie mówisz tego poważnie”. „Oczywiście, że tak, głupku. Nie umiem grać na gitarze i nigdy nie lubiłam twojej muzyki, no więc wyjaśnij mi, po kiego czorta miałabym gromadzić w moim domu te rupiecie?”.
POJEBAŁO CIĘ, DO KURWY NĘDZY? NIE KRZYCZ NA MNIE, SKURWYSYNU. Rozłączyła się. Za chwilę przyszedł SMS z numerem siostrzeńca. David do niego zadzwoił. Siostrzeniec wszystko potwierdził: ciocia podarowała mu gitarę i płyty, ale sprzedał je na giełdzie staroci i już wydał kasę. **JA PIERDOŁĘ, TĘ TWOJĄ CIOTKĘ NIEŹLE POJEBAŁO.** Siostrzeniec też się rozłączył, to widać u nich rodzinne.

Tamtej nocy dzwonił do Diany nieskończoną ilość razy. Zawsze włączała się automatyczna sekretarka. Nagrał wszystkie przekleństwa, jakich zazwyczaj używał, i dołożył kilka świeżo zaimprovizowanych. Następnego dnia dostał wiadomość: „Nagrałam wszystkie twoje groźby. Zadzwoń jeszcze raz i podam cię na policję”. Wiedział, że Diana nie jest głupia i może spełnić swoją obietnicę, więc już do niej nie dzwonił.

Znalazł sobie duże mieszkanie w Malasaña, kupił gitarę i ściągnął całą muzykę z Internetu. Nieco później dowiedział się - bo Diana komuś to opowiedziała, a ten ktoś powiedział to komuś innemu, ten z kolei komuś tam, aż na koniec cała historyjka dotarła do Davida - że w ów cudowny czwartek Diana była wściekła nie z powodu ciuchów na podłodze w łazience, tylko dlatego że poprzedniej nocy, myszkując po jego komputerze, trafiła na maile od groupies i od Emmy. Do kłótni dochodzi najczęściej na ziemi niczyjej, na styku tego, co wypowiedziane, i tego, co przemilczane, między tym, co wiemy, i tym, czego nie wiemy o drugiej osobie, i David pojął, że Diana wykrzykiwała na głos zdania i jednocześnie w duchu wypowiadała inne, i tylko te drugie były szczerze. Na głos

106 krzyczała o porzucanych ubraniach, a w duchu o Emmie, i to przeżywała o wiele głębiej. Co do groupies, to miała o nich pewne wyobrażenie, albo przynajmniej tak jej się wydawało. Sława Davida poprzedzała go niczym herold, niczym pościelone łóżko, przygotowane dla nadjeżdżającego gościa, i dlatego mnóstwo kobiet

chciało się z nim przespać, nawet go nie znając. Muzyk ma dziewczynę w każdym mieście i narzeczona jakoś to znoś. Ale rzecz ma się zupełnie inaczej w przypadku stałej kochanki, romansu, który trwa jednocześnie z oficjalnym związkiem.

A do Emmy Ponte David czuł wielką słabość, to jedyna kobieta, której nie umiał się oprzeć - być może dlatego, że była jedyną kobietą, która mu się zawsze opierała. Mógł się z nią przespać, ale nigdy nie mógł mieć jej do końca. „Jeśli miałabym z kimś zamieszkać, to jedynie z kobietą - oznajmiła mu w łóżku, paląc skręta, w porywie postkoitalnej szczerości, właściwej kochankom z wieloletnim stażem. - Mogę sypiać z facetami, i nawet to lubię, ale nie wyobrażam sobie faceta w roli mojego chłopaka. Zakochuję się tylko w dziewczynach, rozumiesz?”. Oczywiście, że nie rozumiał. I być może dlatego, uparcie starając się rozwikłać nierozwiązywalną tajemnicę Emmy, przez dwadzieścia lat stawiał się zawsze na jej wezwanie. Wystarczyło, że zadzwoniła, natychmiast przybiegał. I kiedy mu oznajmiła, że chce zająć w ciąży, nie włożył prezerwatywy, choć mogło to oznaczać całe mnóstwo problemów, mimo że Emma postawiła sprawę jasno: dziecko zamierzała wychowywać sama, jeśli chciałby je widywać, fantastycznie, ale żadnych stałych związków i tym podobnych bzdur. „Stary, chyba cię pogięło?” - zdumiał się Coyote, kiedy David mu o tym opowiedział.

- Dziecko masz na całe życie, laska zażąda ustalenia ojcostwa i będziesz jej musiał dawać kasę aż dziecko skończy osiemnaście lat”. „Gdzie tam, Emma nie zechce ani grosza, sama ma dużo kasy. Zresztą znam ją całe życie i wiem, że nie jest taka”. I cudownym zbiegiem okoliczności Diana zaszła w ciążę dokładnie w tym samym czasie co Emma, to chyba wpływ korzystnego układu

107

gwiazd. Tyle że on nie jest w stanie znieść myśli, że Diana będzie miała dziecko z kimś innym, nienawidzi tej myśli niemal tak mocno jak samej Diany. I zgodził się spełnić prośbę Emmy ze strachu przed samotnością. Czterdziestu lat nie będzie miał po raz drugi, Diana zostawiła go już dawno, a z Livią też mu nie wyszło. Doszedł do wniosku, że jeśli przynajmniej będzie miał dziecko, poczuje, jak można kogoś pokochać w sposób bezwarunkowy.

Livię poznał na jednej z tych nielicznych imprez, kiedy miał na sobie garnitur, na ceremonii rozdania nagród Ondas. Jemu nie przyznali żadnej nagrody, już od lat mu ich nie przyznawali i nawet nie zaprosili go na tę imprezę. Przyszedł z Victorem Coyote, jego uwzględniono na liście gości, nie wiadomo dlaczego, może dlatego, że zaprojektował okładkę dla przyszłych gwóźniarzy, którzy uchodzili za wielką nadzieję białego rodzimego popu. David też był swego czasu wielką nadzieją rodzimego popu, dostawał nagrody, jego zdjęcie zdobiło okładki gazet, jego zespół jeździł na wielkie tournée, a jego piosenkę wykorzystano w reklamie napojów orzeźwiających. To wszystko dawno się skończyło. Zespół jeszcze istniał, ale mieli coraz mniej koncertów za coraz niższe stawki, chociaż pisano o nich coraz lepiej.

Perkusista odszedł, bo ma żonę i dzieci i musi zarabiać, więc zaczął pracę w firmie teścia. Co do reszty, to nie mieli teścia, który by ich gdzieś wkręcił - basista pozostawał na utrzymaniu żony, która prowadziła salon fryzjerski, a drugi gitarzysta żył sobie beztrudnie, bo się nie ożenił i dzieci też nie miał, mieszkał w okropnej norze i chodził w tej samej kurtce od piętnastu lat, bez względu na pogodę. David nie martwił się o kasę. W latach osiemdziesiątych, kiedy jego zespół święcił triumfy, ojciec poradził mu, żeby zainwestował pieniądze zarobione na muzyce i te, które odziedziczył po matce, więc kupił dwa mieszkania, z których wynajmowania żył teraz zupełnie przyzwoicie. Czasami myślał sobie, że jego fani poczuliby się nieco rozczarowani na wieść,

108
że autor piosenki My, masa, hymnu jego pokolenia, stał się zwykłym rentierem, burżujem drugiej kategorii. Co z tego, skoro on zamierzał grać do końca, nawet przez myśl mu nie przeszło wycofać się ze sceny, wiedział, że nie zrobi tego, dopóki choć trzech fanów nucić będzie jego piosenki na koncertach, wytrwa, choćby wszyscy dookoła mówili o nim dinozaur, dziadek, przebrzmiała sława. Nie miał zresztą innego wyjścia, postawił wszystko na jedną kartę, nie skończył innych studiów, nic innego nie potrafił... Czas poświęcony muzyce dostarczył mu tylko złudzeń, które właśnie się rozwiewały, że warto było go jej poświęcić.

Tamtej nocy, na ceremonii rozdania Ondas, David pojawił się w tak eleganckim stroju zupełnie przypadkiem. Poprzedniego wieczoru spotkali się z Victorem w El Palentino, David właśnie dopijał kawę z koniakiem. Victor przyszedł się w towarzystwie swojej najnowszej dziewczyny, właścicielki salonu fryzjerskiego, która przekonała Davida, że z takim sianem na głowie i z parodniowym zarostem nie powinien się nigdzie pokazywać. Umówiła się z nim i już następnego dnia David miał świetnie obcięte włosy. Garnitur kupił o ósmej wieczorem, kiedy zorientował się, że nie ma niczego, w czym mógłby pójść na tego rodzaju imprezę z nadzieją, że go wpuszczą. Ponieważ David nie potrafił nastawić pralki, pomylił programy i włożywszy do prania czerwony podkoszulek, wyciągnął z bębna parę ubrań - tych, które kupił sobie, kiedy Diana rozdała jego rzeczy - zafarbowanych na różowo. Ponieważ nie umiał też prasować, w całym mieszkaniu nie znalazł ani pół koszuli czy choćby podkoszulka, które kwalifikowałyby się do włożenia, i zaciągając spory debet na koncie, sprawił sobie czarny garnitur z alpaki i dwie jedwabne koszule, czarną i białą. Na wieczór zdecydował się włożyć czarną, bo czarny wyszczupła, a on sporo przytył od czasu, gdy skończył czterdzieści lat. Poczł się pewniej i tylko dlatego ośmielił się zacząć samotną brunetkę, która kręciła

109
się pośród tłumu z kieliszkiem szampana w ręce. Trafiła mu się niezła kokietka. Stała z głową przechyloną pod dziwnym kątem i patrzyła na niego spod oka, zalotnym gestem ręki wciąż popra-

wiała kunsztowną fryzurkę, mówiła słodkim głosem, podobnym do kocich pomruków, i przy każdym zdaniu wybuchwała śmiechem, kokieteryjnie głupim. Przyznała, że wkręciła się na imprezę z pomocą kolegi, który pracował w „Rolling Stone”. Po dwóch godzinach wyszli już razem, tak jakby i razem tu przyszli, trzymając się za ręce, a David nawet nie pożegnał się z Victorem. I razem spędzili cztery następne noce, oczywiście wraz z czterema dniami, całując się zachłannie, jakby ktoś im tego długo zabraniał. A kiedy tydzień później Livia opowiedziała mu strasznie zawikłaną historię o umowie wynajmu, która właśnie wygasa i której nie można przedłużyć, David zaproponował, żeby u niego zamieszkała, tak długo, jak zechce, i Livia zjawiała się z całą stertą pudeł, rozgościła się w szafach i na półkach i została panią domu. \

Odbiło ci, stary? Pozwoliłeś tak na bezczelnego wprowadzić się lasce do domu? dziwił się Coyote. A jemu ta Livia spadła jak z nieba. Umiała prasować, nastawić pralkę, gotować. On mówił, że ją kocha i różne inne bzdury, które plótlby ktoś bardzo napalony. Nocami chwycił się mocno jej ciała, choć było to tylko ciało, a nie kotwica. Czuł pod palcami jego drzenie, ciepło krążącej krwi, wzruszającą bezwładność, szukał w nim nadziei na schronienie. Livia uprawiała miłość, zgrabnie łącząc namiętność i technikę, intuicję i doświadczenie. Może udawała. Bardzo możliwe. Ofiarowała mu morze czułości, kupowała ubrania, wieszala je w szafie, podpowiadała, jak ma się ubierać, dobierała mu rzeczy, a miała dobry gust, widać było, że pochodzi z dobrego domu, choć od dawna w nim nie bywała. Livia była bardzo samotna, to właśnie go pociągało, budziła w nim współczucie.

Współczucie... Kiedy o tym myśli, chce mu się śmiać. Teraz współczuje samemu sobie: tak bardzo uzależnił się od Livii. W ty-
110

lu sprawach okazuje się niezastąpiona! Stała się jego narkotykiem, potrzebował jej, bardzo potrzebował, bo bez niej cały dom popadał w ruinę. I to wcale nie przerośnięta, tylko bolesna prawda. Nie było Livii i talerze w zlewie pokrywały się pleśnią, pomięte koszule zbijały się w poplątany kłęb na dnie szafy. Z Livią przeżył pół roku spokoju, przyjemnego seksu, miłego towarzystwa, uczucia dojrzewającego w błogim półcieniu beczynności. Przysparzała mu też sporo kłopotów, albowiem nie była kobietą taną w utrzymaniu. „Chodźmy na kolację do tej restauracji, kup mi tę suknię”. Victor go ostrzegał: „Stary, ona cię wykorzystuje, zostaniesz bez kasy”. Ale David uważał, że nie co dzień można mieć w łóżku taką fajną laskę, poza tym fakt, że płacił za Livię, upewniał go w kwestii jej miłości i podnosił wartość dziewczyny w jego oczach, tak samo jak działo się to w przypadku Diany - kiedyś wybierali się do uroczego hotelu na środku bezludnej wyspy i z początku Diana wcale nie była pewna, czy przypadnie jej do gustu pejzaż pełen urwistych skał, na dodatek bez piaszczystej plaży, aż dowiedziała się, że pokój, z którego okien będą mogli podziwiać ten dziki pejzaż, kosztuje 250 euro za noc.

I wtedy straciła wątpliwości, a nabrała przekonania co do wartości tego niezwykłego miejsca i doskonałego gustu mężczyzny, który ją tu przywiózł. I teraz, dokładnie w taki sam sposób, David przekonywał samego siebie, że Livia jest tego wszystkiego warta, i sięgał ochoczo po kartę kredytową. Aż któregoś dnia terminal ją odrzucił.

Livia niespecjalnie się tym przejęła. „Nie martw się - uspokajają - będziemy jedli makaron z tuńczykiem. Trochę posiedzimy w domu, kiedyś dostaniesz jakieś pieniądze. Nie będziemy na razie chodzić do restauracji”. I życie płynęło w pozornym spokoju. Livia często wychodziła z domu, a jej stały pośpiech trochę go dziwił. „Idę na casting - oznajmiała - muszę wrócić do pracy, skoro nie mamy pieniędzy”. A kiedy wychodziła późnym wieczorem, twierdziła, że umówiła się z dyrektorem artystycznym

111

z agencji, który może załatwi jej pracę, i zegnała Davida całusem i fałszywie słodkim adios. Często wychodziła, a on nie śmiał zapytać dokąd ani jej tego zabronić, uważał, że nie ma prawa, by czegokolwiek od niej wymagać, skoro nie może płacić za jej kaprysy. Kiedy wyjeżdżał na koncerty, nigdy do niej nie dzwonił, bo wolał sobie nie wyobrażać, co może robić bez niego. Livii to nie przeszkadzało, a on uważał to za drobiazg bez znaczenia.

W przypadku Diany to miało znaczenie, choć próbowała długi czas, żeby tak nie było. I pewnego pięknego dnia, kiedy wrócił z trasy, zastał pusty dom, bez Livii, z szaf zniknęły jej ubrania, a z półki w łazience kosmetyki. Zniknął też jej komputer i komputer Davida i jego złoty zegarek. I wyobraźnia zaczęła pracować do tyłu, z prędkością karabinu maszynowego.

Czasami mu się zdaje, że ta absurdalna i przewidywalna historia zdarzyła się komuś innemu, że to rozdział powieści, z której przeczytał tylko połowę, bo niewiele obchodziło go zakończenie, skoro od początku wątki wydały mu się bezsensowne i niczego nie wносиły. Ciekawe, powinien zniechęcić Livię, zniechęcić mocniej niż Dianę, ale w stosunku do Livii nie czuje nienawiści. Prawie jej nie pamięta, wcale jej nie wspomina. Miała tyle masek, że nie umie jej sobie wyobrazić z jedną tylko twarzą. Zmieniała fryzurę, makijaż, uśmiech, twarz z taką gorliwością, jakby wciąż się ukrywała i nie sposób było się dowiedzieć, co kryje się w jej oczach. Właściwie nigdy jej nie zniechęcił, bo ona zachowywała się tak, jak on tego w głębi duszy oczekiwał. Nie może powiedzieć, że nie wiedział od początku, że Livia jest z nim dla pieniędzy. Po prostu się okłamywał, choć fakty mówiły same za siebie i nie potrzebował ostrzeżeń Victora; wszystko można było przewidzieć. Miłość nie rodzi się w cztery dni i nawet ślepy by zauważył, że Livia przed czymś ucieka. Ale on nie chciał tego dostrzec, nie rozpoznał dowodów, mimo że wszystkie zostały mu przedstawione. Za bardzo jej potrzebował, żeby pozwolić sobie na brak zaufania. Nie potrafił mieszkać sam i ta nieumiejętność uczyniła

112

go bezbronnym. Livia pociągnęła go za sobą niczym prąd rzeki

i wciągnęła w wir, zanim zdał sobie z tego sprawę. Zawsze brakowało mu jednak tego, co zapisywało się w głębi, na niewidzialnej tablicy, zawsze czuł rozpaczliwą pewność, że nie może oczekiwać od chwil więcej, niż one mogą mu zaofiarować. Mieszkanie, w którym nie stukotały już obcasy Livii, ziele pustką, za to karta kredytowa znów działa.

Ciekawe, jak bardzo się mylimy w ocenie kobiet. Victor uważał, że Diana ma mocną osobowość, użyłby nawet określenia: osobowość dominująca. Diana rzeczywiście wyglądała na twardą i bezpośrednią. Mówiła bez ogródek, podnosiła głos, jeśli zaszła potrzeba, nie używała w dyskusji gładkich słówek, nie spuszczała oczu, nigdy się nie malowała, prawie nie chodziła w spódnicy. Tymczasem Livia wręcz przeciwnie: słodka jak miód, jak cukierek, krucha jak porcelana, wystrojona zawsze jak spod igły, uległa niczym oswojone zwierzę i zawsze nienagannie umalowana. Chodziła w butach na obcasie nawet w mieszkaniu, odwrotnie niż Diana, dla której szczytem szczęścia były wygodne pantofle. A tymczasem to Livia ucięła ich związek niczym ostrzem gilotyny, bez litości i wyrzutów sumienia, a Diana, teraz to dopiero widzi, wiele razy dawała mu szansę, wiele razy. I przypomina sobie te wszystkie żony muzyków, które wyglądały na niewinne owieczki, a okazywały się drapieżnymi bestiami. Ufni w ich niezłomną miłość, muzycy bawili się w trasach do upadłego, pieprząc się z wszystkimi chętnymi fankami i wypijając najgorsze świństwa, bo w domu czekały na nich wierne i oddane kobiety, które zajmowały się dziećmi i zawsze miały grotę gotową na przyjęcie utrudzonego wojownika, czystą pościel i pyszny obiad. Lata mijały i pewnego dnia ta słodka kobietka przysyłała pozew rozwodowy, a po rozwodzie zostawała z połową domu, prawem do opieki nad dziećmi i połową zysków z tantiem od piosenek męża, nagranych, kiedy małżeństwo jeszcze trwało. Po prostu ta słodka kobietka, krzątając się jak mrówka, myślała o swojej przyszłości i wiedziała, że kiedy nadejdzie taki

113

moment, że zmęczy się podcieraniem pup, myciem naczyń, prasowaniem pościeli, układaniem w szafach i sianiem łóżek, kiedy nadejdzie taki dzień, że będzie miała dosyć, żeby wszyscy wokół litowali się nad biedną mróweczką, która nawet nie wie, że wesoły świerszcz ją zdradza, a może i wie; tylko nic nie mówi, a przede wszystkim kiedy nadejdzie taka chwila, że w końcu straci ochotę na świerszcza, którego piosenki zna na pamięć, to tego dnia otrzyma niezłą sumę, która pozwoli jej żyć spokojnie przez resztę dni, a tymczasem świerszcz* który bawił się tak doskonale na koncertach, zamarnie, gdy nadejdzie zima rozczarowań i skończą się sukcesy, fankluby, zdjęcia na okładkach gazet i koncerty na stadionach, bo świerszcz, zupełnie tego nieświadomy, stanie się zakurzonym rupieciem, nadającym się co najwyżej do jakiejś gradami.

I nagle wszystko się miesza, jak w mikserze, nogi barmanki, akordy piosenki, niewyraźny obraz Livii, upięte włosy Diany, nienarodzone dziecko Emmy na monitorze USG, kołyszące się

lekką w czerwonej poświacie, płomyki świeczek porozsiewanych po stołach najeżonych szklankami i butelkami, i znów te smukłe nogi barmanki, niewzruszone niczym kolumny. Płyta zacina się w zakamarkach pamięci. David jest trochę nieprzytomny, czuje opadające powieki, sieczkę w głowie, gorycz w ustach, oczy zachodzą mu mgłą i wszystkie obsesje zapadają w ciemność.

- Hej, co się z tobą dzieje? Obudź się, zamykamy... Hej...

- Barmanka ostrożnie szturcha śpiącego na barze, nie daj Boże obudzi się wściekły, a ona akurat wie sporo o agresywnych pijakach. - A to ty, Yamal, dobrze, że jesteś. Co z nim zrobimy?

Yamal, pewny swojej siły, bezlitośnie potrząsa pijanym.

- David... David! DAVID! Zbudź się, bracie, musisz iść do domu.

David bezwładnie zsuwa się na ziemię.

- Słuchajcie - Yamal zwraca się do przyjaciół - możecie mi pomóc? Trzeba go stąd wytaszczyć.

114

- Yamal, co ty, nie możesz go zostawić w takim stanie na ulicy. Musi oprzytomnieć... - odzywa się barmanka, a Yamal dziwi się temu nagłemu, niemal matczynemu impulsowi troski u dziewczyny, która zawsze wydawała mu się dosyć oschła i chłodna.

- To chluśnij mu wodą w twarz.

Sonia, Zoza, natychmiast napełnia szklankę wodą z kranu i oblewa twarz Davida. David przytomnieje, potrząsa głową, mruga oczyma, otwiera je, patrzy niewidzącym wzrokiem, w jego spojrzeniu widać próbę przypomnienia sobie, kim jest i co tu robi.

- Zamykamy, bracie. Musisz iść do domu.

David powoli powraca do rzeczywistości.

- Mieszkasz w okolicy? Może cię odprowadzimy? Może wezwać ci taksówkę? - zadaje pytania Yamal.

David powoli kręci głową, jakby gdzieś już słyszał o taksówkach, tylko zapomniał, do czego one służą.

- Najlepiej będzie, jak wezwiemy taksówkę. - Sonia próbuje zwrócić na siebie uwagę Yamala. Zauważyła, że on też, jak wszyscy mężczyźni, gapi się na jej nogi, i choć wie, że Libańczyk ma w dzielnicy wysokie notowania i nie ma takiej, która oparłaby się jego urokowi, a żadnej - nawet tym dużo od niej ładniejszym - nie udało się go zatrzymać - a może właśnie dlatego - ma cichą nadzieję, że zostanie kimś więcej niż tylko jego pracownicą. Yamal to broń masowego uwodzenia.

- Tak... - Yamal zauważył uśmiech dziewczyny, pewny siebie, z obietnicą w tle, i też odpowiedział uśmiechem. - Tylko nie wiem, gdzie znajdziemy taksówkę o tej porze... Ostatnio taksówkarze tu się nie zapuszczają.

- No właśnie, jak kiedyś wracałam z knajpy i poprosiłam o podwiezienie na ulicę Olivar, to taksówkarz powiedział, że nie wjeżdża w Lavapies, a już tym bardziej o tej porze, no i wysadził mnie przy Embajadores.

- O której godzinie?

115

- No nie wiem, może było koło drugiej po północy.
- I szłaś sama przez plac?
- No tak... co miałam zrobić.
- Następny razem zadzwoń do mnie, to cię odprowadzę.
- Jak mogę do ciebie zadzwonić, jak nie mam twojego telefonu?
- Zaraz ci go zapiszę.
- I naprawdę mogę zadzwonić do ciebie o drugiej w nocy?
- Możesz zadzwonić o każdej porze, ślicznotko...

Unosząc się znad etylowych oparów do knajpianej rzeczywistości, David widzi, jak twarz barmanki rozświetla rozkoszny uśmiech, widzi urocze dołeczki i lśniące białe zęby i oto na jego oczach dokonuje się metamorfoza zwykłej dziewczyny, owszem, nawet ładnej, ale bez przesady, w prawdziwą piękność.

- Słuchaj - Ismael odzywa się do Soni - ja ciebie znam. - Następny w kolejce, co za noc, pomyślała Sonia. - Ty jesteś przyjaciółką Susany, wiesz, tej Susany, czarnej, ładnej, bardzo ładnej. Przyszłaś z nią kiedyś do sklepu.
- Faktycznie... Teraz kojarzę, a zastanawiałam się od jakiegoś czasu, skąd ja cię znam. Pracujesz w sklepie, na dole w kamienicy, gdzie mieszka Susana, no właśnie.
- A co słyszałaś u Susany?
- Ostatnio nie za dobrze, tak mi się wydaje; chodzi jakaś smutna...
- Smutna, to źle. Bo ta Susana to kobieta o złotym sercu, taka dobra kobieta.
- To ja jej to powiem, pozdrowię ją od ciebie.
- To śmieszne - odzywa się Ferba, kiedy już udało im się jakoś władować półprzytomnego Davida do taksówki. - Nie poznaję tych ludzi. A tyłu ich spotykam w naszej dzielnicy. Mają wszystko i starają się wszystko zniszczyć. Nie potrafię zrozumieć ludzi, którzy piją.

116

Ismael potakująco kiwa głową. Zamierza teraz wpaść do baru Abira, gdzie na pewno zastanie Yuossou'a nad szklanką coca-coli, bo Yuossou, dobry muzułmanin, nie pije alkoholu. Bar należy do dwóch Senegalczyków, Hamida i Abira, i zawsze pełno w nim czarnych mężczyzn, choć kobiety, które tu przychodzą, są zazwyczaj białe. Wiedzą, czego szukają, a faceci wiedzą, po co przychodzą. Spotykają się w rytmie reggae puszczonego z głośników. Czarnym mężczyznom podobają się białe kobiety. Ismael nie uważa ich za zbyt interesujące. Tylko że w tej dzielnicy na każdą czarną dziewczynę przypada pięciu czarnych facetów, bo ich Murzynki czekają na nich w Afryce, tak jak czeka jego narzeczona, zostają tam, nie przyjeżdżają do Europy. A te, które tu mieszkają, mają mężów albo narzeczonych. I dlatego łatwiej o białą kobietę. Białe kobiety są inne, nie zależy im na dziewictwie ani na jednym mężczyźnie na całe życie. Honor i wstyd nie są słowami używanymi przez białych. Ismael zna białe kobiety.

Miał ich wiele w Senegalu i tu też miał ich kilka. Ale nie podobają mu się, nie rozumie ich. Wolałby na przykład lepiej poznać Susanę, choć woli o niej za dużo nie myśleć, tak samo jak i o swojej narzeczonej, bo wie, że najbardziej bolą absurdalne uczucia. Pragnienie rzeczy niemożliwych, tęsknota za czymś, czego się nie przeżyło, marzenia o tym, co mogło się przydarzyć, zazdrość wobec innych, przepaść między rzeczywistością a marzeniami, między pragnieniem a oczywistością.

WIATRAKI

Mnie się wydaje, że ja raczej nie przydam się do tej pani książki. Bo pani pisze książkę o naszej dzielnicy, tak? No tak, ja mogę o wszystkim opowiedzieć, już mówiłam w ośrodku, że chętnie o czymś opowiem... Rozmawiała pani z Isaakiem, takim niewysokim, w okularach? Ale nie sądzę, żebym naprawdę się do czegoś przydała, wie pani, ja należę do Pozytywnych, tak, do tej grupy terapeutycznej, ale nie jestem jakimś ciekawym przypadkiem. Żyję normalnie, nie jestem ofiarą przemocy domowej ani anorektyczką, no więc naprawdę nie wiem, dlaczego Isaac podał pani mój telefon...

Rozmawiała już pani z Cristiną, prawda? Wiem to od niej, sama zadzwoniła. Ładna dziewczyna, prawda? Nic po niej nie widać. Bo ludzie sobie wyobrażają, że anorektyczki wyglądają jak wygłodzone dzieci z Sudanu, takie jak te, które pokazują w Wiadomościach, a przecież nie zawsze tak jest. Moim zdaniem Cristina nigdy nie wyglądała na wychudzoną. Już raczej przypominała modelkę. Ma w końcu figurę modelki. Twarz nie bardzo, to przez tę bliznę. Pies ją ugryzł, jak miała zdaje się pięć lat. Kiedyś na spotkaniu opowiedziała, że jej obsesja na punkcie idealnego ciała to próba zrekompensowania sobie tej blizny. To był najprostszy, taki delikatny sposób zasygnalizowania problemu, który sięgał o wiele głębiej, tak mi się wydaje. I nikt w grupie nie domyślał się, że Cristina jest anorektyczką, zresztą nosiła zawsze luźne ubrania, szerokie spodnie, żadnych obcisłych rzeczy. Dopóki ona nam tego nie powiedziała, nikt się nie domyślił.

118

Cristina nam opowiadała, jak mniej więcej co pół roku traciła przytomność, a to na ulicy, na przystanku, w pracy, przy kserokopiarce albo przy desce do prasowania, jeśli akurat była w domu... Gdziekolwiek. I wtedy przypadkowi przechodnie, koledzy czy rodzina wpadali w panikę, ale szybko ją cucili i kładli na łóżku albo na ławce przy chodniku, albo na sofie w recepcji biura, klepali po buzi, przykładali do czoła wilgotną chusteczkę. Ktoś wzywał pogotowie, przyjeżdżała karetka, zabierała ją do szpitala, lekarz stwierdzał osłabienie spowodowane niedożywieniem, przyjmowali ją na oddział, zostawała parę dni na obserwacji i odsyłano ją do domu. I tak bez końca. I dopiero jak skończyła dwadzieścia pięć lat, sama postanowiła zacząć się leczyć. Nie w naszym ośrodku, gdzieś indziej.

Po pierwsze, psychiatra powiedział jej, i to wiem od niej samej, że musi rozpocząć życie na własny rachunek. Po drugie, wysłał

ją na terapię grupową do naszego ośrodka. Jeśli chodzi o samodzielne mieszkanie, to moim zdaniem to było zupełnie naturalne, ona miała przecież wtedy dwadzieścia pięć lat. Tylko że jej matka, kiedy się dowiedziała o zaleceniach pani doktor, zaczęła strasznie lamentować. Bo jeśli ona nie przypilnuje dziecka, żeby jadło - mówię „dziecka”, bo tak się wyraziła matka, zresztą dalej tak do niej mówi, ja nie uważam Cristiny za dziecko, przecież wiem, że jest już dorosłą kobietą - no więc matka oświadczyła, że jeśli ona nie dopilnuje córki, to dziecko zagłodzi się na śmierć, a Cristina była wtedy bardzo chora i nie mogła zamieszkać sama, tak przynajmniej twierdziła matka. Tylko że Cristina była pełnoletnia, mogła się więc wyprowadzić bez pozwolenia matki, no chyba żeby ją matka ubezwłasnowolniła, a ona oczywiście próbowała to zrobić, niezła matka, co? ale się jej nie udało: już pierwszy adwokat, z którym rozmawiała, uznał, że to niemożliwe. No i tak Cristina zastosowała się do zaleceń pani doktor, to znaczy tej psychiatry, i na początek zamieszkała u mnie, ze mną i z moim mężem. Jeszcze nie mieliśmy dziecka. Poznałyśmy

119

się w ośrodku i zaprzyjaźniłyśmy się. I wcale nie umarła z głodu, kiedy u mnie mieszkała. Jadła, jadła bardzo dużo. A jej matka dzwoniła sto razy dziennie, tylko że Cristina nie chciała podejść do telefonu. Ja też postanowiłam nie odbierać, miałam włączoną sekretarkę. I wtedy jej matka przyszła do nas, cała we łzach, ale Cristina nie chciała z nią rozmawiać. Potem Cristina zamieszkała ze swoją dziewczyną, a matka już do nich nie dzwoni, bo nie znosi tej drugiej. Do mnie dzwoniła wiele razy i przyznaję, że bardzo mi jej szkoda i nawet do pewnego stopnia ją rozumiem. Choć faktycznie, od kiedy Cristina wyprowadziła się od matki, nie zdarzyło się, żeby wylądowała w szpitalu. To nie znaczy, że od tamtego czasu przytyła albo że zaczęła dużo jeść, ale na pewno nie czuje się gorzej, wie pani, o co mi chodzi. A matka wpadła w depresję. Pewnie kochała i nadal kocha córkę, na to przynajmniej wygląda, choć teraz wierzę, że psychiatra miała rację, przynajmniej częściowo, twierdząc, że matka chciała, żeby Cristina nie jadła, bo to stanowiło sens jej życia, impuls do działania, bo bez Cristiny nie miałyby po co żyć, ona nie pracuje i właściwie nie rozmawia z mężem i bardzo chciała się kimś opiekować. Choć sama nie była tego świadoma. To kwestia podświadomości, matka sama nie wiedziała, że tego oczekuje, wie pani, o co mi chodzi? I rzeczywiście Cristina sprawiła jej przykrość swoją wyprowadzką, biedna kobieta poczuła się samotna i smutna... Teraz Cristina mieszka ze swoją dziewczyną i prawie nie widuje się z rodziną. Ojciec i brat wciąż powtarzają, jaka to z niej niewdzięczna egoistka, nie mówiąc już o tym, że Cristina jest lesbijką, bo to ani ojcu, ani bratu zupełnie się nie podoba.

A matka Cristiny wciąż się zamartwia.

Próba mikrofonu, raz, dwa, trzy... Mam na imię Cristina. Nie muszę podawać nazwiska, prawda? No więc mam na imię Cristina i mam dwadzieścia osiem lat. Leczę się, od kiedy skończyłam

dwadzieścia pięć, a w terapii grupowej uczestniczę, od kiedy
120

skończyłam dwadzieścia sześć lat. Zachorowałam na anoreksję w wieku czternastu lat, a okresowo cierpię na bulimię. W ten sposób najłatwiej mi się przedstawić, to określa mnie bardziej niż jakiegokolwiek inne kryterium. Potrafię na przykład z pamięci wymienić liczbę kalorii wszystkich produktów spożywczych, które jadam, nawet spermy, i umiem też określić BMI każdej kobiety, z marginesem błędu 0,2 punktu. Co to jest BMI? Body Mass Index, czyli wskaźnik masy ciała. Sposób na zmierzenie zmagazynowanego tłuszczu. Mam brata, choć mogłam mieć i siostrę. Moja mama straciła dziecko po kłótni z ojcem. Byłam z nią wtedy w szpitalu.

Czy wie pani, że zlikwidowano w Internecie stronę Pro Ana? To była strona dziewczyn z anoreksją, które radziły innym, jak schudnąć, jak ukryć przed rodziną, że masz anoreksję albo bulimię, no i różne takie... Tak, to właśnie to, niedawno pisali o tym w gazetach. No więc wiele osób dzwoniło do mnie albo pisało, przede wszystkim przyjaciele i krewni, bo chcieli się dowiedzieć, co ja o tym sądzę, jak się powinno rozmawiać z córkami i przyjaciółkami, no wie pani, chcieli tak na luzie pogadać, ja też kiedyś chorowałam na anoreksję, ale teraz to już za mną, to były jakieś głupie wybryki nastolatki... Tak, oczywiście, świetnie się czuję, kłamie. To faktycznie były głupie wybryki nastolatki, kłamie. Teraz już zdrowo się odżywiam, kłamie. Zawsze mówię to samo: kłamie. Moje kłamstwa ich uspokajają, choć matki moich koleżanek mówią, że jestem bardzo szczupła, że powinnam więcej jeść. A moja biedna babcia, ile razy widzi, jak wcinam sałatki, zawsze pyta: „Nie będziesz już tych głupstw robiła, prawda?”. Wiem, że one wszystkie mówią to z dobrego serca, ale są przy tym tak mało delikatne i mnie jest przykro... Nikt nie pyta, jak się czuję, czym się martwię albo czy mam z kim pogadać. Dla nich cały problem - choć ja już wiele razy tłumaczyłam, że nie o to chodzi - sprowadza się do tego, czy mnie się wydaje, że jestem gruba czy chuda, czy się sobie podobam,
121

czy nie. Opuściłam im, wiem, że nic nie zmienię. Ciągłe doradzają, żebym przytyła parę kilo, a nawet nie popatrzą, jak wyglądam, mówią tak z przyzwyczajenia, tak jak kobiecie w ciąży każdy mówi, że ślicznie wygląda, choć przypomina wieloryba. Ale przecież nie jestem głupia, wiem, że wcale nie chciałyby, żebym tyła. Może jakaś fałszywa przyjaciółka i owszem, ale na pewno nie moja babcia ani nie moja dziewczyna, ta dopiero jest nieznośna, ani tym bardziej moja matka, sama ma świetną figurę, wszystkie one na pewno nie byłyby zachwycone gdybym nagle ważyła 60 albo 65 kilo. Gdybym przytyła, Monica by tego nie przeżyła, jestem pewna. Monica jest strasznie dumna ze swojej dziewczyny, a moja matka też się cieszy, że ma taką zgrabną córkę. Co prawda lesbijkę, ale jaką elegancką. Śliczną. Same siebie okłamują, co innego im się podoba, ale uważają, że nie powinny

głośno o tym mówić. Żał mi ich, ale ja też jestem biedna, bo muszę się wciąż uśmiechać, przytakiwać i jeść to, co lubię, choć zawsze niewiele, niedużymi porcyjkami, staram się nie chudnąć zbyt gwałtownie, żeby dali spokój i przestali zamęczać pytaniami, ale też broń Boże nie przytyć, nigdy w życiu. Monica się nie wtrąca, widzi, że mało jem, ale nic nie mówi. Trzeba przyznać, że nie jest tak upierdliwa jak moja matka.

Na ostatniej sesji rozmawiałam z Aminą, dziewczyną z naszej grupy, o tym, kiedy i dlaczego po raz ostatni dostałyśmy w tyłek od rodziców. Te dziewczyny z Ekwadoru, te z naszej grupy, to one wszystkie były bite - najpierw przez ojców, a potem przez mężów. Amina opowiadała, że ojciec często ją bił. Mój ojciec nie uderzył mnie nigdy w życiu, przenigdy. Po prostu nie mógł, nigdy go nie było. A matka uderzyła mnie parę razy, przynajmniej tyle pamiętam. Chwytała mnie za ramię i mocno szarpała, pewnie mnie też trzepnęła, ale nigdy nie uderzyła mnie w twarz ani w głowę. Bardzo szybko zaczęła stosować przemoc innego rodzaju, tę, która nie zostawia śladów na ciele: szantaż emocjonalny, ciągłe krytykowanie i utwierdzanie w przekonaniu, że nigdy

122

nie spełnię jej oczekiwań. Od kiedy chodzę na terapię, wiem już, że każdy z nas jest swoistą mieszanką: tego, co wrodzone, i tego, co wpojone przez rodziców. Czasami zastanawiam się nad miłosnymi związkami moich przyjaciółek, zwłaszcza koleżanek z dzieciństwa, i porównuję z relacjami, które łączyły je z własnymi rodzicami. Wyniki moich analiz są zaskakujące. Widać, zwłaszcza w tych trwałych związkach, że dziewczyny bezwiednie powielają rodzaj relacji, jaką miały z ojcem - i stają się uległe albo wyrozumiałe, wojownicze albo wyniosłe. A ja właściwie nie znam swojego ojca. Owszem, wiem, jak wygląda: wysoki, dość eleganci, był bardzo przystojny. Owszem, znam jego zachowania: milczący w towarzystwie najbliższych, czarujący wśród znajomych, punktualny, dokładny, inteligentny. Znam jego charakter: drażliwy, surowy, obsesyjny. Nie wiem, o czym marzy, do czego dąży, nie wiem nic o jego życiu ani nie znam większości jego czynów. Nigdy nie potrafiłam przewidzieć, jak się zachowa. Matka twierdzi, że ojciec jest niepewny, psychopatyczny, leniwy, autorytarny, nieodpowiedzialny. Ale wciąż z nim jest, nie odchodzi, nie rozwodzi się. Nawet po tej historii z poronieniem nie zdecydowała się odejść. Babcia ojca uwielbia i bardzo go szanuje. Z trudem ustaliłam, co ja o nim tak naprawdę sędzę, a co jest tylko powtórką z opowieści tych dwóch kobiet. A potem myślę sobie o Monice, mojej dziewczynie. Narzekam, że miewa zmienne nastroje, że czasami się nie odzywa... Moja dziewczyna jest wysoka, ładna, inteligentna, nieufna wobec własnej rodziny, przemiała dla obcych... I jest ode mnie starsza, ma prawie czterdzieści lat. Może sobie Pani wyobrazić, do jakiego stopnia jest zamknięta w sobie, skoro ja dopiero po paru latach naszego związku dowiedziałam się, że ona była przez parę lat z Emmą Ponte... tak, właśnie z tą piosenkarką..., tuż przede mną, to była jej jedyna

prawdziwa dziewczyna. Niewiarygodne, co? Monica nigdy mi o tym nie wspominała, nawet jednym słowem. Musiała się nieźle pilnować, dowiedziałam się o tym przez przypadek, w bardzo

123

głupi sposób. Wysoko na pawlaczu trzymałyśmy stare walizki, gdzie miałam wyjechać i potrzebowałam niedużej torby. Już wyciągałam tę co zawsze, kiedy dostrzegłam w głębi inną, dość starą, taki filmowy rekwizyt znaleziony na zakurzonego strychu, musiała tu tkwić od dawna, taka kanciasta, powojenna. I ponieważ teraz tak modne są rzeczy w stylu vintage, pomyślałam sobie, że ją wezmę. Wyciągnęłam torbę z szafy i otworzyłam, a w środku było mnóstwo listów i fotografii. Obejrzałam wszystkie zdjęcia, przeczytałam wszystkie listy. No i dowiedziałam się, że moja dziewczyna kochała się do szaleństwa w innej prawie dziesięć lat i nigdy nie zająknęła się słowem na ten temat. I dostrzegam tu pewną oczywistą zbieżność, choć nie wiem, czy to mi się podoba. Czy potem próbowałam z nią o tym porozmawiać? Nie, skądże, jeszcze nie zwariowałam. Pani nie wie, jaka ona jest, w życiu bym nie spróbowała. Nie boję się jej, ale czuję dystans, czasem jest daleka, nieosiągalna, dokładnie to samo czułam wobec ojca, i oczywiście nie mogę przestać się zastanawiać: Czy naprawdę jesteśmy skazani na powielanie relacji, które łączyły nas z naszymi rodzicami? A przynajmniej czy ja jestem na to skazana? Czy szukam teraz sposobu, by znaleźć to, co utraciłam w dzieciństwie, kiedy ojciec zaniedbał rodzinę, zajął się pracą i - jak przypuszczam - również kochankami, a my widywałyśmy go bardzo rzadko, tak jak i teraz. Przypuszczam, że nie zastanawiałabym się nad tym wszystkim, gdyby nie terapia grupowa, te pytania pojawiają się w mojej głowie za sprawą Isaaca.

Zresztą nie mam prawa krytykować Moniki za ukrywanie czegośkolwiek. Ja sama przez pół życia kłamałam. Kiedy znajdowałam się w najbardziej krytycznej fazie choroby, wylądowałam w szpitalu, na oddziale dziennym, i tamtejszy psycholog prosił, żebyśmy pisały dziennik z postępów leczenia. Prowadziłam dwa dzienniki. W jednym pisałam: „Czuję się o wiele lepiej dzięki pomocy psychologa. Przytyłam prawie dwa kilo, od czasu jak tu przebywam, i wiem, że wyglądam o wiele ładniej...”. W drugim

124

zaś: „To obrzydliwe, przytyłam dwa kilo. Ale to jedyny sposób, żeby przestali kazać mi tu przychodzić, do tego cholernego szpitala. Mam dość tego psychologicznego gładzenia, tego wymądrzania się. Jak tylko mnie stąd wypuszczą, zrobię sobie głodówkę i mam nadzieję, że zrzucę te dwa kilo...”. Wciąż od czasu do czasu sięgam do tych dwóch dzienników i wiem, że to nie jest śmieszne, raczej żałosne, ale nie potrafię się powstrzymać i umieram ze śmiechu.

Matka dzwoni do mnie niemal codziennie i skarży się na samotność i na ojca, który ją źle traktuje. Kiedy to słyszę, jest mi jej żal. Ten żal mija po paru godzinach. Staram się jej unikać, w miarę możliwości, bo zawsze, zwierając mi się z przeżywa-

nych dramatów, wymaga potem ode mnie, żebym poszła z nią na zakupy, pocieszała ją albo spędziła razem z nią weekend. A ja jej powtarzam, żeby się rozwiodła, a jeśli nie chce się rozwieść, to niech przestanie narzekać. Ale to jak grochem o ścianę. Wciąż jest tak samo męcząca, nieznośna, egoistyczna, nie potrafi uznać, że i ona jest po części temu wszystkiemu winna. Co ja mogę na to poradzić. Z Monicą nie rozmawia, pyta: „Mogę rozmawiać z moją córką?”, kiedy Monica odbiera telefon. A kiedy o niej wspomina, nigdy nie mówi o niej „Monica” tylko „ta dziewczyna, co z tobą mieszka”. I choć jej nie znosi, nawet na zdjęciu, oznajmia czasami, że chętnie zamieszkałaby przez jakiś czas u mnie, u nas. Sama już nie wiem, jak jeszcze mogę jej odmówić, jak powiedzieć, że ja tego nie chcę, nie chcę, żeby tu przyjeżdżała. Nie podobają się jej moje ciuchy, moje mieszkanie, moja dziewczyna, moje życie ani sposób, w jaki traktuję innych. Nie podoba się jej, że jestem szczupła, i to, że jestem lesbijką. Mnie też nie podoba się nic, co dotyczy jej życia, ale przynajmniej nie krytykuję, nie osądzam i nie doradzam. Mam jej dość. Nie chcę, żeby do mnie przychodziła. Nie chcę, żeby wypominała mi wszystko, z czego musiała dla mnie zrezygnować, czyniła wyrzuty o to, że jej życie mogło wyglądać inaczej... To nieprawda! Nigdy jej na

125
mnie nie zależało, przynajmniej nie tak, jak powinno. Opiekowała się mną, wykształciła mnie, ale nigdy nie okazywała mi czułości i zawsze, ale to zawsze dawała do zrozumienia, że to ona jest tą zdolniejszą, ładniejszą, mądrzejszą. I jeśli w życiu nie osiągnęła czegoś, to nie przeze mnie, tylko ze strachu. Nawet teraz. Kiedy matka dowiaduje się - albo sobie tylko wyobraża - że ojciec zdradza ją z jakąś kolejną laską (średnio raz do roku), staje się nieznośna, ale nie nieznośna z powodu cierpienia, jakiego doświadcza, jak można by się tego spodziewać, tylko nieznośna z powodu wymagań, jakie stawia innym. To właśnie wtedy chce u mnie zamieszkać. I znów się żali na swoją samotność. Niechby ktoś zabrał ją gdzieś daleko. Kiedy próbuję jej wyjaśnić, że lepiej żeby do mnie nie przyjeżdżała, i wspominam o życiowej przestrzeli, niezbędnej do życia innym, matka zarzuca mi, że czuje się tak, jakby nie miała córki, i zamęcza w nieskończoność tysiącem głupstw. Kiedy oznajmiam, że odkładam słuchawkę, bo mam parę spraw do załatwienia, urządza dziką awanturę, wyzywa mnie od egoistek, na koniec stwierdza, że nie ma już córki. Ona nie ma córki, ale czy ja mam matkę? Zaraz potem znów dzwoni, obrażona i urażona, choć łaskawie nie ścina mi głowy, zupełnie tak jak Królowa Kier w Alicji w Krainie Czarów. Dalej nic nie pojmuje i wie, że bez swojej Cristiny wpadnie w rozpacz... Nie radzi sobie w domu i dlatego powtarza, że nie może beze mnie żyć, chce, żebyśmy się pogodziły, i tak dalej. A ja słucham rad mojej dziewczyny, Isaaca i dziewczyn z grupy i staram się nią nie przejmować.

Wczoraj powiedziałam matce, żeby sama załatwiła sprawy związane ze ślubem mojego brata. Myślała oczywiście, że ja jej

pomogę w przygotowaniach, począwszy od listy gości, a kończąc na wyborze kreacji, w której wystąpi. I to ona chce się tym wszystkim zająć, bo narzeczona brata pracuje, wyjaśnia mi matka, tak jakbym ja nie pracowała. Kiedy wyjaśniłam, że nie mogę jej pomóc, bo zajmuję się moim własnym życiem, zaczęła krzyczeć

126
w słuchawkę. Ze jestem egoistką, że zawsze jej zatruwałam życie, że nie wie, co takiego zrobiła, że ja zawsze jestem ponura i obrażona. Powiedziałam jej wtedy, chyba po raz pierwszy w życiu, żeby zamilkła, bo jeśli zaczniemy sobie nawzajem wyliczać urazy, to na pewno pobiję ją w tej konkurencji. Odłożyłam słuchawkę. Chyba nie pójdę na ten ślub. Ani jej nie pomogę. Po co? Nie obchodzą mnie sprawy brata, brat nie interesuje się moimi sprawami. Ojca interesuję jeszcze mniej. Moim zdaniem kontaktuje się ze mną tylko dlatego, żeby nie czuć tak dotkliwie, ile w życiu przegrał. Tak dużo rozmyślałam o innych, że w końcu zapominam o tym, kim ja jestem. Tak samo mają wszystkie dziewczyny z grupy, wszystkie dostrzegamy najdrobniejsze szczegóły otaczającej nas rzeczywistości i ludzi wokół, ale nie umiemy przyrzyć się naszemu ciału, naszemu życiu. Widzimy wybiórczo. Nie umiemy spojrzeć obiektywnie. Przynajmniej ja nie umiem, nie umiem zobaczyć samej siebie. I dlatego wciąż mi się wydaje, że jestem gruba, choć może jestem chuda. Wagi kłamią albo mnie się tak wydaje. Rozmiary kłamią albo mnie się tak wydaje. I chwytam się mojego BMI, jakby to miało mnie uratować. Teraz mam 19. A kiedy schudnę do 47 kilogramów, to będę miała 17, 9. I kiedy schudnę do 47 kilo, to rozwiążę problem, który innym może wydać się głupi, ale w moim przypadku zaważył na połowie życia. I wtedy znajdę siły, by zmierzyć się z resztą. Z resztą problemów. Z przerażającym chaosem informacji, który stanowi resztę życia.

Tak, Aminę poznałam w ośrodku, w naszej grupie wsparcia. Wiedziałam, że ona z panią rozmawiała, oczywiście, sama mi o tym powiedziała. My tam nawiązujemy bardzo głębokie relacje, jeśli się zaprzyjaźnisz z kimś z grupy, to na poważnie; tak jakbyś znała tego kogoś przez całe życie, i chociaż terapeuci powtarzają, że nie powinniśmy się spotykać poza ośrodkiem, to przecież żadna z nas tego nie przestrzega. Dlatego Cristina zamieszkała

127
u mnie, nie mówiąc o tym Isaacowi. Bo prawdziwa przyjaźń jest nie do złamania. Amina opowiedziała pani pewnie o swoim chłopaku, tak? Nie o swoim obecnym chłopaku, o Hishamie. Nie, o tym niedobrym, o Karimie. Karim to był jej poprzedni chłopak, teraz ma Hishama, mam nadzieję, że się pani nie pogubiła? Ja tę historię znam na pamięć. Rodzice Aminy są Marokańczykami, ale ona urodziła się już tutaj, ma hiszpański paszport i obywatelstwo. Po prostu jest Hiszpanką. Ale dla Hiszpanów jest Marokanką, z powodu swojego ubioru, wyglądu, sposobu myślenia. A rodzina oczekuje, że ona wyjdzie za Marokańczyka, to jasne. Tak to już u nich jest. I znaleźli jej narzeczonego. Na

początku Amina zapewniała wszystkich dookoła, że nigdy dotąd nie знаła kogoś równie czarującego, delikatnego, czułego. Tak nam opowiadała. Aż któregoś dnia, jakieś trzy miesiące po tym, jak się poznali, siedziała u niego w sklepie i z nudów zaczęła grzebać w skrzynkach. I kiedy on wszedł i to zobaczył, pomyślał, że ona szuka czegoś w jego rzeczach. No i się obraził, potwornie, zrobił jej awanturę, zupełnie bez powodu. No i Amina wiedziała już, że z jego głową nie wszystko w porządku, ale ponieważ była zakochana, nie miała odwagi go zostawić. I od tego czasu zaczęły się regularne kłótnie, nie było tygodnia bez choćby jednej spektakularnej awantury. On zawsze mówił to samo, że Amina jest egoistką, że myśli tylko o sobie, że go za mało kocha, a poza tym jest wariatką. Ale kiedy Amina próbowała zerwać zaręczyny, on zapewniał, że ją kocha i nie potrafi bez niej żyć, mimo że uważa ją za egoistkę, wariatkę i niedobrego człowieka. No więc ona z nim została, co tylko pogorszyło sprawę, bo on znalazł powód, żeby jej nienawidzić, bo to ona chciała zerwać zaręczyny, i tego w głębi duszy jej nie wybaczył, a co gorsza obawiał się, że ona zrobi to jeszcze raz. I choć to zupełnie nieprawdopodobne, ale najbardziej nieprawdopodobne historie dzieją się właśnie w realnym świecie, ich związek trwał jeszcze przez niemal dwa lata, a zaraz potem Amina pojawiła się w ośrodku, ponieważ

128

cierpiała na napady lęku i jakieś podobne problemy. Jej matka krzywo na to patrzy, ale teraz, kiedy nie ma ojca, nie odważy się niczego narzucić Aminie.

Zdaniem niektórych przemoc psychiczna. Zdaniem innych różnica kultur.

Moim zdaniem drań.

Nie urodziłam się w Madrycie, tylko w Algeciras. Mój ojciec mieszkał w Tangerze, ale pracował w Algeciras, na wybrzeżu, był obwoźnym handlarzem. Sporo zarabiał. Kiedy miałam pięć lat, przyjechaliśmy do Madrytu. Ojciec pracował na budowach, to tu, to tam, gdzie nadarzała się okazja... Jak nieco podrosłam i mogłam coś pojąć z otaczającej mnie rzeczywistości, zdałam sobie sprawę, że bywa u nas bardzo dużo ludzi, że ojciec często wyjeżdża do Algeciras i wokół dzieją się różne dziwne rzeczy, ale nigdy do głowy by mi nie przyszło, że to wszystko tak się skończy. Bo pani już pewnie wie, że mój ojciec siedzi w więzieniu. Kiedy poznałam Karima, ojcu dobrze się wiodło. Mówił, że pracuje na budowie... Mama nie pracuje. Kiedy ojciec mieszkał z nami, on jej na to nie pozwalał, teraz, kiedy ojca nie ma, mama próbuje szukać pracy po domach, ale nie ma zbyt dużo propozycji, a na te nieliczne odpowiada mnóstwo kandydatek, i jeśli kogoś już zatrudniają, to raczej kobiety z Ekwadoru albo z Kolumbii. Zapewne z powodu języka, ale też z powodu chorej polityki w tym kraju. Weźmy Marokankę, która zna hiszpański... tu jak na dłoni widać uprzedzenia. Ostatnio pracowałam, sprzątając po domach, bo od kiedy ojciec siedzi, nie mamy za dużo pieniędzy, inne prace mi się nie trafiają, i jeśli ktoś mnie pyta,

skąd pochodzę, nigdy nie mówię, że z Maroka, tylko że z Algeciras, nie kłamię przecież, kłamstwo jest grzechem, ja tylko nie mówię całej prawdy.

Pewnie pani wie, że w wielu marokańskich rodzinach dziewczyny wychodzą za chłopców, których nie znają, bo tak ustalili

129
między sobą rodzice. Ale w moim przypadku było inaczej. Sama wybrałam sobie Karima. Rodzice byli nim zachwyceni, choć do niczego mnie nie zmuszali. Podstawówkę kończyłam w Hiszpanii, liceum też i znałam zarówno hiszpańską obyczajowość, jak i moje prawa. Wiedziałam, że nikt nie będzie wybierał mi męża, na to bym sobie nie pozwoliła. Ale wiedziałam też, że nie wyjdę za Hiszpana, bo różnice kulturowe są zbyt duże. Tutaj różne grupy narodowościowe żyją obok siebie, ale nie ze sobą. Dlatego rzadko dochodzi do poważnych konfliktów, żyjemy obok siebie, ale nie ze sobą, rasy się nie mieszają, nie ma mowy. Pary mieszane to rzadkość. Czasami spotykam takie na ulicy i obserwuję je z zainteresowaniem. To wciąż sporadyczne przypadki, pewnie, że to się w przyszłości zmieni, na razie minęło niewiele czasu. Młodzi ludzie są bardziej otwarci, przyjaźnią się z cudzoziemcami. Mój młodszy brat bawi się w ośrodku z małymi Ekwadorczykami albo Kolumbijczykami. Starsi są zdecydowanie bardziej zamknięci. W naszej dzielnicy młodzi ludzie różnych ras i kultur znają się, a nawet przyjaźnią. Ale to wciąż nie jest taki prawdziwy tygiel etniczny. Gdybym miała wyjść za jakiegoś chłopaka, on musiałby przejść na islam, no a Hiszpanie się na to nie zgadzają... Nie, na odwrót nie, jeśli Marokańczyk żeni się z Hiszpanką, ona nie musi zmieniać religii, chociaż większość to jednak robi.

Tak mi się wydaje, że dla rodziny Karima nie byłam dość dobrą narzeczoną, oni mieli dużo więcej pieniędzy niż my. My byliśmy i jesteśmy biedni. Emigranci zawsze pochodzą z nizin społecznych. To znaczy ci, którzy emigrują, zawsze mają nadzieję, że znajdą pracę, zresztą najczęściej ją znajdują. Wielu ludzi przybywa z regionów, gdzie nie ma żadnych perspektyw... Pozostają jednak w ciągłej rozterce: choć w ojczyźnie źle im się wiodło, to na obczyźnie też nie idzie im najlepiej. Ciągłe nam czegoś brakuje... Dla rodziny Karima, już to mówiłam, nie byłam dość dobrą narzeczoną. Wszyscy wiedzą, że Marokanka bierze

130
dużo dla swoich, że pieniądze męża idą na jej rodzinę, w Tangerze mieszka dużo młodych dziewczyn, które powychodziły za starych Hiszpanów i za ich pieniądze utrzymują całe swoje rodziny. Matka Karima powtarzała, że to moi rodzice chcą mnie wydać za jej syna, ale to nieprawda. Moja mama oczywiście bardzo się cieszyła, ale to Karim mnie znalazł, nie na odwrót. Oni prowadzą sklep na ulicy Santa Isabel, taki nieduży bazar. Wszystko tam sprzedają, dżalabije, buty, lampy, co tylko chcesz... I dlatego moja rodzina tak się ucieszyła, bo Karim to był niezły kandydat na zięcia, miał przecież własny sklep. Tylko że ja przy nim czułam

się dziwnie, wcale nie byłam szczęśliwa. Jakbym niczego nie potrafiła, jakbym wszystko robiła źle. Na przykład kiedy sprzątałam u niego w sklepie. Tak właśnie go poznałam, jego rodzice znali mojego ojca jeszcze z Tangeru, więc kiedy go pytali, czy nie zna jakiejś dziewczyny, która mogłaby sprzątać w sklepie, ojciec odparł: „Owszem, moją córkę, Aminę”. Potem, kiedy Karim się już we mnie zakochał, poprosił o rękę i ogłoszono nasze zaręczyny, już mi nie płacili za sprząkanie, to nie było z ich strony w porządku, choć pracowałam tam codziennie po południu, sprzątałam, układałam, czasami obsługiwałam klientów... musiałam nauczyć się pracy w sklepie, skoro miałam zostać żoną Karima. Kiedyś wieczorem napełniałam wiadro wodą i zawołał mnie do telefonu. Nie dokręciłam kranu i kiedy tam wróciłam, na zapleczu było pełno wody. Nic wielkiego, można to było wytrzeć mopem raz-dwa. Ale Karim wpadł w szał. Zaczął na mnie wrzeszczeć po arabsku, krzyczał, że jestem nieuważna. Tylko po arabsku, nigdy nie rozmawiał ze mną po hiszpańsku, bo wiedział doskonale, że po hiszpańsku mówię od niego o wiele lepiej. Może zdenerwował się, bo nie znosił, jak rozmawiam przez telefon. Jeśli ktoś do mnie zadzwonił na komórkę, a Karim był w pobliżu, to po minucie rozmowy zaczynał na mnie wrzeszczeć. Twierdził, że jestem rozrzutna, a on nie chce żyć z kimś, kto nie zna wartości pieniądza. Odpowiadałam, że to moje pieniądze,

131

ale wtedy wściekał się jeszcze bardziej. Czasami walił pięścią w stół. Nigdy mnie nie tknął, ale się go bałam. No więc po jakimś czasie przed spotkaniem z Karimem wyłączałam komórkę. W ten sposób oddalałam się od swoich przyjaciółek, bo spędzałam z nim coraz więcej czasu, a skoro spędzałam z nim coraz więcej czasu, rzadziej widywałam się z przyjaciółkami i spędzałam coraz więcej czasu z Karimem - kółko się zamyka. No tak, Karim, będąc ze mną, bez problemu gadał przez telefon całymi godzinami. Nie odzywałam się, bo jeśli próbowałam, to wyjaśniał, że jego rozmowy to zupełnie inna sprawa, to rozmowy związane z pracą. Jeśli odpowiadałam, że i moje rozmowy mogły dotyczyć pracy, bo przecież mógł do mnie dzwonić ktoś, kto chciał, żeby posprzątać mu mieszkanie, odwracał się na pięcie i odchodził, przerywając mi w pół słowa. W ten sposób zwykł kończyć dyskusje: kiedy wyczuwał, że racja leży po mojej stronie, po prostu szedł przed siebie. Nigdy nie przyznał się do błędu, nie dopuszczał możliwości, że może się mylić. Poza tym nie chciał, żebym pracowała, zaznaczył to bardzo wyraźnie, zapowiedział też, że jak tylko się pobierzemy, przestanę pracować. Będę mu pomagała w sklepie, ale nie wolno mi będzie pracować poza domem. Nie chciał, żebym sprzątała mieszkania. Nie chciał, żebym miała własne pieniądze. I nie chciał, żebym pracowała w miejscach, gdzie spotykałabym innych mężczyzn, zwłaszcza po tym, jak rozeszły się plotki o zdarzeniu w domu Yamala Benani.

Zwierzyłam się z moich wątpliwości przyjaciółce, wyjaśniłam, że nie jestem pewna, czy chciałabym wyjść za Karima, ale ona

poprosiła, żebym dała mu jeszcze jedną szansę, bo Karim, który przyjaźni się z jej bratem, opowiadał, że kocha mnie do szaleństwa i nie może bez mnie żyć. Postanowiłam porozmawiać z mamą, a ona radziła podobnie, tłumaczyła, że kobieta powinna być posłuszna mężczyźnie, tak już jest. Matka zawsze powtarza: „Skoro Allah stworzył świat tak, a nie inaczej, nic na to nie poradzimy”. I wtedy jedna znajoma, Hiszpanka, koleżanka jesz-

132
cze ze szkoły, powiedziała, żebym przyszła do ośrodka, na początku trochę się bałam, bo wiedziałam, że to się nie spodoba Karimowi. Nie chciał, żebym miała dużo znajomych. Kiedy szliśmy ulicą, Karim i ja, i spotykałam jakiegoś dawnego kolegę ze szkoły, doskonale wiedziałam, co będzie potem: Karim zacznie mnie wypytywać, kto to był, skąd go znam, dlaczego byłam dla niego taka miła, bo jemu przeszkadzało, że rozmawiam z innymi mężczyznami. Tak bardzo mnie tym męczył, że w końcu udawałam, że nie widzę znajomych na ulicy, i się z nimi nie witałam. Karim nawet słyszeć nie chciał o innych mężczyznach. Dlatego kiedy pocałował mnie po raz pierwszy, zemdlałam, to znaczy udałam, że mdleję, bo w Maroku wszyscy wiedzą, że jak kobieta nigdy się nie całowała, to mdleje przy pierwszym pocałunku. Ale ja się całowałam. Nie tylko z Yamalem, miałam też chłopaka Hiszpana, jeszcze w szkole... Mama oczywiście nic o nim nie wiedziała. Potem Karim zaczął się upierać z tym nakrywaniem włosów, ale ja nigdy nie chodziłam w chuście. Mama tak, ale ja nigdy. W Tangerze dużo młodych dziewczyn nosi odkryte włosy, dla mnie chusta jest strasznie niewygodna, jest mi w niej gorąco. Ale on się upierał, a mnie to wydało się trochę dziwne. Potem zaczął się ramadan i Karim ściśle przestrzegał postu. Od czwartej rano do siódmej wieczorem nic nie jadł ani nie pił. Moi rodzice przestrzegają ramadanu, ale ja nigdy ściśle nie stosowałam tych reguł, zawsze coś piłam. W Maroku tak nie można, jeśli ktoś zauważy, że jesz albo pijesz, może cię nawet zatrzymać policja. Tak naprawdę to chyba nigdy nikomu się to nie zdarzyło, nikt nie został aresztowany za picie albo jedzenie w czasie ramadanu, ale wszyscy opowiadają sobie, jak pewna kobieta doniosła na sąsiada, który złamał post. Chodzi mi o to, że w Maroku wszyscy przestrzegają reguł ramadanu i Karim nie mógł pojąć, że ja się do nich nie stosuję. Więc jeśli wyszłabym za niego, musiałabym przestrzegać postu albo pić po kryjomu. Kazał mi też nosić dżalabiję na spodnie i twierdził, że obcisłe spodnie są wyzywające

133
i nie można ich nosić w ramadanie, a to przecież były zwykłe dżinsy, niespecjalnie obcisłe. Miałam mnóstwo wątpliwości, ale nic nie mówiłam, bo wszyscy dookoła uważali, że mam dużo szczęścia, że znalazłam sobie takiego bogatego narzeczonego, zwłaszcza że w Maroku trudno teraz znaleźć męża. Ja co prawda nie mieszkam w Maroku, ale właściwie to jest tak, jakbym tam mieszkała, bo przecież nigdy nie wyszłabym za Hiszpana. A w Maroku ciężko jest znaleźć męża, bo wielu mężczyzn wy-

emigrowało, a ci, co zostali, nie chcą się żenić. A wielu z tych, którzy wyemigrowali, bierze sobie za żony Hiszpanki, jak choćby ten właściciel herbaciarni - chociaż rodzina jego dziewczyny uznała to za zniewagę, zresztą jego rodzina, a on pochodzi z Marrakeszu, chyba też poczuła się urażona. Kiedyś mężczyzna mógł z łatwością porzucić żonę i odejść do innej kobiety, ale teraz jest inaczej. Teraz prawo wymaga od kobiety zgody na kolejną żonę. Nie można już zostawić żony tak z dnia na dzień, choć dawniej było to dość rozpowszechnione. Oczywiście są bogacze, którzy dają łapówkę kadiemu i on udziela im rozwodu.

Bałam się rozstać z Karimem, myślałam, że nie znajdę już innego mężczyzny i skończę jak moje ciotki, Samira i Cherifa, obie mają po trzydzieści parę lat i nigdy nie miały i nie będą mieć mężów. I nie mogą podróżować ani nawet wyjść z domu bez pozwolenia ojca, bo pochodzą z dobrej, wierzącej rodziny i szanują tradycję. I kiedy latem jestem w Tangerze i się z nimi spotykam, mam wrażenie, że są jak duże wyrośnięte dzieci, na wszystko reagują histerycznym śmiechem; jest mi ich żal i jednocześnie ich zachowanie jest dla mnie odpychające, nie wiem, czy dobrze to wyraziłam. Niech Allah strzeże mnie przed takim nieszczęściem. Wydawało mi się, że i ja zostanę starą panną i nie chciałam rozstawać się z Karimem. A tymczasem spotkałam Hishama, i to on sam o mnie zabiegał. No i tak mam nowego chłopaka, Hishama, i to on będzie moim towarzyszem życia, nieważne, 134

czy to się spodoba, czy nie mojemu ojcu. Jeśli się zgodzi, to dobrze, a jeśli nie - trudno. Już się nauczyłam, że mam prawo do podejmowania własnych decyzji.

Z Karimem z każdym dniem czułam się coraz bardziej samotna. Staralam się umawiać z koleżankami, mieć innych przyjaciół, żeby nie spotykać się tylko z Karimem, ale on upierał się, by mi towarzyszyć, trudno mi było pogadać z przyjaciółką w cztery oczy, opowiedzieć o moich problemach, o tym, co mnie martwi i niepokoi. Kiedy nie stał obok, musiał wiedzieć, gdzie jestem, co robię i z kim. Dzwonił do mnie dwadzieścia razy dziennie i oczywiście na takie telefony nie żał mu było pieniędzy. Na początku podobało mi się, że jest o mnie zazdrosny, myślałam, że tak bardzo mnie kocha, ale potem to stało się nie do zniesienia. Kiedyś wieczorem szliśmy ulicą i spotkaliśmy się z Yamalem Benanim, i Yamal zaczął mi się uważnie przypatrywać i poczułam, że się czerwienię. Nic więcej. Ale Karim to zauważył i wpadł w szal. Wrzeszczał tak, że się naprawdę przestraszyłam. Nie chciałam mu opowiadać o niczym, co miało związek z Yamalem, o niczym, wydawało mi się, że nawet jak mu opowiem, to on i tak w to nie uwierzy. Bo tak naprawdę prawie nikt w to nie wierzy. Isaac uważa, że to zwykła histeria, wytwór mojej wyobraźni, mój własny strach. On nie używa słowa „strach”, mówi „wyparcie”. Używa innego słowa, ale ono znaczy to samo.

Cóż, historia z Yamalem jest nieco dziwna. Nie opowiedziałam

jej nawet Hishamowi. Oprócz mojej rodziny zna ją tylko Isaac, ale mi nie uwierzył. Tak, ja wiem, że pani niczego nie osądza i nikomu tego nie opowie, że to jest tak, jakbym opowiedziała ją lekarzowi... Poza tym jest pani kobietą, to wiele zmienia, jasne. No więc Yamal znał się z moim ojcem jeszcze w Tangerze, nie wiem, w jakich okolicznościach się poznali. Yamal jest bogaty, pochodzi z dobrej rodziny, mój ojciec zaś wręcz przeciwnie, czyli na początku chyba niewiele ich łączyło. Ale się znali. Yamal często do nas przychodził, godzinami rozmawiał z ojcem. Zamykali się

135

w pokoju i gadali, trochę to wszystko było dziwne. Ja w tym czasie właściwie nie miałam nic do roboty. Skończyłam szkołę i nie za bardzo wiedziałam, jakiej szukać pracy. Nigdy nie myślałam o studiach, w szkole nie szło mi najlepiej, a poza tym wydawało mi się, że wyjdę za mąż i zajmę się domem jak moja matka. Gdy tylko skończyłam szesnaście lat, rodzice wciąż powtarzali, że powinnam szukać męża. Wtedy ojciec zapytał, czy chciałyby sprzątać u Yamala w domu, a ja się zgodziłam. Yamal mieszkał z dziewczyną, ja jej właściwie nie widywałam, bo ona pracowała poza domem. Kiedy przychodziłam sprzątać, w domu często był właśnie Yamal, dopiero wstawał z łóżka i widziałam, jak na mnie patrzy. Parzyłam herbatę i zostawiałam mu ją na stole w salonie, prawie się do siebie nie odzywaliśmy, ale wciąż czułam jego spojrzenie na sobie, spojrzenie, które paliło jak ogień. Był jak imię, które nosił, Yamal, a to znaczy piękno. I tak mijaly dni, tygodnie, miesiące, on nieustannie się we mnie wpatrywał, a mnie sprawiało to coraz większą przyjemność. W końcu stało się. Wstydę się o tym opowiadać, bardzo się wstydę, trudno mi o tym mówić. Wołałabym, żeby pani tego nie nagrywała, jeśli to możliwe, naprawdę bardzo się wstydę. Pewnego dnia zmywałam naczynia w kuchni i poczułam, że on stoi za mną i patrzy. Kiedy się odwróciłam, napotkałam nieruchome, wpatrzone we mnie, zielone oczy. Nie spuściłam wzroku, tylko spojrzałam śmiało. To było silniejsze ode mnie, czułam, jak mnie przyciąga, jak hipnotyzuje mnie wzrokiem. Podszedł, stanął naprzeciw, dłonią uniósł mój podbródek i bardzo powoli mnie pocałował. Nawet nie drgnęłam, pozwoliłam się całować. I wtedy poczułam, jak wraz z jego śliną coś spływa mi gardłem i przenika do krwi i to coś ogarnia mnie całą i dochodzi do serca, zatapia w nim szpony i zaczyna je rozdzierać. Byłam przerażona, ale nie śmiałam się poruszyć. Wtedy - i to najbardziej mnie zawstydza, nie chcę nawet tego powtarzać - wtedy zapytał... zapytał... zapytał, czy chcę go zobaczyć. Powiedział to po hiszpańsku, to

136

mnie zdumiało, bo po hiszpańsku powiedział „ją”, a po arabsku można użyć tysiąca nazw i to zawsze będzie „on”. I chyba właśnie wtedy zemdlałam, bo nic więcej nie pamiętam. Ocknęłam się w kuchni i jego już nie było. Zemdlałam naprawdę, nie tak jak przy Karimie, kiedy tylko udawałam. Nie byłam pewna, czy to mi się tylko nie przyśniło...

Wróciłam do domu i powiedziałam matce, że już nie chcę tam pracować, ale przecież nie mogłam jej opowiedzieć, co mi się przydarzyło, o nie, nigdy w życiu. Więc wytłumaczyłam, że wstydę się pracować w mieszkaniu, gdzie jest obcy mężczyzna, który wychodzi z łazienki okryty jedynie ręcznikiem. Matka mnie zrozumiała, ojciec też. I przestali o tym myśleć. Ale ja nie mogłam przestać, bo on swoim bezwstydnym zachowaniem zburzył moją intymność, nie mogłam się od tego uwolnić, nie mogłam o tym zapomnieć.

Pewnego dnia, a wtedy już nie pracowałam u niego, przyszedł do mnie i przyniósł w prezencie olbrzymią roślinę, z pięknymi błyszczącymi liśćmi. Wyglądała na bardzo drogą. I w pięknej doniczce, własnoręcznie przez niego pomalowanej, sam powiedział. Niebieskiej, z moim imieniem wykaligrafowanym klasycznym arabskim pismem. Mama postawiła roślinę w rogu salonu. Wkrótce potem zaczęłam mieć dziwne sny. Co noc śnił mi się smok, budziłam się przerażona. A potem to już niewiele pamiętam. Mama opowiadała, że zaczęłam mówić różnymi głosami, że mówiłam bez przerwy i krzychałam, że nie przyjmowałam jedzenia i obrzucałam matkę wyzwiskami. Wtedy mama poszła do wróżki, mądrej kobiety, chouwaffa, i opowiedziała o wszystkim. Chouwaffa przyszła do naszego domu, zauważyła roślinę i spytała, skąd mamy tę doniczkę z moim imieniem. Powiedzieliśmy, kto mi ją podarował, i wtedy ta kobieta poprosiła o ciężki młotek i uderzyła w donicę. Dokładnie przeszukała ziemię i znalazła woreczki, a w nich jakieś dziwne przedmioty - wiem to od matki - opiłki żelaza i papierowe zwitki zapisane po arabsku,

137
których nie mogły odczytać, bo obie są analfaberkami. Ja też nie mogłam, umiem czytać tylko po hiszpańsku, bo tu chodziłam do szkoły, a po arabsku nie umiem, nie miał mnie kto nauczyć, moja mama nie umie, a ojciec nie miał czasu. Chouwaffa stwierdziła, że jestem meshura, nie wiem jak to się mówi po hiszpańsku, coś jakby zaczarowana, choć to niedokładnie to samo. Matka opowiedziała o tym ojcu, ale on nie uwierzył. Więc mama pojechała ze mną do Tangeru, żeby pokazać mnie alfaquiemu. A alfaqui napełnił miskę wrzątkiem i kazał mi wypić wywar z ziół, po którym zwymiotowałam, i powiedział matce, że to prawda, że ktoś wykorzystał moc sihr, żeby mieć nade mną władzę, ale jeśli będę nosiła pod ubraniem puzderko z surami Koranu, które od niego dostanę, to się przed tym uchronię. Dał mi je i od tamtego czasu zawsze mam je ze sobą, nigdy się z nimi nie rozstaję. Isaac twierdzi, że sihr nie istnieje, że wszystko było wytworem mojej wyobraźni. Reakcją psychosomatyczną, tak to nazywa. Ale ja mu czasem wierzę, a czasem - nie. Jestem mu wdzięczna, że pomógł mi przekonać samą siebie, że nie zrobiłam nic złego, nie zgadzając się na ślub z Karimem, że mam prawo być sobą, ale wydaje mi się, że są rzeczy, których Isaac nie zrozumie, że w naszym kraju i naszej kulturze sprawy mają się inaczej, a ja wiem, czego doświadczyłam, choć nie próbuję go przekonać do czegoś,

do czego przekonać go nie potrafię.

No jasne, nie poślubiłam Karima. Nie wzięliśmy ślubu, zerwałam zaręczyny, bo wiedziałam, że nie będę szczęśliwa, bo on wciąż na mnie krzyczał i krzyczał, wciąż krzyczał. Jedną z najważniejszych kłótni dotyczyła sukni ślubnej. Tak, mojej sukni, bo mieliśmy już wyznaczoną datę ślubu i tak dalej. Postanowiliśmy urządzić dwa śluby, najpierw w Hiszpanii, a potem w Maroku, bo ja mam hiszpańskie obywatelstwo i jeśli wzięlibyśmy ślub w Hiszpanii, Karim po pewnym czasie też mógłby uzyskać obywatelstwo jako mój mąż. Jeśli wzięlibyśmy ślub tylko w Maroku, to też by tak było, tylko że mielibyśmy straszne problemy

138

z przenoszeniem dokumentów, a w Maroku te wszystkie formalności potwornie się ciągną. Więc zdecydowaliśmy: „Bierzemy dwa śluby: jeden w Hiszpanii, drugi w Maroku”. Chciałam pójść do ślubu w nowej sukience, bardzo się na to cieszyłam. Ale nie w białej sukni, nic z tych rzeczy, to była niebieska długa suknia, pamiętam do tej pory. Szyła mi ją krawcowa z ulicy Buenavista. Karim uparł się, że pójdzie ze mną do przymiarki. Nie chciałam, żeby tam szedł, bo krawcowa, starsza pani, uważała za niestosowne, żeby narzeczony widział mnie w bieliźnie podczas przymiarek. A poza tym zna pani ten przesąd, to zły znak, jeśli narzeczony zobaczy pannę młodą w ślubnej sukni przed uroczystością. Oczywiście, to był tylko ślub cywilny, ale przesąd przesądem, prawda? A on nie przyjmował tego do wiadomości i w końcu zaczęliśmy się kłócić. Karim znaczy szlachetny, ale on, w przeciwieństwie do Yamala, nie szanuje swego imienia. Dwa dni później, u krawcowej, stoję przed lustrem w tej niebieskiej sukni i widzę, że zupełnie mi w niej nie do twarzy, że jest po prostu brzydka i pomyślałam: „Amina, co ty robisz? Co ty sobie robisz?”.

Miłość i pożądanie to dwie różne rzeczy, nie wszystko, co darzymy miłością, jest też obiektem naszego pożądania ani też nie wszystko, czego pożądamy, potrafimy pokochać. Koniec tej historii już pani zna, Amina zdecydowała, że ślubu nie będzie. I wtedy rodzina Karima zjawiała się u ojca Aminy, żądając wyjaśnień. Bo u Marokańczyków już tak jest, rodzice mieszają się do wszystkiego. I ojciec Aminy powiedział jej, że ma wziąć ślub, musi wziąć ślub, że jeśli zerwie zaręczyny, to splami honor całej rodziny. Nawet ją uderzył, i to zdaje się dość mocno. A potem zamknęli go w więzieniu i rodzina Karima oznajmiła, że jej syn nie ma zamiaru poślubić dziewczyny, której ojciec siedzi w więzieniu, że to splamiłoby honor ich rodziny. Choć tak naprawdę powiedzieli to tylko dlatego, żeby nie wyszło na jaw, że to Amina

139

porzuciła ich synalka. Potem Karim wydzwaniał codziennie do Aminy, wyzywał od egoistek, złych kobiet, niewdzięcznic i tak dalej. No i ponieważ nasza dzielnica nie należy do dużych, często ją spotykał na ulicy i wtedy wrzeszczał na nią przy wszystkich. Dlatego właśnie Amina zaczęła przychodzić na zajęcia

do naszej grupy. Bo się bała, była wystraszona, bo on jej groził. I zdaje się, że ten cały Karim, on tu zresztą mieszka, znam go z widzenia, ma teraz następną narzeczoną, też Marokankę, tylko zakrytą od stóp do głów, z chustą na włosach, i ona pewnie nawet nie mówi po hiszpańsku.

Zdaje się, że on nawet nie chce rozmawiać o Aminie.

Nie chce nawet wymieniać jej imienia.

A teraz moja historia, no właśnie, do tego zmierzałyśmy od samego początku. No więc mam na imię Esther, mam dwadzieścia siedem lat, mam męża i synka, kocham swojego męża, a przynajmniej tak mi się wydaje. Uważam, że jestem normalną kobietą. Jestem najmłodsza z czworga rodzeństwa, mam jeszcze dwie siostry i brata Silvia. Niewiele wiem o ich życiu, a oni jeszcze mniej o moim. Jestem niemal pewna, że mój ojciec nigdy nie zdradził matki, ale co do reszty bardzo przypominał ojca Cristiny, prawie nigdy nie było go w domu. Pracował nawet w weekendy, miał własny warsztat, a wiadomo, jak się samemu jest szefem... Potem moja matka poważnie zachorowała. W domu mówiło się, że to menopauza, ale pamiętam, że brała haloperidol, a to jest lek stosowany przy schizofrenii, tak mi powiedział Isaac. Matka twierdzi, że to tylko moje wymysły, że ona nigdy tego nie zażywała, ale ja doskonale pamiętam, jak podkładałam matce pastylki i łykałyśmy je z przyjaciółkami, żeby potem pójść poszaleć, bo ten haloperidol popity alkoholem daje niezłego kopa, naprawdę niezłego. I jak byłam młodsza, to w tej naszej dzielnicy wszyscy mieszały prochy z alkoholem, wie pani? Bo w ogóle wtedy w naszej dzielnicy pełno było narkotyków i mnóstwo

140
ćpunów... Zresztą teraz też, tylko że nie ma już tyle heroiny, sprzedają hasz, kwasy i kokainę... To dzielnica handlarzy, wszyscy o tym wiedzą. Matka twierdzi też, że nigdy nie cierpiała na depresję, że zawsze była bardzo szczęśliwa, a potem dzwoni do mnie i mówi, że cierpi, że cierpiała całe życie. Cokolwiek to było i jakkolwiek się nazywało to, na co chorowała matka, kiedy jeszcze z nią mieszkaliśmy - menopauza, depresja czy kuku na muniu - miałam poczucie, że nagle moja matka znika, a na jej miejsce pojawia się inna, dziwna kobieta, która albo wrzeszczy, albo płacze, żadnych stanów pośrednich, i tak przez cały dzień, niezłe, prawda? To się zaczęło, jak miałam trzynaście lat, i trwało aż do czasu, kiedy się wyprowadziłam, mając lat dwadzieścia. Szczerze mówiąc, nie mogłam patrzeć na matkę, ale nie miałam wyjścia, bo jako osoba niepełnoletnia nie mogłam się wyprowadzić. Więc nienawidziłam matki z całego serca. Ale moja biedna matka też nie była temu winna ani temu, że miała depresję, ani temu, że ja nie umiałam jej zrozumieć. Potem przestałam jej nienawidzić, ale nie chciałam z nią mieszkać, bo nie byłam w stanie jej pomóc. Poza tym, wie pani, gdzieś w głębi duszy wciąż ją bardzo kochałam i nie mogłam patrzeć na nią w takim stanie. Postanowiłam żyć na własny rachunek, znalazłam pracę i wyprowadziłam się, zamieszkałam z narzeczoną, obecnie moim

mężem, on też pochodzi z tej dzielnicy, jak był młodszy, to razem ze mną łykał haloperidol i popijał piwem.

Z rodzeństwem widuję się bardzo rzadko. Żadne z nich nie było u mnie w domu, nigdy mnie nie odwiedzali. Zresztą wcale ich o to nie proszę, niewiele mnie obchodzą, to prawda. Byli dla mnie jak kuzyni, jak dalecy kuzyni, tacy, których widuje się raz na jakiś czas na weselu albo pogrzebie. Zawsze radziłam sobie sama. To znaczy, nie zaniedbywałam pracy, regularnie płaciłam czynsz i nie wplątywałam się w podejrzane interesy. Streszczenie mojego życia pewnie nie ma sensu... Potem wzięłam ślub z narzeczoną. Przyjęcie weselne okazało się koszmarem... Silvio się upił i łąpał

141

za tyłki wszystkie dziewczyny, moje siostry nawet ze mną nie porozmawiały.

Matka jest chora, przynajmniej tak twierdzi, i prawie nie wychodzi z domu. Silvio przesiaduje u niej całymi dniami. Właściwie to on mieszka z dziewczyną, Susaną, ale więcej czasu spędza u matki niż we własnym domu, wie pani? Poza tym matka nie znosi Susany. Pewnie żadnej innej dziewczyny Silvia też by nie znosiła, bo kocha go miłością zaborczą, ale Susana do tego wszystkiego jest Murzynką, a dla mojej matki Murzynka w rodzinie to coś niewyobrażalnego... Bo nasza dzielnica to wiele kultur żyjących obok siebie, ale nie ze sobą, jak mówi Claudia, dziewczyna Isaaca, wie pani, o co mi chodzi? Claudia też pracuje w ośrodku, ale z dziećmi. Jest bardzo ładna, naprawdę to bardzo ładna dziewczyna i bardzo sympatyczna. Na jakimś koncercie spotkałam starego kumpla mojego brata i powiedział mi, że słyszał plotki, że Silvio źle traktuje tę Susaną. Powiedział nawet, że ona właśnie z tego powodu go zostawiła. Może to plotka, a może i prawda, skąd mam wiedzieć. Powiedział też, że Silvio spotyka się często z tym ślicznym aktorem z Hospital Central, tym takim niebieskookim, kurczę, nie pamiętam jak on się nazywa... Alex! Alex Vega, że łądują w siebie mnóstwo koki i dlatego mój brat ma się za ważniaka, uderza mu do głowy i ma wszystko w nosie, co mnie nie dziwi, bo tym, co biorą kokę, przestawia się w głowach. Choć mój brat może nie ma tak do końca przestawione, bo on zazwyczaj wie, co robi. Pieprzy bez sensu, bo chce pieprzyć. Jak kogoś opieprza, doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Wiem, że mój brat jest agresywny, to znaczy, chodzi mi o słowną agresję, a wiem to stąd, że z nim mieszkalam. Bywał wtedy agresywny i w inny sposób, ale dawniej, jak ktoś uderzył cię w twarz, to nie mówiono od razu o przemoc, tak jak dziś.

Rok temu zmarł nam ojciec i pojawiła się kwestia spadku. Ojciec zostawił warsztat, dom i domek na wsi. Kiedy ojciec odziedziczył domek, nie był on wiele wart, ale teraz, kiedy wieś stała

142

się ośrodkiem turystycznym, domek zyskał na wartości, a ponieważ jest stary i dwupiętrowy, wart jest z milion euro. I okazało się, że ojciec zapisał wszystko synowi, a córkom nic. Wie pani, zadzwoniłam do prawniczki, która powiedziała, że można ten tes-

tament unieważnić, miałabym prawo do części spadku, co bardzo by mnie ucieszyło, spłacamy kredyt i brakuje nam pieniędzy. No i unieważniłam ten testament. I wybuchła potężna awantura. Od Cristiny słyszałam, że jej matka dzwoni do niej niemal codziennie i wyzywa od egoistek i złych córek. Moja mama już tego nie robi, ale wcześniej tak. Dzwoniła czasem, już po śmierci ojca. Natomiast moje rodzeństwo często nazywa mnie egoistką. Zawsze mówią to samo, i tak w kółko Maciejowi. Tego słowa używają najczęściej: egoistka. Silvio z upodobaniem zaś nazywa mnie „wariatką” i „histeryczką”. Jedna z sióstr nazwała mnie „paranoiczką” i „nienormalną”, dodając, że już dawno ubzdurałam sobie, że wszyscy mają coś przeciwko mnie. Przez cały ten rok nie odbyliśmy ani jednej normalnej rozmowy, chyba że w obecności matki, przy której wszyscy udają. I kiedy Amina opowiada na zajęciach naszej grupy o Karimie, o tym facecie, który nigdy jej nie wysłuchał, w ogóle się z nią nie liczył, nie odpowiadał na pytania, obrażał się o byle co, ciągle ją szpiegował, ciągle chodził nabuzowany, kłócił się o byle co i zawsze ją wyzywał, wyszydzał i upokarzał, o facecie, któremu nie można się było sprzeciwić, bo zawsze kończyło się to wybuchem furii... po prostu mam wrażenie, że Amina kreśli obraz mojego dawnego życia z Silviem jeszcze pod jednym dachem. Wie pani, Silvio nie jest Arabem, ale zachowuje się jak oni.

Moje siostry są przekonane, że nasz brat nie jest złym człowiekiem i że należy uszanować wolę ojca, bo mężczyźni wiedzą więcej od kobiet i jak świat światem, to synowie dziedziczyli po ojcu, a nie córki. Twierdzą, że brat bardzo dobrze opiekuje się matką. Pewnie, że się nią dobrze opiekuje. Tylko, wie pani, jemu bardzo odpowiada taka opieka. Odwiedza ją, a matka podaje mu

143
obiadki, pierze i prasuje jego ciuchy, które Silvio przynosi w wielkiej torbie, a potem zabiera do siebie. I matka nigdy, naprawdę nigdy, mu się nie sprzeciwia.

Od śmierci ojca zaczęłam się źle czuć... Napady lęku, płaczliwość, bezsenność, koszmary, brak apetytu, a potem wilczy głód, czyli klasyczny zespół anoreksja-bulimia, o którym tyle się mówi w ośrodku i na który cierpimy prawie wszystkie... I pewnego dnia poszłam do ośrodka i na tablicy ogłoszeń przeczytałam, że działa tu grupa wsparcia dla kobiet z dzielnicy, że to jest za darmo, no więc się zapisałam.

Isaac, ten psycholog, niski, w okularkach, ten, który nas skontaktował, nalegał, żebym przestała widywać się z moją rodziną. Jego zdaniem dzieli nas zbyt wiele nierozwiązywalnych konfliktów i nasze relacje nigdy się nie polepszą, że nadzieja na załagodzenie sporów i wprowadzenie harmonii w te relacje jest równie dziecinna, jak wiara w prezenty przynoszone przez Wrózkę Zębuszkę. Isaac mówi tak: „Wina jest ceną wolności. Dojrzałość oznacza pogodzenie się z frustracją i odrzucenie złudnych oczekiwań”. Stwierdził, że muszę uciąć wszelkie kontakty z rodzeństwem, co w zasadzie nie jest trudne, bo właściwie niewiele

mnie z nimi łączy. Nikt nie odwiedził mnie w domu, nikt nie przyszedł zobaczyć mojego synka, kiedy wyszłam ze szpitala po porodzie, a dom pękał w szwach od odwiedzających nas przyjaciół. Pojawili się tylko na przepisowy kwadrans w szpitalu, stwierdzili, że dziecko jest podobne do ojca, i to wszystko, wyobraża pani to sobie? Nie wiem, jak wyglądają domy moich sióstr, nigdy u nich nie byłam. Ani one mnie nie zapraszały, ani ja o to nie zabiegałam. One też nigdy u mnie nie były. Zapraszałam je przez ostatnie trzy lata na moje urodzinowe przyjęcia, ale nigdy się nie zjawiały. Nigdy nie powiedziałyśmy sobie: „kocham cię” czy coś w tym stylu, wie pani? Ale nie uważam, że to coś nienormalnego, już mówiłam, że my nie żyliśmy nigdy razem. Z drugiej strony nigdy nie czułam braku kontaktu z rodzeństwem, bo

144

miałam przyjaciółki. No a teraz mam męża i synka, moją nową rodzinę, i to liczy się dla mnie najbardziej. Nie czułam, że mam rodzeństwo, myślę, że i oni niespecjalnie zaprzęтали sobie mną głowę i dlatego jak słyszę, że odwołują się do pojęcia „rodziny”, nie bardzo ich rozumiem, bo od kiedy wyprowadziłam się z domu, wiem, że rodzina to tylko złudzenie, wymysł, bzdura z telewizyjnej komedii, gdzie wszystko ocieka lukrem, i już przed pierwszą przerwą reklamową wiadomo, jak ona się skończy, bo tam przecież wszyscy się kochają i zawsze jest happy end. Starsza siostra powtarza za każdym razem, że nie ma potrzeby, żeby adwokat pośredniczył między rodzonymi siostrami. „Esther, ale ty jesteś uparta, wszystko chcesz zniszczyć”, tak jakbym to ja ponosiła całą winę. Wiem, że gdzieś na pewno są i dobre rodziny, skoro jest tyle rodzin złych. Kiedyś przeczytałam w gazecie, że tylko siedemnaście procent rodzin w Hiszpanii to rodziny w tradycyjnym pojęciu tego słowa, rodzice i dzieci, a reszta to samotni, rozwiedzeni albo porzuceni rodzice, a zatem to moja siostra ma nienormalne pojęcie o rodzinie, prawda? bo normalnie rodzina oznacza też problemy, rozstania, porzucenia. Przypuśćmy, że jestem egoistką i wariatką, ale skoro tak jest, to czy nie lepiej byłoby dla mojej rodziny uwolnić się ode mnie i ze mną nie widywać? Nie żyłoby im się lepiej, nie byłoby szczęśliwsi, gdyby nie czuli się zmuszani do kontaktów z tak straszną osobą, jaką w ich mniemaniu jestem? W opinii rodziny jestem egoistką, według mojego męża jestem bardzo szlachetna. Uważam, że to mój brat jest nienormalny, ale matka tak nie myśli. To, jak wygląda życie, zależy od koloru szyby, przez którą na nie patrzymy. Przysłowia mówią prawdę, są sumą doświadczeń, z nich narodziła się wiedza. I zdarza się, że jedna osoba w ciągu jednego dnia może zachować się w krańcowo odmienny sposób, w zależności od tego, z kim ma do czynienia. Wie pani, ja nie życzę źle mojemu rodzeństwu. Nie życzę im, żeby wyrzucono ich z pracy ani żeby wpadli pod samochód. Mówię tak dlatego, że wiem, co

145

znaczy nienawidzić, wiem, co znaczy komuś źle życzyć, bo miałam czasami takie myśli. Pamiętam jednego kierownika działu

personalnego, któremu życzyłam z całego serca, żeby przydarzyło mu się coś złego. I mu się przydarzyło, nie czas, by o tym teraz mówić, kiedyś pani opowiem. I oczywiście zdarzyło mi się - pewnie jak wielu innym - że kiedy rzucił mnie chłopak, życzyłam mu tego samego, żeby i jego ktoś zostawił, żeby poczuł się samotny i smutny, tak jak ja czułam się wtedy, kiedy mnie porzucił. Ale mojemu rodzeństwu wcale tego nie życzę. Nie chcę, by przytrafiło im się coś złego, chcę się tylko od nich odsunąć, żeby nie wtrącali się w moje sprawy, niech sobie szczekają, ja pójdę dalej, zacznę nowe życie, w którym nie będę dla nikogo siostrą, i pozwolę sobie na luksus egoizmu, którym to mianem niektórzy określają coś, co ja nazywam poczuciem wolności. Nie mam pojęcia, dlaczego Isaac tak nalegał, żebyśmy porozmawiały. Zgodziłam się, dla mnie nagrywanie rozmowy nie stanowi żadnego problemu, wręcz przeciwnie: lubię to, to mnie uspokaja. Tak, a poza tym nikt się o tym nie dowie, to zostanie opisane w pani książce, a tam będziemy miały zmienione imiona, tak? Tak przynajmniej mówił Isaac, który pewnie poprosił, żeby pani ze mną porozmawiała, może dlatego, że ja zawsze jestem taka smutna i przygnębiona... ale ja nie jestem ofiarą przemocy, nic z tych rzeczy. Do naszej grupy przychodzi wiele maltretowanych dziewczyn, bitych i w ogóle. Wie pani, Cristina też nie jest ofiarą przemocy, jest anorektyczką, ale dołączyła do naszej grupy, bo Isaac twierdzi, że zachowanie jej matki jest przemocą psychiczną, no i też dlatego, że nasza grupa to taki tygielek. Ale pewnie ta moja historia to się na niewiele przyda. Pewnie w domu wyrzuci pani tę kasetę albo nagra na niej coś ciekawszego.

Mówiłam już, że studiuje? Jest takie powiedzenie, że nauka nie idzie w las. Jestem na pierwszym roku, obrona dyplomu jeszcze przede mną. Poszłam do pracy dość szybko, do administracji, potrzebowałam pieniędzy, żeby się usamodzielnić i wy-

146
prowadzić z domu. Nie myślałam wtedy o studiach, nawet przez myśl mi nie przeszło, ale później, jak urodziłam dziecko, przestałam pracować, a kiedy mały poszedł do przedszkola, miałam nagle mnóstwo wolnego czasu... pomyślałam o studiach zaocznych, mężowi to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, zachęcał mnie, wyglądało na to, że jemu zależy na tym bardziej niż mnie. Zresztą mój mąż zawsze mnie we wszystkim wspierał, mój mąż to najlepsze, co mogło mi się przytrafić, to jest człowiek, który uratował mi życie, nie oddałabym mojego męża za żadne skarby świata. Obserwuję dziewczyny z naszej grupy, niektóre są bardzo przygnębione, słucham Ekwadorek, wciąż skarżą się na to samo, ich historie są łatwe do przewidzenia, on przepija „wszystkie piniondze”, a do tego ją leje i nie zajmuje się dziećmi, bo to nie jest zajęcie dla mężczyzny, te kobiety mieszkają w Hiszpanii i widzą, że życie może wyglądać inaczej, ale boją się zostawić swojego męża, bo go kochają - tak mówią - no i wciąż powtarzają, że „wszyscy mężczyźni są tacy sami”, a ja im zawsze odpowiadam, że „Skąd, nieprawda, to że ty trafiłaś na takiego

faceta, nie oznacza, że wszyscy inni zachowują się tak samo", mój mąż jest aniołem, zawsze to mówię, ja nie mam męża, tylko prawdziwy skarb, poza tym nie tylko mężczyźni, przecież niektóre kobiety też używają przemocy. Nie trzeba daleko szukać: matka Cristiny używa przemocy psychicznej. Nie jestem żadnym psychologiem, ale to od razu widać. I wcale nie próbuję być pisarką, tak jak pani, broń Boże, ale bardzo lubię czytać, więc postanowiłam pójść na filologię, jak mi się spodoba, to ją skończę, zresztą jak nie będzie mi się zbyt podobać, to też skończę. Piszę teraz pracę o Don Kichocie, taki banalny temat, z okazji pięćsetnej rocznicy wydania, wie pani, o co chodzi. Zamierzam pisać o wiatrakach, to jeszcze bardziej banalne. Podoba mi się, że Don Kichot, obity i obolały po walce z wiatrakami, parę linijek dalej podnosi się i podąża wraz ze swym wiernym giermkim w stronę Puerto Lapice, jakby nic straszego się nie wydarzyło,

147

przekonany, że tam czekają go nowe przygody. Razy i siniaki nie są w stanie go zatrzymać ani osłabić żądz przygód. Co więcej, jakby ich nie czuł. Przypadkiem natknęłam się na esej niejakiego Eduarda Camacho, może zna pani takiego autora, chociaż on nie pisze o współczesnych powieściach. Ten krytyk uważa, że Cervantes zbyt okrutnie traktuje Don Kichota, wręcz sadystycznie, biedak nieustannie od kogoś obrywa, ledwie ucho-
dząc z życiem. A mnie intryguje - i o tym właśnie zamierzam pisać - że Don Kichot buduje swoją osobowość właśnie z porażek, z potyczek, które fatalnie się dla niego kończą, wiesz, o co mi chodzi, że on powstaje z nowymi siłami, z mocnym pragnieniem podążania wytyczonym szlakiem. Chcę napisać, że dla mnie wiatraki stanowią coś na kształt symbolu, bo w życiu spotykamy takie wiatraki, z którymi nie ma sensu walczyć, bo one zawsze stać będą w tym samym miejscu i kręcić skrzydłami w jedną i tę samą stronę, i jeśli ktoś uprze się i będzie z nimi walczył, zawsze przegra. Lepiej już zostawić je tam, gdzie stoją, niewzruszone, zapomnieć o nich i podążyć swoją drogą, a one niech stoją zdane na łaskę wiatrów, młócąc ramionami jak ktoś, kto wykrzykuje swoją prawdę, a tymczasem - jeśli chcemy się czegoś nauczyć - powinniśmy iść pod wiatr, do przodu, ciągle do przodu... No nie wiem, czy jasno się wyrażam, mam nadzieję, że profesor to zrozumie, wie pani, pióro jest językiem duszy, a duszy czasami nikt nie rozumie. Pisanie tej pracy to dla mnie coś niezwykle. Pewnie pani sobie pomyśli, że to głupie, ale dla mnie takie drobne wyzwania stanowią siłę napędową do życia. Bo każda mała wygrana otwiera nam nowe perspektywy.

ŚLAD TWOICH WARG

Nie to jest najgorsze, że natykasz się na jej twarz w telewizji, ilekroć puszcza reklamy. Nie to jest najgorsze, że musisz słuchać jej głosu w hipermarkecie, w sklepach z ciuchami, a nawet w autobusie, kiedy kierowca puszcza na cały regulator Cadena Dial. Nie to jest najgorsze, że widzisz jej twarz na każdym plakacie, na każdej okładce, na każdej stacji metra.

Najgorsze jest to, że o jej prywatnym życiu dowiadujesz się z prasy.

Najgorsze jest to, że o ciąży swoje; byłej dziewczyny dowiadujesz się, przerzucając kartki magazynu „Rolling Stone”.

Nie pamiętam nawet, co w nim czytałam, skoro wiadomo było już wcześniej, że pewnie coś tu o niej napiszą, tak jak w poprzednich numerach.

W „Rolling Stone” napisali, że Emma komponuje kołysankę dla dziecka, które niebawem przyjdzie na świat. Ciekawe, co jej z tego wyjdzie. Ponoć ojcem dziecka jest David Martin, ten sam, z którym mnie zdradzała, kiedy jeszcze byliśmy parą. Nie piszą, czy jest jej chłopakiem. Przypuszczam, że czytelnicy tak sądzą. Że to oczywiste? Jasne, że tak. Skąd mam tę pewność? Że nie powinnam ślepo wierzyć plotkom o ludziach, których nie znam? Ale ja ją znam, moja droga. I to doskonale. Nigdy ci o tym nie mówiłam, tak? Tak, wiem, że przyjaźnimy się od jakiegoś czasu. Tylko że ty jesteś pisarką i głupio mi było przed tobą się z tego zwierzać, nie daj Boże użyłabyś mojej historii w jednej ze swoich książek. Nawet Cristinie tego nie opowiedziałam, bynajmniej nie

149
dlatego, żeby była zazdrosna, bo wcale nie jest... ale dlatego... czy ja wiem, chyba sama chciałam o tym zapomnieć. Z perspektywy czasu ta historia wydaje mi się śmieszna, jak pomyślę o tych wszystkich głupotach, to wychodzę na niezłą wariatkę. Ciężko uwierzyć, że chodziłam osiem lat z dziewczyną, która teraz jest jedną z najślawniejszych kobiet w Hiszpanii, i nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Pewnie i dlatego, że do niedawna nie chciałam nawet wymawiać jej imienia, z trudem przechodziło mi przez gardło.

Tak, wszystko ci opowiem, jeśli tylko chcesz. Już nie czuję bólu, kiedy o tym mówię. Ponoć czas leczy rany.

No więc to było tak: Poznałam Emmę wiele lat temu w Ras, bardzo popularnym klubie, z czasów movidy, gdzie spotykało się najróżniejszych ludzi, począwszy od Irańczyka, który sprzedawał herę, a skończywszy na snobistycznym młodzieńcu w różowym polo Lacoste'a i skórzanych klapkach - tak się wtedy ubierano - a gdzieś pomiędzy znajdował się Fanny MacNamara, wtedy chyba chłopak Almodovara. Mówiono o nim Fanny, choć zdaje się, że miał na imię Fabio. Mieli razem zespół, pamiętasz? Almodovar i MacNamara. Śpiewali tę śmieszną piosenkę Gran ganga, gran ganga, soy de Teheran, calamares por aqui, boquerones por alld. Fanny - ależ ona była zabawna - przesiadywała w damskiej toalecie i prosiła dziewczyny, żeby jej pożyczyły szminkę. Nie wiem, czy się wygłupiała, bo ja na jej miejscu po prostu kupiłabym sobie szminkę i nie musiałabym pożyczać od innych, prawda? Fanny zawsze chodziła w pełnym makijażu i wystrzałowych ciuchach i była bardzo, ale to bardzo zabawna: jak się z nią przebywało, to człowiek na okrągło pękał ze śmiechu, ciągle opowiadała o swoim życiu, a to o tym, że w metrze zwyzywały ją jakieś staruszki, albo, że poleciało jej oczko w pończosze.

Poszłam do Ras z Aritzem, moim kolegą z klasy, chyba ci już o tym opowiadałam. Był gejem, tylko że prawie nikomu o tym nie mówił, to były inne czasy i tego rodzaju informacje pozostawały tabu.

Ależ musiałam ci to opowiadać, pamiętasz historię o tym, jak poznałam Almodovara? To właśnie z Aritzem poszłam do Rimmela. No i z nim też byłam w Ras i tam, w dość śmiesznych okolicznościach, poznałam Emmę.

Siedziałam przy barze, czekając na barmana, i wtedy dosiadł się jakiś facet, zaczął mnie podrywać, a ja nie protestowałam, wydał mi się przystojny, choć dziś nie byłabym sobie w stanie przypomnieć nawet koloru jego oczu. Że dawałam się podrywać facetowi? No wiesz, wtedy to ja jeszcze chodziłam z chłopakami. Nie do końca zdawałam sobie sprawę, że podobają mi się dziewczyny, nie miałam tyle śmiałości, raczej tłumiłam pragnienia, poza tym w tamtych czasach te sprawy rozgrywano po kryjomu, to było dość skomplikowane. Istniały kluby ze sprzyjającym klimatem, oczywiście, że tak, ale raczej trudno dostępne, z dzisiejszej perspektywy ciężko to zrozumieć, dziś lesbijki występują w telewizji i nie tylko, a kiedyś to było nie do pomyślenia, prawda? No dobrze, nie zbaczam z tematu, bo zgubię wątek. Siedziałam przy barze, tuż przy drzwiach i wtedy właśnie stanęła w nich śliczna dziewczyna, która podeszła do nas i zaczęła rozmawiać z tym facetem, cześć, dawno cię nie widziałam, co tam u ciebie, i wtedy ten mężczyzna mi ją przedstawił: „To jest Emma, moja była”, a ona do mnie: „Bardzo mi miło”. I zapytała swojego byłego, czy postawi jej piwo, bo nie ma przy sobie grosza, a on na to, że postawi nam obu. Nie bardzo wiedziałam, jak się mam zachować, nie mogłam się zorientować, czy tamta dziewczyna wciąż była nim zainteresowana, i z tego powodu próbowała wejść między nas, czy naprawdę chciała się napić piwa i nie miała za co, tak czy owak sprawiała bardzo sympatyczne wrażenie. Zaraz zaczęła mnie zagadywać, co studiuje, gdzie i tak nam się miło gawędziło. W pewnej chwili przeprosiłam ją, muszę iść do toalety, a ona na to, że pójdzie ze mną. Ubikacja była malutka, a klub był dość modny, pełen ludzi, i do ubikacji zawsze stała długa kolejka. I stała tam też Leonor Mayo, która wtedy nie była

151

jeszcze sławną aktorką, choć zachowywała się tak, jakby była nią od dawna. W madryckich klubach prawie wszyscy ją znali tylko dlatego, że była ładna. Oczywiście, pamiętaj o tym, że na początku lat osiemdziesiątych nie było tylu klubów, a te modne to można by policzyć na palcach jednej ręki, więc wszyscy się znali, przynajmniej z widzenia. A Leonor już wtedy się w tym towarzystwie wyróżniała, widać było, że zostanie gwiazdą. Miała rewelacyjne ciuchy i nosiła buty na szpilach, wchodziła do baru z wysoko uniesioną głową, jakby żywcem zdjęta z wybiegu dla modelek, wszyscy się za nią oglądali. Pamiętam, że zawsze pojawiała się w towarzystwie niewysokiej blondynki, wyglądały jak Flip i Flap. Ta blondynka jakoś tak śmiesznie się nazywała, trochę

jak lalka... chyba Poppy, czy jakoś podobnie. I oczywiście kiedy Fanny zobaczyła, jak ta nieziemsko Leonor maluje sobie usta z wystudiowaną dbałością, niemal rozpląnęła się w zachwycie, jak to miło cię poznać, i poprosiła o pożyczenie szminki, mogłabyś mi pożyczyć, ten odcień jest naprawdę suuuuuuper. A Leonor porządnie się wystraszyła, już wtedy patrzyła na wszystkich z góry i trzymała spory dystans, a tu jakiś bezczelny facet prosi ją o szminke. Odmówiła, a on naciskał. Fanny próbowała wyszarpnąć jej tę szminke, a Leonor krzyczała w popłochu: „Powiedziałam, że ci jej nie pożyczę, nie ma mowy”. Niestety, Leonor nie przewidziała, że Emma złapie ją znieścacka i zabierze szminke. Leonor osłupiała i nawet nie próbowała zareagować, a Emma podeszła do niej, stanęła przed lustrem i pomalowała sobie usta. Pomyślałam wtedy: „Ta dziewczyna wie, czego chce, i daleko zajdzie”. A potem moi znajomi ze studiów, z którymi tu wcześniej przyszedłam, podeszli do baru, żeby powiedzieć, że idą do Fabryki Chleba, dwie ulice dalej, a ku mojemu zdziwieniu Emma zaproponowała, żebym została z nimi i dopiła piwo. No i zostałyśmy aż do zamknięcia, potem poszliśmy do El Sol i kiedy rozstawaliśmy się o siódmej rano, wymieniliśmy się telefonami. Przy pożegnaniu Emma pocałowała mnie i zostawiła na policzku czerwony ślad szminki, tej pożyczonej od Leonor. „Ojej, zostawiłam ci na buzi ślad moich warg”, westchnęła, a ja jej na to: „Ale z ciebie poetka, to zdanie zabrzmiało tak pięknie, że nie chcę zetrzeć tego śladu”. Roześmiała się głośno, ale ja rzeczywiście nie starłam szminki, wróciłam metrem do domu i poszłam spać.

Na początku to była tylko przyjaźń, ale po dwóch miesiącach poszliśmy do łóżka.

To był pierwszy raz dla nas obu. To znaczy pierwszy raz z kobietą. Przez kilka miesięcy było cudownie, byliśmy w sobie bardzo zakochane. Emma wtedy już pisała piosenki i parę mi zadedykowała. Mieszkałyśmy obie u rodziców. Emma grała czasami w klubie Nevada. Wtedy piosenka autorska nie cieszyła się zbyt dużą popularnością, Emma grała jeszcze z dwoma chłopakami - jeden na syntezatorze, drugi na basie - a ona sama grała na gitarze i śpiewała. Dla mnie to był koszmar, basista kochał się w niej do szaleństwa i chyba parę razy się przespali, Emma robiła wszystko, żeby nikt się nie dowiedział o naszym związku, udawała, że jesteśmy tylko przyjaciółkami. Rzeczywiście, wtedy związki lesbijek raczej do modnych nie należały, homoseksualizm był źle postrzegany, nie wspominając już o lesbijkach, nawet w najbardziej modnym towarzystwie faceci czasem mówili o sobie, że są biseksualni albo że tak sobie eksperymentują, a dziewczyny nawet nie próbowały się odzywać... Kurczę, niektóre udawały, że wciąż są dziewczycami... Tak, narkotyki, koncerty, imprezy - owszem, ale nie seks... I nie chodzi mi o to, że chciałam, by rozpowiadała o nas na prawo i lewo, ale mnie się zawsze wydawało, że Emma ukrywa nasz związek, żeby nie tracić okazji z facetami.

Zawsze byłam zazdrosna, od samego początku. I dlatego cier-

piałam.

Nasz związek od zarania należał do burzliwych, i to właśnie z powodu mojej zazdrości. Bo Emma była śliczną dziewczyną, zresztą dalej taka jest, wystarczy na nią spojrzeć, no i na dodatek ten zespół, wtedy takie śpiewające dziewczyny stanowiły

153
rzadkość, więc faceci za nią szaleli, a ja cierpiałam za każdym razem, kiedy któryś ją podrywał, a nie mogłam głośno powiedzieć: „Hej, kolego, zostaw moją dziewczynę”. Każdy inny chłopak mógłby to powiedzieć, ale my uchodziłyśmy po prostu za bliskie przyjaciółki. I jak już wracałyśmy z takich spotkań, to zawsze urządzałam jej awanturę, nie mogłam się opanować, wszystko się we mnie gotowało. Zapewniała mnie, że bardzo mnie kocha, że nigdy by mnie nie zdradziła. Ale po roku miała dość i po kolejnej awanturze po prostu odeszła, związała się z facetem, konkretnie z tym basistą, z Davidem. Davidem Martinem, dokładnie z nim. Potem on zdobył popularność ze swoim nowym zespołem, Sex & Love Addicts, już nie jako basista tylko wokalista. I to chyba on jest ojcem jej córki, tak piszą w gazetach. Strasznie to przeżyłam, chciałam umrzeć, nie mogłam spać, jeść, uczyć się, nie mogłam bez niej żyć; to tak jakby nagle zabrakło mi powietrza, napisałam do niej mnóstwo listów, kajałam się, obiecywałam złote góry, żeby tylko do mnie wróciła. I wróciła. Ale było jeszcze gorzej, bo zazdrość nie zniknęła, wręcz przeciwnie. Wydawało mi się, że skoro już raz porzuciła mnie dla faceta, to znaczy, że może to zrobić jeszcze raz, i wyobrażałam sobie wszystko, co mogła robić z Davidem, bo David mieszkał sam, i to u niego sypiali ze sobą. A na dodatek David był wtedy naprawdę przystojny. Teraz dużo stracił na urodzie, trochę przytył i widać po nim, że się w życiu nie oszczędzał... A wtedy był z niego śliczny chłopak, przyznaję bez bicia. Przez kolejne trzy lata żyłyśmy jak na huśtawce, albo było cudownie, albo kłóciłyśmy się okropnie. I po jednej z takich kłótni Emma znów mnie porzuciła. Tym razem odeszła z dziewczyną, piosenkarką o imieniu Mercedes, która uchodziła za uduchowioną intelektualistkę. Jej rodzina miała dużo forsy, więc wysłali ją na studia najpierw do Paryża, a potem do Nowego Jorku, musiała kryć się z tym romanssem, bo jakby ta jej cała rodzina, z forszą i szanowanym nazwiskiem, dowiedziała się, że córka jest lesbijką, to by ją wydziedziczyli. Mercedes snobowała się na

154
artystkę, ale żyła z procentów. A ja znów umierałam z rozpaczy. Przez pół roku właściwie nie wychodziłam z domu, pograżyłam się w depresji. Uczyłam się na okrągło i na ostatnim roku dostałam same celujące i bardzo dobre. Aż któregoś dnia zadzwoniła do mnie Emma, cała słodziutka, co tam słyhać u ciebie, Moniczko, strasznie się za tobą stęskniłam, co porabiasz, może się umówimy na kawę, pogadamy o dawnych czasach. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Kupiłam sobie nową kieckę, poszłam do fryzjera, przybiegłam na spotkanie śliczna jak nigdy, to było w Cafe Gijón, wciąż to pamiętam. Powiedziała, że rozstała się z Mercedes, że

tamta nie miała za grosz poczucia humoru, że była strasznie męcząca, no i że ona bardzo za mną tęskniła. Wtedy jej powiedziałam: „Dobrze, będziemy razem, ale jeśli mamy być razem, to już na poważnie, razem zamieszkamy i tak już zostanie na zawsze”.

Pracowałam wtedy i nieźle zarabiałam, nikt nie słyszał o jakichś bezpłatnych stażach, to były lata osiemdziesiąte i boom gospodarczy, dostawałam naprawdę nieźle pieniądze. Więc znalazłyśmy mieszkanie i razem w nim zamieszkałyśmy. Oczywiście w domu powiedziałyśmy, że wynajmujemy je razem jak przyjaciółki, nikt niczego nie podejrzewał.

Utrzymywałam ją, bo z muzyki nie starczało jej na wiele, to ja płaciłam czynsz i rachunki. Wstawałam do pracy co dzień o pół do ósmej i często o tej godzinie zjawiała się w domu Emma, wracając po całonocnej imprezie. Albo miała koncerty, albo wychodziła, żeby pogadać z menedżerami klubów, gdzie chciała zagrać. Domyślasz się pewnie, że ilekroć Emma wychodziła wieczorem beze mnie, nie byłam w stanie opanować zazdrości, wyobrażałam sobie, że kogoś poznaje, że z kimś idzie do łóżka, starałam się jednak jej o tym nie mówić, bo wiedziałam, że tego nie znosi, z powodu zazdrości odeszła już dwukrotnie, nie chciałam jej stracić po raz trzeci. Niestety kończyło się tak, że złościłam się z innych powodów. Robiłam jej awantury z powodu bałaganu w domu, bo skoro ja zarabiałam pieniądze, to ona też

155
powinna była wnieść coś od siebie i posprzątać mieszkanie od czasu do czasu, ale wiedziałam, że te kłótnie to był wentyl bezpieczeństwa dla rozsadzającej mnie zazdrości, pewnie i ona się tego domyślała. Wspólne mieszkanie czasem przeradzało się w piekło. Potrafiłyśmy nie odzywać się do siebie całymi dniami, a przy tym ja, z każdym dniem, kochałam się w Emmie coraz mocniej, podziwiałam ją, uwielbiałam jej muzykę, jej piosenki. I kiedy było nam dobrze, to naprawdę było nam dobrze, momenty przepelnione ogromem szczęścia kazały zapominać o złych chwilach. Jej pierwsza grupa, ta w stylu techno i z syntezatorem, rozpadła się, Emma zaczęła śpiewać po angielsku, alternatywną muzykę, w zespole na basie grała druga dziewczyna, a zamiast syntezatora miały perkusję. I jeszcze jedną gitarę, to był taki gitarowy zespół, dość ostry, właściwie grunge. Pewnego dnia Emma przybiegła do domu bardzo podekscytowana i oznajmiła, że będą nagrywać płytę, że wysłali demo do jednej z wytwórni i ktoś stamtąd przyszedł ich posłuchać w Siroco, i umówił się z nimi w wytwórni za dwa dni. To wszystko okazało się prawdą, sprawy potoczyły się gładko i Emma podpisała kontrakt. I to był początek końca. Producent płyty, całkiem młody gość, z głową w dredach, cały czas na haju, przyczepił się do niej i zaczął wydzwaniać bez przerwy. Wtedy nie było komórek, więc dzwonił do domu i zostawiał wiadomości na automatycznej sekretarce, a ja za każdym razem, słysząc ten słodki głosik, dostawałam szału. Facet zapraszał ją na kolacje do bardzo drogich restauracji, a ja pytałam Emmy: „Nie widzisz, że on cię chce przelecieć?”. Na co ona odpowiadała, że musi być dla niego

miła, że chodzi o płytę, to było coś, o co ona walczyła przez całe lata i nie mogła teraz tej szansy zaprzepaścić. Krótko mówiąc, żarliśmy się straszliwie. Wreszcie płyta wyszła, w jakiejś niezależnej wytwórni. Nie sprzedała się w dużym nakładzie, ale zebrała dobre recenzje, a latem zespół miał ruszyć w trasę. Miałam urlop w sierpniu, w lipcu nie mogłam z nią pojechać, a wtedy właśnie mieli najwięcej koncertów, nie było komórek, więc nie pozostało

156
mi nic innego, jak czekać w domu na jej telefon codziennie o dziewiątej wieczorem, czasami Emma dzwoniła trochę później, bo próba się przedłużyła albo szukała budki telefonicznej, w każdym razie ja to znosiłam fatalnie, chodziłam podenerwowana, nie byłam w stanie opanować dręczącego niepokoju. A potem rozmowy stały się rzadsze. Zamiast codziennie, dzwoniła co dwa, a potem co trzy dni. A potem w ogóle przestała dzwonić. Czułam jej oddalenie, jej brak zainteresowania. Kiedy w sierpniu oznajmiłam, że chętnie się z nią wybiorę na koncerty, odparła, że to niemożliwe, że nie zmieszczę się w furgonetce i że żaden inny członek zespołu nie zabiera w trasę swojej dziewczyny. I wtedy zaczęłam obawiać się najgorszego. I słusznie, bo we wrześniu dowiedziałam się, że Emma ma romans z basistką. Wkładałam jej dzinsy do pralki i znalazłam zapisaną kartkę, list miłosny od tamtej. I wtedy urządziłam nieziemską awanturę. I Emma odeszła. Ale tym razem na zawsze. Do trzech razy sztuka.

Naprawdę byłam bliska śmierci. Dowiedziałam się, że zamieszkała z basistką, i zaczęłam tam wydzwaniać, w dzień i w nocy, bez różnicy, nagrywałam się bez przerwy na sekretarkę, aż w końcu zmieniły numer. Kiedyś, jadąc autobusem, rozpłakałam się zniecka, szlochałam jak wariatka, nie mogłam się powstrzymać. Wszystkie starsze panie patrzyły na mnie zdziwione. Musiałam zamieszkać u rodziców, bo miałam wrażenie, że mój świat się rozpada. Źle się czułam, w takim stanie mogłam zrobić cokolwiek, nawet rzucić się z okna w napadzie lęku. W pracy wciąż byłam półprzytomna, często wychodziłam do łazienki, żeby nikt nie zauważył, że płaczę. Mijały kolejne straszne miesiące, schudłam prawie dziesięć kilo, nie mogłam spać... W końcu poszłam do lekarza, przepisał mi prozac i lekarstwo zadziałało. Nie udało mi się co prawda zapomnieć o Emmie, ale przynajmniej mogłam znieść jej odejście bez wpadania w panikę, bez przeżywania potwornych lęków. Wyprowadziłam się z mieszkania i postanowiłam wrócić na stałe do rodziców, nie byłam w stanie spać sama.

157

Przez cały rok kursowałam tylko na trasie praca-dom, poza tym nigdzie nie bywałam. Jeśli nie pracowałam, włączałam telewizor i godzinami leżałam na kanapie. Oglądałam w telewizji wszystko jak leci, nawet reklamy telezakupów.

A w tym czasie nastała moda na piosenkę autorską, pamiętasz, Pedro Guerra, Ismael Serrano, Javier Alvarez, Rosana Arbelo. I kiedyś włączam telewizor i widzę śpiewającą Emmę, solo, z gitarą akustyczną, a słowa piosenki brzmią tak: „Noszę na moich war-

gach ślad twoich ust", zaniósłłam się płaczem, serce omal mi nie pękło z bólu, bo ta piosenka była jedną z pierwszych napisanych dla mnie przez Emmę, na początku naszej znajomości. Tekst nawiązywał do wieczoru, kiedy się poznałyśmy, i tej pamiętnej historii ze szminką, to był rodzaj hołdu złożonego naszej miłości, chciałam do niej zadzwonić, ale nie znałam jej numeru. Miałam zamiar zadzwonić w tej sprawie do jej matki, ale jej matka nawet nie chciała by mnie wysłuchać. To zresztą mój problem: matki moich dziewczyn po prostu mnie nie znoszą, bo im się wydaje, że to ja zdeprawowałam ich córki. Na przykład matka Cristiny nawet ze mną nie rozmawia. W rozmowach z Cristiną nie używa mojego imienia, Monica, tylko mówi o mnie „ta dziewczyna, co z tobą mieszka". No więc nie zadzwoniłam do matki Emmy, choć dałabym sobie wtedy rękę uciąć, żeby znów zobaczyć Emmę, tak straszliwie za nią tęskniłam. Nie przewidziałam, że niespełna miesiąc później jej twarz pojawi się na plakatach porozlepianych w całym mieście, że jej głos słyhać będzie w każdej stacji radiowej, że jej piosenka całymi miesiącami będzie zajmować pierwsze miejsce na listach przebojów. Jak mogłam zapomnieć o mojej byłej dziewczynie, jeśli wszyscy dookoła starali się mi o niej przypomnieć?

No i nigdy o niej nie zapomniałam, to nie wchodziło w rachubę, ale z czasem ból stawał się mniej dotkliwy. Wciąż cierpiałam, ale nie płakałam w autobusach i nocami też nie. Zamiast oglądać telewizję do białego rana, czytałam. Po jakichś czterech latach od rozstania z Emmą, w centrum handlowym przy Almirante spo-

158
tkałam przypadkiem koleżankę ze studiów, jedną z tych, z którymi jakoś się dogadywałam, i powoli zaczęłam prowadzić życie towarzyskie. Chueca to już nie była dzielnica dwóch klubów, Ras i La Ola, śmieszna mieszanina ćpunów i artystów, ale regularna gejowska dzielnica, z klubami dla lesbijek, czasami wychodziłam w sobotni wieczór i szłam sobie ulicą Barbieri, obok dawnego Ras, a żołądek podchodził mi do gardła, kiedy przypominałam sobie nasze pierwsze spotkanie. Na dodatek w każdym klubie leciały jej piosenki. Emma Ponte stała się ikoną w środowisku lesbijek. Nie mogłam się od niej uwolnić, ale to paradoksalnie mi pomogło, w końcu przesyt jej osobą spowodował, że przestałam na nią reagować. Potem w jakimś klubie poznałam Cristinę i na początku bałam się kolejnego związku, a zwłaszcza z kimś na pozór tak problematycznym, no i sama nie wiem, jak to się stało, ale zakochałam się raz jeszcze. Owszem, Cristina cierpi na anoreksję, jest ode mnie dużo młodsza, sprawia wrażenie trochę odjechanej i ma okropną matkę, która mnie nie znosi, a mimo to potrafi wydzwaniać całymi dniami i grozić, że z nami zamieszka. .. Ale powiem ci, że wolę sto razy być z anorektyczką, niż być zdradzana, i to jeszcze przez biseksualistkę. Z Cristiną żyje mi się o wiele łatwiej niż z Emmą, zwłaszcza od kiedy Cristina zaczęła chodzić na tę terapię grupową. Bogu niech będą dzięki za Isaaca, jej terapeutę. Ja nareszcie czuję, że jestem kochana, koniec z depresjami. Pewnego wieczoru tańczyłam w Escape przy muzyce

Ślad twoich warg i nawet przez myśl mi nie przeszło, kto śpiewa tę piosenkę i dla kogo ją napisano. I właśnie wtedy zrozumiałam, że stawiam kropkę na końcu tej historii, że przewracam kartkę, że jestem gotowa zetrzeć z moich warg ślad jej ust, a z moich myśli wymazać jej obraz i jej imię, bo nagle uświadomiłam sobie, że ta piosenka wcale mi się nie podoba, że ma banalną melodię i śmieszny przesłodzony tekst.

A w dodatku fałszywy.

PIĘKNA DORITA

W telewizji puszczają taką głupią reklamę, w której modelka, zachwalając zalety kremu, oświadcza, że „on nie widział mnie całe lata, a mimo to rozpoznał”.

Claudia nie widziała Dority dwadzieścia pięć lat.

I rozpoznała ją.

W czasach, kiedy Dorita i Claudia chodziły do szkoły, reklama kremu brzmiała tak: „Ponds, piękno w siedem dni”. Zdaje się, że teraz reklamodawcy nie obiecują rzeczy niemożliwych, pomyślała Claudia, i nie określają z góry czasu potrzebnego, by stać się piękną. Kremy wciąż takie same, a reklamy się zmieniają. Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć? Tak, to mniej więcej tyle lat nie widziała się z Doritą.

Początkowo, kiedy ją zauważyła, nie miała pojęcia, że to Dorita. Siedząca dwa rzędy dalej kobieta zwróciła jej uwagę dlatego, że była ładna. Miała tak niesamowite, granatowe oczy, że Claudia natychmiast przypomniała sobie oczy Dority. Pomyślała: „Ależ ona jest podobna do Dority! Kurczę, przecież to ona! Nie, to niemożliwe, to nie może być Dorita”.

Ale to była Dorita.

A jej oczy nie straciły elektryzującego, granatowego blasku.

Kiedy chodziły do szkoły, w podręczniku do literatury znalazł się wiersz, którego fragment brzmiał mniej więcej tak: „Kawałek błękitu ma większą moc niż całe niebo”.

Claudia nie pamięta dalszego ciągu.

Nie pamięta autora.

160

Ale pamięta ten wiersz, bo zawsze go kojarzyła ze spojrzeniem przyjaciółki.

- Dori? Dorita?

Kobieta odwraca głowę i zaskoczona patrzy na Claudię, przesywając ją swymi niesamowitymi oczyma.

- Pamiętasz mnie? Jestem Claudia, Claudia Roman... znamy się ze szkoły.

Jej oczy otwierają się szeroko. I wreszcie blady uśmiech pojawia się na twarzy kobiety.

- Claudia! Mój Boże! Jak się cieszę! To niesamowite, to niemożliwe!

Dorita nie od razu rozpoznała Claudię, bo Claudia nie używa kremów i widać na jej twarzy czas, który minął. Problem czasu

- jego upływ i pułapki - zaprzętał ostatnio myśli Claudii, zwłaszcza gdy kiedyś zauważyła, jak kolega z pracy, chłopak młodszy od niej

o jakieś piętnaście lat, przygląda się jej z sympatią, pomyślała wtedy, że to pewnie ostatnia szansa na przelotny romans, krótki, intensywny, bez obietnic i zobowiązań, zanim Claudia ostatecznie wkroczy na drogę rozsądnej dojrzałości. Szkoda, że Claudia chodziła do szkoły prowadzonej przez zakonnice, więc chcąc, nie chcąc, pewne zasady odcisnęły się głębokim piętnem w jej podświadomości, jak ta na przykład, że dawna uczennica od zakonnice nie zdradza swojego długoletniego narzeczonego z pierwszym lepszym chłopcem, który się nawinie, a tym bardziej wtedy, kiedy lekarz potwierdza radosną nowinę i tym samym stanowi granicę pomiędzy pierwszą a drugą częścią jej życia. Oczywiście świadomość, że podziwia ją, a może nawet podkochuje się w niej chłopak, od którego jest niemal dwukrotnie starsza, sprawiła, że w Claudii rozkwitło na nowo poczucie własnej wartości, ostatnio mocno zaniedbane. Claudia nie jest posągowo piękna jak Dorita, nigdy taka nie była, ale przy Antonie czuje się młoda i śliczna. Uświadomiła sobie, że uśmiechnięta twarz Antona, jego migdałowe oczy, niewyraźne mamrotanie i nagły rumieniec popychają ją ku przepaści doznań wzajemnie się

161
wykluczających: Anton przedłuża jej młodość, z którą tak trudno jej się rozstać, ale z drugiej strony Claudia nie chce się do niego zbliżać, wie, że poddanie się tej namiętności graniczyłoby z szaleństwem. Nie chce zdradzić Isaaca, pod żadnym pozorem. Choć dzięki spojrzeniom Antona łatwiej jej znosić chwile głębokiego zwątpienia w codziennym życiu. Claudia zawsze wiedziała, że może i powinna nakarmić głodnego, napoić spragnionego, odziać nagiego, odwiedzić chorego, pomóc błądzącemu i pocieszyć wątpliwego, bo zaszczepiono jej dwa niezwykle niebezpieczne wirusy: zakonnice - katolicki światopogląd, a rodzice - wrażliwość społeczną, przekonanie, że rodzimy się po to, żeby naprawiać świat. I dlatego Claudia boleśnie przeżyła zetknięcie z twardą rzeczywistością i po pięciu latach pracy w świetlicy musiała przyznać - wbrew swej wierze - że nie tylko nie może uratować świata, lecz, co gorsza, męczy ją jałowy trud podejmowanych wysiłków. Dlatego potrafi docenić nieoczekiwane podarki losu, jak choćby te tęskne spojrzenia młodego, niespełna dwudziestopięcioletniego mężczyzny czy nieoczekiwane spotkanie z dawną koleżanką ze szkoły.

Dorita wstała i objęła przyjaciółkę. Claudia, nienawykła do wylewności, z początku oponowała, ale już po chwili dała się objąć, przytuliła twarz do twarzy przyjaciółki, otuliła się zapachem jej perfum, tanich choć mocnych, egzotycznych, o odurzającej, silnej woni kadzidła, seraju, bezsennych nocy, mięsożernych kwiatów.

- Siadaj tutaj. Musisz mi wszystko opowiedzieć... Na którym przystanku wysiadasz?
- Ramon y Cajal. Jadę do szpitala.
- Coś poważnego?
- Nie, skądże. Jakieś badania, nic ważnego. A ty?
- Torrelodones. Mieszkam tam, to właściwie już na wsi. Mamy więc trochę czasu, jakieś dwadzieścia minut.

- Nie wiem, czy dwadzieścia minut starczy, by streścić dwadzieścia lat życia...

162

Dorita tak naprawdę nazywa się Dorotea Alvarez Sierra, choć nikt nie używał imienia w pełnym brzmieniu, poza nowymi nauczycielkami, kiedy po raz pierwszy sprawdzały listę obecności. Następnego dnia wiedziały już, że cała szkoła mówi do tej dziewczynki Dorita. A przezwisko La Bella Dorita nadał jej ojciec Claudii na cześć gwiazdki, która królowała w Paralelo i jako pierwsza zaśpiewała słynną melodię z tą frazą *fumando espero al hombre que mas quiero*, później rozstawioną przez Sarę Montiel. Ojciec Claudii nigdy w życiu nie widział prawdziwej La Belli Dority, ani na scenie, ani w żadnym innym miejscu, ale słyszał to imię, choćby z ust dziadka, i ochrzcił tym mianem szkolną koleżankę córki, kiedy któregoś razu odbierał Claudię ze szkoły i spotkał przy wejściu „najśliczniejszą dziewczynkę, jaką w życiu widział”, jak wyjaśnił potem swojej żonie.

O tytuł najpiękniejszej nikt w całej szkole nie mógł współzawodniczyć z Doritą. Już w wieku ośmiu lat można było przewidzieć, że wyrośnie na kobietę niezwyklej urody: krótki, prosty nosek, pełne usta, dumny, mocny podbródek. A na dodatek oczy o granatowym odcieniu w twarzy oprawionej kruczoczarnymi lokami, przyciętymi do ramion.

To nie była twarz dziecka, lecz księżniczki, a nawet królowej. Być może dlatego jednym z najczęściej powtarzanych szkolnych żartów był ten, że Dorita, jak dorośnie, poślubi księcia Felipe. Felipe, jasnowłosy i jasnooki chłopczyk, mógł mieć wówczas tyle lat co obie dziewczynki i często pojawiał się na zdjęciach w „Hola” i „Życiu na gorąco”, przeglądanych przez matki w kolejce u fryzjera przed uczesaniem lub po nakręceniu włosów, kiedy już wkładały głowy pod suszarki podobne do kosmicznych kasków, spod których wychodziły z lokami jak u pudła. Nie wiadomo, kto pierwszy wpadł na ten pomysł, ale Claudia pamięta, że błahy żart szybko zaczęli powtarzać niczym proroctwo: Dorita, jak dorośnie, zostanie księżną, a potem królową. Claudia zostanie pielęgniarką, Ana Gómez - misjonarką,

163

Veronica Luengo - tancerką, Clara Sanchez - sekretarką, Judith Duran - fryzjerką, a Mabel Camino - matką, po prostu matką.

- Ślicznie wyglądasz. Co tam u ciebie słychać?

- Nic specjalnego, skończyłam psychologię i pracuję w świetlicy środowiskowej przy Urzędzie Miejskim, no i mieszkam z tym samym chłopakiem od wielu lat. On pracuje w tym samym ośrodku, ale nie w świetlicy. Ja zajmuję się dziećmi, a on kobietami.

- Znam go? To ktoś z naszej dzielnicy?

- Nie, gdzie tam... Poznaliśmy się na studiach, na pierwszym roku, na drugim zaczęliśmy ze sobą chodzić, a po skończeniu studiów zamieszkaliśmy razem. A ty?

- U mnie też nic nadzwyczajnego, nie wyszłam za mąż, z nikim nie mieszkam, nie mam narzeczonego ani ochoty, żeby go mieć.

Do niedawna chodziłam z jednym, ale teraz jestem sama i bardzo się z tego cieszę. Pracowałam trochę jako modelka i aktorka. Grałam, gdzie się dało, dużo w teatrze i jakieś malutkie role w filmach. Ale wiesz, jak to jest, przestali do mnie dzwonić i nagle okazało się, że nie mam pracy od pół roku i zero kasy. I pomyślałam, że warto mieć marzenia, ale w życiu trzeba też mieć pieniądze. No więc teraz pracuję w sklepie z ubraniami, takim dość snobistycznym, na ulicy Serrano, jestem szefową. To jest sklep z ubraniami w rozmiarze XXL. Robię zamówienia, sprawdzam towar... To nie jest moja wymarzona praca, ale nieźle mi płacą. No i mogę brać ciuchy za pół ceny. Daję je w prezencie mojej mamie, bo dla mnie wszystko tam jest za szerokie.

Dorita i Claudia zaprzyjaźniły się dzięki nauczycielce WF-u, bo choć chodziły od czterech lat do jednej klasy, praktycznie ze sobą nie rozmawiały, ze swoimi koleżankami tworzyły dwie odrębne grupy, które czasem spotykały się, by zagrać w dwa ognie albo w piłkę na uwięzi, albo poskakać przez linę, ale w czasie przerw najczęściej zajmowały oddzielne, ściśle wytyczone terytoria na szkolnym dziedzińcu. Trudno było dociec, kiedy i dlaczego utworzyły się te grupy, ale charakteryzowały się wysokim

164
stopniem hermetyczności, niczym wschodnie kasty, i rzadko kiedy zdarzało się, by jakaś dziewczynka zmieniała grupę i jednego dnia bawiła się w tej, która zazwyczaj sytuowała się bliżej wejścia, a następnego w tej, która okupowała teren przy ogrodzeniu.

Aż pewnego dnia nauczycielka WF-u postanowiła zorganizować biegi na dziedzińcu. Nie wiadomo, dlaczego ustaliła, że tego dnia dziewczynki będą biegać przez całą godzinę, zamiast, jak zwykle, przez dwadzieścia minut. Może była na kacu i nie chciało jej się wymyślać innych ćwiczeń, może się zakochała i pod wpływem upojnych wspomnień była na tyle rozkojarzona, że nie zdawała sobie sprawy, o co prosi swoje uczennice, to zakrawało na szaleństwo, zwłaszcza dla takich maruderów jak Claudia, nienawykłych do wysiłku przy zaledwie trzech godzinach WF-u tygodniowo - poniedziałek, środa, piątek - i to raczej wypełnionych nieforsownymi ćwiczeniami, przyjmowano bowiem, że dziewczynki mają wyrosnąć na delikatne kobiety. W końcu nie przygotowywały się do startu w maratonie. Claudia biegła na ostatnich nogach, dysząc ciężko, kiedy spostrzegła Doritę, która skorzystała z nieuwagi nauczycielki pogrążonej we wspomnieniach, a może i w drzemce, kto ją tam wie, i schowała się za kolumną, gdzie ukryta zarówno przed wzrokiem nauczycielki, jak i koleżanek spokojnie odpoczywała. Nie zwlekając ani chwili, Claudia znalazła się u jej boku.

- Co tu robisz? Nie zmieścimy się tu we dwie, zaraz nas zobaczy.

- Cicho. Jak będziesz się tak drzeć, to faktycznie nas zauważą. Nauczycielka się nie zorientowała, tak więc od tego czasu każdą lekcję WF-u Dorita i Claudia spędzały za kolumną, zabawiając się odgadywaniem kształtów chmur, rzecz jasna po cichut-

ku, tak by nikt ich nie usłyszał. Aż nadszedł ów fatalny dzień, kiedy panna Rosa przyłapała je i nie tylko wysłała do gabinetu matki przełożonej, gdzie wysłuchały znakomitego kazania, ale i wstawiła im też po dwójce z gimnastyki.

165

W ten oto sposób Dorita i Claudia zostały przyjaciółkami. Oczywiście nie zburzyły kastowego porządku. Na dziedzińcu każda bawiła się w swojej grupie, jedna bliżej wejścia do budynku, druga przy ogrodowym ogrodzeniu, ale spotykały się po lekcjach i razem szły do domu, parę ulic dalej, z tornistrami na plecach.

Aż do pamiętnej lekcji WF-u Claudia nawet nie wiedziała, że Dorita mieszka trzy bramy dalej.

- Claudia, a co słyhać u twoich rodziców? Dalej mieszkają w tym samym domu?

- Tak, i tam już pewnie zostaną... Silvia i Roberto już się wyprowadzili. Silvia jest pielęgniarką, pracuje w Anglii, w szpitalu. Wyszła za Anglika, mają dwoje dzieci. A Roberto pracuje w warsztacie, jest mechanikiem, naprawia motocykle, dobrze mu idzie. Mieszka z dziewczyną, ale się nie żeni. A twoi?

- Ojciec przeszedł na emeryturę i wyjechali do Alcorisy, wioski, gdzie mieszkała moja babcia. Kupili mały domek i żyją sobie szczęśliwie.

Claudia nie pamięta dnia, w którym umarł Franco. Widziała oczywiście nagranie, na którym zapłakany Arias Navarro oznajmia Hiszpanom i całemu światu wiadomość o śmierci dyktatora, którego agonია trwała od miesiąca. Pewnie były w szkole. Musieli im to powiedzieć w szkole, bo Claudia jak przez mgłę pamięta płaczące dziewczynki, których łzy wydały się jej równie śmieszne jak szloch innych po śmierci klauna Fofó. Nie wypadało się przyznać, że śmierć klauna jej nie wzrusza, więc Claudia milczała, ale bynajmniej nie odczuwała smutku. Fofó nie należał do jej rodziny, nigdy go osobiście nie poznała, dlaczego więc miałaby rozpaczać po jego śmierci? A tym bardziej po śmierci Franco, co miał biały tyłek, bo żona prała mu go w Arielu, a przynajmniej tak było w piosence, którą dzieciaki wyśpiewywały, grając w piłkę na pustym placu. I Claudia milczała, milczała, nic z tego nie

166

pojmując, dziewczynki wokół zanosily się płaczem, z nosa zwisały im smarki, z piersi dobywało się przejmujące łkanie.

W przypadku Claudii ta śmierć ani ją ziębiła, ani grzała. Była zadowolona, bo w szkole odwołano lekcje. Ale przestała się cieszyć, kiedy odkryła, że w telewizji zamiast Marii Luisy Seco i programu 5, 10, 15 można było obejrzeć co najwyżej kaplicę w blasku świec, smutek na twarzach osób pragnących złożyć hołd skurczonym zwłokom (w kilometrowej kolejce czekało na złożenie hołdu pół miliona osób, tak przynajmniej podała telewizja) oraz koncerty najróżniejszych requiem i innych, równie podniosłych, pogrzebowych kompozycji.

Siostra Claudii nie płakała. Wręcz przeciwnie, wyglądała na

zachwyconą. Ojciec również zdawał się być w wyśmienitym humorze.

W czasie obiadu wzniesiono toast.

- Nasze zdrowie! - odezwał się uradowany ojciec.
- Bogiem a prawdą wcale się nie spieszył - zauważyła najstarsza siostra, Silvia: dwudziestoletnia, długie proste włosy, wąskie spodnie i sweter z golfem.
- Owszem, ale lepiej późno niż wcale... - To ciocia Trini, sąsiadka z tej samej klatki, daleka kuzynka mamy: utapirowane włosy, obcisły sweterek z lycry, ogromne plastikowe klipsy.
- Owszem, ale w tym przypadku było już bardzo późno - włączył się szesnastoletni brat, Roberto: twarz w pryszczach i fryzura a la Leif Garrett.

I wreszcie głos matki:

- Nie mówcie o tym przy małej, jeszcze powie coś przy zakonnicach, a wiadomo, z jakiej one gliny ulepione.

Zdanie „nie przy małej, proszę” stanowi coś na kształt refrenu, który znaczył takty wczesnego dzieciństwa Claudii. Przy stole ojciec często mówił o polityce, wtedy matka szturchała go łokciem i znacząco spoglądała na młodszą córkę. Nie przy małej. Jak wspominali o stryju Anderze, który siedział w więzieniu,

167

padaly te same słowa: „Nie przy małej”. Claudia wciąż pamięta burzę, która rozpetala się, kiedy matka złapala ją, jak na całe gardło śpiewala: Na barykady, na front, niech zwycięzy Konfederacja.

- Dziecko! Co ty wyśpiewujesz!?
- Silvia mnie nauczyła.
- Silvia! Jakich ty piosenek uczysz małą? Idź do diabła z takimi pomysłami! Nie widzisz, że mała to potem śpiewa, gdzie popadnie, i jeszcze jej się wyrwie przy zakonnicach? Pomyśl trochę, proszę. Warto podkreślić, że Claudia nie wiedziała, co znaczą słowa barykady, front ani tym bardziej Konfederacja, i nauczyła się tej piosenki tylko dlatego, że Silvia umierała ze śmiechu za każdym razem, kiedy Claudia, będąc w wieku, w którym pociesznym zachowaniem rozpaczliwie próbowała zwrócić na siebie uwagę, intonowała pieśń.
- Spotkałaś potem jeszcze kogoś z naszej klasy?
- Nie, skądże... Nikogo. Chociaż nie, widziałam Mabel Camino, jak kiedyś odwiedzałam rodziców w ich starym mieszkaniu. Strasznie przytyła, dopiero jak się do mnie odezwała, to ją rozpoznałam, choć z trudem. Mieszka w domu po rodzicach.
- Mabel Camino? Imię coś mi mówi, ale twarzy nie kojarzę.
- Taka brzydka blondynka.
- Aha, to już wiem która. Nie przepadałyśmy za sobą...

Dwudziestego drugiego października Claudia nudziła się w domu i poszła pobawić się do parku. Doskonale pamięta tamtą scenkę, nie umie wymazać jej z pamięci: Mabel Camino, przyszła Matka przez duże M, kroczy za rękę z dziadkiem, w czarnym płaszczku (uszytym albo kupionym specjalnie na tę okazję, jak przypuszcza Claudia, bo w owym czasie ośmioletnie dziewczynki

nie chodziły w czarnych płaszczkach, ten kolor oznaczał żałobę i nie pasował do dziecka, przynajmniej tak było aż do lat osiemdziesiątych) i czarnej kokardzie, podążając, jak się później okazało, do koleжки w kaplicy wypełnionej płonącymi świecami.

168

W parku nie spotkała żywej duszy. Może obawiano się zamachu stanu czy czegoś w tym rodzaju, tak czy inaczej wystraszeni dorośli bali się wysyłać dzieci na plac zabaw. Zniechęcona Claudia udała się do Dority...

- Może lepiej posiedziałybyście spokojnie w domu, co? - zaproponowała mama Dority, która urodą niemal dorównywała córce, choć nie do końca, bo i lata, i kilogramy zaważyły na jej wyglądzie.

- Claudio, zadzwonię do twojej mamy, pewnie się o ciebie martwi. Powiedziałaś jej, że wychodzisz się pobawić?

- Oczywiście, że tak.

- No dobrze, tak czy inaczej zadzwonię. Podasz mi numer?

Claudia wyglądała na mocno zdziwioną. Telefon podłączono im niedawno i rzadko z niego korzystali, był dosyć drogi. Do niej samej nikt nie dzwonił, więc nie miała potrzeby uczyć się numeru na pamięć.

- Nie przejmuj się, zaraz sprawdzę w książce.

Dorita miała swój pokój, i to stało się powodem niezdrównej, zżerającej Claudię zazdrości. Ona musiała dzielić pokój z Silvią, a Robert spał na kanapie w jadalni. Jadalnia była dość spora, wieczorem zasuwano harmonijkowe drzwi i część jadalni przestaczała się w sypialnię brata, a rozłożona kanapa stawiała się łóżkiem.

Do tego wszystkiego Dorita posiadała całą kolekcję lalek: Baby Macosete, Barriguitas i trzy Nancy, aż trzy, nie jedną: blondynkę, szatynkę i brunetkę.

Spędziły cały rano na ubieraniu i rozbieraniu Baby Macosete i czesaniu trzech Nancy, aż wreszcie Claudia nie wytrzymała i wyjawiała swoją straszliwą tajemnicę:

- Dorita, muszę ci coś powiedzieć. - Dorita uniosła granatowe oczy znad fartucha pielęgniarki, w który właśnie ubierała blond Nancy. - Ale musisz mi przysięgnąć, że nikomu o tym nie powiesz.

- Przysięganie to grzech.

169

- No to mi przyrzeknij. Ale jeśli tylko przyrzekasz, to na coś bardzo ważnego. Na Baby Macosete.

Baby Macosete była bardzo drogą lalką, która siusiała i smarowała, więc niewiele dziewczynek dostąpiło szczęścia posiadania owego skatologicznego cudu, stanowiła zatem wystarczająco cenny skarb.

Dorita skrzyżowała palce, uniosła je do ust i pocałowała.

- Przyrzekam.

Nachyliła się do jej ucha i szeptem, jak nakazuje rytuał przy wyjawianiu sekretów, oznajmiła:

- U mnie w domu wcale się nie martwią. Franco umarł,

a u mnie się nie martwią.

Przyszła kolej na Doritę.

- Tu też nie - oznajmiła po cichu do ucha przyjaciółki. - Wcale się nie martwią, są zadowoleni.

A potem dalej mówiła szeptem, ale już nie do ucha.

- Prosimy, żebym o tym nikomu nie opowiadała, ale wypili butelkę szampana, jak na Boże Narodzenie, ale nikomu o tym nie mów, a ja nie powiem nikomu tego, co mi mówiłaś.

Oczywiście Claudia skrzyżowała palce i ucałowała krzyżyk.

- No tak, ty nie przepadałaś za większością dziewcząt. Niezły miałaś charakterek... Ale to nic złego, ja cię podziwiałam, strasznie ci zazdrościłam.

- Daj spokój, w tej szkole trudno było kogoś polubić, wszyscy byli jacyś dziwni. Całe szczęście, że potem poszłam do liceum i szesnaście lat skończyłam w innym miejscu, tam bym nie wytrzymała. Pamiętasz, jaka byłam...

- A ja zostałam... Jakoś przeżyłam.

- No pewnie. Przecież ty uczyłaś się o wiele lepiej ode mnie.

- Nieprawda... ja się po prostu nie awanturowałam. Trzymałam się raczej na uboczu, to wynikało chyba z mojej nieśmiałości.

170

Wracały z wycieczki. Pewnie z Navacerrady albo z doliny rzeki Alberche, zazwyczaj tam bowiem organizowano im pikniki.

Wsiadały do autokaru, każda z plecakiem, do którego zapakowała wcześniej plastikowe pudełko (w środku znajdował się najpewniej kawałek tortilli), kanapkę owiniętą w papier (folii aluminiowej nikt jeszcze wtedy nie używał), bidon z wodą (nie wymyślono jeszcze puszek z napojami orzeźwiającymi, bidon musiał wystarczyć), pomarańcze albo mandarynki, torebkę kukurydzianych chrupków albo ziemniaczanych prażynek, sztućce oraz serwetki (z płótna, serwetki papierowe nie były jeszcze w powszechnym użyciu). Autokar podwoził je na łąkę, parkował, dziewczynki wychodziły, jadły, kierowca drzemał w cieniu, dzieci biegały, bawiąc się w policjantów i złodziei, w dwa ognie albo piłkę na uwięzi, niektóre chlapały się w rzece, no i czas było wracać do domu. Claudia zastanawiała się, czy to możliwe, że dzień wycieczki był najbardziej wyczekiwany dniem w całym roku szkolnym, bo jeśli spojrzeć na to z dzisiejszej perspektywy, to widać dokładnie, że taka wycieczka nie była niczym nadzwyczajnym.

W autokarze śpiewały popularne piosenki: Gdzie strumyk płynie z wolna, rozsiewa zioła maj... albo: Pieniądze kto ma, ten jada czekoladę, a kto pieniędzy nie ma, ten jada marmoladę... Czasami próbowały zaśpiewać coś nowszego: Srebrzysta źródłana woda, niewinna, czysta i młoda... ale zakonnice gwałtownie protestowały. Claudii marzyło się zanucić piosenkę Tozziego: Rzucam monetą, wiesz, że cię kocham, jeśli wypadnie reszka, znaczy, że twoja miłość umarła, a ja wciąż przecież cię kocham... ale tego nie mogły śpiewać, nawet nie próbowały, ta pornograficzna piosenka szokowała nawet ich matki, a więc tym bardziej zakonnice uznałyby jej

słowa za skandaliczne: Przy tobie jestem prawdziwym mężczyzną, nasze łóżko płonie ogniem mej duszy, drzę, czując twoje piersi, motylu mój, kiedy się kochasz, twe skrzydła omdlewają, ja, przyobleczony w odwagę, proszę cię, byś choć trochę wzbraniała się przed miłością,
171

spokojem tamowała szaleństwo... Niewinna Claudia, której usta nie posmakowały jeszcze pocałunków, uwielbiała tę piosenkę! Albo tę: Przyznaję, że najlepszą twoją przyjaciółkę w ramiona brałem, w jej oczach czytałem: weź mnie... albo jeszcze inną: Powoli suknię z ciebie zsuwałem, palec na ustach położyłaś mi, wzdychałaś, teraz brakuje mi ciebie, obejmij mnie mocno, przyjaciółko, sprawdźmy, czym jest miłość... czy wreszcie tę, równie jednoznaczną: Miłości moja, cudzołożna, miłości największa, rozpieszczona dziewczynko, zamykaj drzwi i posłuchaj; ty albo nic... właściwie o tej nawet nie śmiały pomyśleć, bo piosenka, w której pojawia się słowo „cudzołożnica”, to coś o wiele bardziej gorszącego niż tylko uprawianie miłości. Claudia zachwycała się tymi piosenkami, których dziewczynki nie śmiały śpiewać w czasie powrotu z wycieczki. Natomiast te wszystkie stokrotki, maje i czekolady potwornie ją nudziły. Spoglądała przez szybę na mijany krajobraz, a w uszach zadzwiewała piosenka:

- Twarzą ku słońcu w nowej koszuli, którą wyszyłaś wczoraj czerwienią...

Piskliwy głos Mabel Camino górował nad resztą. Zdaniem Claudii ta piosenka była równie nudna jak ta druga: Ośnieżone szczyty gór, łopot flagi, spokój w duszy, czy wreszcie ta, triumfalna: Kiedy burza rozpętuje się i w mej duszy huragan huczy, wspominając twe władcze spojrzenie, stawiam czoło morskim falom nieustraszenie, bo wszystkie brzmiały zbyt podniośle, niczym hymny i nie było w nich ani słowa o uprawianiu miłości, oddawaniu się, miękkiej pościeli, zdradzie i całej reszcie.

I nagle Dorita, wściekła, podnosi się z siedzenia i krzyczy do dziewczyn:

- Tej piosenki już się nie śpiewa, mamy demokrację! Nie dotarło to do was, faszystki?! Demokrację!!!

Claudia nie do końca rozumiała znaczenie słowa „faszysta”, choć wiedziała, że to raczej ciężka obelga, bo kiedyś Silvia nazwała tak ojca, który zrobił porządną awanturę, gdy córka wróciła do

172

domu o północy, co ojciec skwitował tymi słowami: „Nie do wiary, smarkuła nazwała mnie faszystą. Mnie! Tego tylko brakowało...”.

I dlatego Claudia zdziwiła się, słysząc odpowiedź Mabel Camino:

- Jestem faszystką i jestem z tego dumna. Dzięki Bogu!

- Po prostu jesteś głupia, dziecino, głupia jak but. - Pewnie Dorita powiedziałaaby coś jeszcze, ale w tej właśnie chwili pojawiła się nauczycielka i stanęła między nimi.

- Alvarez i Camino, dosyć! Żadnych kłótni w autokarze albo za karę przyjdziecie w sobotę do szkoły. Zrozumiano? Od tej pory ma tu być spokój.

I dla przykładu zaintonowała po raz enty przeklętą piosenkę

o stokrotce. Claudia zdążyła pomyśleć, że od zawsze śpiewały na wycieczkach piosenkę o twarzy w słońcu i nowej koszuli, którą dziewczyna ozdobiła czerwonym haftem, i do tej pory nikomu to nie przeszkadzało. Jej co prawda ta piosenka nigdy się nie podobala, poza tym nie znała całego tekstu, ale też nie bardzo rozumiała, co wspólnego ma demokracja z tym, czy się ją śpiewa, czy nie. A przede wszystkim to nigdy za dobrze nie wiedziała, o co w tej piosence chodzi, bo na pewno nie o miłość, zwłaszcza w tym wersie: z niewzruszoną twarzą oni wciąż żyją w naszych wysiłkach. To przecież nie miało sensu, powinno być: Z niewzruszonymi twarzami wciąż żyją w naszych wysiłkach. Piosenka nie dość, że brzydka, to jeszcze niepoprawnie napisana. Chętnie zapytałaby o to Doritę, w końcu jednak tego nie zrobiła, bo wkurzało ją, że Dorita, zresztą nie po raz pierwszy, zna się na sprawach dorosłych, wie na przykład, co to jest cudzołożnica albo dlaczego piosenka Umberta Tozziego uchodzi za pornograficzną.

- Pamiętasz, jak w szkole mówiło się, że wyjdiesz za księcia? Letizia cię ubiegła, co?

- Oj, nawet mi nie przypominaj... Kiedyś powiedziałam o tym w domu i ojciec o mało nie dał mi po buzi. Nie uderzył mnie, nigdy mnie zresztą nie uderzył, ale potwornie się rozgniewał.

- Dlaczego?

173

- No cóż, to stara historia, dotyczy rodziny mojego taty.

- Byli republikanami?

- Tak, w ich rodzinnej wiosce, w Alcorisie. Miejscowy przywódca Falangi, lokalny kacyk, dogadał się z ewangelickim pastorem, szują bez krztyny chrześcijańskiego miłosierdzia, niejakim donem Domingo, który dużo gadał o miłości bliźniego i poświęceniu i bez skrupułów wydał rodzinę dziadka, wszyscy mieszkali wtedy w jednym domu, no i falangiści zabrali wszystkich braci. Zostawili tylko babcię, ale męczyli ją przez wiele dni, garściami wyrwali włosy z głowy. Miała na imię Dorotea, to po niej tak się nazywam. Nikt tak do mnie nie mówi, wszyscy nazywają mnie Dora. No i tę nieszczęsną Dorotę oczywiście zgwałcili. Zaszła w ciążę, ale usunęła, pomogła jej w tym wiejska znachorka.

- Straszna historia.

- No właśnie... Po tym wszystkim moja babcia Dorotea przyjechała do Madrytu, pracowała jako służąca i w końcu wyszła za mąż za dziadka. A dziadek też pochodził z republikańskiej rodziny, jego starszego brata zesłano na roboty przymusowe do doliny Erronkari, w Nawarze, tam zmarł z głodu albo z wyczerpania. Rodzina dowiedziała się o jego śmierci po latach, opowiedział im jeden z tych, którzy przeżyli, skoro jednak nie znaleziono grobu, rodzina nie mogła wystąpić o odszkodowanie.

- Nieźle.

- No właśnie. Więc nietrudno zgadnąć, że mój ojciec nie uciekł się specjalnie na wieść, że wyjdę za księcia Felipe. Przełknął szkołę u zakonnic, bo publiczna podstawówka znajdowała się o wiele dalej, no i ta szkoła u zakonnic była dość tania, gdyby

nie to... Ale kiedy przyszedłam do domu i obwieściłam, że wyjdę za Felipe, tego już nie wytrzymał. Dlatego po podstawówce przepisali mnie do publicznego liceum, które cieszyło się opinią postępowej szkoły.

- A oni tobie to wszystko opowiadali? Przecież byłaś małą dziewczynką!

174

- Nie, skądże znowu. Dowiedziałam się o wszystkim, kiedy ojciec zapisał się do stowarzyszenia rodzin republikańskich, chciał odszukać ślady po zaginionych przodkach, zwłaszcza grób stryjeczno dziadka, tego, który został wysłany na roboty przymusowe, a tam wpadł na trop całej tej zawiłej historii. O usunięciu ciąży przez babkę dowiedział się dopiero wiele lat po jej śmierci. Dowiedział się z książki, niezłe, co? Okazało się, że znachorka z tamtej wsi spisała swoje wspomnienia, choć wcale nie chciała ich publikować. Wstrząsające. Opisała, jak usuwała ciążę wszystkim kobietom z okolicy, używając w tym celu ruty i pietruszki, do czasu, kiedy jedna z kobiet złożyła donos i znachorkę zamknięto w więzieniu. I kiedy wyszła, postanowiła wydać książkę. Ktoś ze stowarzyszenia przesłał ją ojcu, bo opisano w niej historię dziadka.

- To ci dopiero historia.

- No właśnie. Ojciec jest już na emeryturze i przymierza się do spisania dziejów rodziny. W tym domu, w Alcorisie, nie ma specjalnie nic do roboty... Uważaj, następny przystanek to Ramon y Cajal, musisz wysiąść. Strasznie szybko ten czas minął. Jakie to badania?

- Nic ważnego, bzdura. Rutynowe.

- No to mam nadzieję, że nie wyjdzie nic groźnego.

- Może się jeszcze spotkamy?

- Oczywiście, zaraz ci zapiszę swój telefon.

Bazgroli coś na karteczce i podaje Claudii, która śpieszy się do wyjścia. W powietrzu unosi się zapach perfum Dory, a w ustach zostaje niezbyt fortunne „żegnaj”.

Na peronie Claudia mija się z wysokim Murzynem, ma wrażenie, że to Ferba, ojciec Mahamuda. Już ma się go zapytać, czy może idzie do szpitala albo stamtąd wraca, czy mają jakieś rodzinne kłopoty, czy jakoś może mu pomóc, ale trochę się obawia, że strzeli gafę, kiedy okaże się, że wzięła wysokiego przystojnego Murzyna za innego wysokiego przystojnego Murzyna, co już się jej zdarzyło parę razy. Przed kilkoma dniami, na przykład.

175

Wysoki, przystojny Murzyn przyszedł odebrać Mahamuda i dopiero, kiedy malec wychodził z nim za rękę, Ketii zorientowała się, że ten wysoki przystojny mężczyzna nie jest ojcem chłopca. Ketii nie chciała wypuścić dziecka, bo przepisy wyraźnie mówią, że żaden dorosły bez upoważnienia nie może odbierać dziecka ze świetlicy. „Parę razy się zdarzyło - wyjaśniała Claudii - że po dziecko przyszedł ojciec i okazywało się, że ma sądowy zakaz zbliżania się do dzieci, bo wcześniej na przykład je bił i miał zamiar porwać dziecko. Nie ma mowy - upierała się grubaska

- nie wydaj panu Mahamuda". A Mahamud wyjaśniał: „Przecież to jest Ismael, on pracuje w sklepie u mojego taty”. „Ja go znam - włączył się Anton. - On chodzi z moją koleżanką, Susaną, i naprawdę pracuje w sklepie”. Na dodatek Ismael nie za dobrze mówił po hiszpańsku i nie bardzo rozumiał, dlaczego nie może zabrać chłopca. W końcu udało się dodzwonić do Ferby, a ten wyjaśnił, że nie mógł odebrać dziecka, bo żona miała jakiś problem w rozmównicy telefonicznej i musiał jej pomóc. Może ta kobieta nagle zachorowała, może straciła przytomność, zemdląła i dlatego Ferba odwiedza ją w szpitalu i czeka, aż zrobią żonie wszystkie badania, zastanawia się Claudia. Mahamud w końcu poszedł z Ismaelem, a Claudia zapytała Antona: „A ta twoja koleżanka, od dawna z nim chodzi?”. „Nie, od niedawna, można powiedzieć, że od wczoraj. Pokłóciła się ze swoim narzeczonym, z Silviem, i zaczęła chodzić z nowym chłopakiem. Sonia, moja koleżanka, twierdzi, że ten Murzyn chodzi z Susaną, bo chciałby się ożenić i mieć papiery. Tylko że z tej Soni to jest niezła zołza, strasznie złośliwa i na wszystkich narzeka”.

To samo zdarzyło się, kiedy Salima przyszedł odebrać Yamal Benani. Przystojny, elegancki, dobrze ubrany mężczyzna... Wyjaśnił, że Amina nie mogła przyjść, a on jest przyjacielem ich ojca. I znowu Anton, który chyba zna wszystkich w okolicy, wiedział, kim jest nieznajomy. „To jest ten sławny malarz, czasami występuje w telewizji, jest właścicielem Płonącej Tawerny... 176

Teraz kręci coś z Zołzą, to znaczy z Sonią, wiesz, opowiadałem ci o niej niedawno, tej, co na wszystkich narzeka, pamiętasz?”. Więc znów zadzwonili do ojca, który potwierdził, że pozwala temu człowiekowi odebrać chłopca ze świetlicy. Claudia pamięta, że na widok malarza dostała ataku gorączki, czuła się tak, jakby nieznana mroczna siła chciała porwać ją do innego świata, w którym nie istniałby Isaac, zobowiązania, współczucie, lojalność; świata, w którym własna przyjemność liczyłaby się bardziej niż cudzy ból. Miała wrażenie, że dostrzega błysk pożądania, a może coś na kształt zachęty w oczach Araba. I poczuła, jak dziecko w jej łonie poruszyło się gwałtownie. Choć Claudia wiedziała doskonale, że ciężarna kobieta nie jest w stanie poczuć ruchów płodu przed końcem czwartego miesiąca. Dziwne - pomyślała. - To chyba jakieś czary. I przypomniała sobie, że Isaac opowiadał jej o Marokańczykach i o sihr. I o Aminie, jednej z pacjentek Isaaca, która uważa, że rzucono na nią zaklęcie. Jeśli o mnie chodzi, to ten facet oczarowałby mnie z łatwością, pomyślała Claudia i przestraszyła się swoich myśli, poważnych wątpliwości co do życia, które - jak jej się zdawało - sama wybrała, a które teraz napawa ją lękiem, poczuciem bezradności w obliczu codziennych spraw i świadomością, że na obecnym etapie jej życia dawno już przestała odgrywać jakąkolwiek rolę dzielnica, w której dorastała, szkoła u zakonnic, mundurki i dziewczęce zazdrości. W jej życiu nie ma już miejsca na żadną Doritę ani nawet na jej wspomnienie, ani na piosenki z dawnych czasów,

bo w rytmie tych melodii pożegnała się z dzieciństwem. Miłości moja cudzołożna... Ona nigdy nie zdradzała, choć teoretycznie i tak by nie mogła tego uczynić, bo przecież nie miała ślubu z Isaakiem. Zawsze była mu wierna. I naraz biegnie myślami do Antona, do jego szczenięcych spojrzeń, do fantazji, w których gładzi jego jasne loki. To zdarza się bardzo często, zbyt często, tak często, że Antonowi trudno byłoby w to uwierzyć. Ale świat nie jest stworzony z wytworów fantazji, tylko z rzeczy realnych.

177

Claudia wie o tym najlepiej, bo każdego dnia staje twarzą w twarz z tymi najgorszymi, tymi, które skrywa się w czterech ścianach, których nie można oglądać w telewizji. Zapewne dlatego tak kurczowo złapała się Isaaca, choć często, bardzo często - tak często, że Isaacowi trudno byłoby w to uwierzyć - działa jej na nerwy wysoki, pełen entuzjazmu ton głosu, którego Isaac używa przy próbach rozwiązywania konfliktów, i jest to ten sam ton, którego używa podczas zajęć terapeutycznych, a którego brzmienie przywodzi na myśl rozmowę z małym dzieckiem. I mimo to, że ciało Isaaca nocą w łóżku stanowi dla niej bardziej przeszkodę niż zachętę.

Isaac chrapie, wierci się, a ona nie może zasnąć. Teraz kochają się już tylko w sobotnie noce i kiedy Isaac dyszy nad nią niczym podniecony szczeniak, myśli Claudii podążają swoimi ścieżkami, choćby ku kędzierzawej czuprynie Antona albo ku jego ciału, które według jej wyobrażeń znajduje się pod obcisłą koszulką, noszoną przez Antona wzorem wszystkich chłopców w sąsiedztwie. Ale jest już za późno, by planować rozstanie z Isaakiem, akurat teraz nie może go zostawić.

Claudia ostrożnie składa kartkę, na której Dora zapisała swój telefon, i chowa ją do portfela. Wciąż czuje w nozdrzach, a może tylko tak sobie wyobraża, intensywny zapach mięsożernego kwiatu. Nie ma pojęcia, czy zadzwoni do Dority, czy raczej Dory, jak ją teraz wszyscy nazywają. Nie spotykały się od wielu lat. Przestały wracać razem do domu po lekcjach i choć Dorita mieszkała trzy bramy dalej, Claudii nigdy nie przyszło do głowy, żeby zadzwonić do tamtej bramy i zaprosić Doritę do wspólnej zabawy. Tamta już się nie bawiła. Miała chłopaka w czasach, kiedy Claudia nawet nie nosiła jeszcze biustonosza. Widziała ją kiedyś, przypadkiem, przez okno autobusu, i jej dziecięca świadomość poczuła głębokie zawstydenie w obliczu porażającej urody Dority. Poczuli się odrzucona, a nawet zazdrosna. To prawie niemożliwe, że już nigdy później się nie spotkały, skoro ich mieszkania dzieliły trzy

178
bramy, ale rzeczywiście tak się stało. Potem Claudia zmieniała dzielnicę, tryb życia, zainteresowania, a nawet wspomnienia, i wymazała z pamięci Doritę, która stała się obcą osobą, kimś, komu nie masz ochoty powiedzieć, że idziesz do szpitala na USG.

A może nie chcesz tego powiedzieć, bo właśnie opowiedziano ci, jak usunęła ciążę kobieta tak wspaniała, że jej syn uznał za stosowne nadać imię matki własnej córce, nawet ze świadomością, że

wyszło z mody i wszyscy tak czy siak będą nazywać małą jakimś zdrobnieniem, choć znaczenie pełnego imienia jest tak piękne.

Dorotea.

Dar Boga.

„Dora, Dora, Dora, to takie ładne imię dla dziewczynki...”.

Podarek.

Najpiękniejszy podarek, jaki kiedykolwiek jej sprawiono.

SIHR

Gdyby jakaś kobieta minęła go tego popołudnia na ulicy Tribu-lete, zatopionego w myślach, sam na sam ze swoim cieniem i swoją chimera - Isaac jest żarliwym czytelnikiem poezji Machado, podobnie jak Anton, to podobieństwo niezwykle rozbawiło Claudię - nie przemknęłoby jej przez głowę: „kurczę, ale przystojniak” ani: „ale fajny facet” czy choćby zaprawione nutą smutku: „brzydka, ale coś w sobie ma”. Co gorsza, taka hipotetyczna kobieta pewnie by go nawet nie zauważyła, nie poświęciłaby mu ani jednej przelotnej myśli. Bo Isaac jest mężczyzną straszliwie przeciętnym, chuderlawym, słabowitym, niczym się niewyróżniającym, o nieatrakcyjnej - nawet ze względu na oryginalną brzydotę - twarzy. I jeśli nie stał się klasycznym przykładem brzydala z niewybrednych żartów, to zawdzięczał to jedynie bystrym kocim oczom, ukrytym za szklami okularów, dwóm - rozświetlonym nadzieją - punktom na wychudzonej twarzy, z której sterczy pozbawiony wdzięku orli nos, nad wąską linią ust, czasem zaciśniętych w grymasie zmartwienia, tak że niemal nie można dostrzec ich kącików, czasem rozciągniętych od ucha do ucha w uśmiechu, który upodabnia Isaaca do gada, podobnie jak ostry podbródek, wystające kości policzkowe, surowe, wysokie czoło i nieznacznie zielonkawo cera. To pierwsze nieprzyjemne wrażenie łagodzą już po chwili znajomości miły, niemal kobiecy głos i nienaganne manieri. To wszystko oznacza, że Isaac nie jest facetem, który cieszyłby się powodzeniem u kobiet (ani, skoro już o tym mowa, u mężczyzn). Czasami zastanawiał się, czy nie wybrał swojego zawodu

180

właśnie po to, by zdobyć ich uwagę, podziw, a nawet posłuch.

Przeczytał coś na ten temat u Alice Miller, która wyjaśniała w jednej z książek, że większość terapeutów decyduje się na ten zawód z dwóch powodów: albo dlatego że w dzieciństwie zmuszeni zostali do przejścia funkcji rodzica i od małego ich głównym zadaniem stały się próby rozwiązywania problemów ich matek, albo też dlatego że w głębi duszy pragnęli zwrócić na siebie uwagę i zostać wysłuchani. Rzeczywiście Isaac znał osobiście - niestety - paru psychologów, którzy wydawali się o wiele bardziej niezrównoważeni niż którykolwiek z leczących się u nich pacjentów, a w czasie swej ponaddziesięcioletniej praktyki miał okazję trafić na różnych megalomanów, którzy niczym guru na czele sekty przewodzili swojej grupie pacjentów.

A tego słonecznego popołudnia Isaac zastanawiał się właśnie, czy jego obsesyjne pragnienie opublikowania artykułu w czasopiśmie „Zdrowie na świecie” nie nosiło przypadkiem znamion

uzależnienia, czy naprawdę płynęło tylko ze szlachetnych pobudek, czyli próby przybliżenia rewolucyjnej teorii, stworzenia podwalin nowego ujęcia w dziedzinie psychologii.

Isaac kochał swoją pracę, ale jednocześnie często czuł skrajne wyczerpanie. Gdzieś wyczytał, że pracownik socjalny po przepracowaniu średnio trzech lat prosi o zwolnienie z powodu ogarniającej go depresji. Czasami i on miał ochotę zrobić to samo. Wiedział doskonale, że nigdy nie wolno mu opuścić maltretowanej kobiety, że nawet jeśli jego pacjentka zechce znów zamieszkać ze swoim katem, terapeuta powinien zawsze przy niej stać, nie osądzać, nie potępiać, być punktem oparcia, dającym pewność, że zawsze istnieje wyjście z tej matni, jeśli tylko kobieta postanowi wykorzystać taką możliwość. Tak mówi teoria. W praktyce trudno było się do niej stosować: w każdy poniedziałek przychodził na spotkanie ze swoją grupą kobiet, a one opowiadały prawdziwie przerażające historie (on mnie lekceważy, wyzywa, krzyczy, grozi, bije) i były przekonane, że pragną zmienić swoje

181
życie, a potem znikwały w piątek i nie dawały żadnego znaku, a po mniej więcej miesiącu pojawiały się z tą samą albo jeszcze gorszą historią. Rozmowy z Isaakiem ani praca z grupą nie przynosiły widocznego rezultatu. Kobiety przychodziły, wyzalały się, robiły z siebie męczennice i wracały do swoich facetów. Nie wspominając o tych, które zwyczajnie kłamały. Jak ta, która wymyśliła, że mąż ją bije, bo chciała pozbawić go praw rodzicielskich, po tym, jak on zostawił ją dla innej; druga, rozgadana, podejrzliwa, rozkojarzona i podenerwowana byle bzdurą, utrudniała prowadzenie zajęć w grupie; kolejna, która pojawiła się w schronisku siedemnastego grudnia i zniknęła ósmego stycznia, wiedziała doskonale, że pomoc społeczna organizuje tu kolację wigilijną, bożonarodzeniowy obiad i śniadanie z tradycyjną struclą w święto Trzech Króli, a z tych wszystkich okazji rozdaje dzieciom prezenty (Isaac pamięta, jak dzieci opowiadały, że „Mama spotyka się codziennie z naszym tatą, czasem nas zabiera ze sobą, żebyśmy też się z nim zobaczyli”); czy wreszcie imigrantka, która dostała obywatelstwo, wychodząc za jakiegoś jelenia, a potem złożyła doniesienie o rzekomym maltretowaniu, zapewniając sobie tym samym stałe zameldowanie w mieszkaniu męża, które on, jako sprawca przemocy, musiał opuścić. Oczywiście prawo służy temu, by je omijać, i zawsze znajdują się ludzie, którzy oszukują ubezpieczenie społeczne, na przykład kobiety, które składają fałszywe zeznania, ale z tego powodu nie można przecież zlikwidować ubezpieczenia, nawet jeśli jakiś głupek postuluje, że należy zmienić prawo do ochrony przed przemocą. Isaac zna kilka przypadków składania fałszywych zeznań, ale najczęściej styka się z czymś wręcz przeciwnym: kobieta, która jest ofiarą przemocy, nie chce złożyć doniesienia. Na prowadzoną przez niego grupę wsparcia przychodzą różne kobiety. Część trafia tu skierowana przez opiekę społeczną, część pochodzi ze schronisk dla ofiar przemocy w rodzinie. Są też takie jak Cristina albo Esther (jedyne Hiszpanki w tej grupie), które pojawiają się regularnie w każdy poniedziałek, środę i pią-

tek. Tych jest w grupie najmniej. Większość przychodzi na dwa,
182

trzy spotkania, a potem znika bezpowrotnie. Reszta kobiet pojawia się i znika, a ich historie są do siebie podobne: domowi tyrani udają żal i kają się w egzaltowany, teatralny sposób. Po pijatykach i bijatykach w domowym zaciszu nastaje spokój, płyną płomienne obietnice w potokach łez i westchnień, mocne postanowienie poprawy wypowiedziane stanowczym tonem i gorące miłosne wyznania. A naiwne kobiece serce mięknie, po raz kolejny dając wiarę słowom skruchy chłopaka czy męża, do czasu, kiedy następuje zwrot akcji i mężczyźni znów piją i biją, a kobiety wrzeszczą, że to się musi skończyć, choć gdy przyjrzeć się temu głębiej, nietrudno odnieść wrażenie, że one pragną, by ten stan rzeczy trwał do końca życia. Isaac zastanawia się nad tym i dochodzi do wniosku, że kobiety z tej dzielnicy wierzą kłamstwom, bo zbyt mocno ich pragną, bo chcą usłyszeć coś miłego, romantycznego, coś, co stanowi jedyną ośłodę pieskiego życia, długich godzin pracy, nieumiejętnie skrywanej pogardy w spojrzeniach pasażerów w metrze.

Dlatego przypadek Aminy tak bardzo go zaintrygował - różnił się od innych. Przekonanie Aminy, że została poddana mocy czarów, nadawało sprawie zupełnie nową perspektywę. Możliwe, że zainteresował się Aminą także z powodu jej urody, trudno zaprzeczyć, że to była najpiękniejsza z kobiet w jego grupie. Terapeuta jako pierwszy winien rozpoznać najgłębsze motywy swojego postępowania, toteż Isaac nie zaprzeczał, że na początku przykuły jego uwagę oczy Marokanki, a dopiero potem jej historia. Niewykluczone, że gdyby tę samą opowieść usłyszał od otyłej brzyduli, której oczy nie lśniłyby aksamitnym blaskiem i nie kryły w sobie obietnicy innego, tajemniczego i niedostępnego świata, bolesnego zachwyty, to myśl o opublikowaniu artykułu nawet nie przysłaby mu do głowy. Musiał też się przed samym sobą przyznać, że do jego napisania pchało go pragnienie sławy, chęć odegrania znaczącej roli, potrzeba bycia zauważonym i docenionym. Isaac potrzebował, by go podziwiano.

183

Przed prawie dwudziestu laty uwiódł Claudię, wyznając maksymę Choderlosa de Laclosa: „Każda oblegana twierdza w końcu musi się poddać”. A skoro ona, jedna z najładniejszych dziewcząt w grupie, zakochała się w nim, to przecież nie dlatego, że był przystojny, inteligentny i uzdolniony, tylko dlatego że go podziwiała, tak przynajmniej sądził, tak chciał sądzić. Isaac był autorem najbardziej błyskotliwych wypowiedzi pośród wszystkich studentów, przynosił najlepiej napisane prace, otrzymywał najwyższe noty. On również podwoził i odwoził Claudię na zajęcia, pomimo że ta przysługa oznaczała duże straty czasu i paliwa (musiał wstawać godzinę wcześniej, żeby zjawić się rano pod domem Claudii), pożyczał jej notatki i książki, towarzyszył w bibliotece, kiedy sporządzała bibliografię... Przez cały rok wyplakiwała się na jego piersi, a on cierpliwie słuchał żalów pod adresem jej

ówczesnego chłopaka, a przez cały ten czas nie pozwolił sobie na najmniejsze podejrzenie co do motywów swojego postępowania, nie wspominając nawet o próbie zacieśnienia związku. Opanowany do granic wytrzymałości, Isaac kontrolował się tak, że nie dało się dostrzec jego narastającego pożądania. Wreszcie na drugim roku studiów, kiedy nabrał niezbitą pewności, że Claudia jest miłością jego życia, wymyślił sobie dziewczynę, z którą rzekomo widywał się w każdy weekend. Nadał jej imię Vanessa i wyposażył w całe mnóstwo przymiotów: wysoka, inteligentna, elegancka i nowoczesna, nieco od niego starsza. I oszukiwał Claudię, udając, że musi poświęcać czas i uwagę Vanessie: nie mogę dziś pójść z tobą do biblioteki, jutro raczej nie odwiozę cię do domu po zajęciach, dziś po południu nie pójdę z tobą na kawę, bo już się wcześniej umówiłem... To była dość ryzykowna taktyka, a na dodatek to on cierpiał bardziej niż Claudia, bo każda minuta, w której dobrowolnie pozbawiał się jej towarzystwa, przyprawiała go o wielogodziną zgryzotę. Ale nie poddawał się. Wkrótce przeszedł do następnego etapu i zaczął wyzalać się Claudii na Vanessę, podobnie jak Claudia skarżyła się na swojego chłopaka:

184
jest zbyt absorbująca, zbyt lekkomyślna, zbyt zaborcza, w ogóle mnie nie rozumie... I kiedy wygłosił decydującą kwestię: „Claudia, myślisz, że powinienem ją zostawić?”, a Claudia odparła: „Moim zdaniem tak”, wiedział już, że jego strategia, choć klasyczna i stereotypowa, zadziałała bez zarzutu. I natychmiast wyrzucił z siebie zdanie, przeciwiczone setki razy przed lustrem, zdanie, które już od półtora roku pragnął wykrzyczeć: „Moim zdaniem ty też powinnaś rozstać się z Tomem”.

Przez całe lata nigdy nie wątpił w miłość Claudii. We wszystkim szukała jego rady. Podczas studiów zawsze sprawdzał i poprawiał jej prace pisemne, później napisał jej curriculum i opracował rozmowy kwalifikacyjne, wcielając się w rolę pracodawcy przy inscenizacji tych rozmów. I to dzięki rekomendacji Isaaca Claudia znalazła pracę w Domeczku. Kiedy nie radziła sobie z jakimś problematycznym dzieckiem i miała wątpliwości, jaką strategię przyjąć, omawiała ten przypadek w domu, przy kolacji i stosowała się do jego zaleceń równie, a może gorliwiej, niż gdyby on był księdzem, a ona najpobożniejszą z kościelnych dewotek. Tymczasem mniej więcej od roku zachowanie Claudii ulegało stopniowej zmianie, właściwie niezauważalnej dla kogoś mniej zakochanego niż Isaac, a przy tym mniej uzależnionego od uwielbienia okazywanego przez partnerkę, albo dla kogoś, kto nie obserwuje świata tak czujnie i metodycznie, kto nie próbuje w swoim życiu stosować nienaruszalnych zasad. Zauważył, że jest bardziej zdystansowana, mniej oddana. Twierdziła, że po pracy jest zmęczona i bardzo często nie chciała nawet zjeść z nim kolacji, podjadała coś na szybko z lodówki i szła do salonu, siadała na kanapie i zagubionym wzrokiem wpatrywała się w telewizor. Zagadnięta przez Isaaca reagowała monosylabami „tak”, „nie”, „ciii”, czasem tylko wyrwało się jej dłuższe: „no dobrze...”

albo: „może faktycznie?”. Już nie opierała się na jego ramieniu, gdy szli razem ulicą, a w kinie, gdy trzymał jej małą białą dłoń w swojej mocnej, sęcatej, czuł jak zwisa bezwładnie, niczym

185

dłoń szmacianej lalki. Przywiedziony na skraj rozpaczony dotykał jej i nie mógł objąć, drżał, powstrzymując się od płaczu. Nie znajdował jednak niczego namacalnego, nie mógł czynić jej wyrzutów. Claudia wracała do domu codziennie o tej samej porze, a Isaac nie znalazł żadnych podejrzanych wiadomości w jej telefonie (zawstydzony przyznawał, że czasem, kiedy Claudia się kąpała, przeglądał wiadomości w jej komórce). Nigdy na niego nie krzyczała, nigdy nie okazała mu braku szacunku. Chodziło o brak zainteresowania, który niepostrzeżenie wkładał się w ich życie: już się w niego nie wpatrywała, nie wsłuchiwała, nie traktowała go tak jak kiedyś. Ta zmiana następowała w sposób na tyle subtelny, że nie mógł się skarżyć na coś konkretnego. Martwił się. A nawet więcej: był wystraszony. Zastanawiał się, czy to nie wątpliwości, jakie budziło w nim zachowanie Claudii, spowodowały, że zainteresował się Aminą.

I jakby tego było mało, doszedł problem starania się o dziecko. Claudia uwielbiała dzieci i nie przez przypadek wybrała taką pracę, która miała z dziećmi dużo wspólnego. Od kiedy ją poznał, często wspominała o tym, że pragnie zostać matką, a Isaac był pewien, że w tej roli doskonale by się odnalazła. Czekali z podjęciem decyzji, aż ich sytuacja życiowa nieco się ustabilizuje, chcieli mieć urządzone mieszkanie i stałą pracę. Wtedy Claudia przestała zażywać pigułki, a zaczęła łykać kapsułki z olejem z wiesiołka, ponoć wspomagającym płodność, jak zapewniała sprzedawczyni w sklepie zielarskim na ulicy Tribulete. Postanowili kochać się w każdą sobotę, Claudia paliła kadzidełka, zapalała świece w sypialni, dobierała odpowiednią muzykę... Rytuały, które Isaac uważał za dziwaczne, ale nie sprzeciwiał się im, na wszelki wypadek. Z pozoru wszystko im sprzyjało: mieli stałą pracę, może i nie najlepiej płatną, ale za to taką, jaką lubili, darzyli się całkowitym wzajemnym zaufaniem, mieli urządzone mieszkanie, a w nim jasny pokój dla wymarzonego dziecka... Mieli po swej stronie wszystko, z wyjątkiem najważniejszego: prawa natury.

186

Dziecko wciąż się nie pojawiało. Minął rok, potem drugi. Claudia poddała się wszelkim możliwym badaniom, a lekarze jednogłośnie orzekli: u niej wszystko w porządku, żadne badanie nie wykazało istniejących przeszkód do poczęcia dziecka. W końcu lekarz rodzinny wysłał Isaaca na badanie nasienia.

Zamknięto go z kubeczkami i stertą czasopism ilustrowanych - obficie i w bardzo złym guście. Kiedy przeglądał zdjęcia nieznanego mu nagich kobiet, do głowy przychodziły mu jedynie głupie myśli w rodzaju: „Z tymi wąskimi biodrami będzie miała problemy przy porodzie” albo: „Takim silikonowym biustem chyba nie wykarmiłaby dziecka”. Na koniec zonanizował się, myśląc o Claudii, ale nie o Claudii, z którą mieszkał, tylko o Clau-

dii sprzed piętnastu lat, wtedy koleżance ze studiów, jego najlepszej przyjaciółce, Claudii z początków ich miłości, kiedy chętnie się do siebie przytulali, kochali się, gdzie popadło, w samochodzie, w bramie, tak często, że tracili rachubę, i tak spontanicznie, że nie potrzebowali kadzidełek i świeczek. Myślał o Claudii i tamtych, dawno minionych dniach, kiedy daleki otwarty horyzont pozwalał im pędzić galopem. Niewykluczone, że pod wpływem nostalgii dokonał idealizacji przeszłości i tamta Claudia zdawała się zajmować ważniejsze miejsce w jego życiu aniżeli ta Claudia, z którą dzielił mieszkanie i codzienność, wyglądało na to, że kocha nie osobę z krwi i kości, lecz swoje wyobrażenie o Claudii.

Po tygodniu niespokojnego oczekiwania nadeszły wyniki, ale lekarz nie do końca wierzył liczbom na papierze. Isaac musiał poddać się kolejnemu badaniu. A potem jeszcze jednemu. Na diagnozę nie czekali długo: astenospermia. Mało żywotne i nieruchliwe plemniki. Ta myśl wydała się śmieszna, ale okazało się, że z dwóch istniejących rodzajów plemników, to jest leniwych i pracowitych, akurat jemu - choć wstawał codziennie o siódmej rano i pracował niemal pięćdziesiąt godzin tygodniowo - trafiły się te leniwe. „Pali pan? - zadał pytanie doktor. - Bo wie pan, jest

187
dużo czynników, które wpływają na jakość spermy: tytoń, alkohol, ciepło, stres...”. Isaac nie palił i pił śladowe ilości alkoholu przy okazji jakichś uroczystości, zakrawało to więc na okrutną ironię losu. Okazało się też, że liczba plemników jest poniżej normy. Przyswoili sobie nowe pojęcie: oligozoospermia. „To nie jest równoznaczne z tym, że jest pan bezpłodny - zastrzegł lekarz. - Medycyna nie jest nauką ścisłą i znam przypadki takie jak pański, kiedy kobieta jednak zachodziła w ciążę, choć przyznaję, że były to nieliczne wyjątki. Zakładamy, że jeśli kobieta nie zdołała zająć w ciążę w czasie trzyletniego pożycia, to szanse takiej pary na poczęcie dziecka w następnych dwunastu miesiącach bez interwencji lekarskiej są niewielkie. Dlatego zalecałbym państwu zapłodnienie in vitro, istnieje bowiem szansa na wyselekcjonowanie z pańskiego nasienia paru zdrowych plemników i zapłodnienia nimi pańskiej partnerki. Muszę też uprzedzić, że jest to procedura długotrwała i kosztowna”.

Claudia nie chciała słyszeć o in vitro. Wysłuchiwała wielu opowieści o kobietach, które poddały się zabiegowi nawet pięciokrotnie, bez powodzenia, o kobietach, które faszerowano hormonami na parę miesięcy przed planowanym zabiegiem, czego efektem było długotrwałe przygnębienie i rozdrażnienie, podobne do stanu napięcia przedmiesiączkowego, czy wreszcie o kobietach, które straciły fortunę na te zabiegi, bo każda próba kosztowała pięć tysięcy euro. „Tylko trzy na dziesięć kobiet zachodzi w ten sposób w ciążę - wyjaśniała - czytałam o tym, to kosztowny, mało skuteczny i nie wiadomo, na ile korzystny dla organizmu zabieg, a kobieta narażona jest na spore ryzyko wystąpienia różnych schorzeń, nawet bardzo poważnych”. Isaac zasugerował adopcję

albo rodzinę zastępczą. „Nie mówmy o tym teraz, nie chcę o tym myśleć, porozmawiamy później”, odparła wymijająco. I od tego czasu unikała tego tematu tak skrętnie, jak kiedyś nasi przesądni przodkowie nie wymawiali na głos słowa „niedźwiedź”. Isaac zinterpretował ten brak zainteresowania jako potwierdzenie swych przy-

188
puszczeń: Claudia planuje go zostawić, traktuje go tak, jak znosi się współpasażera w przedziale pociągu, dochowuje mu wierności w obliczu ich nieszczęścia raczej z poczucia przyzwoitości aniżeli z miłości, i od kiedy to zrozumiał, każdy dzień wymagał od niego więcej uporu i wysiłku, jak żmudna wspinaczka, tym trudniejsza, że męczył go niepokój i nękały obsesyjne pytania: jak długo jeszcze będzie mógł nocami cieszyć się słodką wonią oddechu Claudii, dotykiem jej ciepłego ciała i spokojną, cichą i niespieszną kontemplacją profilu Claudii śpiącej obok na poduszce, wędrującej po krainie snów, dokąd Isaac nie miał wstępu, a gdzie ona przybierała swą najbardziej tajemniczą postać, zapewne jedyną prawdziwą. Takie myśli krążyły mu po głowie, gdy dochodził do placu Lavapies, chcąc się od nich uwolnić, postanowił przejrzeć podstawowe tezy swego wciąż jeszcze nienapisanego artykułu.

Przypadek Maliki G. - nie chciał używać prawdziwego imienia Aminy, więc nazwał ją Malika - stanowi dowód na to, że poważne zaburzenia psychiczne, choć zaliczane do zjawisk powszechnych, w swoich objawach klinicznych uzależnione są od czynników kulturowych. Jej historia świadczy o tym, że choroba psychiczna i doświadczenie religijne czasami są ze sobą ściśle powiązane. Wyjaśnienie tego przypadku pomaga nam zrozumieć, dlaczego powinniśmy poznać środowisko kulturowe naszych pacjentów, zanim zaryzykujemy postawienie diagnozy i wdrożymy ewentualne leczenie, czasami relacje rodzinne i wierzenia religijne bowiem odgrywają ogromną rolę w symbolicznym przedstawieniu traumatycznego wydarzenia. Nie możemy pominąć tego, że aspekt kulturowy wpływa na formę objawów choroby. Innymi słowy: choć nie istnieją objawy kliniczne właściwe tylko danej kulturze, to każda kultura sprzyja pewnym typom zachowań.

Dziewiętnastoletnia Malika G. twierdzi, że jest dziewicą. Miała kilku chłopaków, ale poza pocałunkami nie doszło między nimi do niczego więcej. Po zerwaniu zaręczyn z mężczyzną,

189
który maltretował ją psychicznie, Malika planuje ślub z innym mężczyzną. Za radą przyjaciółki przychodzi na spotkania grupy wsparcia, cierpi na stany lękowe.

Malika, która pracowała jako pomoc domowa, opowiedziała, że została zaatakowana przez właściciela mieszkania, w którym sprzątała, że ten mężczyzna pocałował ją i zachęcał do uprawiania seksu. Od tej chwili Malika nic nie pamięta, twierdzi, że zemdlała i potem ocknęła się sama, leżąc na podłodze, a mężczyzny nie było już w domu. Piszący te słowa doszedł do wniosku, że ta historia może być wytworem fantazji albo snem Maliki.

Po tym zdarzeniu, być może zmyślonym, być może prawdzi-

wym, Malika nie przestąpiła już progu tamtego mieszkania. I jednocześnie zaczęły się u niej dziwne zachowania: zmiany barwy głosu, przekonanie o obecności obcej istoty w różnych częściach ciała, utraty świadomości, podniecenie, delirium, anoreksja, słowotok, nagłe zmiany nastroju, a nawet rodzaj konwulsji, przypominający atak epilepsji. Wszystkie wyżej wymienione objawy były najprawdopodobniej somatycznym następstwem syndromu stresu pourazowego.

Matka Maliki skorzystała z pomocy przyjaciółki rodziny, rzekomo posiadającej dar jasnowidzenia, która stwierdziła, że Malika została poddana mocy czarów przez wspomnianego właściciela mieszkania. Matka Maliki postanowiła udać się do fakiha (znawcy praw Koranu) w jej rodzinnym mieście, mężczyzny posiadającego rozległą wiedzę teoretyczną i praktyczną w zakresie praw religijnych oraz głęboką znajomość ezoteryki, który sporządził talizman dla dziewczyny, co najprawdopodobniej zadziałało jak placebo, albowiem histeria Maliki (naszym zdaniem był to bowiem atak hysterii) wyraźnie ustąpiła.

W chwili obecnej Malika miewa napady lęku i ataki paniki, żyje w przekonaniu, że rzucono na nią czary.

Obowiązujący w Maroku dyskurs etiologiczny faworyzuje zachowania psychopatologiczne, które odwołują się do wierzeń, 190

takich jak wiara w opętanie czy rzucenie uroku. W przypadku Maliki, jeśli uzna ona za przyczynę zmian w zachowaniu czary, którymi posłużył się jej napastnik, tym samym umiejscawia przyczynę tych problemów w świecie zewnętrznym, co pozwala na nieujawnienie seksualnego pożądania odczuwanego przez Malikę do swego pracodawcy. Wydarzenie, które opowiedziała, mogło być wymysłem fantazji, a mogło być też prawdą, ale bezspornym faktem pozostaje - w naszym mniemaniu - seksualne pożądanie odczuwane przez Malikę do mężczyzny, którego oskarżyła o rzucenie na nią czarów. A zatem albo Malika wymyśliła opowieść o próbie uwiedzenia i natychmiastowym omdleniu, albo rzeczywiście doszło do uwiedzenia, a Malika nie próbowała się oprzeć mężczyźnie. W obu przypadkach poczucie winy, którego doświadcza z powodu odczuwanego pożądania do mężczyzny żyjącego z inną kobietą, słabnie, jeśli uwodziciela obdarzy się nadnaturalnymi mocami. W ten sposób Malika odrzuca własne pragnienia i żądze, tworząc magiczną rzeczywistość, w której nie była zdolna do odparcia zalotów uwodziciela, jako że ten rzucił na nią urok.

Delirium, którego doświadcza Malika, jest wynikiem frustracji seksualnej i patologicznego poczucia winy, a one z kolei powodują nasilone objawy somatyczne. Istnieje podejrzenie, iż Malika prezentowała syndrom depresyjny, w postaci zachowań hipochondrycznych oraz manii prześladowczej będącej skutkiem poczucia winy i doświadczenia przemocy psychicznej w poprzednim związku. Większość objawów ustąpiła, kiedy fakihi oznajmił, że poddał ją egzorcyzmom. Tymczasem Malika wciąż miewa ataki

paniki i stany lękowe, zapewne dlatego że prawdziwe problemy - wyparcie i poczucie winy naturalnie wygenerowane w tej bardzo tradycyjnej rodzinie - nie zostały rozwiązane.

Problem Maliki sytuuje się pomiędzy tradycyjnymi wierzeniami a subiektywną ekspresją. Ponieważ w tradycji Maghrebu wciąż żywe są podania o prześladowczej mocy legendy i magii, 191

Malika łatwiej opisze swój problem, wymyślając historię z rzu-
ceniem uroku, niż przyznając się do zainteresowania, które wzbu-
dzał w niej uwodziciel, czy wyjawiając fakt seksualnego zbliżenia,
którego uparcie nie pamięta, do którego jednak z dużym praw-
dopodobieństwem doszło, i niewykluczone, że stało się to przy
świadomym udziale dziewczyny - oczywiście pod warunkiem,
że opowieść Maliki nie była tylko tworem jej fantazji. Delirycz-
ne doświadczenie Maliki (jej „opętanie”) zostało przyjęte z na-
turalnym zrozumieniem zarówno w rodzinie, jak i wśród przy-
jaciół domu, toteż pacjentce było łatwiej włączyć swą opowieść
w historię, w której połączyły się tradycyjne wierzenia jej ro-
dzimej kultury.

Historyjka o czarach i opętaniu umożliwia Malice przekazanie
- w sposób symboliczny - subiektywnego doświadczenia, które-
go nie jest w stanie świadomie zaakceptować. Urok, który na nią
rzekomo rzucono, stał się kulturowym kodem, dzięki któremu
dziewczyna ujawnia nam głęboki konflikt psychologiczny za-
równo osobisty, jak i interpersonalny...

Pochłonięty redagowaniem artykułu, Isaac dotarł na plac Lava-
pies, przeciął go od strony ulicy Fe i zatrzymał się na rogu Salitre,
naprzeciw kościoła parafialnego San Lorenzo, niemal w drzwiach
Płonącej Tawerny. Czy to możliwe, że nogi same go tu doprowa-
dziły? Przecież zamierzał wsiąść do metra na stacji Lavapies, nie
planował wstępować do knajpy. Tymczasem kiedy jego umysł
koncentrował się na przypadku Aminy, mimowolnie i nieświadomie
skierował się do knajpki, której właścicielem był Yamal Benani.
Czyżby go szukał? Może. W końcu to Yamal był tym mężczyzną,
który rzucił urok na Aminę, tak więc prędzej czy później powinien
go poznać, bo w ten sposób mógłby uzyskać więcej danych do
swojego artykułu. Czy go tu spotka? Wątpliwe. Przecież Amina
opowiadała, że Yamal spał w dzień, a żył w nocy - albo wychodził
i wracał nad ranem, albo zamykał się w pracowni i malował. Poza
192

tym, jak Isaac gdzieś słyszał, knajpę otwierano tylko wieczorem,
teraz pewnie jest zamknięta... a jednak za kolorowymi szybami
majaczyły światła i z wnętrza dochodził mocny zapach kadzidełek.
Przekonany, że knajpa nie jest pusta, ostrożnie uchylił drzwi.

- Dzień dobry! Jest tu kto?

- Zamknięte - dobiegł głos z głębi. - Otwieramy dopiero
o dziewiątej.

Głos był głęboki i mroczny, lekko władczy, bardzo męski.

Isaac pomyślał od razu, że to głos Yamala. Tak właśnie wyobrażał
sobie jego brzmienie, podobne do głosu aktora w dubbingowa-

nym filmie.

- Czy mam przyjemność z Yamalem Benanim?
- Owszem, bracie. Jak się nazywasz?
- No cóż... Ja... Ja mieszkam w tej okolicy i... No cóż, ktoś mi mówił, że właścicielem tej knajpy jest Yamal Benani, malarz, a ponieważ lubię jego obrazy, jestem ciekaw...

Oczywiście Isaac ani lubił, ani nie lubił twórczości Yamala.

Właściwie prawie nie znał się na sztuce. Kiedy Amina opowiedziała na terapii grupowej swoją historię, Isaac kliknął w Google „Yamal Benani” i znalazł w sieci wirtualną galerię, gdzie wystawiono jego prace. Uważnie przyjrzał się każdemu dziełu i przeczytał komentarze i recenzje na ich temat.

- Interesujesz się sztuką, bracie?
- Tak, bardzo... Studiowałem historię, ale piszę pracę o współczesnej ekspresji artystycznej w Hiszpanii wielu kultur... - skłamał Isaac, mając nadzieję, że Yamal połknie haczyk i odpowie mu na parę pytań.

- To wejdź, proszę... Podejdź bliżej, słabo cię słyszę...

Isaac ruszył w głąb. Zrobił trzy kroki i dostrzegł Yamala

- siedział na stołku, zapisując coś w zeszycie na barze, obok stała niewielka błękitna misa z żarzącym się kadzidłem, które swym zapachem spowijało całe pomieszczenie, nad misą unosił się drżący słup białego dymu, podobny do strzępiastej chmury.

193

Na stronie w Internecie zamieszczono zdjęcie artysty, ale nie do końca odpowiadało ono prawdzie. W rzeczywistości Yamal Benani był o wiele przystojniejszy, tak jak opisała to Amina. Miał czarne, kręcone włosy, ciemną cerę, wysokie czoło, gęste brwi, regularny rysunek ust, idealnie prosty nos, mocno zarysowany - jakby z pomocą ekierki - podbródek, wielkie, przepastne oczy, ciemnozielone, śmiałe, wilgotne i lśniące niczym liście po deszczu, oczy, które obficie i często zachodziły łzami. Miał na sobie białą dżalabiję, która kontrastowała z jego karnacją i podkreślała egzotyczny wygląd. Yamal Benani z powodzeniem mógł wystąpić w reklamie drogich perfum, a jego oszałamiająca uroda uświadomiła Isaacowi własną brzydotę.

- Sprawdziałem rachunki... Bardzo nudna praca. Ale jeśli tego nie robię od czasu do czasu, to szef baru mnie oszukuje, dasz wiarę...? Właściwie już kończę.
- To dla mnie zaszczyt, że mogę pana poznać. Absolutnie nie uważam się za znawcę sztuki. W rzeczywistości moja praca dotyczy raczej zagadnień socjologii, ale naprawdę podziwiam pańskie obrazy...
- Nie mów do mnie per pan, bracie, mam na imię Yamal, a ty?
- Isaac.
- Jesteś Żydem?

W głosie Yamala Isaac wyczuł ledwie dostrzegalne uprzedzenie.

- Żydem? Nie, skądże znowu. Urodziłem się na Carabanchel, od zawsze tam mieszkam. Dlaczego tak pomyślałeś?
- Z powodu twojego imienia, to żydowskie imię.

- No tak, oczywiście. Ale to nie dlatego tak mnie nazwano. Mam wrażenie, że mama nawet nie wie, że to żydowskie imię. To było tak: kiedy mama była w ciąży, rodzina taty chciała, żebym miał na imię Eusebio, tak samo jak mój ojciec i dziadek. Ale mama się sprzeciwiła. I kupiła książeczkę z listą imion i ich znaczeniami. I w tej książeczce napisali, że Isaac znaczy „syn radości”, a ponieważ mama ma na imię Alegrfa, radość, więc wybrała to imię...

194

- To piękna historia. Brzmi jak początek baśni. Gdybyś jednak kiedyś wybierał się do jakiegoś arabskiego kraju, to lepiej, żebyś w paszporcie miał wpisane Eusebio... Żartowałem. Dobra, na czym to skończyliśmy? Chcesz się czegoś napić? Zapraszam na piwo, choć ja się z tobą nie napiję, bo w ogóle nie pijam alkoholu.

- To ciekawe, że abstynent prowadzi knajpę...

- Nie ma w tym nic dziwnego. Na początku, kiedy dostałem lokal, chciałem tu urządzić niewielką galerię. Potem, jak już próbowałem wcielić pomysł w życie, okazało się to o wiele bardziej skomplikowane, niż myślałem. Właściciele galerii tworzą rodzaj kasty albo mafii i trudno jest przeniknąć do ich środowiska. Poddałem się, a ponieważ lokal miał koncesję na sprzedaż alkoholu, pomyślałem, że spróbuję. I na razie działa. Może w przyszłości uda mi się jeszcze otworzyć galerię, kto wie...

- I wystawiać swoje własne prace?

- Nie, tego akurat nie mogę zrobić, podpisałem z marszandem umowę na wyłączność. Wisi tu parę moich prac, tylko że są to obrazy bez wartości, z czasów, kiedy zaczynałem malować, niesygnowane. Jak się domyślasz, dym niszczy obrazy, wilgoć też im nie służy. Nie wystawiłbym wartościowych obrazów w pomieszczeniu bez klimatyzacji. Powiesiłem parę starych malunków, do których mam sentyment. Ten na przykład - tu Yamal wskazał olbrzymie płótno po lewej stronie - to obraz namalowany w Paryżu, za moich studenckich czasów, to wariacja na temat obrazu jednego z moich mistrzów, Rachida Sebtiego, wybitnego malarza. Magia kadzidła, tak się nazywa.

Obraz przedstawiał trzy kobiety o krągłych kształtach, długich czarnych włosach, ze stopami ozdobionymi zmysłowym rysunkiem henną, otulone w coś na kształt prześcieradeł, spoczywające na kobiercu, obok misy, z której unosił się ku górze dym, a jego spiralne kłęby, rozwiewające się pod sufitem, symbolizowały sny trzech piękności, najwyraźniej uśpionych.

195

- Ten obraz nie przedstawia sobą dużej wartości artystycznej, ale dla mnie posiada ogromną wartość sentymentalną. Przywołuje epokę, którą nie zdążyłem się nacieszyć, nasze życie w Maroku, przed rozstaniem moich rodziców. Byłem małym chłopcem, miałem sześć albo siedem lat... Pamiętam, jak ukazywał się wielki księżyc w święto Achoura i moja mama z ciotkami stroiły się niczym księżniczki i wychodziły na bielony wapnem taras. Miały ze sobą misy z żarem, w których paliły kadzidło

i wrzucały do niego amulety, i monotonnym głosem, wpatrzone w księżyc, kreśląc dłońmi arabeski wokół mis, śpiewały magiczne strofy Qbul...

- Strofy czego?

- Qbul... To jest... jak by ci to wyjaśnić... To taki rytuał uwodzenia, ale tylko dla mężatek, pomaga uwieść mężów, na zawsze ich zaczarować. Gdy matka kończyła rubi, napisany przez nią poemat pełen pokus, w stronę męża wyruszały dżiny... Tak przynajmniej wierzyła...

- Dżiny?

- Duchy. Dżiny to duchy. Niestety, dżiny okazały się mało skuteczne, bo ojciec niebawem zostawił mamę. Dlatego ten obraz to zarazem radosne i smutne wspomnienia. Uwielbiałem dzień Achoura, święto dzieci. Dostawaliśmy słodycze. W Maroku Achoura to taki dzień dziecka, maluchy dostają cukierki, czekoladki, urządza się zabawy i konkursy. Mama i ciotki rozpieszczały mnie jak królewicza... Byłem w domu jedynym chłopcem... To cudowne czasy... Rozpieszczały mnie, niczego nie zabraniały, pozwalały mi uczestniczyć w przygotowaniach do rytualnych obrzędów. Doskonale pamiętam zapach bkhour, której używały - tym razem Isaac nie musiał pytać, Yamal sam pospieszył z wyjaśnieniem. - Bkhour to mieszanka kadzideł. Składa się między innymi z dwóch niezwykle mocnych i skutecznych woni: jawi i fasukh, obu używa się do odprawiania czarów. Teraz właśnie palę jawi, trudno znaleźć ten gatunek,

196
sprowadzam go bezpośrednio z Tanguer. Moja mama pochodziła z Libanu, czytała dużo sufickiej poezji i mocno wierzyła w czary i w 'al-IsWdad...

- Istidad?

- To pojęcie trudne do wyjaśnienia. Chodzi o skłonność, podatność, zdolność każdej osoby do odzwierciedlenia niezmiennej, trwałej istoty Allaha. Dlatego istnieje Pragnienie. Nikt nie otrzyma niczego w życiu, jeśli nie określi swojego Pragnienia. Ale większość mężczyzn i kobiet nie wie, czego chce, dlatego niczego nie otrzymuje, gubi się w fałszywych pragnieniach. Wydaje im się, że pragną samochodu, domu, sławy, miłości od wybranej kobiety, ale to nie są ich prawdziwe pragnienia. Na przykład niektórzy mężczyźni pragną tej a nie innej kobiety tylko dlatego, że pożądamy jej inni mężczyźni, nie zaś dlatego, że tę właśnie sami kiedyś pokochali. I dokonują mylnego wyboru, wybierają kobietę, która do nich nie pasuje. To zdarza się również na Zachodzie, wielu myli się, sądząc, że pragnie tego, co wtlaczają im do głowy reklamy. Ale wewnętrzne pragnienie jest o wiele głębsze, każdy z nas ma takie jedno w życiu. I powinniśmy jak najwcześniej je odkryć i skoncentrować się na jego zaspokojeniu.

- Pan już je odkrył?

- Tak, ja na pewno. A ty? Wiesz, co jest twoim Pragnieniem? Isaac, zapominając o dniu, który za oknami powoli zmieniał

się w noc, mimowolnie zamknął oczy, uwięziony na pograniczu jawy i snu, w tym konkretnym zaułku czasu, zdany na łaskę Yamala. Napisanie artykułu, pomyślał. Nie, poprawił się zaraz, to nie jest moje prawdziwe pragnienie. Nie ma wpływu na moje życie, nie to kocham najbardziej. To pragnienie jest tylko następstwem innego: chcę być podziwiany, chcę być kochany. Jeśli miałbym prosić o spełnienie jednego tylko życzenia, to chciałbym, żeby Claudia nigdy ode mnie nie odeszła.

Głos Yamala kazał mu wrócić do rzeczywistości.

197

- Z wyrazu twarzy domyślam się, że i ty wiesz. Teraz musisz tylko skoncentrować się na tym, aby je spełnić. Nie... nie otwieraj oczu.

Isaac nie miał problemów z koncentracją. W końcu na terapii grupowej często ćwiczyli wizualizację. Spróbował przywołać w myślach obraz Claudii, odtworzyć jej wizerunek, szczególnie. Claudia, jasna szatynka, zielononiebieskie oczy, metr sześćdziesiąt wzrostu, pięćdziesiąt parę kilo wagi, mały pieprzyk na wysokości ust, kręgowiec, ssak, samica. Claudia jednocześnie bliska i daleka, Claudia, o której zawsze chciał powiedzieć „moja”, choć brzmiało to męsko i szowinistycznie. Mocna woń spalającego się kadzidła przenikała jego pragnienie, łagodziła je. Czy jakaś wonna oleista substancja byłaby w stanie przenieść jego pragnienie z jądra ograniczeń - Claudii - ku nieskończoności? Dym uświęcał jego modły, a on tworzył - wonną i ulotną niczym kadzidło - modlitwę, która wraz z dymem unosiła się ku niebu. Właściwie ten gęsty opar delikatnie go podtruwał: miał halucynacje jak po dawce narkotyku.

Isaac nie potrafił określić, jak długo przebywał w tej krainie marzeń. Wydawało mu się, że trwało to parę godzin. W końcu poczuł dotknięcie na ramieniu i miękki głos Yamala kazał mu wrócić na ziemię.

- Wszystko w porządku, bracie?

- Tak, w idealnym. Trochę mi tylko słabo...

- Jasne, jawi może wywołać mdłości, zwłaszcza u kogoś nieprzyzwyczajonego, a na dodatek w zamkniętym pomieszczeniu.

Wyjdę z tobą na ulicę, potrzebujesz łyknąć świeżego powietrza.

A ja tak czy owak będę zamykał bar.

Isaac ruszył do drzwi, a na progu zdał sobie sprawę, że zapadła już noc. Yamal spojrział w niebo, wskazał księżyc w pełni, wyraźny, okrągły i czysty, nieprzysłonięty ani jedną chmurką. Isaac miał wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by złota kula znalazła się w jego dłoni, nigdy wcześniej nie widział tak olbrzymiego księżycy.

198

- Nie wiedziałem, że dziś pełnia... - wyszeptał, poruszony spektakularnym widokiem.

- W inną noc nigdy byś mnie nie spotkał - usłyszał w odpowiedzi. I te dziwne słowa miały posłużyć za pożegnanie, bo Yamal zamknął drzwi baru, znikając za nimi, i pozostawiając lekko oszołomionego Isaaca.

Dotarł do domu, wciąż nieco odurzony, a kiedy Claudia zapytała, dlaczego wrócił tak późno, nie śmiał wyjawiać prawdy i wymyślił historyjkę o awarii w metrze. I nie chodziło bynajmniej o to, że miał coś do ukrycia, że dopuścił się czegoś zabronionego czy wstydliwego, tylko on sam nie wiedział, jak miałby o tym opowiedzieć, nie potrafił określić tego, co właściwie przeżył. Tymczasem Claudia nie wyglądała na obrażoną ani nawet zaniepokojoną tym późnym powrotem. Jeszcze jeden dowód jej obojętności.

- Widziałaś księżyc?

- Nie, a co mu się stało?

- Chodź na taras.

Claudia dała się poprowadzić za rękę, niezbyt chętnie. Księżyc rozciągał mleczny blask nad dachami starego Madrytu.

- Jak pięknie! - zachwyciła się Claudia.

- Może przyniosę kieliszki i wzniesiemy toast za światło księżyca? Mamy jeszcze butelkę cavy z bożonarodzeniowych zapasów - zaproponował Isaac.

- Dlaczego? - Claudia, nieprzyzwyczajona do takich zachowań swojego chłopaka, wyglądała na bardzo zdziwioną. - Mamy jakąś okazję?

- Nie, nie wiem, po prostu zobaczyłem taki piękny księżyc...

Na twarzy Claudii zagościł uśmiech niespodziewanej radości, który przemienił się w nieśmiały śmiech, cichy jak dzwoneczek. Już od dawna Isaac nie widział, żeby śmiała się również oczyma.

- No dobra, nie ma sprawy, wypijemy za księżyc w pełni, czemu nie...

199

Poszedł do kuchni i wrócił z butelką i dwoma kryształowymi kieliszkami, ze szklanego serwisu, prezentu od matki Claudii, którego nie używali w obawie przed stłuczeniem.

- Widzę, że to prawdziwa uroczystość - zauważyła Claudia

- przyniosłeś eleganckie szkło, no i w ogóle...

Isaac napełnił kieliszki, czując delikatne podniecenie, po czym podał jeden dziewczynie.

- Pijemy za ciebie - rzekł, unosząc kieliszek. - Za najpiękniejszą dziewczynę w całym Lavapies. I najmądrzejszą. I najlepszą. Bo jestem bardzo dumny, że z tobą jestem, mieszkam i pracuję.

- Isaac, co ci się stało? Napaliłeś się trawy?

- Uważasz, że muszę się napalić trawy, żeby ci powiedzieć, że cię kocham?

- Nie, wcale tak nie myślę... Choć z drugiej strony zbyt często mi tego nie mówisz...

- Przyznaję, że powinienem był to mówić częściej, Claudio. Dobra, pijemy.

Claudia wpatrywała się w niego uważnie. Isaac wiedział, że pewnie zastanawiała się w duchu, czy przypadkiem nie wypalił kilku jointów z młodymi Marokańczykami w parku. Po drugim kieliszku Claudia wyraźnie się rozluźniła, a Isaac pomyślał, że księżyc i cava wspólnie postanowiły przywrócić mu tę radosną

i ufną Claudię sprzed dziesięciu lat.

- Będziemy tak świętować każdą pełnię - przyrzekł Isaac.

Przytulił ją do siebie i pocałował, pocałunek smakował cavą i naraz oboje zrozumieli, że tej nocy nie będą potrzebowali muzyki, kadzidełek i świeczek.

Miesiąc później, kiedy Claudia zadzwoniła do niego i głosem przerywanym łkaniem oznajmiła, że właśnie zrobiła dwukrotnie test ciąży i na obu pojawiła się różowa kreseczka, Isaac miał całkowitą pewność - taką samą jak przekonanie, że któregoś dnia musi umrzeć - że poczęli swoje dziecko z pomocą księżycowego blasku, że to księżyc udzielił im 'al-Isti'dad.

EFEKT DOMINA

Dochodziła czwarta po południu, kiedy Poppy ostrożnie wkładała klucz do zamka w drzwiach swojego domu. Przyjęła zaproszenie i została na obiedzie z rodziną Leonor, mając nadzieję, że w momencie jej powrotu matka i siostra będą zażywały sobotniej sjęsty, i tym sposobem nie spotka się z nimi ani też nie będzie musiała opowiadać o tym, co wydarzyło się czy też nie wydarzyło w domu u Leonor. Była wyczerpana, właściwie nie spała, bo Leo i ona wróciły z nocnej zabawy dopiero o siódmej rano, a musiały wstać o jedenastej, żeby matka przyjaciółki niczego się nie domyśliła. Na szczęście niczego niepodejrzewająca kobieta nawet ich nie usłyszała, zresztą spała z zatyczkami w uszach, żeby nie słyszeć chrapiącego męża, a ten z kolei zwykł sypiać tak głębokim snem, że nie obudziłby go nawet wybuch bomby.

Poppy otworzyła drzwi i ku swemu niekłamanemu zdziwieniu stanęła oko w oko z siostrą, która powitała ją z gniewną miną, z rękoma na biodrach i oczyma ciskającymi błyskawice.

- Wszystko wiemy - oznajmiła siostra tonem podniosłym, niczym Sybilla wygłaszająca nieprzychylne prorocтва.

Poppy zaczęła w myślach robić rachunek sumienia, zastanawiając się, co może znaczyć „wszystko”. że paliła trawkę; że kiedy mówiła, że idzie spać do domu Leo, wcale u niej nie spała, tylko wychodziła do barów, i nigdy nie wracała przed północą, tą magiczną godziną Kopciuszka, która zdaniem matki stanowiła granicę pomiędzy zachowaniem przyzwoitym i nieprzyzwoitym, że w zeszłym tygodniu, kiedy matka z siostrą pojechały na ślub

201
do Bilbao, jeździła samochodem matki, choć miała kategoryczny zakaz, że oblała dwa kolokwia?

Matka, w nocnej koszuli i szlafroku, z zaczerwienionymi i mokrymi od płaczu oczyma, stanęła za siostrą.

- Zadzwoniła do nas Visi... Co za wstyd, dziecko, co za wstyd żeśmy przeżyły.

- Visi? - szczerze zdziwiła się Poppy. - Kto to jest Visi?

- Jak to, nie wiesz? żona twojego chłopaka.

- Chłopaka? Jakiego chłopaka?

W głowie Poppy zaświtało. Ten chłopak, o którym mówiły, to mógł być Felix, bo to był jedyny żonaty mężczyzna, jakiego znała. Ale nigdy w życiu nie nazwałaby go swoim chłopakiem.

- No więc - siostra cofnęła się o krok, niczym nauczycielka przygotowująca się do wyłożenia bardzo łatwej lekcji niezbyt zdolnemu uczniowi, który powinien już dawno znać ją na pamięć
- zadzwoniła tu jakaś kobieta i pytała o ciebie, a potem wyjaśniła, że jesteś kochanką jej męża.

Upłynęło pół godziny i Poppy zrekonstruowała całą historię, nie zważając na histeryczne wrzaski jednej i nieustanne wyrzuty drugiej. Visi wybrała siedmiocyfrowy numer i zapytała o Poppy tę osobę, która odezwała się po drugiej stronie, a ta okazała się być jej matką. I wtedy Visi opowiedziała, że ostatnio jej mąż bardzo często wychodził wieczorami, długo przesiadywał w pracy i w końcu ona nabrała podejrzeń. Przeszukała portfel i szuflady biurka i w portfelu znalazła zdjęcie młodej dziewczyny, a w szufladzie kopertę i w niej szpilki do włosów, bilety do kina, wstążkę z czarnej koronki (która wyglądała na fragment stanika albo majtek) i tekturową podstawkę pod szklankę, z numerem telefonu i imieniem Poppy, nabazgranym kobiecym charakterem pisma, szerokimi okrągłymi literkami.

Poppy zamarła. W życiu nie pomyślałaby, że ten sztywniak Felix okaże się tak sentymentalny.

- Mamo, to jeszcze nie znaczy, że mam romans z tym panem... Znam go, oczywiście, wiem, o kim mówisz, ale on jest 202

ode mnie dużo starszy. Nie zadaję się ze starszymi facetami. I to nie moja wina, że się do mnie przyczepił.

- To dlaczego dałaś mu swoje zdjęcie?

- Nie mam pojęcia, poprosił mnie. To chyba nie grzech podarować komuś zdjęcie do legitymacji?

- A wstążka?

- A co mnie obchodzi jakaś wstążka! Wiesz, że nie noszę czarnej bielizny.

Kłamała. Pożyczyła od Leo czarne, koronkowe, ozdobione perełkami majtki, które wcześniej niejedno przeżyły, na pierwszą noc z Felixem, i teraz już nie pamiętała, czy one miały jakieś wstążeczki, nie zwróciła uwagi. Nie włożyła wtedy stanika, staniki Leonor były na nią o wiele za duże i uznała, że to bez sensu kupować stanik, którego później pewnie nigdy nie włoży. A nie mogła włożyć żadnego ze swoich, bo Leonor twierdziła, że biały stanik nie pasuje do czarnych koronkowych majtek, lepiej więc
- zdecydowała Leonor - bez niczego, tak będzie o wiele seksowniej.

- Ale jego żona powiedziała, że on się do wszystkiego przyznał, płakał i potwierdził, że jest z tobą, że jest w tobie zakochany.

- Ale on mnie widział trzy razy w życiu! I wcale ze mną nie jest, tego akurat jestem pewna. Przecież to nie moja wina, że się we mnie zakochał.

- A jak ty go poznałaś?

- Zaczepił mnie w knajpie, mam, pogadaliśmy trochę...

- Dziecko, co ja mam na to wszystko powiedzieć? Wszystko, co mówisz, jest dla mnie takie dziwne...

- No dobrze, możesz wierzyć, w co zechcesz, ale nie wiem, po co ta cała awantura, skoro wiesz doskonale, że faceci mnie

nie kręcą i tak naprawdę to jestem z Leo.

Kiedy potem Leonor zapytała, dlaczego palnęła taką głupotę, Poppy nie umiała odpowiedzieć. Może chciała je zbulwersować, może wkurzyła się na matkę i siostrę, którym wydawało się, że mogą kontrolować jej życie i narzucić swojej poczucie moralności, 203

tak jakby Poppy była małą dziewczynką, a może pomyślała, że - co zresztą nastąpiło - jeśli zaskoczy je czymś bardziej gorszącym aniżeli romans z żonatym facetem, przekieruje uwagę obu kobiet z realnego na nowo wymyślony problem. A może powiedziała to dlatego, że skoro i tak wszyscy myśleli, że Leonor i ona są parą, uznała to w tamtym momencie za najbardziej naturalne. Poza tym jej siostra zapewne nieraz tak pomyślała.

Z pozoru Poppy i Leonor w niczym nie były do siebie podobne. Wysoka, zgrabna Leonor, spoglądająca wokół wzrokiem wyniosłym, choć delikatnie zaprawionym goryczą, była szczupła tam, gdzie należało, a zaokrąglona tam, gdzie tego oczekiwano. Czarne, lśniące włosy spadały jej niemal do pasa. Poppy była okrągłutka, sylwetką przypominała szmacianą lalkę albo grubego niemowlaka, miała blond włosy, krótkie i zazwyczaj rozczochrane, i bladoniebieskie oczy, dzięki którym wyglądała na młodszą, niż była w rzeczywistości, i może dlatego, choć miała prawie dwadzieścia lat, używała zdrobniałego spieszczenia, przezwiska z czasów dzieciństwa, przezwiska, które przywoływało wspomnienie dawnych, dobrych czasów, przezwiska wymyślonego dla niej przez mężczyznę, który dziś już z nimi nie mieszkał. Leonor nie liczyła chłopaków i facetów, z którymi się przespała, od dnia, kiedy utraciła dziewictwo w wieku lat piętnastu, tymczasem Poppy nie poznała, co to mężczyzna, choć miała już lat dziewiętnaście. Podjęła decyzję o zmianie tego stanu rzeczy raczej ze wstydu aniżeli z prawdziwego przekonania: czuła się śmiesznie, pozostając dziewicą w wieku, w którym większość jej koleżanek z powodzeniem mogłaby udzielać lekcji miłosnych praktyk doświadczonym prostytutkom. Leonor była „hop do przodu”, bezpośrednia, impulsywna i do tego lubiła się rządzić, no i zazwyczaj mówiła na tyle głośno, że słyhać ją było na kilometr. Poppy mówiła dziecinnym, przytłumionym głosikiem, a kiedy wchodziły do knajpy czy na imprezę, zawsze kryła się za plecami przyjaciółki. Jednocześnie miały wiele cech wspólnych, ale uchwytnych jedynie dla kogoś, kto je dobrze poznał: poczucie humoru, 204

szybkie i trafne riposty, które służyły im do obrony przed ewentualnymi zaczepkami; potężny apetyt na imprezy, knajpy, poznawanie nowych ludzi, słuchanie muzyki, bywanie i bycie - jak to się zwykło mówić - na czasie; platoniczną miłość do Davida Bowiego; ogromny dystans do własnych rodzin; swoiste poczucie osamotnienia, które połączyło je niczym klej, albowiem każda nabrała przekonania, że ta druga jest jej siostrą, a ich biologiczne rodzeństwo to tylko wypadek przy pracy i wreszcie, last but not least, przedwczesne poczucie klasowego wyobcowania względem reszty rówieśników. Poppy i Leonor poznały się w Centrum Edukacji, szkole dla

bogaty snobów, na kursie przygotowującym na studia. Ani jedna, ani druga nie zdobyły sympatii w klasie. Leonor przespała się z klasowym przystojniaczkiem, który chodził, jak to zazwyczaj się dzieje, z klasową pięknoską, i kiedy sprawa się wydała, klasowa piękność rozpoczęła łatwą do przewidzenia kampanię przeciwko rywalce. Na ścianach toalet pojawił się napis: „Leonor, dziwka”. Kobieca sylwetka Leonor dokończyła dzieła. W młodzieńczej wyobraźni dziewczyna z takim biustem i bez oficjalnego chłopaka od razu została tanią dziwką. A Leonor bynajmniej nie starała się wkupić w łaski klasy. Co gorsza, spoglądała na resztę z góry, dumna i wyniosła, jak księżniczka z zamkowej wieży. W rzeczywistości Leonor czuła się zraniona i przestraszona, a żyła na tyle krótko, że nie nauczyła się hipokryzji wymaganej w stosunkach towarzyskich - nie potrafiła śmiać się w nos tym, którzy krytykowali ją za plecami.

Poppy próbowała, bez większych sukcesów, znaleźć sobie miejsce w grupie dziewcząt adorujących klasową pięknoską. I owszem, mogła z nimi wyskoczyć na papierosa w przerwie między zajęciami, a klasowa piękność zaprosiła ją nawet na swoje urodziny, jednak rzadko kiedy udało jej się umówić na wieczorne wyjście na piwo czy do kina, bo dziecięca buzia Poppy nie pasowała do biustonoszy z fiszbinami, makijażu i obcisłych spodni pozostałych koleżanek. Potem Poppy przeszła operację wyrostka

205
robaczkowego i przez ponad dwa tygodnie nie było jej w szkole, poprosiła więc o notatki do przepisania - niestety, klasowa piękność i jej wielbicielki nie zaliczały się do najpilniejszych uczennic, a ich notatki wykazywały spore braki, na dodatek zapisane były fatalnym charakterem pisma - okrągłe „o” i absurdalne kółka zamiast kropek nad „i” - i roilo się w nich od błędów ortograficznych, co znacznie utrudniało ich odczytanie. Poppy poprosiła o notatki Leonor, która prawie z wszystkiego miała celujący, i zrobiła to po pierwsze dlatego, że naprawdę zależało jej na zaliczeniu wszystkich przedmiotów, a po drugie dlatego, że nadarzyła się jej wyśmienita okazja, by poznać bliżej dziewczynę, którą skrycie podziwiała, w szczególności za jej odmienny sposób wyrażania się i ubierania, z założenia dość wyzywający.

Po kilku tygodniach nie mogły już bez siebie żyć.

Odkryły, że chodzenie po knajpach we dwójkę jest o wiele zabawniejsze niż chodzenie całą grupą. Niech sobie spada klasowa piękność i jej kółko wielbicielek, niech spadają na drzewo szkolni koledzy ze swoimi motorami, papierosami, spranymi dzinsami i nieudolnym pozowaniem na Jamesa Deana. O wiele bardziej podniecało je upijanie się w knajpach, których nie znał nikt ze szkolnych znajomych, zapuszczanie się w nieznane zakątki miasta czy uciekanie z knajp bez płacenia za drinki. Wymieniały się książkami, płytami, zdjęciami, chodziły do kina na filmy w wersji oryginalnej, o których w ich klasie nikt nawet nie słyszał. Dość szybko Poppy zaczęła spędzać niektóre weekendy u przyjaciółki. Na początku po prostu razem się uczyły, bo po przerwie

z powodu wyrostka Poppy miała takie braki, że bez pomocy Leonor nie udałoby się jej pozdawać egzaminów. Matka Poppy wiedziała o wszystkim i była z tego zadowolona, nie miała też nic przeciwko temu, by ten zwyczaj się utrzymał już po egzaminach. Poppy to bardzo odpowiadało, ponieważ u niej w domu obowiązywała godzina policyjna - trzeba było wrócić przed północą - tymczasem u Leonor mogły wracać o jakiegokolwiek porze. Rodzice

206
Leonor pracowali i w weekendy chcieli się wyspać, toteż nie kontrolowali wyjść i powrotów czworga swoich dzieci, o ile tylko nie sprawały im innych kłopotów, a Leonor nie sprawała: miała dobre oceny, porządek w pokoju, nie paliła w domu, nie wisiła na telefonie i dość zręcznie ukrywała kaca. Po przebudzeniu brała zimny prysznic i z pomocą korektora, podkładu i pudru maskowała ślady zmęczenia na twarzy, a do zaczerwienionych oczu wpuszczała parę kojących kropli. Wiedziała, że do pewnej części jej prywatnego życia rodzice nie mają wstępu, i zazdrośnie strzegła tego terytorium. Rodzice byli z niej zadowoleni, przynajmniej na takich wyglądali, chociaż nigdy do końca nie można było mieć pewności co do ich sądów i opinii. Ojciec dużo czasu spędzał poza domem. Wyjeżdżał służbowo, a jeśli nie wyjeżdżał, to wracał do domu na kolację, po której szedł spać. Matka pojawiała się w domu po ósmej, z mocno pokrażonymi oczyma i w pieskim nastroju, zrzucała buty, wkładała pantofle, przyrządzała sobie wegetariańską kanapkę z pełnoziarnistego pieczywa i zasiadała przed telewizorem, z nogami do góry, pogrążona w milczeniu. Czwórka rodzeństwa sama przygotowywała sobie kolację od dnia, w którym matka obwieściła, że nie jest ich niewolnicą, a oni są już na tyle duzi, żeby zaoszczędzić jej pracy. Zawsze była w złym humorze, a od kiedy Poppy i Leonor wyczytały w jednym z licznych, rozrzuconych po salonie kobiecych czasopism, że nieprawidłowe odżywianie się może negatywnie odbijać się na nastroju, uznały, że powodem złości i apatii jest drakońska dieta, którą matka - pragnąc zachować figurę nastolatki - uparcie stosowała. Leonor wielokrotnie przeglądała apteczkę matki w poszukiwaniu tabletek Alka Selzer i Alka Prim, wiedziała więc, że matka zbiera środki uspokajające i antydepresyjne niczym kolekcjoner znaczki czy motyle. Miała niejasne wrażenie, że matka bierze regularnie jakieś leki, a nawet chodzi na terapię, bo sama o tym kiedyś wspomniała, ale nie wiedziała, na co dokładnie się leczy. Leo wiedziała natomiast dokładnie, że jeśli chce żyć swoim rytmem, nie

207
może się w domu zbyt z tym obnosić. Jeśli tylko Leo nie zakłócała domowego porządku, matka nie wtrącała się w jej sprawy. Niemal w każdy piątek i sobotę rodzice Leo wychodzili albo do kina, albo na kolację. Przyjaciółki spędzały popołudnie w pokoju Leo, ucząc się albo tylko udając, i natychmiast po wyjściu rodziców, którzy nie omieszkali poprosić, by nie kładły się zbyt późno i nie oglądały telewizji do rana, przebierały się, nakładały makijaż i wychodziły. W torebce miały zazwyczaj plastikowy fla-

konik po wodzie kolońskiej, napełniony ginem z coca-colą, a ich ulubiona zabawa polegała na znalezieniu pustej szklanki w barze, umyciu jej w ubikacji i napełnieniu tą mieszanką. Prócz tego Leonor potrafiła dać się zaprosić. Wystarczyło wpatrywać się przez dłuższą chwilę w jakiegoś faceta, który nie mógł od niej oderwać wzroku, i promiennie się do niego uśmiechnąć. Prawie każdy podchodził i stawiał drinka, a z grzeczności musiał też postawić i przyjaciółce. Leo rozmawiała z takim facetem, dopóki nie opróżniły kieliszków, po czym oznajmiała, że czekają na nie koledzy, i wręczała adoratorowi karteczkę z fałszywym numerem telefonu. Czasami, jeśli chłopak naprawdę się jej podobał, gadała z nim dłużej i pozwalała odprowadzić się do domu. Czasami zostawała z takim w samochodzie, a Poppy czekała na nią w bramie. Niektórym dawała prawdziwy numer i szła z nimi do łóżka na następnej randce. Te miłostki nigdy nie trwały długo. Zazwyczaj tydzień, czasem ciągnęły się przez miesiąc albo najwyżej dwa. Nigdy jednak Leo nie umawiała się sam na sam ze swoimi wielbicielami, poza łóżkiem oczywiście. Jeśli któryś z wielbicieli chciał ją zaprosić do kina, na kolację, na wystawę, musiał też zaprosić Poppy. No i nie mógł się z nią spotykać w tygodniu. Dlatego większość facetów, zazwyczaj parę lat od niej starszych - dominująca osobowość Leonor onieśmiałała chłopców w jej wieku - szybko się nudziła i kończyła znajomość. Leo przez tydzień bazgrała w zeszytach imię ukochanego, czekając na telefon, który już nie dzwonił, po czym w jej życiu pojawiał się następny facet.

208

A jeśli któryś zakochiwał się w niej na serio, przestraszona zrywała znajomość. Nigdy nie przyznała, że nie jest gotowa na trwały związek, że boi się zobowiązań, mówiła po prostu, że był za wysoki albo za niski, zbyt prymitywny albo za bardzo przemądrzały, zbyt zazdrosny albo za obojętny, za sztywny albo za bardzo na luzie. Jeśli nawet Poppy czuła się źle w roli niezbyt efektownej przyzwoitki swej atrakcyjnej przyjaciółki, nigdy się na to nie skarżyła. Lubiła chodzić po knajpach, poznawać nowe miejsca, nowych ludzi. Przy tych paru rzadkich okazjach, kiedy udało się jej wyjść z klasową pięknosciami i jej świtą, program wieczoru ustalano grupowo, w klasie, dopieszczając w najdrobniejszych szczegółach przez cały tydzień, z frenetycznym entuzjazmem, który chciano wymusić również na Poppy, co czasem się udawało, jako że imię, a zwłaszcza nazwisko klasowego przystojniaka - które kojarzyło się nie tylko z pieniędzmi, ale też ze znakomitym pochodzeniem - opromieniało swym cudnym blaskiem każdy plan, choćby to miało być ente wyjście do tego samego baru, czy wypad do kina - oczywiście na film hollywoodzki i koniecznie dubbingowany. Eskapady z Leonor, nieplanowane i spontaniczne, okazywały się dużo bardziej interesujące. Na dyskoteki wpuszczali je bez płacenia za wjazd, niektórzy barmani stawiali im drinki, ochroniarze przemycali je na koncerty i wiele par oczu śledziło Leo, kiedy szła, rozpychając się łokciami między knajpianym tłumem. Znały ludzi, wygłupiały się, czasem jakiś wielbiciel Leo miał znajomego, który czuł się

w obowiązku zagadać z Poppy, znajomy pracował w gazecie albo redagował fanzina, albo grał w zespole, i w ten sposób Poppy w cieniu Leo tworzyła sobie własny krąg znajomych, stając się rozpoznawalna w kręgach bywalców nocnych lokali. Ludzie ją znali, choć tylko jako „tę sympatyczną przyjaciółkę ślicznej Leo”, choć to i tak było dużo lepsze niż całkowita anonimowość.

Właśnie w taki sposób poznała Felixa, nieatrakcyjnego kolegę przystojniaka wypatrzonego przez Leonor przy barze. Pracowali w agencji prasowej i zawinęli do knajpy o drugiej w nocy, po

209
czternastu godzinach transmisji relacji z pożaru, który strawił pół prowincji. Przyjaciel Felixa był naprawdę przystojny, wysoki, dobrze zbudowany i to on padł ofiarą uwodzicielskiego spojrzenia Leo. Pięć minut później siedzieli już przy jednym stoliku.

Obaj mężczyźni zaraz na początku oznajmili, że są żonaci, i zdaje się, że powiedzieli to po to, żeby nie wystawiać się na pokusę, jaką niewątpliwie stanowiły dwie młode i chętne dziewczyny. Podkreślali tym samym, że ich obecność o tej porze w knajpie, a nie w domu, przy żonach, to efekt wyjątkowo trudnego dnia pracy, po którym musieli odreagować i coś wypić, że to raczej życiowa konieczność, a nie zwykła chęć rozrywki. Przystojniak utrzymywał stosowny dystans w rozmowie z Leonor, która - jak zawsze w konfrontacji z opierającym się jej mężczyzną - wyrażała coraz żywsze zainteresowanie nim i zachęcona wyzwaniem dotykała go pod byle pretekstem - imię tego faceta miało zagościć na dłużej w zeszytach Leonor, pewnie dlatego że spotkanie było tak krótkie, a znajomość się nie rozwinęła. Tymczasem brzydał, który w rzeczywistości nie był specjalnie brzydki, tylko wypadł dość blado przy swoim atrakcyjnym koledze, toczył interesującą rozmowę z Poppy i sam poprosił o jej numer telefonu. Dając mu go, Poppy wiedziała, że facet ma żonę i że się jej podoba.

Felix obiecał, że zadzwoni w tygodniu, i tak zrobił. Na szczęście tego dnia Poppy była w domu i to ona odebrała telefon, bo wcale nie miała ochoty wyjaśniać wszystkiego matce i siostrze, które zapewne zarzuciłyby ją pytaniami: „A ten chłopak, co do ciebie dzwonił, to kto? Ma taki dorosły głos”. Zaproponował, że pojedzie po nią samochodem. „Nie, lepiej nie - odparła Poppy, obawiając się, że zobaczy ją jedna z sąsiadek i poleci z tym do matki albo do siostry - może umówmy się tu niedaleko w parku. Może w altance naprzeciwko stawu z kaczkami... O siódmej? Dobrze, niech będzie”. Sama nie wiedziała, dlaczego zgodziła się na to spotkanie, skoro w rzeczywistości nie podobał się jej aż tak bardzo, z drugiej strony już od dawna nie zainteresował się nią

210

żaden chłopak, chyba od drugiej klasy, kiedy jeszcze wychodziła wieczorami ze świąt klasowej piękności i miała niskiego, pryszczatego adoratora, który wysyłał jej miłosne liściki. Poza tym fakt, że to jest starszy facet, a na dodatek żonaty, sprawił, że czuła się właścicielką cennego sekretu, albowiem żadna z dziewcząt w klasie, nawet Leonor, nie miała odwagi uczynić czegoś równie zuch-

wałego, tak więc chwilowo pławiła się w samouwielbieniu. Podczas pierwszej randki nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, rozmawiali o książkach, o płytach. Rozmowa płynęła spokojnym rytmem, a oni spacerowali powoli, obok siebie, nawet się nie dotykając. Przy pożegnaniu delikatnie ujął jej dłoń i umówili się na kolejny piątek, w tym samym miejscu o tej samej porze. I tak zaczął się ich dziwny związek, na przemian burzliwy i spokojny, z okresami wzmożonej fascynacji i chwilami ostrożnego dystansu. On opowiadał o żonie i dziecku, ona zaś rewanżowała się opowieściami o matce i siostrze, o tym, jak matka powoli przygasła, dusząc się w sosie goryczy od dnia, kiedy opuścił je ojciec, o tym, jak siostra stała się domowym kapralem, nieświadomie wchodząc w rolę mężczyzny. „A ojciec?” zapytał Felix. „Na początku widywaaliśmy się z nim, ale z czasem przestałyśmy”. Nikt niczego jej nie wyjaśniał, z rzadka w rozmowach padały oględne komentarze matki, nad którymi Poppy rozmyślała przed zaśnięciem. Wiedziała, że na rodzinę spadła hańba, której imienia nie wolno wypowiadać, wstyd, który sygnalizowano gestami i ściszym głosem, i tylko z tych gestów należało owego wstydu się domyślać. Była jakaś inna kobieta, problemy finansowe, alkoholowe i „na całe szczęście moja rodzina zawsze sobie jakoś radziła, mam spłacone mieszkanie i mam pieniądze, wyobraź sobie, co by się stało, gdyby było inaczej... Nie, gdybym się tego spodziewała, gdyby ktoś mnie uprzedził...”. Te rozmowy przerywano, kiedy tylko w drzwiach ukazywała się blond główka Poppy, a nagłe milczenie podkreślało dobitnie wagę niewypowiedzianych słów. Po raz pierwszy rozmawiała o tym z drugą osobą, z wyjątkiem Leonor oczywiście, choć 211

nawet swojej przyjaciółce nie ujawniła tylu szczegółów. Felix słuchał uważnie, nie stawiał zbyt wielu pytań, jego twarz nie wyrażała zdumienia. Kiedy Felix szedł obok, Poppy wydawało się, że jej hańba nie jest tak wielka, że wstyd znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tak jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, jakby każdego dnia gdzieś tam jakiś inny ojciec opuszczał rodzinę, niczego nie wyjaśniając, co zresztą zapewne się dzieje. Mijały miesiące. Nie spotykali się zbyt często. On miał żonę i dziecko i trudno mu było znaleźć czas na spotkania. To był taki popołudniowy romans, spacer w parku, trzymanie się za ręce. Potem doszły pocałunki i pieszczoty i w końcu to Poppy zaproponowała, żeby wynajęli pokój w hotelu. Zapytał tylko, czy jest pewna swojej decyzji, a ona odparła, że tak. Wiedział, że jest dziewczicą, i chyba stanowiło to większy problem dla niego niż dla samej Poppy. Nigdy jej nie powiedział, że zostawi dla niej żonę i dziecko, a ona ani go o to nie prosiła, ani tego nie oczekiwała. Żadne z nich nie widziało przyszłości dla tego związku. Ona postrzegała to jako swego rodzaju rytuał inicjacji, ćwiczenie, pierwszy krok na drodze w stronę wielkiej miłości, która miała nadejść, próbę przed czekającym ją życiem, natomiast on traktował to jako rodzaj ucieczki przed życiową rutyną. Poppy nie wiedziała, jak skończyłaby się ich historia, gdyby jego żona nie zaczęła myszko-

wać po szufladach, ale była przeświadczona, że tak czy siak, ich związek skończyłby się, i to raczej wcześniej niż później.

Romans z Felixem nie przetrwał. Poppy już nie zadzwoniła do niego do pracy, jak zwykła to robić wcześniej, a on nie mógł dzwonić do jej domu. Niebawem dostała list, pełen utartych zwrotów i wyświechtanych banałów, list, którego treść Poppy przeczuwała: ból zdradanej kobiety, wyrzuty, sceny, szantaże emocjonalne, przebaczenie z wysokości piedestału, na który wyniosła ją jego obojętność, decyzja ojca o pozostaniu przy dziecku, mimo odczuwanej ogromnej tęsknoty do młodej dziewczyny, która tchnęła w jego martwe życie tyle radości. Nigdy o tobie nie

zapomnę, zawsze pozostaniesz w moim sercu, bla, bla, bla, puste słowa, które dla niej nic nie znaczyły. Domyślała się, że taki list nadejdzie, i nawet bała się, że przechwyci i przeczyta go siostra, ale ta akurat bardziej przejęła się Leonor niż Felixem i choć już następnego dnia po awanturze Poppy wyjaśniła, że wcale nie jest z Leonor, choć przyrzekała, że to był tylko głupi żart, siostra nie przestawała o tym myśleć. Oczywiście już wcześniej przyjaźń tych dwóch dziewczynek wydawała się jej dziwna, ale dopóki Poppy sama tego nie powiedziała, siostra nie śmiała nazwać swoich podejrzeń. Następnie podzieliła się tymi przemyśleniami ze swoim chłopakiem, a ten z kolei opowiedział o tym przy stole, w trakcie rodzinnej kolacji, w obecności młodszego brata, który chodził do tego samego Centrum Edukacji. Młodszy brat, nie zwlekając, obdzwonił wszystkich kolegów i wkrótce rzekomy lesbijski związek Poppy i Leonor stał się tematem szkolnych plotek, a napis „Leonor to dziwka” zastąpiono innym: „Leonor to lesba”.

Właśnie wtedy matka Leonor oznajmiła córce, że jest już za duża, żeby koleżanki przychodziły do niej na noc, że bale piżamowe urządzi się w wieku czternastu, a nie osiemnastu lat, a Poppy ma swój dom, a w nim swoje łóżko. Kiedy Leo referowała sprawę przyjaciółce, nie wspomniała, że być może do matki doszły słuchy o rzekomym romansie córki z przyjaciółką i stąd ta decyzja, a skoro Leonor nawet się nie zająknęła na ten temat, Poppy pomyślała, że być może przyjaciółka przejęła się tym bardziej, niż chciałaby się do tego przyznać. I oburzyła się na myśl, że przyjaciółka być może wstydzi się podejrzeń o romans z Poppy. Zwłaszcza że ona, w głębi duszy, czuła się dumna, że ktoś mógł posądzić ją, dziewczynę przy kości i w swym mniemaniu mało atrakcyjną, o romans z kobietą, którą - ilekroć wkraczała do baru, rozświetlając jego mroki blaskiem swej urody - śledził pożądliwy wzrok wszystkich facetów. I zaraz pomyślała o czymś jeszcze: czy to możliwe, że jest zakochana w Leo? Czy uczucie, jakie do niej żywiła, to była tylko prawdziwa przyjaźń, czy coś więcej? Była

213
pewna, że nigdy nie pożądała Leo, ale w rzeczywistości akurat ona niezbyt dobrze wiedziała, co znaczy pożądanie albo jego brak, bo nawet z Felixem nie przeżyła tego, czego jej zdaniem seks powinien był jej dostarczyć - zero motyli w brzuchu na jego widok czy

gwiazd przed oczyma, kiedy uprawiali miłość. Przeżycie okazało się równie miłe jak nakładanie kremu nawilżającego na nogi, przyjemne, choć momentami obrzydliwe, ale jeśli miałyby być ze sobą szczerą, to nie pożądała Felixa bardziej niż Leo. Czyli wcale. Albo wręcz przeciwnie. Pogubiła się w myślach.

Kiedy Leo zadzwoniła pod koniec tygodnia, żeby jak co tydzień umówić się na sobotni wieczór, Poppy oznajmiła, że nie chce nigdzie wychodzić, bo bez sensu jest wracać o dwunastej, skoro akurat wtedy otwierają ich wszystkie ulubione knajpy. „To może przynajmniej pójdziemy do kina, co?“, zaproponowała Leo. „Nie, daj spokój. Zostanę w domu i się pouczę“, odparła Poppy, zbyt dumna, by wyznać, że obraziła się na przyjaciółkę, której nie starczyło odwagi, żeby sprzeciwić się matce i powalczyć o to, by Poppy mogła u niej spać jak dotychczas. Leonor odpuściła i zadzwoniła do ostatniego ze swoich licznych chłopaków, który co prawda niespecjalnie ją interesował, ale przynajmniej miał czas, i umówiła się z nim na wieczór. W kolejny weekend Poppy znów oznajmiła, że woli się uczyć, a Leo znów umówiła się z tym samym chłopakiem. Miesiąc później Leo miała stałego chłopaka, a Poppy wykuła na blachę wszystkie przedmioty. I podczas egzaminów Poppy uzyskała najwyższe oceny z całej klasy, a Leo po raz pierwszy w życiu je oblała. Leo musiała zostać w Madrycie, żeby pouczyć się do wrześnieowej poprawki, a Poppy wyjechała nad morze, do Kraju Basków, do domu wujostwa, jak w każde lato. Wymieniały się pocztówkami, w których nie pisały niczego szczególnego. Poppy pisała o plaży i pięknej pogodzie, a Leo o tym, jak dobrze jej z nowym chłopakiem i jak bardzo nienawidzi szkoły. Nadszedł wrzesień i umówiły się na kawę. Poppy postanowiła studiować ekonomię, a Leo, która w drugim podejściu

214
zdała egzaminy bardzo słabo, jako że całe lato przesiedziała w kawiarnianych ogródkach ze swoim nowym chłopakiem, nie mogła wybrać jakichś interesujących studiów, bo wymagano tam samych celujących stopni. Chciała się zapisać do szkoły teatralnej, ale rodzice uznali, że to szaleństwo, poszli więc z córką na kompromis: popołudniami Leo miała chodzić do studium dramatycznego, a rano uczyć się prowadzenia międzynarodowego sekretariatu. „Choć zapewne domyślasz się, że nie mam najmniejszej, ale to najmniejszej ochoty zostać niczyją sekretarką“, oznajmiła twardo Leo, a z jej lśniących oczu dało się wyczytać ogromną determinację. Umówiły się na telefon za tydzień, ale Leo nie zadzwoniła, bo wcześniej pokłóciła się ze swoim chłopakiem, a kiedy się już pogodziła, zapomniała o wszystkim, co nie wiązało się z jej miłością. Poppy też nie zadzwoniła, czekała bowiem na telefon od Leo, bo ciągle jeszcze boleśnie odczuwała coś, co w jej mniemaniu było tchórzostwem i zdradą. A poza tym była zazdrosna. Była zazdrosna, bo oto znienacka Leo miała chłopaka, który zaprzętał całą jej uwagę, a prócz tego znów opadły ją wątpliwości: czy taka zazdrość jest normalna w przypadku przyjaźni? Poppy nie zadzwoniła, Leo też nie, i stopniowo - zważywszy na to, że mieszkały w Madrycie,

mieście na tyle dużym, że łatwo w nim zniknąć, jeśli żadnej ze stron nie zależy na utrzymaniu kontaktu - przestały się widywać.

Na uniwersytecie Poppy poznała swojego przyszłego męża.

Obecnie pracuje jako doradca finansowy i ma dwóch synów.

Mieszka w pięknym domu na przedmieściach, z ogrodem i basenem. Czasami nocą ogarnia ją smutek na myśl o mieszczańskim życiu, które wiecie, banalnym i wyzbytym mocnych wrażeń, ale zazwyczaj przychodzi do domu tak zmęczona, że nie ma siły na jałowe rozmyślenia, zaraz zasypia, pograżając się we śnie, mrocznym i pozbawionym sennych fantazji.

Natomiast Leo zastąpiła ówczesnego chłopaka kolejnym, a potem jeszcze jednym, i tak bez końca, obnosiła się ze swoimi chłopakami tak, jak inni chwalą się drogą biżuterią. Kiedy skończyła 215

trzydzieści lat, po raz pierwszy przespaała się z kobietą, aktorką, z którą była potem przez rok, a którą zostawiła dla znanego reżysera, w zamian za pierwszą dużą rolę w filmie. Wyszła za tego reżysera i urodziła dziecko, niedługo potem się rozwiodła, ale jej adwokaci uzyskali bardzo korzystne warunki: Leonor dostała dom i spore alimenty, teoretycznie przeznaczone na utrzymanie dziecka, w praktyce pozwalające jej nie pracować bądź też pracować tylko od czasu do czasu, występowała więc w epizodycznych rolach w serialach telewizyjnych, co ledwie starczało na kupowanie ekskluzywnych ubrań, które zazwyczaj nosiła. Ponieważ Leo dysponowała dużą ilością wolnego czasu, mogła do woli tracić go choćby na porządkowanie szaf - zadanie, które Poppy wyznaczała sobie do wykonania niemal codziennie, ale które każdego dnia odkładała na jutro. Poza tym Leonor musiała to robić, nie miała wyjścia, skoro kupowała takie ilości ciuchów - i dostawała w prezencie jeszcze drugie tyle, w końcu jej najlepszy przyjaciel był projektantem mody - że mniej więcej po upływie roku brakowało jej miejsca w garderobie, zatem musiała dokonywać starannej selekcji i odrzucać te stroje, których już nie nosiła, by zyskać miejsce na nowe. I właśnie porządkując szuflady, natknęła się na kartonowe pudełko, z krawędziami startymi czasem, pudełko pełne pamiątek z młodości, zdjęć, listów, biletów do teatru, katalogów z wystaw... Otworzyła różową kopertę i wyjęła pocztówki od Poppy, fotografie, które sobie razem zrobiły, i jakieś czarne majtki. I przypomniała sobie, jak Poppy oddała jej majtki pożyczone na tamtą noc z żonatym facetem, który uważał się za jej chłopaka i którego imienia Leo już nie pamiętała, a tych majtek Leo już nigdy nie włożyła, chyba ze względów higienicznych, tak przynajmniej jej się zdawało. Co się dzieje z Poppy? Fajna z niej była dziewczyna... Powinna była częściej do niej dzwonić.

Wyrzuciła do kosza pudełko z pocztówkami, zdjęciami i czarnymi majtkami, zyskując tym samym nieco miejsca w szafie.

OSZUKANY MĄŻ

Hector zostawił swoją Drugą, bo go oszukiwała.

Hector był bardzo zakochany w swojej Pierwszej, ale cały czas

miał wrażenie, że ona nie kocha go tak mocno jak on ją. Nie można jej było zarzucić braku czułości, zwłaszcza w stosunku do córeczek, ale trudno byłoby określić ją mianem osoby romantycznej. Laura nie dawała ani nie przyjmowała prezentów na Walentynki, bo jak twierdziła, nie miała ochoty, żeby zarabiała na niej centra handlowe, które wymyśliły to święto w celu wyłącznie komercyjnym, podobnie jak wymyśliły Dzień Matki (i rzecz jasna, nie chciała również prezentów z tej okazji), wolała dobry film od romantycznej kolacji we dwoje w przytulnej restauracji, nie nosiła w portfelu zdjęcia męża (choć fotografie córeczek jak najbardziej), a kiedy dzwoniła do niego do pracy, to zawsze by omówić niecierpiące zwłoki sprawy domowe, nigdy zaś po to, by powiedzieć po prostu „kocham cię”. Rozstanie było równie chłodne i bardzo kulturalne. Kiedy oznajmił, że zakochał się w innej, żona nie krzyczała ani nie wybuchła płaczem, ale patrzyła na niego w milczeniu długą chwilę, badawczym, chłodnym wzrokiem, a na koniec zaproponowała, żeby udali się do mediatora rodzinnego. W owym czasie to była zupełna nowość, nikt tego nie praktykował, rzadko kto o tym słyszał. W rzeczywistości mało kto się rozwodził, bo przepisy rozwodowe dopiero co weszły w życie. Znaleźli pewnego Argentyńczyka - w owym czasie wszyscy terapeuci byli Argentyńczykami, uciekinierami spod reżimu Videli - bardzo nowoczesnego, bardzo drogiego, który co prawda nie doprowadził do

217
pogodzenia, ale pomógł im rozejść się bez kłótni i krzyków, dzięki czemu córeczki uniknęły trudnych przeżyć w rodzaju rodziców rzucających w siebie talerzami.

Druga była zupełnym przeciwieństwem Pierwszej. Całkowicie go ujarzmiła. Nie tylko olśniewającą urodą, dumnymi, tęsknymi oczyma, smukłą kibicią czy pięknymi włosami, czy wreszcie talentem - była doskonałą aktorką, niewykluczone, że zbyt doskonałą, o czym przekonał się niestety za późno - ale również tym, że przy niej czuł się jak bohater, jak bóg. Druga i owszem, przywiązywała wagę do szczegółów, czasem zbyt natarczywie. Czasem zbyt namiętnie.

Była na przykład bardzo zazdrosna, co z początku napawało go zdumieniem, jako że Pierwszej wcale nie przeszkadzało, że inne kobiety oglądają się za nim na ulicy. Nawet więcej, w ogóle tego nie zauważała. Tymczasem Druga zachowywała się tak, jakby posiadała skarb wielkiej wartości, który każda inna kobieta będzie chciała jej wydrzeć, korzystając z chwili nieuwagi. A jeśli była o kogoś zazdrosna, to przede wszystkim o Pierwszą. Nie wystarczyła jej świadomość, że zmuszony do dokonania wyboru między prawowitą małżonką a kochanką odszedł do tej drugiej. Pragnęła, żeby całkowicie wymazał z pamięci dwanaście lat spędzonych z Laurą. Często pytała: „Kochasz mnie?”. „Oczywiście”, odpowiadał. „Bardziej niż Laurę?”. „Oczywiście”, kłamał. Bo Hector uwielbiał Laurę, która zawsze pozostanie Pierwszą pod wieloma względami, a jeśli powoli się od niej odsuwał, to właśnie dlatego że bał się, że kocha ją za bardzo, bo nie mógł znieść tego, jak czuje się przy niej bezbronny.

Pierwsze kłótnie z Drugą spowodowane były jej pragnieniem posiadania dzieci. Kiedy się poznali, Hector oznajmił, że ma już dwie córeczki i nie chce więcej potomstwa, a ona nie miała nic przeciwko, bo jak sama twierdziła, macierzyństwo nigdy jej nie pociągało. Poza tym, jak wiadomo, w ciąży tyje się w biodrach i talii, a aktorka żyje ze swojego ciała (zwłaszcza aktorka sławna raczej z powodu swej figury aniżeli aktorskich umiejętności, po-218

myślał Hector, ale powstrzymał się od wygłoszenia tej uwagi). Jednak zbliżająca się czterdziestka i tykający zegar biologiczny zaburzył jej system nerwowy, bo nieoczekiwanie, z dnia na dzień, zmieniła poglądy. Próbował jej wyjaśnić, że jego zarobki nie wystarczą na utrzymanie kolejnego dziecka, skoro musi już wypłacać alimenty córkom. Nie wspominając o tym, że choć wychowanie córek okazało się cudownym doświadczeniem, to jednocześnie na długie lata pozbawiło go wielu przyjemności: nie mógł wychodzić do kina, nie mógł wylegiwać się w łóżku w sobotnie poranki i popijając sok pomarańczowy, spokojnie przetrzucać gazety z całego tygodnia, nie mógł spać w niedzielę do czwartej po południu po hucznej popijawie, nie mógł wyjeżdżać na wakacje w te wszystkie rajskie zakątki, gdzie jedynym wysiłkiem było unieść rękę i poprosić kelnera o kolejną pinacoladę. Chciał jeździć na wakacje bez tych wszystkich wózków, chusteczek, pieluch i butelek. Chciał żyć życiem z reklam napojów orzeźwiających. Kiedy wreszcie udało mu się nakręcić wymarzony film, kiedy osiągnął niezależność finansową, kiedy dzwoniли do niego z propozycjami uczestnictwa w jury rozlicznych festiwali czy wygłoszenia wykładu, kiedy mógł podróżować po całym świecie, po co, do cholery, miałby sobie komplikować życie rodzicielskimi obowiązkami? A ona wyzywała go od egoistów, cyników, mówiła, że wcale jej nie kocha, bo gdyby kochał, to dałby jej dziecko. Zarzekał się, że ją kocha, że ją uwielbia, inaczej przecież nie rozwiódłby się dla niej z Pierwszą, ale powoli zaczął mieć dość łez i krzyków i - ku swemu zaskoczeniu - coraz częściej tęsknił za Laurą, za tamtym uporządkowanym, spokojnym życiem, kiedy żadne z nich nie używało w rozmowach podniesionego głosu.

Akurat wypadła weekend, w którym to jemu przypadło zajmowanie się córkami. Obiecał zabrać je w niedzielę na pływalnię i w sobotni wieczór przewrócił wszystkie szuflady w poszukiwaniu karnetu, który jakby zapadł się pod ziemię. Bez karnetu 219

nie wejdą do klubu. Przypomniał sobie, że rano robił porządek w dokumentach i być może bezwiednie wyrzucił go do kosza. Poszedł więc do kuchni i w poszukiwaniu upragnionego kawałka plastiku wysypał na ziemię zawartość kubła. Zamiast niego dostrzegł blaszkę neogynonu, na której brakowało pierwszych czternaście, choć pozostało siedem ostatnich, małych, białych kuleczek, i w nagłym przebłysku świadomości przypomniał sobie, że rano nie zauważył pigulek żony w szafce, gdzie leżały zazwy-

czaj, obok kremu nawilżającego. Przeszukał apteczkę w łazience i nic. Przejrzał kosmetyczki. Dalej nic. Zajrzał nawet do saszetki ze spinkami do włosów. Ciągle nic. W końcu przeszukał torebkę żony, pomyślawszy, że może nosi pigułki w portfelu. Nic z tego. Druga siedziała w salonie przed telewizorem.

- Kochanie, powiedz, przestałaś brać tabletki antykoncepcyjne?
 - Nie, skądże. Łykam codziennie.
 - No dobrze, a możesz mi je pokazać?
 - A po co mam ci je pokazywać?
 - Po nic...
 - No więc nie mogę ci ich pokazać, bo właśnie mam tydzień przerwy.
 - Skoro masz tydzień przerwy, to dlaczego przestałaś je łykać w połowie cyklu?
 - Skąd wiesz, że zrobiłam to w połowie cyklu?
- Pytając „Skąd wiesz?”, przyznała się do winy. Przestała brać pigułkę, nie czekając nawet na koniec cyklu, bo często podejmowała nagłe decyzje, podyktowane impulsem chwili.
- No cóż - wyjaśniała - parę dni temu zapomniałam wziąć, a zanim się zorientowałam, minęły kolejne dwa dni i nie chciało mi się łykać trzech na raz, nie wiedziałam, czy to ma jakiś sens.
 - A dlaczego nic mi nie powiedziałaś?
 - Nie wiem, nie pomyślałam o tym.
 - Nie pomyślałaś, że możesz zająć w ciążę, jeśli odstawisz je choćby na jeden dzień?

220

- Nie przesadzaj... W moim wieku, po trzydziestce, to już się nie zdarza. Popatrz na Lolę i Aida, próbują już od roku...
- Lolę? Masz na myśli twoją przyjaciółkę, tę modelkę? Przecież jej mąż jest gejem.

Nie miał ochoty się kłócić, ale zrozumiał jedno: oszukiwała go. I kiedy myślał o oszukiwaniu, nie chodziło mu o niewierność, tylko o tak prymitywną zagrywkę, jak staranie się o dziecko za jego plecami, bo przecież Druga wiedziała doskonale, że on się nie zgadza, a mimo to zdecydowała się postawić go przed faktem dokonanym.

Żył z kobietą, która go oszukiwała, dokładnie tak jak te kobiety, które zabawiając przyjaciół męża w czasie kolacji, na której znalazły się niejako z obowiązku, myślą jednocześnie o porannym spotkaniu z nauczycielem tenisa.

Hector nie zostawił jej od razu. Wciąż mieszkali razem. Ona udawała, że nie ma przed nim tajemnic, on udawał, że jej wierzy. I taki był początek końca tej historii, choć on jeszcze trwał w tym związku, w nadziei, że Druga się przyzna, że przerzuci most nad szczeliną, która się między nimi otworzyła. Ona do niczego się nie przyznawała, a on z żelazną konsekwencją zaczął unikać zbliżeń, ze strachu, że żona zajdzie w ciążę, co w krótkim czasie zmieniło szczelinę w przepaść. Druga żaliła się i czyniła mu gorzkie wyrzuty z powodu braku zainteresowania, szloch, łzy i emocjonalne szantaże przybrały na sile. „Przecież ja cię kocham - mówiła. - Nie

potrafię żyć bez ciebie, nie potrafię żyć bez ciebie - powtarzała, łkając - i czuję się samotna, porzucona, jesteś tak daleko, a ja jestem jak zagubione dziecko". Dwa lata wcześniej taka scena na pewno by go poruszyła, ale teraz jej słowa wydawały mu się puste, wyświechtane, bez blasku. Aż którejs nocy uległ. Ona była zbyt piękna, a on za dużo wypił. A potem nastąpiła kolejna taka noc i jeszcze jedna. Ona dopięła celu. A on z trudem przyznaje, że ciąża ostatecznie ich od siebie odsunęła. Mimo tego przeżyli razem jeszcze trzy ponure lata, które prześlizgnęły się niepostrzeżenie. I kiedy w końcu

221

oznajmił, że odchodzi, wpadła w histerię, biła go pięściami, groziła, że rzuci się z okna, ale nie udało jej się go zatrzymać.

Pierwsza mieszka wciąż w tym samym domu, z córeczkami.

Nie ma przy niej innego mężczyzny, a on podejrzewa, że taki nigdy się nie pojawi. Podczas długiej telefonicznej rozmowy, do której doszło parę lat później, wyznała, że uważała go za mężczyznę swojego życia i ciężko jej było sobie wyobrazić, żeby kiedyś zamieszkała z innym. Powiedziała to spokojnym głosem, bez cienia pretensji czy żalu.

O Drugiej wiadomości czerpie z prasy. Bo kiedy przychodzi do niej po syna, prawie ze sobą nie rozmawiają, choć wymieniają wymuszone uśmiechy i kurtuazyjne zdania, którym - tego Hector jest pewien - dziecko nie daje się oszukać. To dziwne, że dwie osoby, które kiedyś były sobie tak bliskie, teraz są tak od siebie odległe. Jako reżyser i aktorka powinni byli spotykać się ze sobą od czasu do czasu, przy okazji różnych kulturalnych imprez, ale on starannie unikał tych premier, na których - jak przypuszczał - mogła się pojawić ona. Raz prawie się z nią zderzył na jakiejś ceremonii wręczania nagród, ale zgrabnie ją ominął i miał wrażenie, że Druga, myśląc tylko o sobie i swojej sukni - projektu zaprzyjaźnionego stylisty, Oscara Rosaberta, który wszędzie za nią chodzi - nie zauważyła dyskretnego manewru. Niedawno w telewizji wspomniano o niej w jakimś plotkarskim programie. Uczestniczyła w wernisażu wystawy malarza o dość egzotycznym nazwisku, perskim albo arabskim, który miał miejsce w jednej z bardzo modnych galerii. Po Leonor Mayo nie widać upływu lat, ktoś stwierdził. Jest jeszcze ładniejsza dziś niż przed piętnastoma laty. Elegancka Leonor, Leonor tryumfująca, boska Leonor. Leonor, która jest teraz bardziej znana z powodów towarzyskich aniżeli ze swoich ról teatralnych. I nikt już nie pamięta, kto obsadził ją w pierwszej znaczącej roli - ten reżyser, który się w niej zakochał i zostawił dla niej Pierwszą żonę, choć bardzo ją kochał.

222

Leonor pułapka, Leonor urojenie, Leonor Nemezis. Ktoś mówił, że spotyka się z bogatym marszandem, przyjacielem księcia Felipe. Hector wyobraża sobie, jak Leonor, zabawiając przy stole przyjaciół swojego nowego narzeczonego, na kolacji, na którą przyszła z obowiązku, myśli o porannym spotkaniu z nauczycielem jogi, na którym musiała go pięć razy prosić, żeby w końcu włożył prezerwatywę.

AKTORKA

Dobrze, że w końcu wyłączyłaś mikrofon i już nie musimy opowiadać tych bzdur o Fulvio Trentino i jego męskich przymiotach... Tak, tak, nie śmieję się, jego męskość to podobno całkiem niezły przymiot, gdzieś to słyszałam. Nie wiem, czy ma jakieś inne przymioty, ale ten i owszem... No więc możemy sobie wreszcie swobodnie pogadać, po przyjacielsku, słonko, w końcu jesteśmy przyjaciółkami, nie? a ja już nie muszę pleść tych bzdur. Mam szczęście, że to właśnie ty robiłaś ten wywiad. Napiszesz świetny tekst, jestem pewna, że w tej redakcji jeszcze tak doskonałego tekstu nie widzieli. Szefowa strasznie się podnieciła, jak jej powiedziała, że ty, było nie było, pisarka, zgodziłaś się to napisać, prawie zwariowała z radości... Co ja ci będę mówić, przy tobie łatwiej mi się gadało, jakbym trafiła na jakąś nudną laskę, umarłabym ze wstydu. Poza tym pewnie by było po mnie widać... No co ty, wcale nie kłamałam, kochana, po prostu nie powiedziałam wszystkiego. Tak, powiedziałam, że Fulvio jest krytykiem sztuki, możesz to napisać, jasne, że tak, ale tak między nami to Fulvio żyje z pieniędzy ojca, a ma ich tyle, że starczyłoby dla stu takich Fulwiów. Co do pracy, takiej prawdziwej pracy, to nie widzę, żeby specjalnie się przepracowywał... A jeśli chodzi o nasz związek, to naprawdę chciałabym ci powiedzieć, że tak, że jesteśmy w sobie zakochani do szaleństwa, że się pobieramy, że trafiła mi się niezła kasa, że zamieszkam w luksusowej posiadłości, słonko, ale co ja ci będę tłumaczyć, sama wiesz, jak to jest, mnie się wydaje, że Fulvio woli chleb z innej mąki, jeśli domyślasz się, o czym mówię.

224

Mnie to akurat jest obojętne, zresztą sama kiedyś miałam romans z kobietą... Nie mówiłam ci? To było dawno. Ona też była aktorką. Grałyśmy razem w przedstawieniu teatralnym, ale potem jej przytrafiło się to, co wielu innym aktorkom, odeszła, przestała grać, to jest trudny zawód, ciężko wytrzymać, aktorek jest wiele, ale niewiele ma szczęście... Miała na imię Dora... Potem już o niej nie słyszałam... No dobrze, słonko, tylko dlaczego ja ci to teraz akurat opowiadam, cóż nas obchodzą niegdyśjsze śniegi... Nie, ja też nie mam pojęcia, dlaczego Fulvio dał się sfotografować, może dlatego, że jest jak dziecko i kocha maskarady, a może dlatego, że jego rodzina jest bardzo, bardzo, bardzo tradycyjna. Ty wiesz, że on jest nawet spokrewniony z rodziną królewską, no a jego matka wciąż ma nadzieję, że ożeni synka. Oczywiście wszystko to, co ci teraz opowiadam, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju, mówię ci to jak przyjaciółce, nie jak dziennikarce... Pewnie i tak użyjesz tego w kolejnej powieści, ale proszę, zmień mi chociaż imię i datę urodzenia... Odmłódź mnie trochę, koniecznie... I nie śmieję się, ja to mówię zupełnie serio. Jak tylko matka umrze i zostawi mi wszystko w spadku, to się przekonamy, kim naprawdę jest Fulvio. Albo się ze mną ożeni, kto to wie, są rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Osobiście byłabym zachwycona, nie tylko z powodu pieniędzy, chociaż tego akurat się nie wypieram, ale naprawdę czuję się przy nim świetnie. Jest cudowny: wybiera mi stroje, we wszyst-

kim pomaga, dogaduje się idealnie z moim synkiem. Sama wiesz, jak jest, w pewnym wieku uczysz się nie myśleć o pewnych sprawach, a czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal... A ja? Przecież to oczywiste, dlaczego zgodziłam się na te zdjęcia i wywiad, przecież aktorka zawsze potrzebuje reklamy, a zwłaszcza aktorka w pewnym wieku. Co ci będę mówić, słonko, ja trzydziestki to już nigdy nie będę miała, ale ile mam lat, to przecież ci nie powiem. To znaczy, nie podam ci daty urodzenia z dowodu osobistego, bo aktorka ma tyle lat, na ile wygląda, ani mniej, ani więcej. Kochana, mam tyle lat, ile napiszesz. Wiesz przecież, że my, aktorki, mamy wydrukowaną

225

datę ważności, jak jogurt, i jak tylko pojawi się pierwsza kurza łapka, koniec, żegnasz się ze sceną i zastępuje cię tłumek młodych lasek, które tylko czekają w kolejce, żeby zabrać ci rolę. Widziałaś Wszystko o Ewie} To jest dokładnie tak samo. Nie masz pojęcia, ile razy czuję się dokładnie jak Margo Channing! Owszem, trwam na scenie, raz z większym, raz z mniejszym sukcesem, ale wciąż trwam i dlatego potrzebuję reklamy, dlatego zgadzam się na zdjęcia do artykułu i odpowiadam na twoje pytania, chociaż obie wiemy, że mój związek z Fulviem nie jest tym, czym chciałyby go widzieć gazety. No cóż... całe szczęście, że my znamy się od tylu lat, słonko. Przyznam ci się, że miło jest móc pozwolić sobie na szczerość w tym świecie kłamstwa. A ja się boję, że mój czas w kinie również dobiega końca. To jest potworna niesprawiedliwość, naprawdę, obserwuję, jak maleje liczba ról, jak znikają z kina kobiece postaci, i w zasadzie wszystko, co mają nam do zaproponowania, to opowieści o znudzonych kurach domowych, z menopauzą i w depresji, i na dodatek to prawie nigdy nie są pierwszoplanowe role. I to mnie cholernie martwi, co ci będę mówić, słonko, bo przecież w rzeczywistości istnieją lekarki, kasjerki, sędziny, robotnice, pracownice naukowe, kobiety zamężne, rozwiedzione, samotne... Oczywiście, że są i sfrustrowane kury domowe, nie mówię, że nie, tylko że mnie akurat trochę drażni rola pogrążonej w depresji kury domowej, bo ja czuję się świetnie, nie czuję się przygnębiona, nie jestem niczyją kobietą, i co więcej nie pragnę nią być. Kobieta Fulvia, owszem, tak, ale to przede wszystkim dla kasy. Nie ma się z czego śmiać, słonko, nie jestem cyniczna, jestem realistką. Już ci mówiłam, że czuję się cudownie z moimi latami, zarówno jako kobieta, jak i aktorka, i nie mogę zrozumieć, dlaczego nagle, z dnia na dzień, otwiera się przede mną zawodowa pustka, rzecz można, że jeszcze wczoraj zasypywano mnie propozycjami, a dziś mój agent musi o nie prosić. Zauważ, złotko, że już w trzecim moim filmie wystąpiłam jako matka Raula Ladoire'a, naprawdę, on wtedy miał dwadzieścia

226

osiem lat, a ja trzydzieści pięć, nie do uwierzenia. W moim wieku grałam już babcie, a nie sądzę, że w rzeczywistości spotkasz babcie w moim wieku, kochana. I to mnie troszkę przygnębia, zastanawiam się: „Boże, czyli role matek to już nie dla mnie?”. I co teraz? Aktorki, które grają, mają po dwadzieścia parę lat,

to dlatego że filmy kręci się pod tych, którzy płacą za ich obejrzenie, a płacą dzieciaki, które idą do multipleksu, kupują hamburgera i chcą obejrzeć film akcji albo jakąś głupią komedyjkę o młodzieży licealnej. I okazuje się, że właśnie teraz, kiedy mogę wnieść w pracę nad rolą życiową mądrość, bagaż doświadczeń, całą gamę środków i odnośników, nie jestem już atrakcyjna dla przemysłu rozrywkowego. Przyznaję, że marzę o pracy, wszystko jedno gdzie, w radiu, w filmie, w telewizji czy w teatrze. I jeśli dla tej pracy muszę udzielać wywiadu i przysiąc, że do szaleństwa jestem zakochana w Fulviu Trentino, zrobię to bez mrugnięcia okiem, bo to jest taki zawód, jak ci się wiedzie, to cudowniejszego nie znajdziesz, ale jak masz pecha, to jest bardzo trudno, cierpisz. Zgodziłam się na ten wywiad, ale powiedziałam twojej naczelnej, że zrobię to pod warunkiem, że ty go przeprowadzisz, bo jeśli miałabym odgrywać rolę idiotki zakochanej w Fulviu Trentino przed jakąś farbowaną lesbijką albo - jeszcze gorzej - przed jakąś gówniarą, która odbywa staż w redakcji, to dostałabym szału. Tak, oczywiście, myślałam o operacji, ale wierz mi, że bez względu na operacje nikt w wieku czterdziestu lat nie będzie wyglądać na dwadzieścia pięć. Miałam parę zabiegów, jak wszystkie. Zastrzyki z botoksu, z kolagenu, złota nitka... Zrobiłam sobie nawet liposukcję, choć zawsze byłam szczupłą, ale z wiekiem każdemu zaczyna zwisać tyłek, to nieuniknione, c'est la vie. Liftingu jeszcze nie robiłam, jakoś nie mam odwagi. To odmłodziłoby mnie o góra pięć lat, ale przy sporym ryzyku, że moja twarz będzie przypominać napompowany balon. I utraciłaby całą swoją wyrazistość. Jeśli ją sobie wygładzę, znikną zmarszczki, ale zniknie też to, co moja twarz może wyrazić bez słów, kiedy przyglądam

227
się w lustrze, dostrzegam charakterystyczne, wyostrome rysy. I nie jest to tylko kwestia wieku, ale kwestia doświadczenia, wszystkich dobrych i złych rzeczy, które ci się przytrafiły. Twoje ciało krzepnie, wreszcie stajesz się sobą. Ja sama czuję w sobie potencjał większy niż kiedykolwiek wcześniej. Niestety, na castingach wcale tego nie dostrzegają. Na dokładkę więcej jest ról męskich niż kobiecych i więcej aktorek niż aktorów. Nie wydaje mi się, że to jakiś spisek mężczyzn z branży, to raczej kwestia przyzwyczajenia. Taki scenarzysta z przyzwyczajenia pisze o tym, co widział w kinie: aktywny facet, bierna kobieta; mężczyzna w akcji, kobieta się opiekuje. Na przykład w sądzie: kto jest sędzią? Kobiety. Idziesz do przychodni, a tam jest co najmniej tyle samo lekarek co lekarzy. Tylko że nie każda wygląda jak Sharon Stone i wcale tego nie potrzebuje. Natomiast jeśli przez przypadek trafisz na filmową sędzinę, lekarkę czy panią adwokat, to zazwyczaj tak wyglądają - jak gwiazdy. Co do facetów, to nie ma znaczenia, czy mają brzuch albo zmarszczki, bo i tak dostają wszystkie role: sędziego, adwokata, mordercy czy sprzątacza. Taki Alex Vega na przykład - nikt go nie obsadza w roli dziadka. Jest idolem nastolatek, mimo że starszy ode mnie o dwa lata. Naprawdę, przysięgam, studiowaliśmy razem w szkole teatralnej.

I to jest coś, co mnie potwornie męczy i wkurza... i coś, czego się boję, jeśli mam być szczerą, słonko.

A co do cynizmu, kochana, to może coś w tym jest... To chyba przychodzi z wiekiem, nie zawsze taka byłam. Możesz wierzyć albo i nie, ale wyszłam za Hectora z miłości, byłam zakochana do szaleństwa. Kiedy go poznałam, był już uznanym reżyserem, a ja byłam nikim, jedną ładną buzią więcej, pretendującą do bycia aktorką, nikomu nieznaną... i doznałam zaćmienia. Przyznaję, że teraz trudno by mi było powiedzieć, czy zakochałam się w nim, czy w tym, co znaczyła jego osoba, choć w ostatecznym rachunku czy zakochanie nie jest właśnie uczepieniem się złudzenia? Poza tym on był żonaty, a mnie - jak zresztą większość

228
kobiet - takie wyzwanie zdopingowało do działania. Zżerała mnie zazdrość, uzależniłam się od niego. A przy tym tak fizycznie to on nie był wcale pociągający. Możesz mi wierzyć albo nie, ale gdyby pracował w banku, to w ogóle bym nie zwróciła na niego uwagi. Tymczasem on zostawił żonę i ożenił się ze mną i dzień naszego ślubu to był jeden z najszczęśliwszych dni mojego życia. Ale potem wszystko zaczęło się rozpadać, on w ogóle się mną nie przejmował. Zakochał się w ślicznej buzi, ale widziałam, że guzik go obchodziły moje opowieści, opinie, niepokoje, marzenia, sny. Szliśmy na przykład na film Tarkowskiego, dla mnie to było coś potwornie nudnego (umówmy się, że takie Ofiarowanie to mało kto jest w stanie obejrzeć), a on mi mówił, że nie potrafię docenić tego dzieła, bo jestem niewykształconą ignorantką. Nie masz pojęcia, ile razy mnie publicznie dyskredytował: „Leonor, kochanie, ty się na tym nie znasz”. „Leonor, pozwól, że cię poprawię, ale...”. I ja z każdym dniem czułam, że coraz mniej znaczę, że jestem czegoś pozbawiana. Na dodatek on przez całe dni siedział zamknięty w gabinecie, pośród książek i zapisków, przed komputerem, w ogóle się mną nie interesował, prawie się do mnie nie odzywał, chyba że pytał, co jest na obiad. Bo dom był na mojej głowie, to oczywiste. Uchodził za nowoczesnego, ale nie potrafił jajka usmażyć ani umyć talerza, wyszło na to, że poślubiłam intelektualistę, żeby zostać kurą domową, kurą domową intelektualisty, jakżeby inaczej. W dodatku byłam coraz starsza. Skończyłam trzydzieści lat. To nie jest poważny wiek dla innych kobiet, ale w przypadku tego zawodu, tak okrutnego i z obsesją na punkcie wieku, poczułam, że to początek końca. Do tamtego momentu uważałam za oczywiste, że wszyscy faceci chcą iść ze mną do łóżka, ale to nie tak, jak myślisz, bynajmniej nie tak dlatego, że miałam się za jakąś nadzwyczajną piękność, tylko że tego nauczono mnie w szkole: mężczyźni są jak zwierzęta, tylko tego szukają u kobiety, no więc jak ktoś za mną gwizdał czy zaczepiał mnie na ulicy, kiedy w poczekalni na lotnisku jakiś podróżny wpatrywał się we mnie uporczywie, wiedziałam, że

229
to samo życie, i specjalnie się tym nie przejmowałam. Ale to się powoli zmieniało, na ulicy gwizdali za młodszymi dziewczynami i zaczepiali uczennice i studentki, podróżni - zamiast się we

mnie wpatrywać - pogrążali się w lekturze gazet, i nagle wszyscy dookoła zaczęli się do mnie zwracać per pani. Przestraszyłam się. Pomyślałam: moja uroda przemija i przeminie, to kwestia czasu, właśnie zaczęło się końcowe odliczanie, tymczasem ani nie jestem zbyt inteligentna, ani wykształcona, brakuje mi kultury, nie potrafię docenić filmów Tarkowskiego, a za jakieś dziesięć lat nie będę nawet mogła pracować, bo już nie będzie dla mnie ról. Nie ma zbyt dużo ról dla czterdziestolatek, a jest dużo aktorek przygotowanych do nich lepiej ode mnie, no więc powiem ci, słonko, że poczułam lęk i obsesyjnie zaczęłam myśleć o dziecku, bo wydawało mi się, wiem, że to jakiś absurd, że to dziecko nada sens mojemu życiu. Teraz takie rozumowanie mnie śmieszy, ale wtedy miałam przekonanie o jego absolutnej słuszności. Kiedy poznałam Hectora, on powiedział, że nie chce dzieci, bo ma już dwie dziewczynki, i nie chciał w ogóle o tym słyszeć, jak zaczynałam rozmawiać na ten temat. I poczułam, jak przede mną otwiera się przepaść, a ja nie mam żadnego punktu zaczepienia. Wpadłam w rozpacz, oszalałam, pogrążyłam się w depresji i po raz pierwszy zaczęłam zastanawiać się nad odejściem, bo jego zachowanie stanowiło dla mnie przejaw skrajnego egoizmu. Nie miałam jednak odwagi, żeby go zostawić, tkwiłam w ślepym zaułku. Któregoś ranka zbudziłam się, płacząc, śniłam jakiś koszmar, umyłam zęby i - jak zawsze - zważyłam się. Okazało się, że przytyłam dwa kilo. Wkurzyłam się i w porywie złości, a sama wiesz, jaka jestem impulsywna, wyrzuciłam opakowanie pigułek do kosza, bo uświadomiłam sobie, że pigułki, pośród tysiąca efektów ubocznych, powodują też zatrzymanie płynów w organizmie oraz gwałtowne zmiany nastroju, no więc pomyślałam sobie: do cholery, to przez pigułki przytyłam i wpadłam w depresję. Ale kiedy Hector zobaczył pudełko w śmieciach, uznał, że chciałam go oszukać i zająć

230

w ciążę bez jego wiedzy. Nawet o tym nie pomyślałam. Naprawdę... Zresztą wtedy już nie sypialiśmy ze sobą, a na dodatek lekarz powiedział mi, że po trzydziestce to trzeba się starać o dziecko co najmniej rok, i to o różnych porach, a my nie sypialiśmy o żadnej porze, niestety, on zaczął wobec mnie zachowywać się w sposób, który doprowadzał mnie do rozpacz: był władczy i daleki, a mnie ten jego brak zaufania bardzo zabolął, niszczył mnie od wewnątrz. Nasze relacje uległy ochłodzeniu, przestaliśmy sobie ufać. Wciąż płakałam, mówiłam mu, że czuję się zagubiona, przygnębiona, zrozpaczona, ale on miał to w nosie. Najciekawsze, że dziecko urodziło się wtedy, kiedy ja już nawet o tym nie myślałam. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, każde żyło swoim życiem, ja planowałam rozwód i pewnej nocy Hector wrócił z premiery całkiem pijany i nieomal się na mnie rzucił, nic nie mogłam zrobić, naprawdę. I tydzień później dokładnie to samo. Sądziłam, że to niemożliwe, żebym zaszła w ciążę, lekarz przecież mówił, że trzeba się starać przynajmniej rok. A tymczasem, proszę: wystarczyło kochać się dwa razy i zaskoczyło. Bingo. Próbowalam być z nim dalej, przede wszystkim ze

względu na dziecko, jakoś trwałam. Pewnego dnia przy sprzątniu, znalazłam wśród jego papierów scenariusz, nad którym pracował, Kosmofobia, przeczytałam go i stwierdziłam, że jedna z ról pasuje do mnie jak ulał, jakby została napisana z myślą o mnie, więc się ucieszyłam: „Cudownie, to jest pewnie prezent dla mnie”, ale nie powiedziałam mu, że to przeczytałam, nie chciałam psuć mu niespodzianki, minęło kilka miesięcy i widzę, że zaczyna rozmowy z producentami, ale wciąż mi nic nie mówi o scenariuszu, trochę mnie to dziwiło, więc kiedyś nie wytrzymałam i zapytałam: „Hector, a co z tym twoim filmem, Kosmofobia, kręcisz to czy nie?”. A on na to: „Tak, mam nadzieję, że podpiszę kontrakt jeszcze w tym tygodniu”. Nie wytrzymałam i pytam: »A dla kogo jest rola Miny?“ „Myślałem o Penelope Cruz - odparł ~ ale nie wiem, czy będzie mogła”. Zamurowało mnie, bo ta rola

231
pasowała do dojrzałej kobiety, co prawda nie było powiedziane, ile ma lat, ale ponieważ miała dziecko, wydawało się oczywiste, że musi mieć przynajmniej koło trzydziestki, a Penelope miała wtedy niecałe dwadzieścia. Stałam jak porażona, nie byłam w stanie odeprzeć takiego ciosu, wyszłam z pokoju i rozplakałam się, on tego nie widział. Pilnowałam się w jego obecności, nie pokazałam, jak bardzo poczułam się urażona, może byłam bardziej milcząca niż zazwyczaj, ale nigdy nie widział, jak płaczę. I to był dla mnie punkt zwrotny, początek końca tej historii. Nie, skądże, to nie ja odeszłam, kochana, wtedy byłam wielkim tchórzem no i miałam małe dziecko. To on mnie w końcu zostawił, a co gorsza, widząc, że odchodzi, poczułam tak wielką rozpacz, pustkę i lęk, że odegrałam niezłą scenę - szlochałam dramatycznie, zalewałam się łzami i błagałam, żeby został. Zagroziłam nawet, że rzucę się z okna, choć w głębi duszy chciałam, żeby sobie poszedł... nie wiem, czy jesteś to w stanie zrozumieć, słonko, bo ja sama nie potrafię tego pojąć. Tak czy owak, od tamtego czasu mam wrażenie, że wtedy przeszedłam coś na kształt odry: raz chorujesz i masz spokój na całe życie. Nigdy już od nikogo się nie uzależniłam i dlatego, szczerze mówiąc, wołałabym małżeństwo z kimś takim jak Fulvio, bez namiętności, a być może i bez seksu, ale ze świadomością, że każde z nas stąpa po znanym terenie i wie, czego może się spodziewać od drugiej strony. Wiem, że Fulvio będzie miał swoje sekrety, to mi nie przeszkadza, ja też mam swoje, ale to w żaden sposób nie narusza naszego związku, właśnie dlatego że on nie opiera się na seksie. Dla ciebie to może zabrzmieć cynicznie, ale mnie to uspokaja, nie chciałabym się już nigdy uzależnić od miłości i seksu.

Mój ostatni związek, właściwie czysto seksualny, kompletnie mnie rozwalił. To było coś przedziwnego, nawet wstyd mi o tym opowiadać. Gdybym była gejem, pewnie opowiedziałabym ci o tym z dumą, bo to był romans z... robotnikiem budowlanym, wyobraź sobie. Tak, tak, kochana, i to na dodatek z Marokań-

232
czykiem, żeby było ciekawiej. Wiem, że to zupełnie nie w moim

stylu, ale to śliczna historyjka. No więc wracaliśmy z jakiejś premiery, całą grupą, o ile pamiętam był tam Alex Vega, Yamal Benani, Oscar Rosabert i ja, szliśmy wzdłuż Gran Via, szukając taksówki, i mniej więcej na wysokości Callao, tam gdzie rozbudowują stację metra czy coś w tym stylu, przechodził ulicą chłopak, pchał taczki pełne gruzu, a że noc była wyjątkowo ciepła, szedł z odkrytą piersią. Stanęliśmy wszyscy i gapiliśmy się, bo scena była godna uwiecznienia: chłopak miał niezły pakiecik, boskie ciało i na dodatek mocno opaloną skórę... żywcem jak z reklamy, no i ja nie potrafiłam się powstrzymać i głośno powiedziałam to, co wszyscy pomyśleli: „Ale ciacho”, oczywiście chłopak to usłyszał, odwrócił się i uśmiechnął do mnie, ja z kolei uśmiechnęłam się do niego. Dokładnie wtedy podjechała taksówka, wsiedliśmy do niej i zaraz zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. Robotnik podszedł do samochodu, zastukał w szybę, nieco ją opuściłam, a on podał mi karteczkę z zapisanym numerem telefonu. Niewiarygodne...

W żadnym z moich filmów nie miałam okazji nakręcić takiej ładnej sceny. Alex i Oscar śmiali się: „No proszę, Leonor, nasza femme fatale, uwodzi chłopaków na ulicy”. Ale to Yamal mnie zachęcił: „Zadzwoń do niego, wiesz przecież, że my, Arabowie, jesteśmy doskonałymi kochankami...”. Czy ja o tym wiedziałam? Ja? Tak, oczywiście, że wiedziałam. A przynajmniej wiedziałam, że Yamal jest dobrym kochankiem... Oczywiście, kochana, że kiedyś coś mnie łączyło z Yamalem. Krótko, ale bardzo intensywnie. Bo Yamalowi nikt się nie oprze... Jest taki... jak by to powiedzieć...? Diaboliczny. Wywiera ogromne wrażenie na wszystkich. I to nie dlatego że jest przystojny, choć jest. Alex też jest przystojny, ale wrażenie nie jest tak piorunujące. W przypadku Yamala to chyba ma coś wspólnego z egzotyką, sama nie wiem, z czymś zakazanym, nieznanym, mrocznym... No więc Yamal upierał się trochę żartem, trochę na poważnie, żebym koniecznie zadzwoniła do tego chłopaka. No i zadzwoniłam do niego następnego dnia.

233

I okazało się, że on nie miał zielonego pojęcia, kim jestem, nigdy w życiu nie słyszał o Leonor Mayo, a ja bardzo chciałam właśnie takiego związku, absolutnie czystego, bez żadnych uprzedzeń, bez informacji o sobie nawzajem. Wiesz, co mówiła Rita Hayworth o problemie z mężczyznami, którzy szli do łóżka z Gildą, a budzili się obok Rity? Ja mam podobny problem, czuję, że oni chcą się przespać ze sławną Leonor Mayo, ale kiedy budzą się obok Leonor Ramirez (to jest moje prawdziwe nazwisko), ideał sięga bruku, doznają rozczarowania. A tamten chłopiec kochał mnie nie z powodu mojej sławy, bo nawet nie wiedział, kim jestem. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, on prawie nie mówił po hiszpańsku. Jakoś dogadywaliśmy się: on swoim kiepskim hiszpańskim, a ja kalecząc francuski. Zresztą nie musieliśmy zbyt wiele mówić... chemia dopełniła reszty. To było naprawdę mocne przeżycie. I nie chodzi o to, że nie sypiałam wcześniej z pięknymi mężczyznami, bo sypiałam z wieloma. Byłam z Alexem Vegą, kiedy jeszcze oboje byliśmy bardzo młodzi i wtedy Alex był jeszcze przystojniejszy niż

teraz... No jasne, słonko, śmieję się, to prawda, że specjalizuję się w mężczyznach bi... Z wyjątkiem Hectora, on nie był ani trochę bi, wręcz przeciwnie, był z niego straszny macho. Więc przespałam się raz z Hishamem - miał na imię Hisham - i pomyślałam: dobra, starczy tego dobrego, dokąd zajdę z murarzem, który nie ma zielonego pojęcia o Tarkowskim i specjalnie się tym nie zamartwia? Niestety, umówiliśmy się raz i drugi, wzięło mnie, przyznaję, słonko, bo ten chłopak był taki słodki, taki czuły, taki delikatny. Zanim dochodziło do zbliżenia, leżąc na mnie, tysiące razy całował moje oczy, policzki, usta, rozluźnialiśmy się całkowicie, skapani w delikatnym, czystym, jedwabistym pocie. Do tej pory nie poznałam tak dogłębnie znaczenia zwrotu „uprawiać miłość”. No i to jego młode ciało... Ciekawe, ale w młodości nie doceniałam wcale piękna męskich ciał, pewnie dlatego że wszyscy chłopcy, z którymi szłam do łóżka, byli piękni i młodzi, tak samo jak ja. I skończyłam na Hectorze, dwadzieścia lat ode mnie starszym, z brzydkim i znisz-

234
czonym ciałem, bo to, czego chciałam, dziś mogę się już do tego przyznać, to mężczyzny - sławnego, wpływowego, z nazwiskiem, nie jakiegoś dzieciaka. Ale teraz, ponieważ już byłam żoną wpływowego mężczyzny i dzięki niemu poczułam się pusta jak wydmuszka, pragnę młodego mężczyzny, normalnego chłopaka. Zawsze chcemy tego, czego akurat nie mamy, to wyświechtany banal, ale tak właśnie jest, słonko. A ten chłopak był bardzo normalny. Wyobraź sobie, że musieliśmy się spotykać koło południa, bo on pracował na nocnej zmianie, od siódmej do siódmej... I najczęściej nie jedliśmy obiadu, ale szliśmy prosto do łóżka, i on najpierw kochał się ze mną, a potem zasypiał, a punktualnie o szóstej, bez zegarka, budził się i wyskakiwał z łóżka, by popędzić do pracy. Gdy zasypiał, przyglądałam mu się w zachwycie: prosty nos, wachlarze rzęs, rozbrajająca czułość wypisana na twarzy. Po prostu duże dziecko, kiedy spał, wyglądał na dziesięć lat mniej. Kiedy się budził, znów wyglądał na swój wiek, choć jeśli mam być szczerą, nie wiem nawet, ile dokładnie miał lat. Nigdy o to nie zapytałam. Pewnie dwadzieścia parę... Nie pytałam o jego wiek, bo oczywiście nie chciałam się przyznać do swojego. Nigdy nie pomyślałam o sformalizowaniu naszego związku, nie myślałam też o jego zakończeniu, aż któregoś dnia Hisham powiedział, że ma narzeczoną, dziewczynę, że zbiera pieniądze na wesele, że chce kupić furgonetkę potrzebną do robienia lewych interesów w Maroku, do handlowania częściami zamiennymi do samochodów i nagle - paff! - pękła mydlana bańka, bo co prawda nie planowałam wspólnej przyszłości ani też nie myślałam, że nasz związek zmierza w jakimś określonym kierunku, no ale to nie to samo co dowiedzieć się, że służysz jako narzędzie do rozładowania napięcia seksualnego facetowi, który za chwilę ożeni się z inną, a chce, żeby jego narzeczoną dotrwała do ślubu nietkniętą, no więc, to był szok, poczułam się wykorzystana. Oscar powtórzył: „Korzystaj z życia, kobieto. Skoro jest taki boski, to tymczasem ciesz się życiem, a potem niech się żeni, z kim chce. Używaj życia, ono trwa tylko chwilę”. To mnie nie przekonywało. Nie

jestem taka jak inne kobiety, na wskroś nowoczesne, które deklarują: „Jestem homoseksualnym mężczyzną uwięzionym w kobiecym ciele”, ja tak nie umiem. Nie, kochana, ja mam swój honor. Oczywiście, że ja nie szukałam mężczyzny na całe życie, ale wcale nie bawiła mnie myśl, że ktoś potrzebuje mnie tylko do łóżka. Słonko, co ja ci będę mówić, poczułam się jak dziwka. Ale mimo to, a może właśnie dlatego, wciąż się z nim spotykałam. Sama nie wiem... Wspominałam ci już, że wyzwania dopingują mnie do działania - tak się stało w przypadku Hectora - i teraz, kiedy dowiedziałam się o rywalce, ogarnęła mnie złość. No, ale wciąż się spotykaliśmy, a on ciągle nawijał o tych pieprzonych piętnastu tysiącach euro, które musiał uzbierać na furgonetkę, koniecznie mercedesa, bo inne auto nie przetrwałoby długo na trasie w tę i z powrotem z Madrytu do Algeciras, o tym, że jak już zdobędzie te pieniądze, to się ożeni z tą swoją Aminą, której ojciec nie chce go na zięcia, chociaż to się jakoś załatwi, bo Hisham ma przyjaciela i takie tam bla, bla, bla. Widać było, że chłopak wiązał z tą furgonetką wielkie nadzieje. Uświadomiłam sobie, że w mojej szafie wiszą wieczorowe suknie warte piętnaście tysięcy euro, a czasem i więcej. Mam jedną od Chanel, szytą na miarę i wartą krocie. Oczywiście, że ja zawsze kupuję z rabatem, ale mam na przykład smoking od Valentino, który kosztował więcej niż ta furgonetka, no więc kiedy Hisham opowiadał mi o tym, jak trudno mu było tu przyjechać, albo o swoich dwunastu godzinach pracy dzień w dzień czy o tym, że utrzymuje z zarobionych pieniędzy rodziców i rodzeństwo, to czułam się dziwnie, tak jakbym komuś była coś dłużna, jakbym ja dostała wszystko w prezencie od losu, a ten biedak miał przez całe życie pod górę. Któregoś dnia nie wytrzymałam i zaproponowałam mu: „Posłuchaj, ja ci pożyczę pieniędzy, żebyś mógł już kupić furgonetkę”. W głębi duszy wiedziałam, że robię to trochę i dlatego, żeby odwrócić role, żeby przestała czuć się dziwką, a on się nią poczuł. Odmówił, oświadczył, że nie może ich przyjąć, że jego religia mu tego zabrania. Uwierzysz, słonko? Użył dokładnie tych

236

słów: „Moja religia mi tego zabrania”. Osłupiałam, nie zrozumiałam, o co chodzi. No więc bardzo poważnym tonem wyjaśnił mi, że nie może przyjąć pieniędzy skażonych grzechem. Zbaraniałam, złotko. To była ostatnia rzecz, jakiej się mogłam spodziewać. Pieniądze skażone grzechem... Na Boga... Brzmi jak tytuł brazylijskiego tasiemca. Wtedy zadzwoniłam do Fulvia i zalewając się łzami, opowiedziałam mu o tym wszystkim. Już ci mówiłam, że ta moja impulsywność często mnie gubi. Ale Fulvio okazał się nader wyrozumiały i miły, nie martw się, pocieszał, nie ma o co płakać... Był po prostu przemiły. I że może pójdziemy razem na kolację... I właśnie tamtej nocy, to już czysty przypadek, zrobili nam zdjęcia, jak wychodzimy z Fulviem z restauracji, trzymając się za ręce, ożywni, bardzo dla siebie nawzajem mili i czuli, a jakże. I kiedy ukazały się te zdjęcia i wszyscy zaczęli mówić o nowym chłopaku Leonor Mayo, pomyślałam, że należy skorzystać z okazji

i że bardzo chętnie znów stanę w świetle jupiterów. Co najciekawsze Fulvio, zamiast zmartwić się tymi zdjęciami, był najwyraźniej zachwycony. „Spójrz - mówił - czy nie jesteśmy idealną parą?”. Potem, kiedy mu powiedziałam, że zadzwonili z redakcji i chcą przeprowadzić wywiad, i zapytałam, czy nie będzie mu przeszkadzać, jak powiem, że jesteśmy parą, stwierdził: „Leonor, mów, co chcesz, zresztą ty i ja jesteśmy parą, prawda?”. Sama widzisz, że powinnam wyjść za niego. Sama widzisz, że ten narzeczony jest o wiele lepszy niż taki tradycyjny model. Zresztą trudno o mnie powiedzieć, że żyję w tradycyjny sposób. Żadna aktorka tak nie żyje, tyle ci powiem, że wcale nie wydaje mi się, żebyśmy tu coś kombinowały, czy żebym skłamała w wywiadzie: Kocham Fulvia, a Fulvio kocha mnie, istnieją przecież różne rodzaje miłości i w pewnym wieku namiętność okazuje się mniej istotna, bo ważniejsze jest to, co mniej widoczne, choć trudniejsze do osiągnięcia, czyli poczucie bliskości. Wydaje mi się, że w głębi duszy doskonale mnie rozumiesz, słonko.

NIEWYKORZYSTANE SZANSE

Przedwczoraj w nocy usłyszałem dziwny hałas i obudziłem się. Z łazienki dobiegał odgłos bulgotania, dziwne blurp, blurp, blurp, które huczało mi w głowie coraz wyższym wibrującym dźwiękiem. Zaintrygowany wstałem i zobaczyłem, że w łazience pali się światło. Pewnie zapomniałem go wyłączyć i co gorsza nie zakręciłem kranu. Ale to skądinąd dziwne, bo mnie się to nie zdarza, od wielu lat mieszkam sam, mam precyzyjnie wyliczone, powtarzane procedury. Otworzyłem drzwi, drżąc z zimna i ze strachu. Przez brzegi wanny przelewała się woda. Z przerażeniem dostrzegłem ciało unoszące się w wodzie. Młoda kobieta. Śpiąca lub zmarła. Podszedłem bliżej. Rozpoznałem ją. Obawiałem się najgorszego. Usiłowałem wyciągnąć ją z wanny. Chwyciłem pod pachami, skrzyżowałem ręce na jej piersiach i pociągnąłem z całej siły, ale nie dałem rady. Mokre kosmyki włosów przyklejały się jak algi do śnieżnobiałej skóry. Z pozoru wiotka, okazała się niewyobrażalnie ciężka. Tak, nie żyła.

Wtedy to zauważyłem i zrobiło mi się wstyd.

Dumna, płomienna erekcja niczym chorągiew na wietrze sygnalizowała męskość.

Zbudziłem się z krzykiem.

Byłem gotów do ciebie zadzwonić, żebyś w tym tygodniu nie szła na pływalnię, chciałem ci powiedzieć, że miałem strasznie ponury sen i że boję się, że był to sen proroczy, że widziałem cię martwą w mojej wannie.

238

Nie zadzwoniłem.

Poszłaś na basen, jak zawsze.

Nie utopiłaś się.

Koniec dzieciństwa, ostatnie wakacje z rodzicami nad morzem.

Grupka przyjaciół, która tworzy się zazwyczaj na początku sierpnia i rozpada z początkiem września, koleżeństwo nawiązane w konkretnym celu, przerwane, kiedy mijają upały. W tej grupce znajdo-

wała się kuzynka mojej koleżanki, jedyna spośród dziewcząt, która rozumiała moje poczucie humoru. Niepospolita uroda - zielone oczy, prosty nos, pociągła twarz, nogi do nieba. „Uważaj na nią - ostrzegęła jej kuzynka - ona ma narzeczonego w mieście. Ktoś nawet wspominał o ślubie”. W morskiej pianie, zmęczona upałem, śmiała się z moich żartów i zawsze rozkładała swój ręcznik obok mojego. Często obserwowałem złotawy meszek na jej nogach i miałem chęć pogłodzić je ręką i sprawdzić, czy w dotyku również przypominają skórę brzoskwini, czy tylko tak wyglądają. Nigdy tego nie zrobiłem, nawet nie myślałem o zetknięciu się naszych ust czy dłoni.

Ostatniej nocy poszliśmy potańczyć do modnej dyskoteki. Na parkiecie ciała tańczących obijały się o siebie, skacząc to w jedną, to znów w drugą stronę, w błyskach stroboskopów, nowocześnie i na fali. Nie było możliwości, żeby ktoś cię nie dotknął, czy nawet od czasu do czasu nie popchnął. Ale ta dziewczyna - ładna, żywiołowa, uparta, w minispódniczce, która wówczas była jeszcze rzadkością, i to raczej zagraniczną - wpadała na mnie częściej niż inne. W końcu z czarującym uśmiechem i obcym - chyba francuskim - akcentem zapytała, podchodząc z mojej prawej burty, czy zaproszę ją na drinka. Skierowałem pytający wzrok na lewą burtę, do mojej przyjaciółki. „Nie marnuj okazji, dziewczyna jest bardzo ładna”, wyszeptęła mi do ucha. Te słowa podziały na mnie jak strumień zimnej wody: skoro wypycha mi w ramiona nieznaną dziewczynę, znaczy, że sama nie ma ochoty się w nich znaleźć.

239

Rok później wspominałem ją tak, jak wspomina się letni przebój: przez trzy miesiące nucisz go bez przerwy, a po paru kolejnych nie pamiętasz nazwiska wykonawcy i nawet refren przypominasz sobie z trudem.

A po kilku latach wziąłem ślub z moją pierwszą żoną, Laurą, czyli kuzynką dziewczyny, w której się kochałem, tą samą, która ostrzegęła mnie przed flirtem, opowiadała o narzeczonim zostawionym w mieście i planowanym ślubie.

Mineło wiele czasu i spotkałem tę dziewczynę, moją pierwszą miłość, wtedy już kobietę, na jakiejś imprezie. „Miałam ochotę rozwalić łeb tamtej lasce w dyskotecę - przyznała się - tylko nie chciałam wyjść na histeryczkę”.

Odgadłem rozczarowanie małżeństwem po jej zbyt szerokich biodrach, a w szklanym spojrzeniu zielonych oczu wyczytałem, jak wiele alkoholu wypija i jak nieciekawa przyszłość ją czeka. Młodość. Pracowałem wtedy jako współprowadzący program w radiu, to była cykliczna dyskusja o kulturze, prowadzona równocześnie przez dwa zespoły w dwóch różnych miastach. W tej audycji brała również udział kobieta, jedyna w obu zespołach, znajdowała się w drugim studiu i często, w trakcie nagrania, prowadziliśmy długie i zabawne rozmowy telefoniczne. Nigdy nie spotkaliśmy się osobiście. Była jedną z pierwszych hiszpańskich feministek, wykładała na uniwersytecie i właśnie zaczęła - później błyskotliwą - karierę polityczną. Któregoś dnia zadzwono-

niłem do niej, wybierałem się do jej miasta, miałem wziąć udział w dyskusji panelowej wraz z innymi reżyserami i autorami scenariuszy. Zaprosiła mnie na kolację. „Nie pozwałam - oznajmiła, kiedy chciałem zapłacić, i odsunęła moją wyciągniętą po rachunek rękę - wydaje mi się, że mamy równouprawnienie, a to ja cię tu zaprosiłam”. Opowiadała mi, jak w radiowej redakcji pada ofiarą molestowania. Producent programu wciąż się w nią gapi maślany-mi oczyma, jeden z dokumentalistów nieustannie dotyka jej bio-

240
der, kiedy mijają się w korytarzu, udając, że to przypadkiem, choć chyba nie można przypadkiem dotykać cudzych pośladków? „Nie masz pojęcia, jak to jest. Nie rozumiem, że nie mogą pojąć tak prostej rzeczy: nie znaczy nie”. Rozszyfrowałem ten przekaz moim kodem: „Chce mi dać do zrozumienia - pomyślałem - że nie ma ochoty iść ze mną do łóżka”, więc odprowadziłem ją do domu, na pożegnanie pocałowałem w policzek i ze spuszczoną głową wróciłem do sterylnej, aseptycznej samotności hotelowego pokoju. Kilka lat później spotkaliśmy się w Madrycie, ona była już od dawna deputowaną. Zapisała mój telefon. Zadzwoiła. Znow umówiliśmy się na kolację, powiew nostalgii unosił się nad stolikiem. „Szkoda, że tamtej nocy do niczego nie doszło”. „Przecież niczego nie oczekiwałaś”. „Oczywiście, że oczekiwałam, oczywiście...”. Przyznała się, że wtedy opowiedziała mi o facetach z radia tylko po to, żebym się nią zainteresował.

No cóż, ona miała uporządkowane życie, ja lizałem rany po drugim rozwodzie i nie miałem ochoty wplątywać się w jakieś nowe historie.

Nigdy ci nie mówiłem, jaki smutek i pustkę odczułem po rozstaniu z Leonor. Otoczyła mnie próżnia życia bez celu. Wokół roztaczała się pustynna monotonia tworząca czasem rodzaj warstwy ochronnej, izolującej mnie od jakichkolwiek uczuć, a zatem i od rozczarowań. Mój drugi rozwód był o wiele smutniejszy od pierwszego, bo przez wszystkie dwanaście lat mojego pierwszego małżeństwa nigdy nie poczułem, żeby Laura mnie wykorzystywała, a w przypadku Leonor uświadomiłem sobie dość boleśnie, że byłem dla niej tylko kolejnym stopniem na jej drodze do sukcesu, sposobem na zdobycie pięknych strojów i okazji do bywania na bankietach i wernisażach.

Czułem, jakbym się potknął i uderzył, jakby wylała się ze mnie cała krew, która stanowiła siłę napędową mojego życia, i odrzuciłem zaproszenie kryjące się w słowach tamtej kobiety.

241

Wiek męski. Robiła ze mną wywiad dziennikarka, młoda stażystka, z wyglądu odrobinę płochliwa jak sarna. Wywiad trwał bardzo długo i chwilami wydawało mi się, że ona coś insynuuje, ale zaraz odrzucałem tę myśl. Naprawdę sądzisz, że dziewczyna w tym wieku zainteresuje się takim starym facetem jak ja? Jest bardzo miła, bo tego wymaga jej zawód.

Kiedy wywiad się ukazał, przebiegłem wzrokiem nagłówek i w mojej głowie zapaliła się lampka. Przeczytałem tyle razy zda-

nie o przenikliwych, błękitnych oczach, że w końcu je zapamiętałem.

Kolejna niewykorzystana szansa.

Pewnie tego nie liczysz, ale poznałem cię dokładnie rok temu, dziewiątego czerwca. Nie, nie zapisałem daty na tekturowej podstawce pod kieliszek ani na serwetce, pamiętam, bo to był dzień urodzin mojego starego przyjaciela. Jest rozwiedziony, nie ma dzieci. Sądzę, że czuł się samotny. Ja mam dwie córki i syna, a i tak doskwiera mi samotność. Zjedliśmy kolację w jednej z tych restauracji, gdzie dania są niewielkich rozmiarów, za to liczba na rachunku bliska nieskończoności. Godzina w tej chwili nie jest istotna, tak czy owak, kiedy wyszliśmy z restauracji, chciałem wracać prosto do domu, ale przyjaciel zasugerował jakąś konkretną knajpkę. W ogóle nie miałem na to ochoty, nie znoszę hałaśliwych drink-barów, gdzie panuje nastrój fałszywej serdeczności i święta, czuję się w nich zupełnie nie na miejscu, jakbym chciał udawać, że jestem dużo młodszy niż w rzeczywistości.

I wtedy zjawiłaś się ty.

- Popatrz - przyjaciel trącił mnie łokciem - popatrz na te, co właśnie weszły.

Spojrzałem. Rozglądałaś się to w jedną, to w drugą stronę, jakby kogoś szukając, a twoje lśniąco włosy falowały przy każdym ruchu. W pewnej chwili twój wzrok zatrzymał się na naszym stoliku, a ja instynktownie uśmiechnąłem się - to odruch warunkowy

na widok pięknej dziewczyny. Odpowiedziałaś uśmiechem. Przyjaciel zaprosił cię na drinka, a ty - ku naszemu zdumieniu - przyjęłaś zaproszenie. Byłaś zwyczajnie ubrana, w dżinsy i białą koszulkę, nie miałaś makijażu. Z czasem ten twój naturalny wdzięk stał się jedną z zalet, które najbardziej w tobie ceniłem: twarz bez kosmetyków, kontrastująca ze sztuczną urodą Leonor i innych aktorek, z którymi przez te wszystkie lata chodziłem do łóżka. Wyjaśniłaś, że umówiłaś się tu z przyjaciółmi, ale przyszłaś za wcześnie i musisz poczekać. Dałaś się zaprosić na następnego drinka. Nie pamiętam, jak w rozmowie pojawił się temat twojego psa, chyba wspomniałaś, że czeka na ciebie w domu. Ja też mam psa, powiedziałem, i okazało się, że mieszkamy w tej samej dzielnicy i wyprowadzamy psy w tym samym parku, parku Casino, ale nie spotkaliśmy się nigdy, bo chodzimy na spacer w różnych porach. Wymieniliśmy się telefonami, a zaraz potem pojawili się przyjaciele, na których czekałaś, więc pożegnałaś się z uśmiechem.

Umówiliśmy się, a ty opowiadałaś mi o byłym chłopaku, o byłym chłopaku i jeszcze o byłym chłopaku. David tu, David tam, wszędzie David; postanowiłem więc nie angażować się zbyt mocno. Co może zrobić rozpadający się starzec, przybity utratą złudzeń, spętany nawykami, pragnący stać się kimś więcej niż tylko przyjacielem tak cudownej dziewczyny? Nie mogłem tego pojąć, kiedy mi opowiadałaś, że wiedziałaś, że on cię zdradza, ale milczałaś w obawie, żeby go nie stracić. Ja jestem wiernym facetem,

zawsze taki byłem. Kiedy zdradziłem Laurę z Leonor, natychmiast się rozwiodłem, ciążyło mi poczucie winy i nie umiałem żyć w kłamstwie. Dochowałem wierności Leonor, choć wiedziałem, że mnie okłamuje i wykorzystuje. Dlatego nie rozumiem, że ktoś, kto mógł dzielić życie z tak wspaniałą kobietą jak ty, trwonił czas na spanie z innymi. Możesz mnie uważać za idiotę, a moje poglądy za niemodne.

243

Minął rok, spotkaliśmy się już wiele razy, najczęściej sam na sam. Spacerujemy z psami, opowiadasz mi o byłym chłopaku, idziemy do parku Casino, obserwujemy dzieci grające w piłkę, opowiadasz mi o byłym chłopaku, David tu, David tam. Czasami umawiamy się na śniadanie, potem ty wsiadasz w samochód i jedziesz do biura, a ja wracam do mojego gabinetu. Opowiadasz mi o byłym chłopaku, gubię ścieżkę, docierają do mnie dalekie echa pamięci, usiłuję przywołać tembr twojego głosu, gdy zwracasz się do mnie po imieniu, blask twoich oczu, kiedy ujrzałaś mnie w garniturze po powrocie z jakiegoś wykładu, wielkie miasto, hałas samochodów, twój seter, mój kundel, ty i ja uwięzieni pod markizą czekamy, kiedy przestanie padać. Przypominam sobie, jak nie przyjęłaś mojej marynarki, kiedy chciałem cię nią okryć przed chłodem, jesteś niezwykle szarmancki, odparłaś, ale nie musisz się mną przejmować, mam końskie zdrowie, i wtedy pomyślałem, że zasugerowałaś, że jeśli ktoś z nas dwojga miałby się przeziębnić, to zapewne ja zniósłbym to o wiele gorzej, bo jestem dużo starszy. Nigdy nie dotykaliśmy się, o ile nie było to konieczne, nie trzymałem cię za rękę ani nawet jej nie dotknąłem. Pośród natłoku wspomnień i rozwiewających się nadziei analizuję kłamstwa i kłamstewka, jestem twoim przyjacielem, tak sędzę, jestem twoim przyjacielem.

Wcale nie jestem.

Dotarło to do mnie w zeszłą sobotę, na twoich urodzinach, gdzie czułem się równie nie na miejscu jak żebrak na uroczystym bankiecie, bo na tej imprezie dla większości zaproszonych mógłbym być ojcem, a nawet dziadkiem, zaobserwowałem, z jaką poufałością traktujesz swoich prawdziwych przyjaciół, takich od zawsze, tych, którzy mieli szczęście chodzić z tobą do szkoły, szczęście, które stało się waszym udziałem, a mnie ominęło, bo w czasach mojego dzieciństwa nie było szkół koedukacyjnych, więc ja nie miałem przyjaciółek, w tamtej odległej epoce, kiedy dziewczynki stanowiły odrębny, nieosiągalny gatunek istot w pli-

244

sowanych spódniczkach i podkolanówkach. Ale najgorzej poczułem się, kiedy podszedł do ciebie tamten chłopak, nie wiem, czy go pamiętasz, blondyn o niebieskich oczach. Przedstawiłaś go, używając określenia „przyjaciel”, ale domyśliłem się, że on pragnie czegoś więcej, a może tylko tak mi się zdawało. Niewykluczone, że zawędrowałem w świat wyobraźni, bo pożądanie obudziło we mnie zazdrość i sprawiło, że widziałem coś nieistniejącego, targany obcą mi siłą, pragnieniem nieposłusznym logice, zagnież-

dżonym gdzieś w moim wnętrzu tak mocno, że sprawiało ból. Kiedy objął cię ramieniem, przygarniając do siebie gestem, którym zapewne czynił to wcześniej wiele razy, poczułem, jak cały płonę głupim pożądaniem, a moje serce zaczyna walić jak młot. Doznałem olśnienia, poznałem oczywistą i niezbywalną prawdę. Nie jestem twoim przyjacielem.

Pomyślałem sobie, że przez ten cały czas byliśmy jak dwaj tubylcy na dwóch wyspach leżących naprzeciwko i pewnego dnia każde z nas zbudowało tratwę i spotkaliśmy się na wysepce leżącej pośrodku. Możemy nawzajem obejrzeć dokładnie brzegi wysp, z których wypłynęliśmy: roślinność, ptaki, skały, szczyty gór, ale nie możemy poznać naszego pochodzenia, mgła zakrywa horyzont, więc wewnątrz wyspy możemy sobie jedynie wyobrazić dzięki opowieściom tej drugiej osoby.

Pożądanie jest jak mgła.

Pożądanie zaciera kształty, zamazuje kontury.

Kiedy się rodzimy, przychodzimy na świat wraz z wodami.

Kiedy czujemy pożądanie, mamy mokro między nogami. Kiedy śnimy o wodzie, to znaczy, że śnimy o życiu i seksie. A więc dlaczego przyśniłaś mi się martwa? Dlaczego śniłem o czymś, co mogło się zdarzyć i się nie zdarzyło? Noc jest niczym maska, obraz, do którego szukam postaci, która go ożywi, odegra. Noc nie rozumie pretekstów i wymówek, nie uznaje alibi czy kłamstw zaprzeczających oczywistościom. Być może ten sen oznaczał, że

245

potrzebuję jasnego umysłu w walce z absurdem, że nie mogę tracić życia, trwając w nieufności. Przypomniałem sobie wszystkie szanse z przeszłości, których nie wykorzystałem, z lęku przed odmową, kiedy nie wyraziłem swoich uczuć i straciłem coś, co mogłem otrzymać. Dlatego dziś ośmielam się to uczynić i wysyłam ci te słowa, bo może zdarzy się cud i spojrzysz na mnie przychylniejszym okiem. Kiedy mijają kolejne szanse, nikt nie korzysta z utraczonych pieszczot.

Trzeba wypełniać czas, nie zaś go liczyć, ze smutkiem zauważamy, że zaczynamy rozumieć, co jest dla nas najważniejsze, dokładnie wtedy, kiedy ciało już nie może tego dla nas zdobyć.

A skoro czas leczy rany, to czy moja rana pozostanie niezaleczona, bo przecież niewiele mi już tego czasu zostało? Chciałem ci wyznać, Diano - nosisz imię bogini i przypominasz ją - że mam dosyć filozoficznych rozważań i mądrości, których nie rozumiem. I boję się, że gdy przeczytasz ten list, przestraszysz się, odkrywszy, że moje zainteresowanie twoją osobą nie płynęło z ojcowskich uczuć względem ciebie ani z wrodzonej ludzkiej ciekawości i nie będziesz już chciała chodzić ze mną na spacerzy z psem. A może od początku byłaś świadoma pożądania, które we mnie wzbudzałaś, wcześniej niż ja zdołałem je rozpoznać i zaakceptować, i wodziłaś za mną wzrokiem, bo lubiłaś widzieć swoje odbicie w moich oczach: młodej, radosnej, nieosiągalnej bogini, która obudziła niedowiarka, dodała odwagi zobojętniałemu i rozpalila stoika.

ŚMIERĆ KLINICZNA

Diana zadzwoniła do niego po trzech latach milczenia. Zdziwiająca, że wciąż doskonale pamiętała numer, którego nie używała od tysiąca dziewięćdziesięciu pięciu dni.

Jeśli włączy się sekretarka albo jeśli nie odbierze za pierwszym razem, dam sobie spokój.

Ale odebrał od razu.

- Słucham.

Jedyny w swoim rodzaju. Jego głos. To on.

- To ja.

Jej głos też musiał być jedyny w swoim rodzaju, bo rozpoznał ją od razu.

- Niesamowite! - wyraźnie się ożywił. - Tyle czasu minęło

- no właśnie. - Co tam u ciebie słychać?

- W porządku... Nie najgorzej... -Jak tu streścić trzy lata w paru zdaniach. Mam kogoś? Wciąż pracuję w tej samej firmie, ale dostałam awans? Wciąż cię pamiętam, ale za tobą nie tęsknię? - Przytyłam... - tylko to głupie stwierdzenie przyszło jej do głowy.

- Pewnie dzwonisz z powodu koncertu...

- Tak - jak mógł się tego tak szybko domyślić?

- Ile biletów potrzebujesz?

- Masz bilety?

- No jasne, to chyba oczywiste, że mam bilety na własny koncert.

- Twój koncert... No właśnie, kiedy gracie?

247

- Jutro. Przecież po to dzwonisz, nie?

- Tak... tak, oczywiście. Potrzebuję trzy bilety.

- Nie ma sprawy.

- Poczekaj, a gdzie gracie?

- W Arenie, jutro, o dziesiątej wieczorem.

- Dobra, to do jutra. Do zobaczenia. Dzięki za bilety.

- Nie ma za co, to ja dziękuję, że zadzwoniłaś. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Fortuna, kapryśna bogini szczęścia i przypadku, owego dnia musiała być w szelmowskim nastroju, bo Diana nie miała pojęcia, że jego zespół też gra w Madrycie. Ona chciała pójść na Becka, ale bilety na jego koncert skończyły się po dwóch dniach, na dwa miesiące przed występem. Poruszyła niebo i ziemię, pociągnęła za wszystkie sznurki, ale bez skutku: muzyk miał wystąpić w niewielkim lokalu, a cieszył się sporą liczbą wielbicieli. Na jednym z plakatów zapowiadających koncert zauważyła znajomą nazwę - tej samej agencji menadżerskiej, która opiekowała się zespołem jej byłego chłopaka. Postanowiła zadzwonić, choć z nerwów ścisnęła ją w żołądku, po trzech latach od rozstania, bo miała nadzieję, że on pomoże jej zdobyć przynajmniej dziennikarską akredytację. Ale kiedy David zaproponował bilety na swój własny koncert, nie na Becka, nie miała na tyle odwagi, by odmówić wprost: „Wybacz, coś mi się poplątało. A ciebie nie

mam ochoty oglądać ani na koncercie, ani na obrazku, ani w moich snach".

Przez trzy ostatnie lata wiele razy wyobrażała sobie dzień ich spotkania. Nie, nie mogło dojść do niego w barze, ponieważ ona całkiem świadomie zaprzestała bywania w tych wszystkich knajpach, w których on mógłby się pojawić. Unikała na przykład Płonącej Tawerny. Była tam tylko raz po ich rozstaniu i przez cały czas bardzo się denerwowała, co parę sekund spoglądała w stronę drzwi w obawie, że pojawi się w nich David, na szczę-

248
ście tak się nie stało. I od tamtej nocy jej stopa już nigdy więcej tam nie stanęła, choć to była szczęśliwa noc, przynajmniej dla Miriam, jej przyjaciółki, bo poznała wtedy młodego i bardzo przystojnego faceta. Diana podziwiała odwagę Miriam, która nie miała oporów przed bywaniem w Tawernie, choć wiedziała, że może się tam natknąć na swoją dawną miłość, Yamalę, właściciela knajpy. Miriam, w przeciwieństwie do Diany, nie bała się przeszłości i potrafiła się z nią zmierzyć.

Mogła co prawda spotkać Davida na koncertach, ale on pozostał wierny rockowym brzmieniom, a ona przerzuciła się na muzykę elektroniczną. Wyobrażała sobie, nie do końca sama wiedząc dlaczego, przypadkowe spotkanie na lotnisku, wiedziała, że David często lata na koncerty, a ona podróżowała w związku z piastowanym stanowiskiem: product manager. W lotniskowych poczekalniach spotykała wielu znajomych: sąsiadów, narzeczonych, szkolnych kolegów, dawno niewidzianych przyjaciół... Nigdy jednak nie natknęła się na Davida.

Wcale nie chciała się z nim spotkać, ale wiedziała, że to nieuniknione. W końcu mieszkali w tym samym mieście i mieli podobne zainteresowania. Prędzej czy później spotkają się w kinie, w knajpie albo w kawiarnianym ogródku. Właściwie to dziwne, że nie spotkali się przez te trzy ostatnie lata.

Jeśli pójdzie na ten koncert, to przynajmniej przygotowana na to, co się może zdarzyć. Nie przestraszy się ani się nie rozczaruje. On jej nie zaskoczy. Najłatwiej pokonać strach, stając z nim twarzą w twarz. Należy wykorzystać okazję, żeby pokazać, że on już nie ma nad nią władzy. Przypomniała sobie słowa starej piosenki Davida: Strach podpełza coraz bliżej, nie poddaję się, choć przedziwną siłą ty przyciągasz mnie. To nie był jego oryginalny tekst, tylko fragmenty poezji. Bo idziesz za mną wszędzie, w myślach moich się kryjesz, w moich westchnieniach i w krwi, co buzuje mi w żyłach. Kto to napisał? Nie miała pojęcia. Czasami David chciał uchodzić za wykształconego. Pisał też muzykę do wierszy Gila de Biedma,

249
ale to było dawno temu. On już nie chodził z nią wszędzie.

Diana nie myślała o nim przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. A przynajmniej tak było do czasu tej głupiej rozmowy telefonicznej, po której znów znalazła dla niego miejsce w swoich myślach. Nacisnęła sekretny guziczek i tym samym uruchomiła w głowie maszynę, jak się jej zdawało dawno nieczynną, która

zaczęła rytmicznie wystukiwać jego imię „Davidavidavidavidavidavid”, co brzmiało dla niej jak vida, vida, vida, życie, życie, życie.

Nie, lepiej żeby nie szła na ten koncert. Ale jeśli nie pójdzie, przyzna się do porażki, do strachu przed spotkaniem, przed bólem, jaki poczuje na jego widok. A przecież nic dwa razy się nie zdarza (zabrzmiało poetycko), teraz mieszka z innym facetem, przetrwała tamto rozstanie. A może nie do końca? Nie przekona się o tym, jeśli nie pójdzie na koncert.

Zadzwoiła do Miriam i naszkicowała sytuację. Zgodnie z przypuszczeniem Miriam zaproponowała, że się z nią wybierze, choć zespół Davida nie należał i nie należy do jej ulubionych. „Zadzwoń do mamy, żeby została z dzieckiem, i wpadnę po ciebie jutro o dziewiątej - ustaliła. - Będzie zabawnie, nic się nie martw. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam na koncercie prawdziwych rockmanów z gitarami i w skórach”.

Wieczorem, przy kolacji, nie wytrzymała i opowiedziała o tym Simonowi, swojemu nowemu chłopakowi, który oczywiście znał całą historię: cztery lata euforii przemieszanej z histerią, kłótni i przeprosin, ciągłych zdrad, leków uspokajających i kwiatowej terapii Bacha, bólu, spazmów, obłędu, nocnych ataków duszności zakończonych tamtego poranka, kiedy wsiadła do samolotu, roniąc krokodyle łzy, a stewardesa - przejęta czy raczej przestraszona - podeszła ze szklanką wody i chusteczką i wtedy Dianie zrobiło się głupio, bo przecież zdarzają się prawdziwe nieszczęścia, z powodu których można tak rozpaczać - śmierć dziecka, śmierć matki, prześladowania polityczne, przymusowa emigracja

250
- a miłosny zawód do nich raczej nie należy, no i wtedy podjęła ostateczną decyzję: zostawia go, i już, nie zamierza dzwonić, próbować się pogodzić, prosić o wybaczenie dla uchybienia, którego nawet się nie dopuściła, nie będzie już prosić, żeby zmienił swoje postępowanie. Skończyło się, i już. Jej nowy chłopak doskonale znał tę historię, bo poznali się, kiedy ona dochodziła do siebie po rozstaniu z Davidem, wciąż miała kłopoty z jedzeniem i czasami popłakiwała po kątach. Uzbroił się w cierpliwość i stopniowo przeistaczał z kolegi z pracy w kolegę pocieszyciela, z pocieszyciela w okazjonalnego kochanka, a z kochanka od czasu do czasu w chłopaka i wreszcie w narzeczonego.

Cierpliwość czyni cuda.

Po zuchwałej eskapadzie w tunele namiętności z powieści awanturnicznych rodem, po zdobyciu szczytów wyrafinowania i wiecznej sławy, jakże chętnie wraca się w doliny, gdzie mieszkają zwykli śmiertelnicy, i jak bardzo docenia się proste, zwykłe rzeczy, puszczając w niepamięć tych, co z uporem wspinają się w górę, tych, których podnieca ryzyko upadku ze skalnej ściany prosto w przepaść.

Miriam powtarzała jej wiele razy, że nie ma sensu zmieniać przeznaczenia ani żałować tego, co się stało. „Nauczyłam się od Yamala, że Allah, czy ktokolwiek inny, stworzył świat tak, a nie

inaczej, i nie ma potrzeby go zmieniać. I w ustach Yamala to nie brzmiało fatalistycznie, tylko praktycznie. Nie rozpaczaj z powodu przeszłości, raczej wspominaj szczęśliwe chwile". Tylko że problem ze wspomnieniami polega na tym, iż z biegiem lat albo rozpuszczają się w niepamięci niczym cukier w herbacie, albo też ulegają zniekształceniom, kiedy nakładają się na nie kolejne, nowe doświadczenia, nieuchronnie je zakłócając. Wszystkie miłe wspomnienia o Davidzie, poddane analizie z dzisiejszej perspektywy, dowodziły, że od samego początku on zachowywał się jak dziecko, a jej zdawało się, że go kocha, choć w rzeczywistości wcieliła się jedynie w rolę bohaterki i wyzwolicielki, a rola ta pasowała do

251
niej jak ulał. Jeżeli udaje nam się w życiu wciąż iść do przodu, to dzieje się tak właśnie za sprawą niepamięci - gdyby przyszło nam pamiętać wszystkie dobre rzeczy, które utraciliśmy, dopadłaby nas nostalgia, a z kolei wciąż żywa pamięć o złych rzeczach wpędziłaby nas w depresję.

- Uważam, że powinnaś pójść - stwierdził Simon. - Minęły trzy lata, powinnaś udowodnić samej sobie, że rozwiązałaś problem. Jeśli tylko chcesz, mogę tam pójść z tobą.

O mało nie udławiła się sałatką. Możesz tam pójść ze mną? Miała wątpliwości co do jego pobudek. Czego chciał? Ochroniać ją? Zmierzyć się ze swoim dawnym rywalem? Sprawdzić na własne oczy, czy ten facet wart był tylu wylanych łez? A potem pomyślała: „Może to i lepiej, że pójdzie. Simon jest przystojny, atrakcyjny. Lepiej, żeby David widział mnie z kimś. I to z kimś fajnym”.

Następnego dnia pojawiła się na koncercie w doborowej obstawie - z jednej strony jej chłopak, z drugiej najlepsza przyjaciółka. Na pełnej sali spory chór głosów nucił piosenki, świadcząc o tym, że przybyli tu nie tylko najzagorzalsi fani. Koncert zabrzmiał poprawnie, jak na występ na żywo, może brakło żywiołowości, ale piosenki odegrano zgodnie z założonym planem, do ostatniego taktu, a jak się okazało, zespół przez ostatnie trzy lata nie wprowadził rewolucyjnych zmian w repertuarze. David poruszał się na scenie równie sprawnie jak przed trzema laty, obejmował gitarę, jakby się z nią kochał. Nie był wysokim mężczyzną, ale na scenie prezentował się okazale, a jego gardłowe recytacje współgrały z ostrym gitarowym brzmieniem i mocną sekcją rytmiczną w tle. Próbowwała przepchnąć się w pobliże sceny, jednak w miarę jak posuwała się do przodu, tłok coraz bardziej uniemożliwiał ruchy - publiczność tworzyła zwartą masę, zlaną potem i walczącą o skrawek przestrzeni, fani szturchali się łokciami, skandowali z pamięci teksty piosenek, dusili się z braku powietrza. Uśmiechnięty David widać bardzo cieszył się z reakcji publiczności, Diana znała go dobrze, wiedziała, że na

252
koncertach uśmiecha się rzadko. Sama jednak nie czuła zachwyty, przez cztery lata uczestniczyła dokładnie w tym samym koncercie, tyle że odgrywanym na różnych scenach. Na początku atmosfera koncertów podniecała ją i dumą napawał fakt, że to do niej należy świetnie prezentujący się na scenie obiekt pożądania i westchnień

setek fanów. Z czasem zaczęło ją to męczyć, zwłaszcza kiedy dowiedziała się, że zazwyczaj pod jej nieobecność któraś z fanek, skandujących piosenki pod sceną, spędzała noc w pokoju hotelowym Davida. Dowiedziała się o tym w sposób prozaiczny i mało oryginalny, kiedy pewnego dnia David zapomniał wyłączyć komputer i na ekranie pozostała otwarta skrzynka mailowa, a w niej folder z mało pomysłową nazwą: Laseczki. Przeczytała trzy wiadomości i wszystko stało się jasne: tak jak dawniej marynarze zostawiali dziewczynę w każdym porcie, tak współcześni rockmani posuwali grupies po każdym koncercie. Diana natychmiast wyobraziła sobie uśmiechy i pocałunki, którymi David obdarzał inne oczy i inne usta, wszystkie przejawy czułości, którymi ją darzył, okazywane innym kobietom. A jej erotyczne wspomnienia nocy spędzonych z Davidem zostały zastąpione wyobrażeniami płomiennej namiętności, perwersyjnych pozycji czy miłosnych igraszek Davida w innych łóżkach. I Diana zaczęła żałować każdej z upojnych chwil spędzonych z Davidem, każdej ofiarowanej mu pieśczości, każdego razu, kiedy doprowadzał ją do orgazmu, po tym, jak ona - cóż za naiwność z jej strony - nauczyła go tego, a on zapewne wykorzystał te wskazówki w łóżku z inną. Puszczenie samopas sławnego chłopaka po prowincjonalnych knajpach można było porównać do pozostawienia wypchanego portfela na środku ulicy. Następnie Diana wyobraziła sobie portret zbiorowy wielbicieli Davida, podobny do wizerunku poszukiwanych listem gończym, obarczając winą dziewczyny i zapominając przy tym, że David nie był bezwolnym przedmiotem, że jego chęci odgrywały tu znaczącą rolę, że trudno okraść kogoś, kto sobie na to nie pozwala. To odkrycie nie okazało się jednak najgorsze.

253

Parę dni później Diana raz jeszcze - już na spokojnie - przeszukała zawartość komputera i odkryła kolejny folder, tym razem z mailami od Emmy Ponte.

Diana wiedziała, że David i Emma znają się od zawsze, że na początku lat osiemdziesiątych grali razem w zespole, występowali w klubie Nevada, ona śpiewała i grała na gitarze, a on na basie. Ale nie wiedziała, że już wtedy Emma i David sypiali ze sobą, a potem, przez ponad piętnaście lat, spotykali się w tym samym celu od czasu do czasu. Z maili wynikało na przykład, że spotkali się w Barcelonie (on pojechał na koncert, ona uczestniczyła w nagrywaniu płyty grupy Schizo jako zaproszona artystka) i ostro imprezowali przez trzy dni, nie żałując sobie koki, wódki i seksu. Emma miała fatalną reputację. Mówiono o niej, że idzie do łóżka z każdym, z kobietami i mężczyznami, bez wyjątku, ale Diana - pierwsza naiwna - zawsze myślała, że choć nie ma dymu bez ognia, to te wszystkie plotki są mocno przesadzone i podyktowane środowiskową zawiścią, ponieważ Emma utrzymywała się przez wiele lat w czołówce list sprzedaży płyt, co nikomu nie przychodziło łatwo, zwłaszcza kobiecie. Najgorsze w tym wszystkim było to, że ilekroć Diana, w towarzystwie Davida, spotkała się z Emmą, artystka zawsze okazywała jej sympatię i teraz wspomnienie

uśmiechu Emmy paliło ją od wewnątrz niczym piętno hańby. Diana udawała, że o niczym nie wie, bo wołała nie przyznawać się do grzebania w cudzej korespondencji, ale od tamtego czasu ilekroć szła na koncert, miała świadomość, że reszta zespołu wie, że jest im jej żal, że nią gardzą albo się nad nią litują, a ją samą dręczyło pytanie, która z dziewcząt pojawiających się za sceną sypia ze sławnym muzykiem, kiedy nie ma przy nim oficjalnej narzeczonej. Próbowwała samą siebie przekonać, że ta chorobliwa zazdrość to efekt jej uzależnienia, i jeśli tylko uda się jej wyleczyć, to zachowania Davida, jego miłostki, pocałunki czy zdrady, niewiele ją będą obchodzić. Próbowwała sobie wmówić, że w rzeczywistości wcale jej to nie przeszkadza, że skoro ona jest

254
oficjalną dziewczyną, skoro z nim mieszka, cóż ją obchodzą groupies czy jednonocne romanse? Tylko że przypadek Emmy nie był romansem jednej nocy i dlatego Diana nie potrafiła go zlekceważyć.

Po co to wszystko wspominać? Wtedy miała dwadzieścia pięć lat, teraz skończyła trzydzieści, a on nie mieszkał już w jej myślach ani w jej sercu, ani w zburzonej krwi, to wszystko już minęło. Tylko dlaczego wciąż ją pociągał? Dlaczego jego hipnotyzująca obecność powodowała przyspieszone bicie serca, mocniejsze pulsowanie krwi w żyłach i chęć, by wskoczyć na scenę i wtulić się w jego ramiona? Widziała go na scenie i coś czuła. Wciąż się jej podobał. Co gorsza, dalej go kochała. A może nawet pożądała. Nie wiadomo. Czuła, że brak jej tchu. I wtedy usłyszała te słowa: w każdym twoim westchnieniu i w krwi twojej zburzonej i wszystkie wspomnienia z tamtych czasów, kiedy jej mówił, jak ją uwielbia, wspomnienia, które Diana trzymała pod kontrolą, gdzieś w zakamarkach umysłu, uwiedzione tym nagłym rozbłyskiem miłości, który mylnie uznały za jej nawrót potwierdzony słowami piosenki, zbuntowały się, wyskoczyły z ukrycia i zawtórowały Davidowi i zapominając, że Diana już do niego nie należy, śpiewały razem z nim refren piosenki, a Diana zapragnęła Davida, to pragnienie było równie absurdalne, co niemożliwe do zaspokojenia i trudne do wyciszenia, niedorzeczne i bardzo bolesne - pragnęła z całych sił pocałować go tak jak kiedyś.

Miriam i Simon zostali przy barze i zamówili coś do picia, a ona przedzierała się w kierunku sceny. Postanowiła jednak zawrócić i oznajmić im - zanim przywołają barmana - że właśnie stąd wychodzą, że nie zostaną tu ani minuty dłużej. Czuła, że się dusi, że nie może zostać w tej sali, osaczona wspomnieniami. Dokładnie w tym momencie zderzyła się z Jonem, jedynym członkiem tamtego zespołu, z którym - w czasach, kiedy robiła za dziewczynę rockmana - dogadywała się, a nawet miała do niego nieco zaufania. Menedżer radośnie ją powitał:

255

- Diana! Co za niespodzianka! David się ucieszy, jak cię zobaczy... A ja tym bardziej. Ślicznie wyglądasz. Jakaś operacyjka?
- Lifting. Nie, to żart, po prostu zaprzestałam niezdrowego

trybu życia. Nie piję, nie biorę, nie chodzę po knajpach.

- Wyglądasz świetnie, naprawdę. Napijesz się czegoś?
- Przyszłam z chłopakiem - głos jej zadrżał: dawniej, mówiąc „chłopak”, miała na myśli Davida, i dziwnie się czuła, określając tym mianem innego mężczyznę, zwłaszcza kiedy mówiła o nim komuś, kto do tej pory widywał ją z „moim chłopakiem” muzykiem, a nie z „moim chłopakiem” blondynem - i z przyjaciółką, Miriam. Pewnie ją pamiętasz, musiałeś ją widzieć parę razy.
- W takim razie ich też zapraszam. Gdzie oni są?
- Nie wiem, czy ich stąd zobaczysz. Dwa wysokie blondasy przy barze. Widzisz?
- Chodźmy do nich, mam tu drinki za darmo.

Jon przedstawił się i zapłacił za alkohol specjalnym kuponem. A potem zachował się jak wyśmienity specjalista od PR-u, którym oczywiście był, i zaczął podrywać Miriam, czym ona zdawała się być zachwycona. Trzeba było poczekać, aż wszyscy dopiją drinki. Diana cieszyła się z powodu Miriam, która od rozstania z mężem miała spore powodzenie u mężczyzn. Ilekroć szły razem do knajpy, Miriam zawsze wychodziła w męskim towarzystwie. Jon nie był oczywiście najlepszą partią, bo jak wszyscy rockmani miał na pęczki kobiet i nałogów, ale przynajmniej był po trzydziestce, a nie ledwie po dwudziestce, jak Anton, ostatni chłopak Miriam, którego poznały w Płonącej Tawernie. Diana ze ściśniętym żołądkiem poddała się zrządzieniom losu: zostanie tu jeszcze tylko pół godziny, przez pół godziny opierać się będzie hipnotyzującej postaci na scenie. Pół godziny przeciągnęło się niebezpiecznie, bo menedżer, wyraźnie zachwycony piękną blondynką, postawił im drugą kolejkę. A potem trzecią. A tymczasem zespół zagrał wszystkie kawałki z ostatniego albumu. Potem dwukrotnie bisował. I zakończył koncert.

256

- Kurczę, muszę pójść za scenę i pogratulować chłopakom
- stwierdził Jon, który niespecjalnie miał czego gratulować, ponieważ zajęty nowo poznaną blondynką właściwie nie słuchał koncertu, więc nie wiedział, czy chłopcy zegrali dobrze, czy źle.
- Chodźcie ze mną!
- Nie bardzo możemy - nie ma mowy, pomyślała - jutro musimy iść do pracy, a jak pójdziemy na scenę, to nam zejdzie do rana.
- Ale musicie - nalegał Jon, spoglądając z zachęcającym uśmiechem w stronę Miriam - a zwłaszcza ty, Diana, David bardzo się ucieszy, chodźcie, bo jak cię nie przyprowadzę, to mnie zabije.
- No dobra - zgodziła się Miriam. - Pójdziemy na pięć minut. Przywitamy się i spadamy, bo ja też muszę jutro wcześniej wstać. Diana wzruszyła ramionami, poddając się przeznaczeniu, i udała się z wszystkimi, niczym owieczka prowadzona na rzeź. Garderoba okazała się małym pomieszczeniem, śmierdzącym stęchlizną, potem, piwem i moczem, tłoczyło się tu około dwudziestu osób, wśród nich muzycy i ekipa. Wszyscy wyglądali

podobnie, nosili długie włosy, ubrani byli w koszule i dzinsy. Nowo przybyła trójka - Miriam, Simon i Diana, w markowych ciuchach, świeżo od fryzjera, z delikatną opalenizną - wyglądała jak wycięta z żurnala. Ponoć gusty kształtuje się przez naśladowanie, Miriam była trochę snobką, możliwe więc, że na zasadzie reakcji łańcuchowej w ostatnich trzech latach zaraziła swoimi upodobaniami Dianę - odwiedzała ją codziennie, od kiedy tamta rozstała się z tym rockmanem - a Diana z kolei przekazała wirusa Simonowi. Diana miała świadomość, że teraz wygląda inaczej niż w czasach znajomości z Davidem: była lepiej ubrana, miała zadbaną fryzurę, może nawet wypiękniała? Niewykluczone. Przypomniała sobie list, który dostała od Hectora, reżysera filmowego, szanowanego, choć bez spektakularnych sukcesów na koncie, z którym prowadziła długie rozmowy podczas spacerów z psami

257

i który się w niej zakochał, a przynajmniej tak twierdził w liście. Diana wypożyczyła dwa jego filmy, ale nic z nich nie rozumiała. Były długie, zawile, niejasne, przemądrzałe. W trakcie oglądania drugiego usnęła. Ale list, który dostała od niego, był uroczy, ani trochę przemądrzały, przejrzysty i całkowicie zrozumiały. W tym liście nazywał ją boginią. Powtarzała w myślach to słowo: Bogini, bogini, bogini. Jestem boginią, noszę jej imię i będę się zachowywać tak, jak na boginię przystoi, nie możesz mnie już skrzywdzić.

David stał w kącie, oparty o stos skrzynek z piwem, wyglądał na zmęczonego. Nagle uniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnął się. Ruszyła w jego stronę. Dzieliło ich ledwie pięć metrów, ale panował taki ścisk, że z trudem się przedarła.

- Cześć.

- Cześć. Dzięki, że przyszedłaś.

Scena kłamie, Diana wiedziała o tym wcześniej. Światła, odległość, dymy... Nie mogła jednak uwierzyć, że aż tak kłamie. Na scenie, zaledwie przed paroma minutami, był ładnym, nawet bardzo ładnym chłopakiem, a mężczyzna, który opierał się o stos skrzynek z piwem, dawno już przestał nim być. Wyraźnie się postarzał przez ostatnie trzy lata. Wokół oczu rysowała się sieć głębokich zmarszczek, włosy mu posiwiały, zaczynał łysieć. A poza tym przytył. Na scenie, w czarnej koszuli, nie było tego widać, ale z bliska i owszem. Miał nawet drugi podbródek. A jego oczy... wyglądały jak naszprycowane krwią, białka pokryte były siateczką czerwonych żyłek. Czy to możliwe, żeby zmienić się aż tyle w tak krótkim czasie? Niewątpliwie tak. Zwłaszcza jeśli ktoś pił z regularnością, którą jeszcze pamiętała.

- Poznaj Simona.

- Bardzo mi miło.

Dwóch mężczyzn grzecznie wymieniło uścisk dłoni, ale niczyjej uwagi nie umknął szorstki, podejrzliwy wzrok, którym nawzajem się zmierzyl.

258

Na szczęście pojawiła się Miriam, jakby zesłana z niebios po to, by przerwać ciszę, tak gęstą, że dałoby się ją pokroić nożem.

- Cześć, David, nie widziałam cię ze sto lat. - Kiedy Miriam odcisnęła na policzkach Davida dwa obowiązkowe pocałunki, Diana ze zdumieniem uświadomiła sobie, że nawet się nie pocałowali na powitanie. - Świetny koncert - łągała jak z nut, bo poświęciła koncertowi uwagi nie więcej niż reklamie telezakupów.

- Ślicznie wyglądasz, Miriam. Ciebie lata omijają, jak w reklamie - on też kłamał. Miriam sporo przytyła i niemożliwe, żeby tego nie zauważył. - Co tam u ciebie słychać?

- No cóż... Nie widziałam cię od tak dawna, że trudno mi streścić te parę lat w kilku zdaniach... Zostawiłam Yamalę, wyszłam za męża, urodziłam dziecko, rozstałam się z mężem. To co? Nie zaprosisz nas na jedno piwo?

- Oczywiście, z przyjemnością. Hej - krzyknął David - KTO MI PODA TRZY PIWA?

Jon szybko i sprawnie pojawił się z czterema butelkami, po dwie w każdej ręce.

- A otwieracz? - zapytała Miriam. - Czy mamy je otwierać zębami?

- HEJ, GDZIE JEST OTWIERACZ?

Nikt w garderobie nie posiadał otwieracza.

- Nieważne - oświadczył David. - Znam świetny sposób.

- Zapalniczka - zgadła Diana, która znała tę sztuczkę.

Rzeczywiście muzyk wyciągnął zapalniczkę z kieszeni dzinsów i zaczął otwierać butelki, naciskając na kapsle. I wtedy to zauważyła. Drżały mu ręce. Bardzo mocno. Jakby miał parkinsona.

- Otwórz trzy, ja dziękuję, ostatnio nie piję.

- Ty, abstynentka? Ty? Dobra, i tak ci nie wierzę - oznajmił David kpiącym tonem niedowiarka.

- Wiesz... nie miałam wyjścia. To z powodu ciąży... jestem w trzecim miesiącu...

259

Łoskot butelki roztrzaskującej się o podłogę przerwał milczenie. Butelka wyslizgnęła mu się z rąk.

- Stara, ale wypaliłaś. Prawie w to uwierzyłam.

- Wiem, widziałam po twojej minie. Już się bałam, że strzelisz gafę i palniesz coś w rodzaju: „Jak to, przecież w zeszłym tygodniu pożyczalam ci tampaxa”.

- No co ty, od razu zrozumiałam, o co chodzi. Ale David miał minę, kurczę, o mało nie spadł z krzesła. Butelka mu wypadła i w ogóle... Choć to może dlatego, że ręce mu się potwornie trzęsły już od początku.

- Zauważyłaś to?

- Tak, kiedy zaczął otwierać butelki, trzęsły się jak galareta.

- Myślisz, że to z mojego powodu?

- Nie. Myślę, że to dlatego że tyle pije - to była ta sama

Miriam, która pewnej nocy stwierdziła: „Szkoda, że jedziesz na wakacje... Bynajmniej nie dlatego żebym za tobą tęskniła, tylko

że kiedy wieczorem wychodzę w miasto, to bez ciebie poznaję zdecydowanie mniej facetów". - Jak byliście ze sobą, to też pił, ale teraz pije dużo więcej. Nie zauważyłaś, jaki był spuchnięty i jaki miał nos? Cały w czerwonych żyłkach. To typowe dla alkoholików. No i bardzo się postarzał, widziałaś te zmarszczki? Daj spokój. Efekt nieprzespanych nocy. No i to jest koniec zespołu. Nie dało się słuchać tego, co grali. Grali fatalnie.

- A ty skąd to wiesz? Przecież ich nawet nie słuchałaś.

- A po co miałam słuchać, skoro tak fatalnie grali? A już zwłaszcza on, strasznie fałszował.

No i dobrze, to był koniec tego zespołu, a David był alkoholi-kiem. Ale nie stało się to w przeciągu ostatnich trzech lat. Kiedy się poznali, on już pił na umór, a jego zespół nie był akurat tym najbardziej cenionym przedstawicielem hiszpańskiego popu. Tak było już od pewnego czasu. Facet, który za dużo pił, niezbyt utalentowany, a na dodatek kłamca. Co ona w nim widziała?

260

Czym mogła wytłumaczyć te cztery lata głębokiego cierpienia, nieprzespanych nocy, łez, obłędu, rozpacz? Może tym, że przeżywała ten związek, jakby rozgrywał się na scenie. Omamiona złudnym blaskiem sławy, dokonała projekcji swoich marzeń na osobę znanego rockowego muzyka i dała się zwieść tym wyobrażeniom, biorąc za miłość uczucie równie widowiskowe, co powierzchowne. Cierpiała na własne życzenie; inne wyjaśnienie tej sytuacji nie istniało, cierpiała, tęskniąc za określoną ideą. Ta myśl napawała ją smutkiem, miała teraz ot tak odrzucić coś, co przeżywała jako miłość swojego życia, choć pewnie smutniejsze byłoby, gdyby nie zdała sobie z tego wszystkiego sprawy i przez resztę życia tęskniła do swej największej życiowej pomyłki. W naszej głowie myśli gubią się wśród splątanych ścieżek, a namiętności są nieprzewidywalne. I oto któreś nocy flota wspomnień idzie na dno, pogrąża się w mrocznej toni zapomnienia, a kiedy przestajemy cierpieć, zapominamy o wszystkim.

I przy odrobinie szczęścia również się czegoś uczymy.

SKÓRA WĘŻA

Czytałem kiedyś Ja, Klaudiusz Roberta Gravesa i dowiedziałem się z tej książki, że Livia w języku etruskim znaczy „złość”.

Natomiast sama Livia powiedziała mi, że jej imię znaczy „blada” i jej zdaniem doskonale do niej pasuje. Istotnie, Livia była blada, bo wychodziła z domu na całe noce, a w dzień unikała słońca.

Chciała być jak najbardziej nowoczesna, jak najbardziej trendy, a faktycznie mocna opalenizna stała się ostatnio zdecydowanie niemodna. Dlatego jeśli musiała wyjść z domu w ciągu dnia, używała kremu z filtrem przeciwsłonecznym, faktor 60. Ponieważ miała czarne oczy i kruczoczarne włosy, zwracała powszechną uwagę. Livia była piękna, była elegancka. I oczywiście blada. Na tę bladość sobie zapracowała. Co do złości, to zupełnie inna historia.

Poznałem Livię na imprezie dla snobów we Florida Park, w ogrodach Retiro. Poszedłem z kolegami, ona już tam była

i od razu zwróciła moją uwagę. Nie potrafiłbym powiedzieć dlaczego. Była ładna, owszem, ale na tę imprezę przyszło mnóstwo ślicznych dziewcząt, mnóstwo modelek. Może to z powodu sukienki, a la Gilda, stylizowanej na lata czterdzieste, bardzo obcisłej, bardzo trendy i jednocześnie dość oryginalnej, sam nie wiem... No i ten tatuaż, też od razu zwrócił moją uwagę, wąż wijący się na plecach, pomyślałem, że to dziwne, że taka trendy dziewczyna ma taki ordynarny tatuaż, taki... jakby więzienny, nie wiem, czy wiesz, o co mi chodzi. Być może to przez ten tatuaż ją zapamiętałem. O szóstej rano kompletnie pijani wy-

262
chodziliśmy z knajpy, bo już ją zamykano, i wtedy zobaczyłem, że na ziemi leży dziewczyna, to była właśnie ona, poszła się wysikać w pobliście krzaki, wypieprzyła się na tych swoich wysokich obcasach, chyba złamała sobie rękę i nie mogła wstać, bo ją potwornie bolało. Zawołałem ochroniarzy: „Ej, tam na ziemi leży dziewczyna”. Albo wcześniej musiało padać, albo podlewali trawnik, pamiętam, że trawa była mokra i było strasznie zimno, to był chyba październik, więc na pewno strasznie zmarzła w tej cieniutkiej sukience. Ochroniarze zadzwonili po karetkę, karetka się spóźniła, żal mi się zrobiło tej laski, samej i zmarzniętej, więc chwilę z nią zostałem. Kiedy nadjechała karetka, sanitariusze zapytali, czy piła alkohol, a ona odparła, że oczywiście, tamci wyjaśnili, że skoro piła, to nie mogą jej podać środków przeciwbólowych, więc ona popłakała się z bólu. W końcu wzięli ją do karetki. Popatrz, wszystko zaczęło się od tego, że było mi jej żal i starałem się pomóc.

Potem przypadkowo spotkaliśmy się w Barcelonie, w Bread & Butter, na pokazie mody, z topowych kolekcji free wear. To jest raczej pokaz stylów niż samych ubrań, jeśli wiesz, o co mi chodzi, są tam stoiska, taki rodzaj targów, na których można zobaczyć, co się nosi, i przy okazji samemu się pokazać. Ona prezentowała kreacje z kolekcji, nie pamiętam już kogo, jednego z tych bardzo offowych projektantów, tak offowych, że nawet ich nazwiska uciekają ci z pamięci. Na terenie targów urządzono coś na kształt baru dla projektantów, nazywało się to milk and honey, przy barze było pusto, ja przeżywałem wówczas zawód miłośny i postanowiłem się z nią napić. Nie znałem Livii prawie w ogóle, nie byliśmy bliskimi znajomymi, ale jakoś tak mi się wyrwało: „Bo Alex to, Alex tamto...”, bo wtedy byłem blisko z tym chłopakiem, z Alexem, on jest aktorem, nie wiem, czy bardzo znanym, ale bardzo dobrym aktorem, no i bardzo przyzwoitym. Teraz gra w serialu, w Hospital Central. Poznałem go przez przyjaciółkę, aktorkę, razem kończyli szkołę teatralną.

263
Z kolei ja znam Leonor Mayo od zawsze, chodziliśmy razem do szkoły, choć tam akurat prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Słyszałem plotkę, że to lesbijka i że jest z dziewczyną z naszej klasy. To bzdura, jeśli ktoś był pedałem, to ja, tylko nie miałem odwagi się do tego przyznać, w tamtej szkole panowała bardzo dziwna atmosfera.

Kiedy spotykaliśmy się później, strasznie nas to śmieszyło, Leonor wspominała: „A ja myślałam, że ty jesteś supersnobem... Do głowy by mi nie przyszło...”. Ale zbaczam z tematu... No więc dzięki Leonor poznałem Alexa, i wkrótce bardzo się zaprzyjaźniliśmy, przez ponad rok byliśmy nierozłączni jak Bolek i Lolek, wszędzie chodziliśmy razem. Tylko że ja się w nim straszliwie zakochałem i w końcu mu to wyznałem, a on stwierdził, że mnie nie kocha. Opowiedział mi jakąś zawiłą historię o tym, jak kocha się w innym facecie, już od liceum, ale tamten jest hetero, i to zdecydowanie hetero. Z tego, co wiem, grał w zespole rockowym, ale nie pamiętam nazwy. Ja nie lubię rocka, wolę techno i podobne klimaty... I od tamtego czasu, to znaczy od kiedy Alex mi odmówił, przestaliśmy się spotykać, a ja przeżywałem to dość głęboko. I właśnie o tym zaczynam opowiadać Livii, choć prawie się nie znamy, ale byłem totalnie zalany. A ona nieoczekiwanie zaczęła mi dodawać otuchy. Wysłuchiwała, udzieliła paru rad i naprawdę byłem jej wtedy bardzo wdzięczny, opowiedziałem o wszystkich moich nieszczęściach, a ona zupełnie bezinteresownie okazała mi współczucie i słuchała tych moich monotematycznych żalów. Bo sama wiesz, jak to jest, nawet jeśli masz stu kolegów, ale naprawdę przyjaźnisz się tylko z jednym, to kiedy taka przyjaźń się skończy, czujesz się zupełnie sam. Miałem wtedy kilku kolegów, z którymi łączyło mnie nawet coś więcej, ale nie mogłem się z nimi spotykać, bo oni wszyscy chodzili po knajpach z Alexem. Nie prowadziłem praktycznie żadnego życia towarzyskiego, masz pojęcie? a ona oznajmiła, że właśnie rozstała się ze swoim długoletnim chłopakiem, więc obydwójce znaleźliśmy się w odstawce i dlatego zaczęliśmy wszędzie bywać razem. I tak zostaliśmy bardzo bliskimi

264
przyjaciółmi. Przyłgnęła do mnie bardzo szybko i choć ciągle opowiadała o swoich rozlicznych znajomych, to w końcu zawsze umawiała się ze mną, tak jakby wcale nie miała innych przyjaciół, rozumiesz, o co mi chodzi? Nieważne, było, jak było... Było nam ze sobą świetnie, wieczorami często włączaliśmy się po barach. Livia opowiadała mi, że pochodzi z Sewilli, z bardzo dobrej rodziny, często przytaczała absurdalne i zabawne historie, jak ta na przykład: „Byłam u księżnej de Alba na przyjęciu wydanym z okazji wprowadzenia na salony jej córki” albo: „Bo z mojego balkonu świetnie widać procesję i cała śmietanka Sewilli przychodzi je do nas oglądać”, albo: „Podczas fiesty w Sewilli moja rodzina stawiała pawilon, do którego można było wejść tylko z zaproszeniem, i kiedyś przyszedł tam mąż infantki, Marichalar”, albo: „Jechałam na koniu jak Amazonka, przywieźli mi tego konia ze stajni pod Sewillą specjalnie na fiestę”, albo „W sobotę w czasie fiesty nie idzie się na fiestę, bo przychodzą tam tłumy turystów, więc prawdziwi sewilczycy spotykają się na prywatnym przyjęciu, tylko dla wybranych, w dzielnicy Santa Cruz...”. No i że bractwa, no i że uczestnicy procesji, że rodzina Mora-Figueroa, że rodzina Domecq, rodzina Barrera, że hrabia de Osuna, że księżę del Infantado... O tym wszystkim opowiadała, kiedy wspominała

Sewillę... O niesamowitych przyjęciach, w których uczestniczyła. W Sewilli należała do śmietanki towarzystwa, ale przyjechała do Madrytu, żeby zostać modelką, co zupełnie nie spodobało się jej rodzinie, bardzo konserwatywnej, dla której bycie modelką było równoznaczne z byciem dziwką, więc nie przysyłali jej ani grosza, mając nadzieję, że w końcu braknie jej pieniędzy na jedzenie i wróci ze spuszczoną głową do rodzinnego domu.

Gdy zaczęliśmy się razem pokazywać, Yamal Benani ostrzegł mnie: „Widziałem cię z Livią, uważaj, Lola mi mówiła, że to dość niebezpieczna osoba”. Lola też była modelką, jak Livia. To znaczy, tak się mówiło, modelką. Żadna z nich nie była wtedy znana, może Lola trochę bardziej, ale raczej z bywania na imprezach niż

265
z wybiegu czy z reklam. Lolę poznałem przez Leonor Mayo. Przyjaźniły się bardzo, kiedy Lola była jeszcze żoną Aida. Aldo to taki śliczny chłopak, który bardzo wczesnie ożenił się z najładniejszą modelką, choć wszyscy wiedzieli, że zdecydowanie bardziej podobają mu się modele. Teraz jest już po coming out i mieszka z facetem. A Lola tak naprawdę jest panienką z bogatego domu, żadną tam modelką, mówi, że jest, ale w rzeczywistości żyje, i to całkiem nieźle, z pieniędzy rodziców. No więc zapytałem Livię: „Miałaś jakieś problemy z Lolą?”. A Livia opowiedziała, że Lola się na nią obraziła, bo Livia przespała się z facetem, który zdaje się bardzo podobał się Loli, więc Lola, dotknięta do żywego, zaczęła się odgrywać, ale tak naprawdę nieprzyjemnie. Ukradła jej parę rzeczy, Livia mówiła, że ukradła jej laptopa, aparat fotograficzny i że nie płaciła za prąd. I kiedyś, jak Livia miała złamaną rękę, to musiała siedzieć w domu prawie tydzień bez światła, bo Lola nie zapłaciła za prąd. Pomyślałem sobie: Bidulka. Livia wyjaśniała: „I to wszystko dlatego, że przespałam się z tym chłopakiem, skąd mogłam wiedzieć, że on się podoba Loli, skoro wcale się nie przyjaźniłyśmy. Kiedyś urządziłyśmy imprezę i ona zaprosiła swoich znajomych, a ja swoich, no i ja zaczęłam kręcić z jakimś chłopakiem i poszłam z nim do łóżka, ale wcale nie chciałam jej zrobić przykrości”. I opowiadała mi, że to było straszne, że musiała się zamykać na zasuwkę w swoim pokoju, ze strachu, bo Lola sprowadzała do mieszkania jakichś dziwnych ludzi, i że ją okradała, że kiedyś zniknęły jej rękawiczki, nie pamiętam już jakiej sławnej marki, a potem widziała je w pokoju tej drugiej. I jeszcze opowiadała o kłopotach w poprzednim mieszkaniu, o tym, jak złożyła doniesienie na właścicielkę, bo jej zmieniła zamek, chociaż to doniesienie było trochę dziwne: „Ukradła mi cztery telewizory plazmowe i mnóstwo butów od Manolo Blahnika”. Oczywiście, pierwszym pytaniem, które przyszło mi do głowy, było: „A tobie na co były potrzebne cztery plazmy?”. To świadczy o tym, że miała jakąś niejasną przeszłość, powinienem

266
był nabrać podejrzeń, ale tak się nie stało, sam nie wiem dlaczego. Po prostu taki już jestem, przyjmuję wszystko jak leci. Jestem za dobry, bo na początku naszej znajomości było parę takich momen-

tów, kiedy powinienem był z nią poważnie porozmawiać, ale nie chciałem się spierać, wybrałem spokój i wygodę, nie wtrącałem się, choć Livia miała jakieś dziwne zachowania, wszczynając absurdalne kłótnie, spierała się z wszystkimi, to wyglądało groźnie, ale ja się tym nie przejmowałem. Poza tym Lola została nową przyjaciółką Alexa, bywali wszędzie razem, jak para zakochanych, choć jestem pewien, że ze sobą nie sypiali. A Lola jest naprawdę śliczna, trudno temu zaprzeczyć, widać na pierwszy rzut oka, ale nie spali ze sobą na pewno, bo Alex jest gejem, stuprocentowym gejem. Ale ktoś złośliwie mi doniósł, że ona jest w nim bardzo zakochana, byłem potwornie urażony, bardzo zazdrosny, choć oczywiście trudno mi było się do tego przyznać, a tymczasem, z dnia na dzień, Alex zaczął chodzić z Lolą, wszędzie tam, gdzie wcześniej chodził ze mną. Lola stała się jego najlepszą przyjaciółką, a ja czułem się tak, jakby Lola mnie okradła, jakby wskoczyła na moje miejsce. Zazdrość mnie zżerała, naprawdę. Chociaż wiedziałem, że z nią nie sypia i nigdy się z nią nie prześpi, czułem zazdrość, wiedząc, że to ona teraz wysłuchuje jego zwierzeń, chodzi z nim do kina, a po obejrzeniu filmu dyskutują na jego temat, że w niedzielne poranki, walcząc z kacem, chodzą razem do dzielnicy La Latina na lampkę martini i żeby popatrzeć na młodych chłopaków, którzy siedzą w ogródkach po to tylko, żeby się pokazać. I dlatego puściłem mimo uszu słowa Yamala, po prostu z zazdrości. Bo nienawidziłem Loli, choć prawie jej nie znałem, tej blond laleczki, panienki z dobrego domu, która ukradła mi Alexa... a przynajmniej tak mi się wydawało.

Choćby ta kłótnia o koszulki, powinienem wpaść na to, że dziewczyna ma coś nie tak z głową. Często wybuchały między nami kłótnie o drobiazgi. Wiecznie cię we wszystkim poprawiała, wystarczyło, że coś się jej nie spodobało, że powiedziałaś coś nie

267
tak, natychmiast wybuchała, krzyczała. Była bardzo impulsywna, szybko się nauczyłem po sposobie, w jaki rozpoczynała rozmowę, która z naszych konwersacji zakończy się stwierdzeniem w rodzaju: „To już koniec naszej przyjaźni”. Bardzo ją lubiłem, tak mi się przynajmniej wydawało, bo potem okazało się, że wcale za nią nie tęsknię, tak jak tęskniłem choćby za Alexem. No właśnie... Zaraz, bo zgubiłem wątek. Aha, mówiłem o tych koszulkach. Wymyśliłem, że zamówię koszulki z moim logo jako prezent dla klientów, i skontaktowałem się z firmą, która przygotowała kosztorys. Kiedy Livia go zobaczyła, oburzyła się: „To strasznie drogo! Wiesz co, ja ci poszukam innej firmy i wyjdzie dużo taniej. Kurczę, szkoda, że nie wiem, gdzie znaleźć w Hiszpanii przedstawiciela American Apparel, znam tylko ich niemiecką firmę -przedstawiciela na Europę”. American Apparel robi bardzo fajne koszulki z bawełny dobrej jakości. I wtedy sobie przypomniałem: „Jak to, przecież ja znam ich przedstawiciela, to mój dobry znajomy. Zadzwoń do niego i poproś o kosztorys, dobrze?”. Ale czas mijał, a ona nic nie robiła, więc któregoś dnia wziąłem telefon i sam zadzwoniłem do American Apparel z prośbą o ofertę,

a kiedy Livia pojawiła się w sklepie, to powiedziałem jej, że nie musi już martwić się o te koszulki, bo sam to załatwiłem. Na co ona się wściekła, że przeze mnie tylko straciła czas, że: „Jeśli masz coś zrobić, to rób sobie sam”. Więc zacząłem się tłumaczyć: „Nie chciałem wcale, żebyś traciła czas”. A ona zupełnie nieoczekiwanie ma do mnie jakieś pretensje: „O co ci chodzi? Chcesz, żebym straciła znajomych?”. Osłupiałem, bo w końcu tego gościa z American Apparel to ja jej przedstawiłem. Chodzi mi o to, że faktycznie czasem widziałem, że jej delikatnie odbija, ale puszczałem to mimo uszu, dla świętego spokoju, sam nie wiem...

No i jeszcze to, że nigdy nie miała pieniędzy. Pamiętam, jak któregoś dnia planowaliśmy urządzić kolację dla przyjaciół z okazji urodzin Leonor, wszystko ustalone, tylko „trzeba się zrzucić, co?”. Po dwadzieścia euro na łebka, to w końcu nie jest jakaś

268
wielka kwota. Każdy z nas położył pieniądze na stół, przyszła kolej na Livię: „Livia, dwadzieścia euro”. A ona na to: „Ale ja już dałam”. „Nie, nie dałaś, popatrz, tu leżą moje, tu - Yamala, a tu - Fulvia”. „Tak? Dziwne, wydawało mi się, że kładłam. Już szukam... Cholera, nie mam kasy! Dziwne, przecież brałam z domu pieniądze... Już wiem, zmieniłam torebkę, to dlatego...”. Należało wtedy z nią usiąść i porozmawiać, zapytać: „Stara, w co ty pogrywasz?”. Zresztą kolacje i drinki to była klasyka gatunku. Jesteśmy na kolacji, przychodzi do płacenia, Livia zagląda do portmonetki i widzi, że nie ma pieniędzy. Chce zapłacić kartą i okazuje się, że właśnie ta jedna karta zostaje odrzucona. Albo w decydującym momencie wychodzi do łazienki i znika w niej na dwadzieścia minut, bo wie, że w tym czasie ktoś zapłaci rachunek, powiedz mi, czy to jest normalne, żeby siedzieć w łazience dwadzieścia minut? Zgadzałem się na odstawianie tej komedii, bo i tak wiedziałem, że to ja zapłacę za nas dwoje, pozwalałem na ten teatr, bo to było nawet zabawne, a poza tym, co prawda bardzo rzadko, ona jednak znajdowała pieniądze, i ta chwila napięcia i niepewności dodatkowo mnie ekscytowała. Pamiętam taką jedną konkretną sytuację: zadzwonił do mnie Yamal: „Słuchaj, zarezerwuj stolik w restauracji, poszlibyśmy na kolację, dobra?”. No więc zarezerwowałem, w Zen Zentral, zaraz potem zadzwoniła Livia i zapytała, jakie mam plany na wieczór. „Zadzwonił Yamal, umówiliśmy się na kolację”, odparłem. Wiedziałem doskonale, że Livia nie ma grosza przy duszy, bo zeszłego wieczoru poszliśmy na kolację do Pracowni i już wtedy mówiła, że jest bez kasy. A tymczasem ona radośnie oznajmia: „Super, to ja też chętnie pójde”. „Livia, ale Zen Zentral to nie jest tania knajpa, taka kolacja może kosztować i czterdzieści euro na głowę, wiesz, że Yamal idzie na całość, jak przyjdzie do płacenia, zrobi się naprawdę spora suma, a ja nie chcę, żeby to on płacił za wszystkich, zawsze płaci, nie uważam, żeby to było w porządku”. Bo Yamal zawsze za wszystkich płaci, a ja uważam, że nie wypada

269
tak na nim zerować. Ale Livia była uparta: „No tak, ale ja bym

bardzo chętnie poszła, nie uśmiecha mi się siedzieć samej w domu". „Rozumiem, tylko nie możesz oczekiwać, że facet, który ledwie cię zna, zaprosi cię na kolację". Dałem jej do zrozumienia, że ja nie mam zamiaru za nią płacić. Tymczasem ona nie ustępowała: „Mam pieniądze, których nie powinnam wydawać, ale je wydaj. A potem będę się martwić, skąd je znowu wziąć, nie mam zamiaru siedzieć w domu". To był dla niej spory problem, że ja zaplanowałem sobie wieczór, nie uwzględniając jej osoby. Choć przede wszystkim bardzo przeżywała to, że ominie ją kolacja z Yamalem Benanim i Leonor Mayo, bo uwielbiała blichtr wielkiego świata, marzyła o kolacji z dwoma gwiazdami, chciała, żeby wszyscy zobaczyli ją w towarzystwie madryckiej śmietanki. Poza tym Livia, jak niemal wszyscy, miała słabość do Yamala. Wiadomo, facet przystojny, bywały w świecie, doświadczony, uznany artysta, żadna kobieta się takiemu nie oprze. Ani żaden mężczyzna. I oczywiście Livia postawiła mnie pod ścianą, klasycznie, tak jak zawsze, a przecież gdyby otwarcie zapytała: „Słuchaj, nie mam kasy, możesz za mnie zapłacić?", to pewnie bym zapłacił. W końcu i tak zawsze płaciłem. Ale ona nie mogła dać się poznać jako ta, co nie ma pieniędzy, bo odgrywała rolę panny z dobrego domu, wiele razy kiedy rozmawialiśmy o pracy, zawsze kończyła rozmowę stwierdzeniem: „Przecież nie mogę za takie marne pieniądze pozować dla tej gazety, jestem warta dużo więcej". I naprawdę widziałem, jak odrzuca różne propozycje albo jak nie idzie na casting, bo jej się nie chciało rano wstać.

Właściwie od początku należało się tego spodziewać. Livia miała na przykład klucze od mojego mieszkania, widzisz, jaki jestem naiwny, sam jej dałem, nawet nie pamiętam przy jakiej okazji. A, już sobie przypominam, kiedyś wyjeżdżałem na weekend i wiedziałem, że będzie padać, więc ją poprosiłem, żeby zajrzała do mnie i sprawdziła, czy nie zalało tarasu, to się czasami zdarza przy ulewnych deszczach. A potem dostałem rachunek za 270

telefon na ponad sto euro, a ja stacjonarnego telefonu prawie wcale nie używam. Spojrzałem na billing i okazało się, że to są godzinne albo półtoragodzinne połączenia z komórkami, wszystkie z tego samego dnia. Zauważyłem też połączenie z Sewillą, więc zadzwoniłem do Livii, a choć ona najpierw powiedziała, że to nie ona, nie dałem się zwieść: „Wiesz co, przeglądam właśnie rachunek i wszystkie te połączenia wykonano w czasie, kiedy ja jestem w sklepie, a jedno z nich jest do Sewilli, a skoro ty twierdzisz, że nie dzwoniłaś, to ja muszę zadzwonić pod ten numer w Sewilli, żeby się dowiedzieć, kto do nich telefonował z Madrytu, bo skoro to nie ty, to trochę się martwię, bo chyba ktoś się musiał włamać do mojego domu". Przez chwilę milczała, a potem się przyznała: „Zaraz, poczekaj... Ach tak, Oscar, tak, kochanie, tak, no jasne... to ja dzwoniłam, miałam ci o tym powiedzieć, ale zupełnie zapomniałam", i opowiada historyjkę, jak to któregoś dnia musiała wykonać kilka pilnych rozmów, ale nie miała już impulsów na karcie ani pieniędzy, żeby doładować komórkę, więc musiała zadzwonić z mo-

jego mieszkania, miała zamiar mi o tym powiedzieć, oczywiście, że tak, tylko potem kompletnie o tym zapomniała.

Sam nie mogę pojąć, że pozwalałem jej na takie zagrania raz za razem i że jakoś to przelatywałem. Potem dopiero zdałem sobie sprawę, że może po prostu moja przyjaźń z Livią była o wiele bardziej powierzchowna, niż sobie to wyobrażałem, że w rzeczywistości to było tak jak z pieskiem, którego trzymasz dla rozrywki, i jak taki piesek zrobi ci kupę na dywanie, to ci to nie przeszkadza, bo pieski tak mają, i już. A potem, jak się głębiej zastanowiłem, to się okazało, że było mnóstwo takich drobiazgów. Na dodatek ja nie byłem wtedy jakoś specjalnie przy forsie: dopiero co otworzyłem sklep, wyrabiałem sobie nazwisko, byłem nieźle zadłużony u dostawców, nie mogłem sobie pozwolić na utrzymywanie jeszcze jednej osoby i ona doskonale o tym wiedziała.

A skończyło się na tym, że ją zacząłem utrzymywać, wkrótce po tym, jak się do mnie wprowadziła. I to już naprawdę zakrawa
271

na absurd. Nieoczekiwanie sprawy przybrały dziwny obrót: znałem ludzi, którzy mieszkali w tym budynku co Livia - zanim się do mnie przeprowadziła - i jakieś dwa miesiące wcześniej ktoś z nich mi powiedział, że Livię wyrzucają z mieszkania, bo skończyła się jej umowa, ale mnie, było nie było swojemu przyjacielowi, Livia powiedziała, że to nieprawda, a ja jej uwierzyłem, aż tu pewnego ranka zadzwoniła do mnie i oznajmiła, że do poniedziałku musi się wynieść, wspomniała coś o adwokatach, o tym, że dostała nakaz eksmisji, ale osobiście go nie odebrała... Tłumaczyła mi, że umowa skończyła się jej w czerwcu i próbowała rozmawiać z właścicielem mieszkania, żeby ją przedłużył, ale nagle dostała ten nakaz eksmisji, ale ona mieszka w takim ogromnym budynku, skrzynki pocztowe są przepełnione i czasem listy się gubią, bo listonosz wkłada je do niewłaściwej przegródki. I że ona znalazła ten list na stoliku, gdzie się zostawia korespondencję z niewłaściwym adresem, to akurat jest prawda, ten stolik znaczy się, sam go widziałem. Ale nakazu eksmisji nie zostawia się w skrzynce, musisz potwierdzić odbiór. Byłem głupi, że jeszcze wówczas jej wierzyłem.

Wtedy Livia wyrzuciła z siebie: „Nie mam gdzie mieszkać, dopóki nie znajdę czegoś nowego”, więc zaproponowałem jej, żeby przemieszkała u mnie, co miałem zrobić. I kiedy nadszedł dzień przeprowadzki, okazało się, że ciężarówka nie mieściła się na mojej ulicy. Zapytałem pięć razy, pięć, bo nie mogłem uwierzyć własnym oczom: „To wszystko jest twoje?”, bo pod mój dom podjechała nie furgonetka, tylko ogromna ciężarówka z tysiącem pudeł! Kiedy wróciłem do domu, ona już upchała pudła, tak że nie przerażały swoją liczebnością, choć jej pokój przypominał magazyn. Pokazała mi stertę pudełek, mówiąc: „Popatrz, ile mam butów, zupełnie jak Imelda Marcos, hihhi”, i faktycznie, tuż za nią piętrzył się stos butów od Prady, Blahnika, Gucciego... A na toaletce stały pudełka z perfumami Diorissimo, Opium, Anais, Kenzo, Miyake. Regularny magazyn.

No i jak już u mnie zamieszkała, to żyło się nam cudownie, Livia była zawsze wesoła jak skowronek, a kiedy wracałem późnym wieczorem do domu, czekała na mnie i chętnie wysłuchiwała opowieści z całego dnia. Od czasu do czasu próbowałem coś zmienić: „Livia, musisz zacząć czegoś szukać, nie możesz tu mieszkać do końca życia”, na co ona odpowiadała: „No jasne, już się za to wzięłam, ale na razie nie trafiłam na nic interesującego”. I chociaż wcale nie widziałem, żeby czegoś szukała - co rano wylegiwała się w łóżku - to nie naciskałem. Natomiast parę spraw zaczęło mnie niepokoić. Miałem na przykład pudełko, do którego wrzucałem drobniaki, żeby w razie potrzeby mieć na drobne wydatki, choćby na płyn do naczyń czy mydło, i to pudełko parę razy okazało się puste. Innym razem, opróżniając kieszenie spodni przed praniem, znalazłem w nich pięćdziesiąt euro i zostawiłem te pieniądze na stole, obok stosiku listów, a na drugi dzień już ich tam nie znalazłem. Często też prosiła: „Słuchaj, jestem umówiona na wieczór i nie mam co na siebie włożyć. Mogę wpaść do sklepu i coś sobie wybrać?”, a ja się na to zgadzałem: „No jasne, kochanie, wybierz sobie, co ci pasuje, tylko pamiętaj, że musisz to zwrócić, wyprane i wyprasowane”, bo tak robi większość aktorek i modelek, wypożyczasz im kreacje na uroczyste premiery i one je potem oddają, w ten sposób reklamują twoją markę. Leonor Mayo zawsze chodzi na premiery w moich sukniach, na każdym zdjęciu widać, że nosi kreacje od Rosaberta. Tylko że ona nigdy, naprawdę nigdy nie zwróciła mi żadnej sukni. Mam na myśli Livię, nie Leonor.

No więc mniej więcej po miesiącu od przeprowadzki Livia opowiedziała mi, że jakaś jej koleżanka, Anita, która zajmuje się projektowaniem dodatków, biżuterii i galanterii, wybiera się do Hongkongu, że firma opłaca Anicie przelot i hotel, i dość wysokie diety, no i że ta Anita zaproponowała Livii: „Poleć ze mną, musisz sobie tylko zapłacić za samolot, hotel jest opłacony, no i mam firmowe pieniądze na jedzenie”. I Livia zaczęła mi się

zwierzać: „Sama nie wiem, co mam zrobić, bo z jednej strony to w ogóle nie mam pieniędzy, a z drugiej szkoda zmarnować taką okazję... Hongkong!”. Na co ja jej odparłem: „Livia, ja wiem, że Hongkong to brzmi interesująco, tylko skąd weźmiesz pieniądze na bilet?”, jasno dając do zrozumienia, że nie zamierzam jej tych pieniędzy pożyczać. I na tym stanęło. Tydzień później oznajmiła mi, że ma już pieniądze i że wylatuje. Zapytałem, skąd je wytrzasnęła, a ona wyjaśniała mi, że miała sesję zdjęciową kolekcji bielizny dla jakiejś gazety, co mnie specjalnie nie zdziwiło, ponieważ wiedziałem, że od czasu do czasu bierze drobne zlecenia, była przecież bardzo ładna, dostawała propozycje i dostawałaby ich zresztą dużo więcej, gdyby tylko choć trochę się postarała.

Ale kiedy Livia już poleciała do Hongkongu, zadzwonił do mnie Alex - tak, ten Alex - w bardzo pilnej sprawie: „Słuchaj, parę dni temu robiłem za didżeja w Dóme - Alex jest aktorem, ale od czasu

do czasu zapraszają go jako celebrity dj - i miałem ze sobą torbę z laptopem, pieniędzmi i komórką i ktoś tam wszedł i mi to zwinął". Zamurowało mnie. „Alex, przecież tyle razy ci mówiłem, żebyś nie wpuszczał za dużo ludzi do kabiny, zwłaszcza jak masz przy sobie tego cholernie drogiego iMaca!". Alex zawsze zabierał ze sobą superlaptopa iMac G5 ze specjalnym oprogramowaniem dla didżejów i odtwarzacz mp3, i sam nie wiem co jeszcze. „Dzwonię, żeby ci tylko powiedzieć, że jedną z osób, które przewinęły się tam tej feralnej nocy, była koleżanka, z którą mieszkasz, ta z Sewilli, która mówi o sobie, że jest modelką, a ja o niej słyszałem same niefajne rzeczy, na przykład to, że wyniosła Loli pół domu". Wkurzyłem się: „Alex, jak śmiesz? Nie mogę uwierzyć, że to mówisz, przecież to jest moja przyjaciółka!", obruszyłem się i jeszcze mu nawrzucałem. Kiedy skończyłem tę rozmowę, pomyślałem, że to faktycznie dziwne, że Livia tak z dnia na dzień zdobyła pieniądze na podróż i że podejrzania Alexa nie są bezpodstawne, ale zaraz poczułem wyrzuty sumienia, że mogłem tak pomyśleć o mojej przyjaciółce, że to dwie różne rzeczy: sępić u przyjaciół i okradać znajomych.

274

Kiedy Livia oznajmiła, że wyrusza do Hongkongu, wszyscy jej przyjaciele gorączkowo zaczęli myśleć o jednym: Hongkong to światowe centrum podróbek, świetnych i tanich imitacji Prady, Chanel i Diora. Po krótkim namyśle sporządziłem listę potrzeb: torebkę Balenciagi dla mojej siostry, portfel Gucciego i smycz na klucze Prady. I dałem jej trzysta euro. Tymczasem Livia napisała mi maila już z Hongkongu, że dałem jej za mało pieniędzy. To mnie trochę zdziwiło, bo byłem w Hongkongu i widziałem ten targ z podróbkami, na który ona też poszła, i wiedziałem, że te podróbki mogą być różnej jakości, ale damska torebka nie może kosztować więcej niż sto euro. Przełałem jej jednak kolejne dwieście euro, bo powiedziała mi, że przy wypłacaniu pieniędzy pobierają strasznie wysoką prowizję. Po czym zaczęła mi przysyłać jakieś głupie maile - zdjęcia jej samej rozłożonej na eleganckim hotelowym łóżku, otoczonej torebkami, to mi dało do myślenia: „Skoro nie miała pieniędzy na bilet, to skąd wzięła pieniądze na te wszystkie torebki?". W końcu wróciła, przywiozła wszystko, o co ją poprosiłem, tylko że smycz Prady - smycz do kluczy, którą wypuścił Prada, szczyt snobizmu - urwała mi się i poszedłem do pokoju Livii, wiedząc, że przywiozła ich więcej i znalazłem torbę z mnóstwem tych smyczy, każda w osobnym pudełeczku, pomyślałem sobie, że pewnie zamierza je sprzedać. Tymczasem minęło trochę czasu, a smyczy nie ubywało. Pomyślałem wtedy, że Livia, zawsze taka modna, nie sprzedawała smyczy, bo to by znaczyło, że przestanie być tą najmodniejszą wśród znajomych, że przywiozła te smycze na sprzedaż, ale potem zrobiło mi się jej żal. Bo jej akurat najbardziej przeszkadzało, że nie może zabłysnąć, że może się zdarzyć, że ktoś wystąpi w podobnej sukni, więc dlatego z Leonor Mayo, moją bardzo bliską przyjaciółką, zdarzyło się jej wielokrotnie pokłócić o ciuchy. Pamiętam, jak pewnego wieczoru wychodziliśmy we trójkę i Livia zadzwoniła do Leonor: „Idziesz w per-

łach?", miała na myśli naszyjnik z pereł, który zaprojektowałem dla mojej kolekcji i podarowałem po jednym egzemplarzu obu

275
moim przyjaciółkom. Słyszę Livię: „Absolutnie nie możesz ich włożyć, bo dziś ja w nich idę”. Tymczasem Leonor odparła: „A co to ma do rzeczy? Mnie nie przeszkadza, że obie wystąpimy w perłach”. No i tragedia gotowa. Prawdziwa tragedia, stało na tym, że Leonor nie poszła w tym naszyjniku. A Livia jęczała mi nad uchem: „Bo Leonor chce włożyć perły”, płaczącym głosem, tak jakby mówiła: „Bo Leonor odbiła mi chłopaka”.

A niech to, znów straciłem wątek. A chciałem powiedzieć, że wkrótce potem spotkałem się z koleżanką, która właśnie wróciła z Hongkongu, i ta koleżanka pochwaliła się torebką Balenciagi, identyczną jak ta, którą przywiozła mi Livia, a nawet, wstyd się przyznać, lepszą, z lepszej skóry, przyznając się, że zapłaciła za nią czterdzieści euro i wtedy zrozumiałem, że Livia mnie oszukała.

Wiem oczywiście, że pragnienie posiadania torebki od Balenciagi albo portfela od Gucciego czy smyczy na klucze od Prady jest dosyć głupie, ale kiedy obracasz się w świecie mody, jeśli to lubisz, to znaczy jeśli bawisz się w świat mody, nagle zdajesz sobie sprawę, że to, że nosisz torebkę od Prady, oznacza bardzo wiele: określa twój status finansowy, towarzyski, potwierdza twój gust... A już podróbki to jazda na maksa, bo bawisz się w pokazywanie tego, czego w rzeczywistości nie masz. Wiesz, te wszystkie markowe rzeczy to rodzaj fetyszu, gry. Jeśli nie reprezentujesz sobą nic innego, a tak właśnie było w przypadku Livii, to zabawa przeradza się w obsesję. Obsesyjnie pragniesz usłyszeć: „Livia, ta to zawsze jest tip-top, torba od Gucciego i smycz od Prady”.

Czasami siedzieliśmy sobie spokojnie w domu przed telewizorem i ona zniecka szła pod prysznic, a po godzinie pojawiała się na wysokich obcasach, w eleganckich ciuchach, w pełnym makijażu, wyglądała olśniewająco, po czym zasiadała na kanapie i oglądała telewizję, odstawiona tak, jakby to ona była Carrie Bradshaw i czekała, aż skierują na nią kamery, żeby zacząć opowieść o seksie w wielkim mieście. Taka właśnie była.

276

Niedługo potem ktoś do mnie zadzwonił i opowiedział mi, jak to Livia poszła na imprezę i w pewnym momencie poskarżyła się, że bołą ją nogi, czy coś w tym stylu, tak jak zawsze była na wysokich obcasach, i że właścicielka mieszkania zaproponowała: „Wiesz co, może znajdziesz w tej szafie jakieś wygodniejsze moje buty”, a ona spośród wszystkich butów wybrała botki, teraz nie wiem, czy od Jimmy'ego Choo czy od Jourdana, które kosztowały pewnie z sześćset euro. Założyła je i wyszła z imprezy. I tak z czasem docierało do mnie coraz więcej podobnych historii. Wszystko to brzmiało dziwnie, ale ona wcale nie sprawiała tak strasznego wrażenia, spędzaliśmy dużo czasu w domu, wygłupialiśmy się, jeśli miałem gorszy nastrój, umiała mnie pocieszyć, gotowała, to trzeba jej przyznać, że świetnie gotowała,

więc zawsze jak wracałem, kolacja już czekała. I zawsze mi towarzyszyła, była blisko, zresztą nie miała przecież żadnych innych zajęć.

Zmierzam do tego, że przez ten blisko rok, kiedy byliśmy niemal nierozłączni, zauważałem mnóstwo dziwnych drobiazgów, ale nie przywiązywałem do nich wagi, może dlatego, że byłem sam, a może ona była tak zabawna, a może po prostu mam gołębie serce, ciężko stwierdzić. Na dodatek ona mi w niczym nie pomagała. Czasem mówiła: „Pomogę ci w sklepie”, i należało oczekiwać, że na przykład wyeksponuje ubrania w jakiś efektowny sposób albo pomoże rozesłać zaproszenia. Ależ skąd, nic nie robiła. Przychodziła do sklepu i czatowała na Internecie.

Przebrała miarkę z aparatem mojej siostry.

Moja siostra organizowała spotkanie u siebie w domu, w Boże Narodzenie, spotkanie dla bliskich przyjaciół. Ostatnimi czasy moja siostra obraca się pośród snobów, narkomanów, ale takich z lepszego towarzystwa, i właśnie ich zaprosiła, jednego księcia skądś tam, jakiegoś supermodnego projektanta czy aktorkę, jakąś tam... Wystarczyło, że Livia się o tym dowiedziała, natychmiast zapragnęła tam pójść, to było Boże Narodzenie, a ona siedziała

277

sama i nie wyjechała na święta do domu, co mnie trochę zdziwiło, choć wiedziałem o jej nie najlepszych układach z rodziną, której przeszkadzało, że ukochana córeczka została modelką. O nic jednak nie pytałem. Poszliśmy razem. Bawiliśmy się świetnie. Cha, cha, cha, hi, hi, hi, wypijaliśmy kieliszek za kieliszkiem, ależ sympatyczna ta twoja przyjaciółka, jaka śliczna, jaka elegancka i taka rezolutna... Dwa dni później zadzwoniła do mnie siostra i opowiedziała, że zginął jej aparat fotograficzny, zresztą prezent ode mnie. „Hmm, aparat fotograficzny? Dziwne...”. A zaraz potem zjawia się Livia z takim samym aparatem w dłoni, twierdząc, że dostała go w prezencie gwiazdkowym od rodziny z Sewilli. Któregoś popołudnia siedzieliśmy razem w salonie, spojrzałem na ten aparat i nagle w mojej głowie zapaliła się lampka: „Nie, to niemożliwe, to po prostu niemożliwe”. Zadzwoniłem do Leonor i usłyszałem: „Nie mów... ja cię kręcę, naprawdę?”, ale nie powiedziała mi: „Zwarowałeś? Skąd ci to przyszło do głowy?”. No więc zadzwoniłem do siostry i spytałem o numer seryjny aparatu, a ona mi go podała. Wcisnąłem jej bajeczkę, że w Internecie, na stronie Canona, można było podać ten numer i jeśli ktoś przyszedłby do serwisu naprawić aparat albo przyniósł kartę ze zdjęciami do wywołania, to wtedy dzwonią do właściciela. Nie mogłem jej powiedzieć, że podejrzewam o kradzież przyjaciółkę, która u mnie mieszka. I na tym stanęło, bo choć myślałem sobie: „Muszę sprawdzić numer na aparacie Livii”, to jakoś tego nie robiłem. Pewnie ze strachu. Źle się czułem, podejrzewając przyjaciółkę o kradzież. Aż pewnego dnia sprawa rozwiązała się sama. Otóż miałem jechać na jakiś pokaz i chciałem sfotografować modelki, ciuchy wyglądają zawsze lepiej na kimś niż na wieszaku, i... poprosiłem Livię, żeby pożyczyła mi aparat. A kiedy zjawiłem się w sklepie, Leonor, która o wszystkim

wiedziała, poradziła mi: „Słuchaj, sprawdź przy okazji numer i będziesz miał to z głowy”. Sprawdziliśmy. Numer się zgadzał. Wróciłem do domu i mówię do Livii: „Możemy porozmawiać?”. Wyjaśniłem drażliwą kwestię numeru seryjnego, na co ona

278
odparła urażona: „To niemożliwe”. „A jednak. To jest ten sam aparat”. Obrażonym tonem zapytała: „Coś sugerujesz?”. „Wiesz, co, Livio, nie komplikujmy sobie życia. Wiem, że to aparat mojej siostry, i bardzo cię proszę, spakuj swoje rzeczy i wyjdź z mojego domu, a potem, na spokojnie, w przyszłym tygodniu, zorganizujemy przeprowadzkę, wiesz, że jesteś moją przyjaciółką, i to, co zrobiłaś, potwornie mnie zabołało”. Na co ona odparła: „Proszę, nie bierz tego do siebie, gdybym wiedziała, że to aparat twojej siostry, nigdy bym go nie wzięła”. „Po pierwsze, to nie jest żadne wytłumaczenie, bo nawet gdyby nie należał do mojej siostry, to ukradłaś go w jej domu, wychodzi na to samo. Poza tym musiałaś wykasować wszystkie zdjęcia siostry, jej psa, jej męża, spotkań z przyjaciółmi, a więc doskonale wiedziałaś, czyj to aparat... No dobra, ja wychodzę, ale jak wrócę, ma cię tu już nie być”. I wyszedłem. A ona rzuciła się do telefonu i dalej obdzwaniać wszystkich z opowieścią o tym, jak „wyrzucił mnie, nie mam dokąd pójść, Boże, jaka jestem biedna”. A potem zadzwoniła do mnie i oznajmiła, że nie ma się gdzie podziać, i spytała, czy może u mnie zostać. Odmówiłem stanowczo. A kiedy wróciłem w nocy, jej nie było, choć zostawiła swoje rzeczy i zabrała klucze. Nagle się przeraziłem, zadzwoniłem po ślusarza i natychmiast wymieniałem zamki.

Dwa dni później zadzwonił do mnie Alex, powiedział, że ją spotkał. „Żebyś wiedział, że twoja przyjaciółka, którą tak uwielbiałeś, obsmarowuje cię przed kim się tylko da, opowiada, że już nie mieszkacie razem, bo ona miała dość ciągłego sprzątanego po tobie”. Alex zadzwonił do mnie, bo wiedział, jakim jestem pedantem. A ja dowiedziałem się w ten sposób, że Livia każdemu, kto tylko zechciał jej wysłuchać, opowiadała o mnie całe mnóstwo okropnych rzeczy. Omal się nie rozplakałem, na co usłyszałem od Alexa: „Oscar, to wszystko przez to, że traktujesz przyjaciół tak jak torebkę od Prady: chcesz się nimi pochwalić. Livia idealnie ci odpowiadała, była śliczna, zgrabna, świetnie ubrana i miła, więc doskonale sprawdzała się jako twoja para na imprezach, ale nigdy

279
nie zadałeś sobie trudu, żeby zgłębić meandry jej osobowości. I ja, czasami, też tak się czułem przy tobie i z tego powodu nie chciałem angażować się w ten związek. Były też inne przyczyny, ale ta była jedną z ważniejszych”. Poczułem się podle, bo rozumiałem, że Alex ma dużo racji... Od tamtego czasu nie staliśmy się może znów jak Bolek i Lolek, ale trochę odnowiliśmy naszą przyjaźń, często rozmawiamy, a ja wiele się nauczyłem. Ponieważ Livia wciąż nie zabierała swoich rzeczy, któregoś dnia poszedłem do jej pokoju, żeby odzyskać ubrania z mojego sklepu. Zacząłem otwierać pudełka i okazało się, że one są puste, setki pustych pudełek po butach, perfumach, coś niesamowitego.

Na drzwiach wisiało ze trzy setki przepustek, akredytacji, bransoletek dla vipów, wiesz, takich, jakie dostajesz na imprezie, żeby było wiadomo, że masz bar gratis. Przeglądałam te przepustki i czytam: Premierevision, CDP Dusseldorf, Pure London, Fashion Coterie, Hortensia von Hutten, Neozone, CPM Moscow... I po krótkim namyśle już wiem, że Livia nie mogła być ani na tym pokazie, ani na tamtym, przecież ona nigdy nie była w Mediolanie ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Moskwie. Przypatrzyłem się uważnie i dopiero wtedy zobaczyłem, że wszystkie te przepustki należały do innych osób, tylko Livia nakleiła na nich własne zdjęcie, zasłaniając podobiznę właściciela, używając do tej misternej operacji zwykłej taśmy klejącej. Pewnie ktoś jej dawał nieważne przepustki, a ona je przerabiała. Nie mam zielonego pojęcia po co, może po to, żeby ktoś, kto przez przypadek znajdzie się w jej pokoju, pomyślał, że to ona podróżowała do Paryża, Mediolanu, Nowego Yorku czy do Tokio... albo żeby ona sama, wpatrując się w nie nocami, wyobrażała sobie te podróże. A potem znalazłem wszystkie ubrania, które pożyczyła ode mnie ze sklepu, i mnóstwo innych, o których pożyczeniu nawet się nie zająknęła. Natknąłem się też na parę absurdalnych znaleźsk, jak choćby na psią obrozę z lamparciej skóry, prezent dla Tiny, pieska mojej siostry, czy stertę komórek, dziesięć, a może piętna-

280
ście, upchniętych w jednym z pudełek. Ukradzionych, pomyślałem natychmiast, co innego mogłem pomyśleć? Prócz tego stopy drobiazgów, choćby z H&M: spinki do włosów, klamry, kolczyki, wszystko w oryginalnych plastikowych opakowaniach... Ukradzione, a jakże.

Wkrótce potem zadzwoniła do mnie Sofia, projektantka z Fun& Basic, znana bywalczyni nocnych lokali, która nigdy wcześniej ze mną nie rozmawiała: „Cześć, Alex mówił mi o twoich przygodach z Livią, więc pomyślałam, że ja też muszę ci coś opowiedzieć”. I wyjaśniła, że to ona mieszkała z Livią w tamtej kamienicy, z której je wyrzucono. A wyrzucili je dlatego, że Livia przez cały rok nie płaciła czynszu właścicielowi, choć nie wspominała o tym pozostałej dwójce - Sofii i jakiemuś facetowi - wręcz przeciwnie, brała ich część czynszu, sporo kasy, i z tego właśnie dość długo żyła, to były duże sumy, choć nie tak duże, by wystarczyły na jej rewelacyjne ciuchy czy dość wystawny tryb życia. Strasznie się zdenerwowałem, zaraz zadzwoniłem na jej komórkę i tonem nieznośnym sprzeciwu obwieściłem: „Livia, tego i tego dnia, o tej i tej godzinie zabierasz stąd wszystkie swoje rzeczy. Wynajmij ciężarówkę, jak ostatnio, zresztą zrób, co chcesz, ale nie mam zamiaru trzymać tu dłużej twoich rzeczy”. I umówionego dnia o umówionej godzinie przyjechała ciężarówka, a ja już nigdy więcej nie widziałem Livii.

A mniej więcej po roku od tamtych wydarzeń zadzwonił do mnie jeden z przyjaciół mojej siostry, pochodzący z wysoko postawionej, ustosunkowanej, bardzo snobistycznej rodziny, i poprosił o przysługę w następującej sprawie: otóż syn jego „ukocha-

nejwnajlepszej psiapsiółeczki", Księżnej Jakiejś Tam, który zajmuje się fotografią, chciałby przyjechać do Madrytu i zaczepić się gdzieś w świecie mody, więc czy ja mógłbym rzucić okiem na jego portfolio, może akurat przydałby mi się przy tworzeniu nowego katalogu. Zgodziłem się chętnie, chłopak zadzwonił chwilę później i umówiliśmy się na spotkanie. Okazał się typowym snobem

281
z Sewilli - przystojny, z brylantyną na włosach - i pokazał mi swoje prace, niestety nic nadzwyczajnego. Przeglądałem je po kolei i nagle patrzę, a tu zdjęcie Livii, tylko dużo młodszej, więc pytam: „A Livia skąd się tu wzięła?”. „Ona nie ma na imię Livia, tylko Carmen”, wyjaśnił. „Skądże, to Livia”, upierałem się przy swoim. „Ma na imię Carmen, chyba wiem lepiej, była moją dziewczyną”. Już miałem odpuścić, pomyślałem, że to pewnie dziewczyna bardzo podobna do Livii, ale zobaczyłem kolejne zdjęcie, artystyczny akt, od tyłu, i już wiedziałem, że to Livia, bo na plecach miała swój tatuaż, wijącego się węża. „Widzisz? Widzisz ten tatuaż? To Livia! Przecież ją znam!”. Na co on, zrezygnowany, stwierdził: „Skoro tak uważasz... Nie widziałem jej od paru lat, ale kiedyś miała na imię Carmen”.

Natychmiast zadzwoniłem do przyjaciela mojej siostry - tego samego, który wcześniej polecił mi tego chłopaka z Sewilli - plotkarza i pedała, typowego Andaluzjczyka, potwornie gadatliwego, ale przy tym poczciwego, i opowiedziałem o tych zdjęciach. Oczywiście on znał historię Livii i ukradzionego aparatu, od mojej siostry, więc opowiedział mi też historię Carmen, znał ją doskonale, bo matka tamtego chłopaka była jego „ukochaną, najlepszą psiapsiółeczką”. Jak się okazało, kandydat na fotografa pochodził z jednej z najznamienitszych sewilskich rodzin, ale wybrał los odszczepieńca i wiódł życie niebieskiego ptaka, a kiedy odziedziczył pieniądze po babce, kupił sobie luksusowy apartament w Trianie, poczuł przypływ artystycznej weny i zaczął się bawić w fotografa. Do tego zamieszkał z dziewczyną, matka ciężko to odchorowała, bo chciała ożenić swego ukochanego synka z panienką z równie szlachetnego, sewilskiego rodu. Matka zatrudniła detektywa, żeby wybałał, skąd pochodzi tamta dziewczyna, i okazało się, że z bardzo ubogiej rodziny, z Las Tres Mil Viviendas, dość niebezpiecznej dzielnicy Sewilli, a do tego wielokrotnie gościła w komisariacie, gdzie była notowana jako członkini gangów okradających turystów. Zadzwoniła do syna i wszystko mu wyłożyła.

282
A potem zjawiła się u niego w mieszkaniu i doszło do ostrej wymiany zdań z tą całą Carmen. Synek ją poznał jako kelnerkę w jakimś parszywym barze, spodobała mu się, upatrzył ją sobie na mużę, oszlifował, ukształtował, nauczył mówić, kupował jej najlepsze ciuchy... i nikt już by w niej nie rozpoznał tamtej dziewczyny z Las Tres Mil Vivendas, która okradała turystów. Zdaje się, że planowali nawet ślub, ale od kiedy do akcji wkroczyła matka, temat ślubu zniknął: nie ma sprawy, chłopak chce zostać artystą, proszę bardzo, ale na pewno nie narazi na szwank wielomilionowej fortu-

ny. Któregoś popołudnia młodzieniec wrócił do domu i okazało się, że jego dziewczyna wyczyściła dom niemal z wszystkiego, zniknęły cenne obrazy, telewizor, no i pieniądze z banku. Nie udało mu się wpaść na jej ślad, do czasu spotkania ze mną. I słysząc tę opowieść, przypomniałem sobie jedno takie popołudnie, kiedy razem oglądaliśmy telewizję - ja wyczerpany po wielu godzinach pracy w sklepie, a ona odstawiona, w minispódniczce, w bucikach na obcasie, perłowych kolczykach i nienagannym makijażu, w bluzce z odkrytymi ramionami, z wytatuowanym na plecach wężem - i zapytałem Livię, dlaczego sobie zrobiła ten tatuaż, a ona odparła: „Wiesz co, zrobiłam go, jak byłam bardzo młoda, jest szkaradny, wiem, powinnam go usunąć, może laserem, ale od zawsze fascynowały mnie węże. Podoba mi się to, że one wciąż się odradzają, że mogą zrzucić skórę”.

STOPAMI NA ZIEMI

Alex nie miał najmniejszej ochoty lecieć na tę imprezę, ale Bruno się uparł.

- Fajnie będzie, zobaczysz. Wieczorem pójdziemy na imprezę, rano wyskoczmy na plażę, a potem sobie wrócimy.
- To szczyt głupoty tracić tyle kasy na samolot i hotel z powodu jednej imprezy.
- Ale to nie jest zwykła impreza. Nie co dzień obchodzi się czterdzieste urodziny, a Toni to w końcu nasz przyjaciel.
- To zależy, czym dla kogo jest przyjaźń.

Toniego spotykał raz na ruski rok i nie uważał go wcale za bliskiego przyjaciela, choć znali się od dawna, jeszcze ze szkoły, i przez parę lat tworzyli zgraną paczkę, chodzili razem na zajęcia sportowe do klubu, a czasami do kina. Potem, jak to w życiu bywa, ich drogi powoli się rozchodziły, a oni próbowali utrzymać tę przyjaźń kierowani już tylko sentymentalnym przesądem, tak jak czasem zachowujemy bezwartościowy blaszany order przyznany w dzieciństwie przez mamę.

- To nas nie będzie dużo kosztować - przekonywał Bruno.
- Wiesz, że moja szwagierka pracuje w biurze podróży.

W końcu uległ, może przekonany przez Brunona, a może przez własny brak pewności: od zawsze miał problem z odmawianiem. Poza tym ostatnimi czasy trochę się nudził, a ponieważ występował w przedstawieniu teatralnym, które utrzymało się na afiszu przez pół roku, więc jego rachunek nie wyglądał źle. Mógł sobie pozwolić na trzy miesiące odpoczynku, aż do września, kiedy

284
mieli zacząć kręcić film, w którym co prawda nie grał głównej roli, ale dość ważną drugoplanową. Wszystko sprzyjało podróży do Barcelony: pierwszy raz w życiu, cudownym zbiegiem okoliczności, mógł cieszyć się jednocześnie pieniędzmi i czasem wolnym.

Bruno, który znał go świetnie, poczekał, aż wzbili się w powietrze na pokładzie samolotu, który niczym pocisk ciągnął za sobą po niebie biały ślad, i dopiero wtedy mu to powiedział, bo był przekonany, do czego oczywiście się przyznał, że gdyby powiedział to

wcześniej, to Alex nigdy by się nie zgodził na ten wypad. Mógł się obrazić za postawienie go przed faktem dokonanym, ale wiedział doskonale, że Brunonem nie kierowały złe intencje. To chyba oczywiste, że Toni bardzo pragnął, żeby wszyscy przyjaciele z młodości zjawili się na jego urodzinach, jako że czterdzieści lat stanowi punkt graniczny dla mężczyzny, który się dobrze zapowiada, i mężczyzny z bogatą przeszłością, i z tej okazji koniecznie należało wspominać młodość. Z tego powodu zaprosił również Davida.

- To kiedy widzieliście się po raz ostatni? Dwa, trzy lata temu? Trudno uwierzyć, że wciąż jesteś obrażony...

- Ja się nie obrażam...

- No dobra, to wściekły, czy co tam innego czujesz...

Jak to określić? Mocne postanowienie zerwania kontaktów z Davidem nie zostało podjęte w porwywie wściekłości, złości czy równie gwałtownych emocji, to był po prostu instynkt samozachowawczy. Instynkt uczuciowy.

Zakochał się w Davidzie w czasach, kiedy nie mógł się nawet do tego przyznać, w czasach, kiedy nie istniało słowo „gej”, w książkach pisano o homoseksualistach, a potocznie mówiło się „pedał”, przy czym tego drugiego określenia używano zazwyczaj z wyczuwalną nutą pogardy. Zakochał się w Davidzie, kiedy miał piętnaście lat, w szkole, i nie mógł wyznać swego uczucia, ale tym bardziej nie mógł go zagłuszyć, choć spychał w siebie coraz głębiej. Przez 285

całe lata masturbował się, myśląc o Davidzie, o jego przepastnych oczach, szczupłym, umięśnionym ciele, poddawał się pieszczotom, jakby ciało stało na granicy pomiędzy tym, co ulotne i niewypowiedziane, jakby stanowiło intuicyjnie przeczuwany punkt, niemożliwy do wyrażenia, do nadania mu choćby metaforycznego kształtu. David był tylko kolegą z paczki, jednym z przyjaciół. Oczywiście Alex nie był ślepy i dostrzegał wszystkie ułomności Davida: jego nieuleczalny narcyzm, próżność, pod wpływem której założył zespół, bynajmniej nie dlatego, że lubił albo nie lubił muzyki (Alex pamiętał, że w tamtych czasach David nie wiedział nawet, kim jest Miles Davis), tylko dlatego że chciał zabłysnąć, pragnął, by mężczyźni go podziwiali, a kobiety pożądały. Alex nie kochał Davida dla jego cnót, ale wbrew jego wadom, a dziecięce zachowania Davida do głębi wzruszały i zachwycały Alexa. Davidowi zdarzało się fałszować, a na dodatek przechodził mutację, głos łamał mu się nieoczekiwanie, ale wielbicielki jego talentu - od początku posiadał ich dość sporo - zdawały się tego nie zauważać. Na jednym z pierwszych koncertów, kiedy Alex, w pierwszym rzędzie, pełen entuzjazmu bił brawo, widział dziewczyny, które wpadały w histerię, choć bardziej z powodu oczu czy ciała Davida aniżeli z powodu jego śpiewu czy barwy głosu. Po wysłuchaniu jego pierwszej płyty Alex nie mógł wyjść z podziwu dla osiągnięć technologii: podrasowany w studiu głos brzmiał głęboko, subtelnie, delikatnie, choć na żywo tego wszystkiego się nie dało usłyszeć.

Na pierwsze koncerty Davida Alex przychodził zawsze w towarzystwie jakiejś kobiety. Bo Alexowi podobały się kobiety, nawet bardzo. Uwielbiał ich suknie i perfumy, łagodną linię karku, kaskady gęstych włosów, łuk powiek, które wstydliwie zakrywały oczy, gdy usta wypowiadały niektóre słowa, rozmowy o konfliktach z matką czy przyjaciółkami, specyficzne poczucie humoru, żarty o wiele bardziej wysublimowane niż u mężczyzn i zazwyczaj bardziej celne. Wszystkie kobiece cechy zaspokajały

286
artystyczne, nader wyszukane upodobania Alexa i przenosiły go w krainę romantycznych marzeń, pozbawionych podtekstów seksualnych, do której to krainy dotąd nie miał wstępu, a gdzie teraz napawał się kobiecą niewinnością. Czuł satysfakcję, kiedy widziano u jego boku piękną kobietę, która z kolei zdawała się zachwycona, kiedy widziano ją w towarzystwie Alexa. Zyskał sławę uwodziciela, niemal na równi z rozgłosem, którym cieszył się David.

Różnica między nimi polegała na tym, że David sypiał z uwodzonymi kobietami, a Alex zachowywał się niczym prawdziwy dżentelmen i co najwyżej delikatnie muskał ustami zaróżowione, gładkie policzki kobiet, upijając się przy tym zapachem ich jedwabście lśniących włosów. Kobietom wcale nie przeszkadzało, że Alex nie próbował zaciągnąć ich do łóżka, albowiem działa się to w czasach, kiedy dziewictwo stanowiło pewną wartość, i przyjaciółki Alexa brały za oznakę szacunku coś, co w istocie było brakiem seksualnego zainteresowania. On sam się nie oszukiwał, wiedział, że podczas pieścizot, którymi będzie się zaspokajał, przed oczyma zawsze pojawi się David, nigdy zaś żadna z eterycznych przyjaciółek. Ale ich też nie okłamywał, po prostu nie mówił im całej prawdy. I rzeczywiście Alex nie przespał się z żadną kobietą, dopóki nie skończył dwudziestu jeden lat i nie poznał w szkole teatralnej niejakiej Leonor Ramirez, która później przybrała sceniczny pseudonim Leonor Mayo. I zrobił to, bo sam tego chciał, nie próbując przy tym kryć się ze swoimi prawdziwymi upodobaniami, nie uległ namowom Leonor, choć oczywiście ona go namawiała. Poszedł do łóżka zafascynowany jej osobą, jej tajemniczą obecnością, na przemian odkrywaną i ukrywaną za pomocą aktorskich sztuczek i drobnych oszustw, pozostając pod wrażeniem nie tylko jej niekwestionowanej urody, ale też pewnych cech charakteru, w jego mniemaniu typowo męskich: ambicji, uporu, niezależności, a nawet pewnego nieładu myślowego, nieszczerości, drapieżnego egoizmu, które w oczach

287
Alexa stanowiły raczej zalety niż wady - być może dlatego, że miłość zawsze próbuje szukać w najdziwniejszych czy nawet niemoralnych zachowaniach ukochanej osoby jakiegoś usprawiedliwienia - otóż te wszystkie cechy, niczym składniki tajemnej mikstury, wymieszane razem, tworzyły według niego rodzaj przeznaczenia, które miało pomóc Leonor osiągnąć wszystko, co sobie zaplanuje, a czas pokazał, że Alex miał rację.

W trakcie kilkumiesięcznego związku z Leonor David przesunął się na odległą i nieistotną pozycję, a jednak nawet gdyby Alex próbował przy pomocy Leonor zaprzeczyć oczywistościom, nie rozstawał się z nadzieją, bo w głębi duszy wiedział doskonale, że to, co czuje do Leonor, wszelka ku niej namiętność naznaczona jest piętnem Davida. Czasami Leonor nie miała mu nic mądrego do powiedzenia, a jej niewiele znaczące gesty, uładzone, powtarzane do znudzenia, rytuały, które przyjęli, żyjąc razem, miały w sobie więcej z teatralnej choreografii niż z prawdziwej bliskości i zniweczyły nadzieje na wspólną bajkową przyszłość. Alex napisał do Leonor smutny list pożegnalny, w głębi duszy naiwnie sądząc, że ona, powodowana lękiem przed utratą, odezwie się do niego nowymi słowami, użyje nowych zaklęć, a to sprawi, że on znów zacznie jej pożądać. Tymczasem Leonor przeczytała list ze spokojem i przyjęła fakt rozstania z godnością, a nawet z ulgą. Po paru latach Alex z przyjemnością wspominał Leonor jak swoją dziewczynę z czasów młodości, bo to dzięki niej uwierzył, że sam dokonał wyboru, że nikt do niczego go nie zmusił, że gdyby nie utknął na zakręcie, mógł liczyć na jasną przyszłość z żoną i dziećmi u boku, i właśnie dlatego, że Leonor stanowiła gwarancję jego biseksualizmu i zaprzeczenie homoseksualizmu, pozostawała wciąż jego najlepszą przyjaciółką, zajmując poczesne miejsce na ołtarzu jego uczuć.

Doświadczenie uczestnictwa w tajnym spisku, które przeżył z Leonor, próbował powtórzyć z Lolą, swoją najnowszą przyjaciółką, zjawiskową modelką, z którą często bywał na imprezach,

288

choć teraz nawet nie starał się oszukać samego siebie i nie zamierzał z nią iść do łóżka, choć wiedział, że jego nowa przyjaciółka byłaby więcej niż zachwycona takim obrotem sprawy. Wystarczyło, że mógł się nią chwalić, oprowadzając niczym oswojonego kasztanowego rumaka. Czuł, że wzbudza podziw, a inni mężczyźni pożądamy Loli, to podniecało go najbardziej - skoro mężczyźni pragną kobiety, która mu towarzyszy, na swój sposób pożądamy i jego, a Alex nie mógł pozbyć się obsesji zrodzonej dla Davida, na punkcie mężczyzn bardzo męskich. Źródła tej obsesji należałoby może upatrywać w fakcie, że Alex nigdy nie chciał być gejem, że już w szkole nienawidził się za niezbite przekonanie, że nigdy nie ożeni się z koleżanką o zaróżowionych policzkach i pachnących włosach, że nigdy nie zapomni tonu głębokiej pogardy w słowach ojca „Ale pedał”, którymi zwykł on określać co przystojniejszych prezenterów telewizyjnych wiadomości. Może fakt, że sypiał z mężczyznami, którzy gejami nie byli, pozwalał mu wierzyć, że wystarczy wykonać jeden krok, by przejść z jego świata i znaleźć się w świecie narzeczonych i żon, gdzie mieszkają mężczyźni, których pożądamy. Kiedy Alex dostał się do szkoły teatralnej, rzadziej widywał się z Davidem, czasem jeszcze spotykali się starą paczką na wspominkach, na urodzinach Brunona albo przy okazji sylwestra. Ze spół Davida odnosił w swoim czasie spore sukcesy, ale potem zaczął tracić popularność, bo nie tworzył muzyki, której słuchano

w modnych knajpach, to był zespół chłopaków w skórzanych kurtkach, z bokobrodami i owłosionymi klatami, bardzo, bardzo męskich. David pojawił się ponownie w życiu Alexa, kiedy macho o przepastnych oczach rozstał się z Dianą, dziewczyną, z którą był najdłużej, z którą nawet planował ślub - po rozstaniu z nią zamieszkał dokładnie cztery przecznice od domu Alexa.

Diana miała dość bezustannych zdrad, którym David nie zaprzeczał, tłumaczył się, że one były nie do uniknięcia, że fanki bardzo mu to ułatwiały, że czekały na niego chętne i gotowe po każdym koncercie... Stary przyjaciel zadzwonił do niego, bo

289
czuł się samotny, przygnębiony, zagubiony, bo dusił się w swoim nowym domu (o ile można to było nazwać domem), bo każdej nocy, po pracy, kiedy wracał do swojej nory o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych, płakał jak dziecko. Sam mu to wyznał, płakał jak dziecko, i Alex bardzo się wzruszył, że oto taki prawdziwy mężczyzna, z owłosioną klatą, „męski, bardzo, bardzo męski”, potrafił się przyznać, tak prawdziwie i szczerze, że płacze z tęsknoty za miłością, no i Alex tak się tym rozczulił, że zgodził się pójść z Davidem na piwo. Właściwie to i Alex właśnie zakończył kolejny związek, choć w sposób o wiele mniej traumatyczny: przestał się wreszcie wygłupiać i rozstał z pewną młodą modelką, bardzo zgrabną i bardzo głupią, po której zostało mu jedynie wspomnienie paru ekscytujących nocy i poczucie przygniatającej nudy. Alex stał się powiernikiem, na którego ramieniu David mógł się wyplakać, kompanem od kieliszka, niemal towarzyszem życia. I tak oto tamta młodzieńcza miłość, która nie śmiała określić się tym mianem, dawna, smutna pamięć o próbach nadania sensu szeptom buzującym wewnątrz, bez możliwości ujawnienia się, odżyła, teraz już dojrzała, spokojniejsza, pewna siebie i - błąd, poważny błąd - i pełna nadziei.

A na nadzieję nie było miejsca, bo David był „męski, bardzo, bardzo męski”, tak przynajmniej twierdził on sam, i nie miał najmniejszej ochoty na zmianę tego stanu rzeczy. Ta pewność nie przeszkadzała Alexowi, który masturbował się, myśląc o Davidzie, wręcz przeciwnie, w jakiś przewrotny sposób jeszcze bardziej podniecała go wizja kochania się z mężczyzną w stu procentach heteroseksualnym, którego dotąd nie dotknął żaden inny mężczyzna. Niestety, w którymś momencie granica pomiędzy rzeczywistością a fantazją uległa zatarciu, popadł w obsesję i o niczym innym nie mógł już myśleć - David zamieszkał na stałe w jego głowie. Budził się, myśląc o Davidzie, jadł, myśląc o Davidzie, na próbach myślał o Davidzie i wszystkie swoje role odgrywał dla jednoosobowej publiczności - dla Davida.

290

Nikommu nie wspomniał o swej obsesji, z wyjątkiem Yamala, ale uczynił to bynajmniej nie dlatego, że uważał go za swojego najlepszego przyjaciela, ani też nie dlatego, by darzył go szczególnym zaufaniem, ale dlatego że Yamal posiadał hipnotyczną uwodzicielską moc, niczym fujarka fakira, której nikt nie zdoła się

oprzeć. Jeśli Yamal zadawał pytanie, zawsze uzyskiwał odpowiedź. No i Yamal zauważył tak znaczące zmiany w zachowaniu Alexa, że o to zapytał, a Alex od razu wszystko z siebie wyrzucił, jak tryska źródło przywalone kamieniem przez długi czas, kiedy ktoś ten kamień usunie.

Yamal go ostrzegł:

- Uważaj, nie igraj z losem. Są historie, które nigdy dobrze się nie kończą, ta właśnie do takich należy, to przeznaczenie. Pamiętaj, że niektórzy doświadczają nieznośnej pustki, bo noszą w sobie zbyt dużo, i dlatego boją się samotności i frustracji, i uparcie ścigają coś nieosiągalnego. Jeśli jednak potrafisz cierpliwie znieść namiętność, unikniesz stu dni smutku.

- Brzmi jak arabskie przysłowie.

- To jest arabskie przysłowie - odparł Yamal.

I nadszedł taki dzień, kiedy to się stało. Po jakiejś imprezie, pełnej alkoholu i narkotyków, zaczęli się całować i pieścić. Wciąż pamiętał zdradliwy rumieniec wstydu, krągłość ust, rozchylone wargi, leniwe, rozpalone, ostry język... I nagle koniec. W kulminacyjnym momencie David zdołał jedynie wymamrotać zamroczone alkoholem „nie mogę” i odsunął się.

Pamięta, jak bolało to rozdzielenie dwóch ciał, z których jedno wciąż pragnęło zbliżenia.

Alex wie, że zdaniem Davida go zdradził, skoro nie chce się z nim spotykać. David opowiedział Brunonowi (a Bruno powtórzył to później Alexowi), że poczuł się jak przedmiot, jak zabawka. David nie chciał zrozumieć, że Alex wiedział, że jeśli znów zaczną się widywać, to pożądanie, niespełnienie i żal przywiodą go do śmierci.

291

Śmiercionośna siła miłości nieodwzajemnionej dręczy umysł, odtwarzając wspomnienie delikatnie pachnącego, ukochanego ciała, które nigdy już nie stanie się po prostu i tylko ciałem. David nigdy nie dowiedział się o tych wszystkich nocach, które Alex przepłakał wtulony w poduszkę. O tych wszystkich nocach nieprzespanych ze strachu, że serce wyskoczy mu z piersi, ze strachu, że nie znieś jego nieobecności i w końcu do niego zadzwoni, ze strachu przed ponownym uwikłaniem się w tę absurdalną miłość. Tego samego strachu, pod którego wpływem poprzyśiągł sam sobie, że nigdy więcej się już nie zakocha. Tego samego strachu, pod którego wpływem podrywa chłopców takich jak Sihdo, który zrobi, co zechcesz w barowej toalecie po trzech piwach i dwóch kreskach, chłopców, którzy również twierdzą, że są „męscy, bardzo, bardzo męscy” i mają dziewczyny, które czekają na nich w domu i nie mają zielonego pojęcia, jak każdy z tych chłopców świetnie ciągnie druta, chłopców, którzy nigdy nikomu nie powiedzą, co i jak robią tobie ani co ty im robisz, chłopców, których ciał używasz, ale się od nich nie uzależniasz.

Spośród wszystkich imprez świata tę właśnie należało wybrać.

Przyszło mnóstwo osób, nad tłumem skąpanym w blasku reflektorów unosił się szum głosów, ale jemu wydawało się, że

mocny snop światła pada specjalnie na Davida, wyławiając go pośród bezładnie dryfującego tłumu. David wyraźnie się postarzał, włosy mu posiwiały, przytył, przybyło mu zmarszczek, ale w oczach Alexa pozostał równie doskonały jak zawsze, być może już tylko on tak go postrzegał. Natychmiast przeczesał wzrokiem okolice, próbując namierzyć jakąś jego towarzyszkę. Nikogo nie zauważył, najwidoczniej David przyszedł sam.

Alex czuł się doskonale. Przez ostatnie pięć lat z żelazną dyscypliną chodził codziennie na siłownię. Miał świetnie ostrzyżone włosy, nienagannie leżący garnitur, radosny uśmiech przyklejony do twarzy. Bez względu na to, czy Davida to obchodziło, czy nie.

292

Wreszcie David go dostrzegł. Przez parę sekund na jego twarzy malowało się napięcie, ale zaraz potem twarz złagodniała, a nawet pojawił się na niej rodzaj uśmiechu. Alex również uśmiechnął się w odpowiedzi, wzruszony czułością, którą dostrzegł w oczach Davida. Poczuł, jak w jego ciele wciąż trwa wspomnienie tamtego ciała.

Przez pierwszych parę minut czuli się trochę nieswojo, ale po półgodzinie rozmawiali z ożywieniem, jakby wcale nie było tej paroletniej przerwy. Alex osłupiał, kiedy dowiedział się, że David przyszedł raz na przedstawienie, tylko po to, żeby go zobaczyć.

- Poprosiłem o bilet w ostatnim rzędzie, żebyś przypadkiem mnie nie zauważył, zresztą sala była pełna, i tak byś mnie nie dostrzegł.

- Gdybym cię zobaczył, na pewno bym się wysypał.

David się roześmiał. Czystym, krystalicznym, niewymuszonym śmiechem.

Dziwne, że ta normalność wydawała się taka niezwykła.

Przeszłość wróciła, unosiła się nad barem, można na nią było spojrzeć inaczej. Żeby wykorzystać minione doświadczenia, wystarczyło obejrzeć je z innej perspektywy.

Siedzieli przy barze do rana. Pojechali jedną taksówką, ale nie poszli do jednego pokoju. Mieszkali w tym samym hotelu. Bilety zarezerwował Bruno, ale dopilnował, żeby David i Alex polecili różnymi samolotami. Rozstali się w recepcji, kulturalnie, po przyjacielsku.

- Pójdziemy jutro rano na plażę?

David wahał się z odpowiedzią przez parę sekund, które Alex odczuł jak wieczność.

- Jasne. Zadzwoń po mnie, jak się obudzisz. Mieszkam w 405.

O dziwo, zniósł to spokojnie. Zniósł spokojnie widok Davida w kąpielówkach, widok ciała, które pożył przez prawie dwadzieścia pięć lat, ciała, które nie było już tym samym ciałem przyprawiającym go o dreszcze w szatni po lekcji gimnastyki.

293

Było masywniejsze, potężniejsze, inne. David przytył, i to sporo.

Może z powodu alkoholu, Alex słyszał, że David dużo pije.

O dziwo, bez trudu opanował pożądanie, a właściwie ledwie jego ślad, pożądanie, które z czasem przeobraziło się w zwykłą sympatię.

Czas leczy rany. Tymczasem Alex całował usta, które smakowały inaczej, poznał inne sekretne pieszczoty, inne chętne dłonie, nie pamiętał zapachu Davida, uwolnił się od jego ciężaru w myślach. Tylko związki bez zobowiązań: z przyjaciółmi nie sypiał, z kochankami się nie przyjaźnił, nigdy nie łamał tej zasady. Czas leczy rany, leczą je też nowe ciała. David opowiadał mu o swojej pracy, o nowym mieszkaniu, o swojej siostrze (pamiętasz, jak w szkole przezywali ją Przecinek? Nie poznałbyś jej teraz, typowa kura domowa, potwornie się roztyła), o uczuciowych klęskach (mówię ci, moja ostatnia dziewczyna odeszła tak zniecierpliwiona, bez uprzedzenia, nawet bez pożegnalnego liściku, a na dodatek zabrała mój komputer i złoty zegarek, niezła suka) i Alex zrozumiał, że swojej własnej historii nie mógłby napisać bez Davida, że najradośniejsze chwile jego młodości nierozzerwalnie wiązały się z tym oto mężczyzną, który smarował się obok emulsją do opalania, mężczyzną z całkiem sporym brzuszkiem i rysującą się już łysiną, mężczyzną, który - co wyczuwało się w wilgotnym tonie jego głosu - mógł jeszcze zapłakać jak dziecko za utraconą miłością.

- Jak wrócimy do Madrytu, to może byśmy się umówili na piwo jak za starych dobrych lat.

- Jasne.

Ten mężczyzna mógł zostać jego najlepszym przyjacielem, gdyby tylko Alex nie upierał się, by sięgać po coś nieosiągalnego.

NIEWYGODNY ZWIĄZEK

- Śniłam, że znajduję się w mojej starej szkole i idę korytarzem obok klas. Na wysokości klatki schodowej, która wychodzi na dziedziniec, spotykam Alexa, ubranego w białe kimono, przewiązane zielonym pasem. Wchodzimy razem po schodach na pierwsze piętro, tam gdzie znajdują się klasy starszych dziewcząt, ale my tam nie dochodzimy, okazuje się, że schody prowadzą do luksusowego hotelu, to znaczy nagle znajdujemy się na piętrze luksusowego hotelu. Wygląda na to, że ktoś wynajął całe piętro na jakąś uroczystość. Drzwi do pokoi są otwarte, więc możemy zajrzeć do środka. Grupki ludzi bawią się, popijając szampana, są też pary uprawiające miłość... Szampan spływa pienistymi kaskadami...

I wtedy Alex zaczyna mnie całować, długo, namiętnie, czuję, że w tym pocałunku połączyły się nie tylko nasze języki, ale i dusze...

- dusze, które potajemnie się jednoczą, wiedzione przeznaczeniem pośród mroków, tak sobie myślę, a kiedy się zespalamy, rozpadamy się niczym pozostałości wraku, ale tego nie powiem, a na pewno nie tutaj. - Właściwie nie chciałam użyć tego śmiesznego i nic nieznaczącego słowa. Zetknęły się nasze świadomości, nasze jestestwa, nasze centralne ośrodki, czy jak to tam się nazywa. I nareszcie poczułam się spełniona - westchnienie wrywa się z ust, delikatnie otulających słodki język i dwa imponujące rzędy zwane przez nią samą zębami, a przez innych perłami. - Obudziłam się z przeświadczeniem, że jestem zakochana, że w śnie otrzymałam wiadomość, że z sennych odmetów wydobyłam na powierzchnię jawy to, co się ze mną dzieje, a przed czym wzbraniała się moja świadomość.

Światło, wpadając przez okno do pokoju, odbija się w blond włosach, słoneczne loki przypominają stare, wypolerowane monety, ułożone w stosik na głowie ślicznej, zadbanej blondynki, zapewne przez karzełków - złotników z zaklętej groty, którzy trudzili się nad tą olśniewającą fryzurą, bo ta blondynka ma w sobie coś z wróżki, z bajkowej postaci, z niedojrzałej dziewczynki.

Niedojrzała dziewczynka.

- Nie jesteś zakochana, a może i jesteś... Ale pamiętaj, że być zakochanym to nie to samo co kochać. Mieszasz pojęcia z pozoru podobne, jak przywiązanie, zakochanie i miłość. A każde z tych pojęć mieści w sobie zbiór wierzeń, przesądów, oczekiwań i wymagań, które ujawniają się, choć nie jesteś ich świadoma. To znaczy, wydaje ci się, że tworzysz związek, którego spoiwem powinna być miłość, ale nieświadomie używasz przywiązania, a to jest rodzaj dziecięcej, niedojrzałej więzi. Nie nazwę tego, co czujesz, ale widzę, że powtarzasz ten sam schemat, powtarzasz go po raz kolejny.

- Jaki schemat?

Wytyczony szlak, którym zawsze podążasz, miłość, zawsze ta sama, która powtarza się w kolejnych ciałach, która żywi się sama sobą, nie czerpie z innych.

- Ile razy o tym już mówiłyśmy? Jeśli, z jakiegokolwiek powodu, dana osoba nie otrzymała miłości i uwagi, której oczekiwała ze strony rodziców, będzie szukać kogoś, kto podobnie jak rodzice nie ofiaruje tej upragnionej miłości, lecz każe na nią zasłużyć ciężką pracą.

- To już wiem, chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego Alex nie może mi ofiarować miłości, której szukam...

- Bo cały czas wysyła ci taki sygnał, coś w rodzaju informacji: „Nie zamierzam się angażować”.

- Moim zdaniem wcale tak nie jest. Przecież dzwoni do mnie co chwila i wszędzie chodzimy razem. Tak jakby był moim chłopakiem, chociaż nim nie jest. Nigdy mnie nawet nie pocałował.

- A dlaczego ty nie spróbowałaś go pocałować?

296

- Bo czuję, że po moim pocałunku czar pryśnie, królewicz zamieni się w żabę i już nigdy do mnie nie zadzwoni.

- Czyli zakładasz, że nie ma między wami seksualnego napięcia.

- Tak... to prawda. Tylko dlaczego dzwoni do mnie co pięć minut? Dlaczego powtarza, jaka jestem śliczna?

- Bo jest urodzonym uwodzicielem, jak wszyscy aktorzy, i uwielbia czuć się podziwianym. To naturalne w przypadku jego profesji. No więc spróbujmy jeszcze raz: znasz go od paru miesięcy, codziennie do siebie dzwonicie, nigdy nie byłaś u niego w domu, nie poznałaś jego rodziny, nigdy cię nie pocałował ani nawet nie dotknął, czujesz, że jesteś mu seksualnie obojętna. Wiesz, że mieszka sam, że nigdy z nikim nie mieszkał, żaden producent, reżyser ani agent, żadna z osób, która z nim pracowała, nigdy nie poznała jego dziewczyny ani chłopaka... Jakich jeszcze sygnałów potrzebujesz?

- No cóż, skoro dla ciebie to takie oczywiste... Nie potrzebujesz

mówić nic więcej, żebym wiedziała, co mam myśleć. Oczywiście słyszałam takie plotki. Ale wiem też, że chodził z Leonor Mayo, kiedy jeszcze studiowali w szkole teatralnej, do tej pory bardzo się przyjaźnią. Na premiery często przychodzili we dwójkę...

- Ty też przecież pojawiaasz się razem z nim na zdjęciach, prawda?

- No właśnie. Jemu to chyba odpowiada, że pokazuje się z ładną aktorką czy modelką. Z jednej strony dzisiejsze społeczeństwo jest dość tolerancyjne, a z drugiej wyobraź sobie aktora, który głośno powie, że jest gejem. Wystarczy, że to zrobi, a będzie dostawał tylko role gejów. Pamiętasz Ruperta Everetta? A przecież Alex Vega to obiekt westchnień wszystkich nastolatków... I wszystkich kobiet. Jeśli dowiedzą się, że jest gejem, nie wróci na plan Hospital Central, to oczywiście.

- A jeśli przeanalizujemy twój sen, Lola, czy jego przesłanie nie jest dla ciebie czytelne?

- Nie do końca.

297

- Z czym ci się kojarzy szkoła? Odpowiedz bez zastanowienia. Blondynka nie ma wątpliwości.

- Z dzieciństwem.

- Czyli nawiązując tę znajomość, myślałaś o tym, czego pragnęłaś w czasie, gdy chodziłaś do szkoły, a dokładnie, jak sama powiedziałaś, zanim znalazłaś się na piętrze dla starszych dziewcząt. To on zabiera cię na to piętro, to jest moment przejścia z dzieciństwa w wiek młodzieńczy...

- A wiemy już, co się wtedy stało...

Długa chwila milczenia. Wskazówki zegara cofają się, Lola wraca w przeszłość, koło pamięci zaczyna się kręcić szalonym pędem, czas staje, a przed oczyma Lola widzi pewną scenę, scenę, która rani jej serce, scenę, w której jej brat, ten, do którego tak bardzo podobny jest Alex - choć dużo od niego ładniejszy, tak jakby czyjaś litościwa dłoń obrobiła za pomocą Photoshopa zdjęcie jej dwudziestoletniego brata, wtedy gdy jeszcze bardzo mocno go pragnęła i zanim zdarzyło się to, co się zdarzyło, a czego ona ani nie chce pamiętać, ani zaakceptować, coś, co wstrząsnęło nią do tego stopnia, że poczuła, jak na chwilę zamiera - pamiętna scena rozegrała się, kiedy jej brat był jeszcze ślicznym braciszkiem, a nie łysym i grubym bratem, którego blondynka nienawidzi, z którym nie rozmawia nawet przez telefon, bratem, którego nienawidzi od tamtego dnia, gdy przyłapała go w łóżku z najlepszym szkolnym przyjacielem. Lola wzbrania się przed wyjawieniem, że ta scena, którą nazwała odrażającą (Lola miała wtedy trzynaście lat), w istocie wydała się jej perwersyjnie erotyczna, bo zawierała w sobie wszystko, co zakazane i niewyobrażalne: to, że brat pożądał innego mężczyzny, to, że Lola pożądała brata. Zegar przeznaczenia odmierza chwile bólu i w rozkojarzonej pamięci pojawia się obraz tamtych zwichrzonych włosów, podobnych - właściwie takich samych - jak włosy Alexa, loków zmierzwionych i jasnych jak piwo, tak to chyba

szło w piosence. I właśnie Alex, wiecznie młody Alex, któremu
298

trzydziestka stuknęła dobrych pięć lat temu, ze swoją gładką buzią wciąż zachowuje młodzieńczy urok, wdzięk kwiatu o ledwie rozchylonych płatkach, doprowadzając do szaleństwa tylu mężczyzn i pewien rodzaj kobiet, właśnie tych niedojrzałych. Zaskoczona blond Lola, która do tej chwili nie dostrzegła tego podobieństwa, odsuwa od siebie ten obrazek, jakby opędzała się od muchy, która siadła jej na nosie. Jeden z kosmyków opadł jej na twarz, toteż druga z kobiet jest przekonana, że jej pacjentka po prostu poprawia sobie włosy, których księżęcy przepych zdradza długie godziny spędzone na ich pielęgnacji: comiesięczne podcinanie końcówek, pasemka, maseczki, odżywki. Lola ma pieniądze, więc płaci za pielęgnowanie włosów i za uwagę swojej rozmówczynie.

- A co oznacza kimono?

- To jasne: Aida, mojego byłego męża. Poznałam go na zajęciach z taekwondo, nosiliśmy to samo kimono.

Małżeństwo, które nie przetrwało nawet dwóch lat, z nadrukowaną, jeszcze zanim zostało skonsumowane, datą przydatności do spożycia. Kiedy jako młodzianka dziewczyna, właściwie jeszcze dziecko, brała ślub, wiedziała, że jej narzeczonemu nie podobają się kobiety, ale sądziła, odwieczna łowczyni nieuchwytnych celów, że ona go zmieni, że on jest gotów zmienić się dla niej. Mąż, który na basenie podziwiał chłopców w kąpielówkach nieco dłużej, niż wypadało. Taksujące spojrzenie, nieśmiałe, proszące, zawsze uważne, ulotne, powtarzające się, spojrzenie zadowolone, że jest tylko spojrzeniem, spojrzenie, które później Lola miała rozpoznać w oczach Alexa, kiedy na popremierowych bankietach promiennym uśmiechem pozdrawiał któregoś z młodych, ale już modnych aktorów.

- No właśnie. A to, że ubierasz w kimono Alexa, oznacza, że pragniesz, by zajął on to samo miejsce co twój były mąż. A co symbolizuje hotel?

- Seks, przecież to oczywiste.

299

- Tak, i jak zawsze oddzielasz seks od miłości. Seks też tam jest, ale uprawiany przez innych, w innych pokojach. Umieszczasz Alexa w otoczeniu przesiąkniętym seksem, ale próbujesz ominąć problem, ocieracie się o seks, ale on was nie dotyczy. Nie przez przypadek wydaje ci się, że się zakochałaś właśnie w kimś, kto nigdy nie nakłaniał cię do seksu, ponieważ w istocie nie jesteś zdolna zakochać się w kimś, kto ofiaruje ci również seks, a dokładniej rzecz ujmując, głębokie zbliżenie nierozzerwalnie związane z seksem. No a o tym już rozmawialiśmy.

Pocałunek, który piękna Lola wspomina na jawie, a który przeżyła we śnie. Muśnięcie warg trzepotem kolibrzych skrzydeł, zaledwie dotknięcie, tak delikatne jak u pszczoły zbierającej pyłek, zawieszony nad kielichem, uniesionym jak męski członek i jak on pokrytym kroplami. Nie jest trudno bawić się w skojarze-

nia między pszczołami i kwiatami a niewinnością i seksem. Ale trudniej przychodzi oprzeć się Alexowi czy raczej wyobrażeniu Alexa. Lola nie jest głupia, w głębi duszy wie, że Alex ją wykorzystuje, ale czy i ona przypadkiem też tego nie robi? Chyba czuje się bardziej pewna siebie, zwycięska, nieźle ustawiona, kiedy na premierach czy bankietach pojawia się w towarzystwie przystojnego faceta, który rzeźbi swe ciało z iście spartańską dyscypliną dzień w dzień na siłowni. W towarzystwie mężczyzny wysportowanego, świetnie ostrzyżonego, nienagannie ubranego, z promiennym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Lola wie doskonale, że obraca się w świecie pozorów, gdzie każdy, zamiast być, udaje, że jest; w świecie, w którym torebka od Balenciagi, portfel od Gucciego albo smycz od Prady wyznaczają twój status ekonomiczny, twój gust; w świecie, w którym ludzie uwielbiają udawać, że mają coś, czego w rzeczywistości nie mają. I dlatego noszą podróbki, podróbki torebek Balenciagi, podróbki portfeli Gucciego, podróbki smyczy od Prady, podróbki dziewczyn i podróbki chłopaków. Wie, że pasuje do Alexa, bo jest ładna, zgrabna, dobrze ubrana, miła, i zależy mu na tym, żeby na róż-

300
nych imprezach widziano ich razem. I wie również, że Alex nigdy nie zadał sobie najmniejszego trudu, żeby poznać, kim ona jest naprawdę. Bo Alex nie jest zdolny do zaangażowania się w jakikolwiek stały związek, zwłaszcza jeśli wymagałoby to od niego ciągłej pracy. Czasem, kiedy brylują razem na imprezach, które znakomita większość śmiertelników może sobie jedynie wyobrażać na podstawie migawek w telewizji, Lola odczuwa zakłopotanie i zmieszanie, tak jakby właśnie wypłacono jej w niewymienialnej walucie główną nagrodę, i odbiera jako niezamierzoną ironię losu swoje rzekome zalety, takie jak uroda czy pozycja. Wstydy się na myśl o tym, że za cenę sukienki, którą dziś włożyła, jakaś rodzina mogłaby żyć przez miesiąc, a przede wszystkim zawstydzają ją myśli, że nie potrafi cieszyć się tym przywilejem, że stać ją na taką sukienkę. Jeśli to, co czuje do Alexa, to miłość, nie umie jej zobaczyć w perspektywie przyszłości, bo tęsknota za tym, czym mogłaby się stać, została już zapisana w kontekście tego, czym nie jest. Lola często sobie powtarza, że powinna porzucić ten świat, powinna poszukać poważnej pracy, nawet zacząć jakieś studia, żyć codziennością, mieć jakieś zainteresowania, jakieś cele. Ale w przypadku jej osoby o wartości stanowiła zawsze uroda, więc przeraża ją perspektywa błędzenia bez przewodnika po szlakach, na które nigdy się nie zapuszczała. Kiedy w telewizji ogląda wiadomości o młodych ludziach, którzy ryzykują życie, płynąc morzem na zachód, za chlebem, z nadzieją na spełnienie marzeń, czuje piekący wstyd na myśl o miałym życiu, jakie sama prowadzi. Niestety, w lokalach, w których bywa, w restauracjach, gdzie umawia się na kolacje, w sklepach, gdzie kupuje ubrania, w książkach, które czyta, w gazetach, które przerzuca, te marginalne i brudne historie nie znajdują schronienia, choć dzieją się parę metrów obok, na ulicy, na chodniku,

gdzie siedzi jakiś czarny i zebrze. Więc Lola udaje, że nie słyszy wewnętrznego głosu, i podąża przez życie uwieszona na ramieniu Alexa Vegi.

301

Kiedyś zwierzyła się ze swych rozterek Yamalowi Benaniemu. Wyznała, że źle się czuje, kiedy widzi w wiadomościach dzieci umierające z głodu albo młodych ludzi ryzykujących życie na tratwach, skoro jej samej żyje się lekko, łatwo i przyjemnie, płaci za parę dzinsów sto razy więcej niż są one warte tylko dlatego, że mają naszywkę takiej a nie innej marki, a co gorsza, swą osobą zachęca innych ludzi, by zachowywali się tak jak ona. Każde zdjęcie Loli w katalogu czy w gazecie apeluje: „Kup to!”. A Yamal odparł jej tak: „W Maroku powiedzieliby ci, że takie są wyroki Allaha. Allah stawia jednych po jednej, a innych po drugiej stronie życia. Allah ma swoje powody, a my ich nie znamy”. Lola słuchała zaskoczona: „Nie sądziłam, że jesteś taki religijny”, zauważyła. Nigdy nie zapomniała jego odpowiedzi: „Wystarczająco, żeby wiedzieć, że bogowie są straszni, równie straszni jak życie”. Tymczasem Alex przekracza granicę, zna inne światy, w które Lola ze strachu nigdy się nie zapuszcza. Alex zna imigrantów, męskie dziwki, handlarzy narkotyków, ulicznych sprzedawców i drobnych przestępców. Kiedy wieczorem się z nią nie umawia, odwiedza najmroczniejsze z knajp w Lavapies, a potem wraca, przepełniony dziwnymi, lepкими, rwanymi historiami, o których czasem mimochodem wspomina, niczym nurek, który zapuszcza się w głębiny i wynurza na powierzchnię z egzotyczną rybą przebitą harpunem. Nigdy nie prosił Loli, żeby mu towarzyszyła w tych eskapadach, a Lola nigdy nie proponowała mu swego towarzystwa, bo podejrzewała, że tam właśnie Alex szuka wrażeń, których ona nie potrafi mu zapewnić.

Lola wraca z krainy fantazji do gabinetu i napotyka czujne, badawcze spojrzenie swojej terapeutki.

- Przepraszam, zamyśliłam się...
- A o czym myślałaś?
- O Alexie, o życiu, o moim śnie, o jego symbolice... Jak go powinnam zinterpretować twoim zdaniem?
- To ty powinnaś to wiedzieć.

302

- Powinnam przestać się z nim spotykać?
- To ty musisz podjąć tę decyzję.
- Powinnam przestać się z nim widywać, powinnam porzucić chimeryczne zachcianki, zaprzestać walki z góry skazanej na porażkę. Tak, wiem, teorię to ja znam na pamięć... Co nie znaczy, że łatwo mi ją wcielić w życie. Trudno jest odrzucić złudzenia... Życie jest straszne i bogowie są straszni, bo to ludzie stworzyli bogów, a nie na odwrót. A ja wymyśliłam twoje imię, żeby sobie nadać własne. Zasłony dymne, dzięki którym nie muszę zmierzyć się z tym, czego nie chcę oglądać. A jeśli rzucę w twoją stronę linę, chcąc ratować cię przed zatonięciem, to ta lina stanie się sznurem i owinie się wokół twej szyi.

- Wiem - zgadza się terapeutka. - Dojrzewanie to skomplikowany proces.

LE BEAU TERRIBLE

W mieszkaniu mam dwa Obrazy bliźniacze namalowane przez Yamala Benaniego, z pozoru identyczne, choć różniące się między sobą. Dwa prostokąty, zawieszzone równolegle. Szerokie drewniane ramy otaczają płótna w kolorze kości słoniowej, na które artysta rzucił plamy akrylu w odcieniach ziemi i parę ciemnoczerwonych kropli, podobnych do skoagulowanej krwi. To podobieństwo odkryłam niedawno, kiedy zauważyłam, że obrazy się zmieniły, a plamy nabrały ciemniejszych odcieni. Mój chłopak uważa, że przesadzam, i przypisuje moje spostrzeżenia wybujałej wyobraźni. Zapewnia mnie, że kolor się nie zmienił, choć przyznaje, że właściwie nie zwracał uwagi na obrazy, do chwili, kiedy zaczęłam opowiadać o zmieniających się odcieniach barwnych plam. Czasami mam ochotę podarować komuś te malowidła, ale nie robię tego, bo po pierwsze, moja mama nauczyła mnie, że nie wolno darować innym otrzymanych wcześniej prezentów, a po drugie - wcale nie zamierzam się tego wypierać - dlatego że są sporo warte i z każdym dniem ich wartość wzrasta, bo twórczość akurat tego artysty zyskuje na wartości z minuty na minutę, jak to się mówi. Zdaję sobie sprawę, że jestem szczęściarą, skoro posiadam na własność dzieło Benaniego, i czasami przychodzi mi nawet do głowy, że powinnam je ubezpieczyć. Ale nie wstaję już nocą, żeby napić się wody, ponieważ w drodze do kuchni musiałabym minąć salon, a kiedy zapada mrok, nie chcę przebywać w pobliżu identycznych obrazów, a już zwłaszcza od tamtego pamiętnego razu, kiedy moja córka, grzecznie bawiąc się klockami, zaczęła

304
nagle wpatrywać się w płótna i skupiwszy na nich uwagę, znacznie dłużej, niż zwykły to czynić dzieci w jej wieku, zniecka wybuchła płaczem, a potem przybiegła skryć się w moich ramionach. Od tamtego czasu córka już nigdy nie bawiła się w tym kącie salonu ani też mój pies nie kładł się pod ścianą, na której powiesiliśmy obrazy, choć wcześniej często się tam wylegiwał. Najbardziej intrygujące jest to, że oba obrazy są identyczne. Identyczne. Strawiłam wiele godzin, szukając różnicy, ale nie udało mi się jej znaleźć. Wyglądają jak sklonowane. A podwójna plama krwi przywołuje mnie zwodniczym szeptem niczym tajemnicza zjawia. Trudno wymagać od artysty, żeby śmierć dyrektora muzeum, krytyka sztuki, kuratora wystawy czy podobnej osobistości nie zrobiła na nim wrażenia. Jeśli rzeczony zmarły był mu na dodatek przychylny, taka śmierć urasta do rangi dramatu. Natomiast jeśli tego nie czynił - a statystycznie rzecz biorąc, obojętność jest o wiele częściej spotykana niż entuzjazm - artysta przyjmuje taką wiadomość z mniejszą lub większą radością, bez powodzenia starając się to zamaskować: „Tak, to smutna wiadomość, tak, czytałem w gazetach... Wdowa zapewne pogrążona jest w rozpacz”. Jeśli ponownie odwołalibyśmy się do statystyk, najczęściej taki kurator, krytyk czy dyrektor umiera na raka, na zawał,

w wypadku samochodowym, z powodu powikłań wynikających z nabytego zespołu braku odporności, a nawet z przedawkowania. Natomiast w czasopismach na temat sztuki znajdziemy niewiele informacji o zamordowanych dyrektorach, kuratorach czy krytykach, co powinno nas zdziwić, zważywszy na fakt, że prawie każdy artysta marzy o tym, by zamordować dyrektora muzeum czy kuratora, który nigdy nie wybrał jego dzieł przy tworzeniu swoich wystaw, albo krytyka, który zamieścił druzgocącą recenzję jego twórczości w sobotnim dodatku kulturalnym.

Poznałam Yamalę Benaniego w tym samym roku, kiedy Madryt był Europejską Stolicą Kultury. Pamiętacie? Barcelonie 305

przyznano organizację Igrzysk Olimpijskich, Sewilli - Wystawy Światowej, a Madryt na otarcie też dostał tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w 1992 roku. W rzeczywistości akurat w owym roku dla kultury zrobiono bardzo niewiele, co nikogo nie powinno dziwić, jako że Przewodniczącym Konsorcjum „Madryt '92” był - ni mniej, ni więcej - ówczesny prezydent Madrytu, Jose Maria Alvarez del Manzano, któremu niektóre media nadały przydomek „kata kultury”.

Był styczeń i znany malarz Alvarez Plagaro po raz pierwszy pokazywał na wystawie w Madrycie swoje serie powtarzających się obrazów. Miałam wtedy dwadzieścia sześć lat i chodziłam z artystą konceptualnym in spe, który lubił mnie oprowadzać po wszystkich wernisażach i prawie siłą zaciągnął na otwarcie wspomnianej ekspozycji. Ów artysta in spe skończył jako alkoholik, jak wielu innych, i czasem go spotykam w jakiejś podrzędnej knajpie, ale jego historia nie znajdzie się w tej powieści, podobnie jak historia Alvareza del Manzano. Mój były chłopak pojawił się tu tylko dlatego - zresztą bezimiennie - ponieważ to on wprowadził mnie w artystyczny świat Madrytu.

Jak to przy takich okazjach bywa, sala pękała w szwach od tłumu gości, każdy dzierzył w dłoni lampkę wina, a z ust do ust powtarzano kolejne plotki: „Iks będzie miał wystawę tu i tu, Igrek będzie wystawiał tam, Zet ma zaproszenie na Międzynarodową Wystawę Sztuki Nowoczesnej, a Iksiński na Documenta”. Większość ubrana była w czerń od stóp do głów, niektórzy mieli na nosach markowe okulary, jedna z kobiet przebrała się za gejszę, wciśnięta w wąską suknię i z niewielkim koczkim upiętym palczkami do jedzenia ryżu, inna miała na czubku głowy okazałą zieloną kokardę i udawała zapakowany prezent.

W głębi sali wyraźnie zdenerwowany artysta przyjmował gratulacje. Podeszliśmy i my, zgodnie z wymogami protokołu, aby mu pogratulować.

Mój ówczesny chłopak przedstawił nas sobie:

306

- Lucia Etxebarria, Alfredo Alvarez Plagaro.

Plagaro był (wciąż jest) przystojnym mężczyzną, więc posłałam mu uśmiech, pewnie taki, jaki każda w miarę rezolutna kobieta posłałaby artyście interesującemu pod każdym względem. I wtedy

spozregłam chłopca, który stał obok. Ciężko go było nie dostrzec. Był tak piękny, że zasługiwał na miano dzieła sztuki bardziej niż wszystkie wystawione obrazy. Miał migdałowe oczy w kolorze mięty, prosty nos, czarne długie włosy, śniadą skórę i wydatne, zmysłowe usta, które kryły dwa rzędy białych równych zębów.

- To Yamal Benani, młody, utalentowany artysta, właśnie przyjechał z Paryża. Zamierza tu osiąść.

Przystojny młodzieniec wyciągnął rękę, grzecznie, choć z wahaniem, jakby walczył z onieśmieleniem, poddając się nagiemu przyływowi sympatii, która na koniec zwyciężyła.

W owym czasie Plagaró pracował nad seriami powtórzeń, zatytułowanymi Obrazy tożsame. Obrazy, choć takie same, nie były tymi samymi. To znaczy wystawiał dwa identyczne obrazy, z tym, że nie były one odbijane czy kopiowane, ale malowane równoległe, za pomocą bliźniaczych pociągnięć pędzla. A zatem każdy szczegół został oryginalnie namalowany i te dwa obrazy wyglądały na niemal identyczne, a ponieważ nie zostały skopiowane mechanicznie, wpisano w to powtórzenie ryzyko ludzkiego błędu, a twórca dzieła kwestionował nim samym pojęcie oryginalności i różnice pomiędzy malarstwem a przedstawieniem. Obrazy tożsame Alvareza Plagaró polemizowały z koncepcją „dzieła unikalnego”, bo choć nie zostały wytworzone w mechanicznym procesie powielania, to były - i jednocześnie nie były - unikalnymi dziełami. Należy podkreślić, że Plagaró nie zaczynał malować drugiego obrazu po skończeniu pierwszego, nie kopiował, ale tworzył całą serię jednocześnie. Liczba obrazów w danej serii była zatem ograniczona już na początku i nie mogła się zwiększyć.

W przypadku serii obrazów powtarzanych, odsyłały one do tego, co widziało się wcześniej. Pojedynczy obraz dzięki identycznym

307

sąsiadom oglądany był z o wiele większą uwagą, podziwiano go wielokrotnie to samo dzieło. Spojrzenie wędrowało z jednego na drugi obraz, w tę i z powrotem. Widz niczym w łamigłówce mógł szukać nieuchronnej różnicy w podobieństwie.

Inspiracji dla Obrazów tożsamych należało szukać w dadaizmie, bo na powtórzeniu opiera się humor i ironia: to rodzaj transgresji. I by podążać dalej tropem kwestionowania istoty przedstawienia, okazywało się, że serie obrazów można było dzielić na fragmenty, klient mógł kupić albo całość, albo tylko część serii i zawiesić obrazy u siebie na ścianie według własnego uznania (oczywiście kupowanie fragmentami wychodziło drożej niż seria w komplecie). Klient miał zatem dokończyć dzieła artysty, ponieważ to on decydował o ostatecznym kształcie kompozycji. Tym samym dla Plagaró przygotowanie ekspozycji stanowiło zwieńczenie aktu twórczego. Obrazy dawały się zawiesić na wiele sposobów, bo żaden z nich nie miał ustalonej pozycji, w której należałoby go oglądać (Obraz tożsamy nigdy nie wisiał „na odwrót” czy „do góry nogami”, każdy można było zawiesić na cztery sposoby), a serie można było rozmieścić na wiele sposobów (w rzędzie

poziomym, pionowym czy w formie zbioru). W zasadzie z tych samych serii Obrazów tożsamych można było przygotować zupełnie różne ekspozycje.

Krótko mówiąc, Plagaro sporo namieszał i stworzył sztukę konceptualną na bazie abstrakcyjnych obrazów. Po prostu geniusz, choć mój ówczesny chłopak za takiego go wcale nie uważał, bo w owym czasie mój chłopak zafascynowany był sztuką konceptualną w rodzaju fotela skleconego z książek telefonicznych „do siedzenia na masie”, a malarstwem jako takim (czyli tym z użyciem płótna, terpentyny, pędzla i innych narzędzi uznanych za przestarzałe przez wszystkich postępowych) nie zwracał sobie głowy. Należałoby wspomnieć, że mój ówczesny chłopak jako artysta niewiele osiągnął, o czym już pisałam, ale to zupełnie inna historia i nie ma na nią miejsca w tej książce.

308

Wierny duchowi dadaizmu Alvarez Plagaro nie tylko powtarzał obrazy, ale też wystawy. Tak więc jego pierwsza wystawa w Madrycie nie była jedną wystawą, ale Dwoma Tożsamymi Wystawami, w dwóch różnych galeriach sztuki i w tym samym czasie. Słuchałam zafascynowana wyjaśnień, których na temat poetyki swojej twórczości udzielał nam Plagaro, starając się objąć wszystko rozumem, a tymczasem instynkt kierował mą uwagę na stojącego obok arabskiego młodzieńca, który nie odezwał się ani słowem podczas długiej przemowy Plagara, choć wpatrywał się w niego uważnie, rozdziawiwszy z podziwu usta, najwyraźniej pod wrażeniem porywającego wykładu na temat jego teorii twórczych. Chłopak w nabożnym skupieniu niemal spijał słowa z ust przemawiającego artysty.

Minęła zima, wiosna i lato tamtego ważnego w historii Barcelony i Sewilli roku, a ja znów spotkałam Yamala Benamego, na kolejnej wystawie, tym razem w państwowej instytucji, co ciekawe, ta wystawa również dotyczyła powtórzeń. To był 6 października 1992 roku, pamiętam dokładnie datę, sześć dni przed Dniem Świata Hiszpańskojęzycznego. W niedawno otwartym Muzeum Reina Sofia zainaugurowano wystawę zatytułowaną Powtórzenie/Przetworzenie. Kuratorem wystawy był Amerykanin, Michael Tarantine. O ile mnie to nazwisko skojarzyło się z reżyserem Wściekłych psów, bo ten film właśnie wszedł na hiszpańskie ekrany, o tyle Benaniemu kojarzyło się tylko ze światem sztuki, co dobitnie wskazywało, w jak odległych światach się obracamy. Rozstałam się wcześniej z artystą konceptualnym i przyszłam na wernisaż z przyjaciółką, Leonor, która wtedy rozpoczynała swoją już niebawem olśniewającą karierę, więc kiedy ujrzałam młodego Francuza z kieliszkiem w dłoni jako jedynym towarzyszem, bez wahania posłałam mu jeden z moich najwspanialszych uśmiechów. I zaraz pograżyliśmy się w interesującej rozmowie.

Ojciec Benaniego, jak on sam mi opowiedział, pochodził z Maroka, matka zaś z Libanu, a młody Benani studiował na Akademii

309

Sztuk Pięknych w Paryżu. Ta informacja plus doskonały francuski

akcent, nienaganne manieri i świetnie skrojony garnitur pozwalały przypuszczać, że chłopak pochodzi z dobrej rodziny. A dobra rodzina w Maroku oznaczała rodzinę pochodzącą z wysokiej klasy społecznej, bo w tym kraju nie ma klasy średniej. Oligarchowie z królewskiego dworu to zazwyczaj milionerzy. Kiedyś przeczytałam w marokańskim dzienniku, że pieniądze, które wyprowadził z kraju król Hassan i jego dwór, wystarczyłyby na spłatę całego krajowego zadłużenia w zagranicznych bankach, a prócz tego cały dwór wraz ze swoim potomstwem mógłby pławić się w luksusach „na wieki wieków” - tak przynajmniej twierdził autor artykułu, znany polityk, islamski fundamentalista. Stąd przyszło mi na myśl zapytać Yamala - chociaż nazwisko Benani me należy do rzadkich w Maroku - czy przypadkiem jego ojcem nie jest sławny Gassan Amin Benani, były minister króla Hassana, krwawa postać, odpowiedzialny za aresztowania i tortury tysięcy więźniów politycznych.

- Widzę, że jesteś doskonale zorientowana w sytuacji politycznej Maroka. Tak, to mój ojciec. Ale zanim coś powiesz, chciałbym, żebyś wiedziała, że właściwie się nie znamy, on odsunął od siebie moją matkę. Od lat nie mam od niego żadnych wiadomości. Piętnaście lat mieszkalem w Paryżu, razem z nią, niedawno przeniosłem się do Madrytu. Może słyszałaś też coś o mojej matce, a przynajmniej o jej rodzinie. To Leila Hariri, jej ojciec też był ministrem.

Tak, to nazwisko również zabrzmiało znajomo. Hariri byli jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin w Libanie. Uznałam jednak, że nie byłoby w dobrym tonie dalej wypytywać Yamala o jego rodzinne powiązania, i skierowałam rozmowę na bezpieczniejszy tor: wystawę, w której otwarciu uczestniczyliśmy. Zaprezentowano na niej dzieła twórców takich jak Allan McCollum, Agnes Martin, Gerhard Richter, Robert Rauschenberg, Remy Zaugg, Robert Mangold, Antoni Tapies, Jasper Johns, Sherrie Levine, Michelangelo Pistoletto i grupa Art & Language. Yamal

310

wyjaśnił mi, że tylko jedno nazwisko powtarza się przy okazji tej i poprzedniej wystawy zorganizowanej w Hiszpanii na podobny temat i jest to nazwisko Andy'ego Warhola. Benani wyglądał na rozdrażnionego, ale bynajmniej nie dlatego, że jego prace nie zostały wybrane na tę wystawę - co absolutnie nikogo nie powinno dziwić, bo on wciąż był młodym „wyróżniającym się artystą”, jak eufemistycznie określano artystę, którego znał jedynie ojciec, matka i grono przyjaciół i którego prace kupuje jedynie dwoje pierwszych - lecz z powodu doboru autorów i wystawionych prac. Twierdził, że w przypadku tego typu wystaw tematycznych kuratorzy mogą postąpić dwojako: albo najpierw ustalają tytuł wystawy, a potem upychają na niej prace, poczynając od swoich ulubionych artystów, albo też najpierw wybierają prace, poczynając od swoich ulubionych artystów, a potem ustalają tytuł, który najbardziej do nich pasuje. Pod tytuł tej wystawy można było podciągnąć każdego, stwierdził Yamal, takich, co powtarzają, i takich, co przetwarzają, czyli w zasadzie każdego artystę. Benani był już gotów

wyłosić zaimprovizowany wykład na temat sztuki i przedstawienia, kiedy na sali pojawił się jakiś facet i jak można było sądzić po tłumie, który go otaczał, tłumie lizusów krążących wokół niego niczym planety wokół słońca, była to jakaś bardzo ważna osobistość w mało ważnym świecie sztuk plastycznych. Mężczyzna wyglądał tak, jakby właśnie przeszedł - mocno spóźniony - kryzys wieku średniego. Wysoki, uśmiechnięty blondyn, w ciemnoszarym garniturze, jasnoszarej koszuli i niebieskim krawacie, nosił okulary bez oprawek, które dziś ma na nosie nawet najbardziej konserwatywny wśród naszych ministrów, ale które w owym czasie uchodziły za absolutnie awangardowe i rzadko widywane. Rzeczywiście, ja wtedy zobaczyłam je po raz pierwszy, w Madrycie tymczasem królowały markowe okulary w stylu retro. Zza szkielek patrzyły zimne oczy, w odcieniu stalowobłękitnym, tak bardzo charakterystycznym dla WASP-ów. To był kurator wystawy we własnej osobie, Michael Tarantine. Yamal Benani zapytał o mój poziom znajomości

311
angielskiego. Odparłam, że znam angielski w stopniu doskonałym, i w tej samej chwili zostałam oficjalnym tłumaczem Marokańczyka, który posłał Amerykaninowi zawodowy uśmiech. Chrząknął, przedstawił głos i zaczął:

- Panie Tarantine - tłumaczyłam - pozwoli pan, że pogratuluję doskonałego gustu, o którym świadczy trafny dobór prac na tej wystawie, i pozwoli pan, że się przedstawię: nazywam się Yamal Benani, jestem artystą.

Od siebie dodałam, że nazywam się Lucia Etxebarria i jestem modelką malarzy, co oczywiście było kłamstwem, wymyślonym na potrzebę chwili, bo wtedy jeszcze nie wydałam ani jednej książki i moja praca - osoby odpowiedzialnej za kontakty i komunikację w międzynarodowej korporacji - nie bardzo pasowała do otoczenia. Ale kurator najwyraźniej zainteresował się nie mną, lecz pięknym Yamalem. Mnie pozostało tylko tłumaczyć to, co Yamal Benani miał do powiedzenia na temat swojej twórczości.

W streszczeniu brzmiało to mniej więcej tak:

Wyjaśnił Michaelowi, że pracuje nad serią zatytułowaną Powtórzenia, że powtarzanie stanowi motyw przewodni jego twórczości, że najważniejszy jest sam akt powtórzenia, nie zaś to, co się powtarza. Że korzystając ze swojej wolności, dokonując powtórzenia, ogranicza tę wolność, podcina jej skrzydła, lecz paradoksalnie nie czuje się w jakikolwiek sposób zniewolony. Że mogąc uczynić wszystko w nieskończonej przestrzeni obrazu, dokonuje samoograniczenia, powtarzając kolejne akty twórcze i tworząc równocześnie drugi obraz. Że w swoich obrazach świadomie dokonywał powtórzeń „uchybień” i „trafień”, przez co oba zmieniały swoje znaczenie i dzięki powtórzeniu drobiazgi traciły na wartości, a sens nabierał doniosłości, nie ulegał dewaluacji. Że nie starał się za wszelką cenę tworzyć różnic, a one tak czy owak tworzyły się same. I wreszcie na koniec zapytał Tarantine'a, czyjego zdaniem powtórzenie dodaje dziełu wartości, czy wręcz przeciwnie, powtórzone dzieło na wartości traci. Czy dwa takie same obrazy Panny dworskie namalo-

wane równocześnie przez Velazqueza, cieszyłyby się większym czy mniejszym zainteresowaniem niż pojedyncze dzieło?

Natychmiast zorientowałam się, że Benani przytaczał słowo w słowo reguły zastosowane przez Alavareza Plagaro w odniesieniu do własnej twórczości. Ja akurat czytałam teksty Plagaro i doskonale pamiętałam fragmenty o uchybieniach i trafieniach, o podcinaniu skrzydeł wolności, co paradoksalnie tę wolność rozszerza, i intrygującą kwestię powtórzonych Panien dworskich. Zdziwiłam się, że Michael Tarantine wygląda na wyraźnie zachwyconego wywodem przystojnego Marokańczyka i zarysowaną naprędce przez artystę koncepcją jego twórczości. Czyżby nigdy nie słyszał o Plagaro? A jeśli nie słyszał, to co to za ekspert od sztuki?

- Czytałeś Różnicę i powtórzenie Gilles'a Deleuze'a? - spytał kurator. W jego ustach „Deuleuze” zabrzmiało jak „Delux”.

- Oczywiście - odparł Marokańczyk. - Przeczytałem wszystkie dzieła Deleuze'a. - Nazwisko Deleuze wymówił rzecz jasna jak rodowity Francuz, czym niechcący zaświadczył, że Opatrzność, spośród licznych darów, nie obdarzyła kuratora talentem do języków. - W mojej twórczości pragnę pokazać deleuzjański paradoks. Ponieważ różnica staje się przedmiotem przedstawienia, pozostając zawsze w związku z wymyśloną tożsamością, z podobieństwem poddanym osądowi, z wyobrażonym przeciwieństwem, z dostrzeżonym podobieństwem...

Przetłumaczenie tego ostatniego zdania kosztowało mnie wiele trudu, zwłaszcza że tłumaczyłam z francuskiego na angielski, a moim ojczystym językiem jest hiszpański, i nie miałam pewności, czy w moim przekładzie to twierdzenie zachowało jakikolwiek sens, a tymczasem kurator wciąż wyglądał na zachwyconego rozmową. Niestety, nie mógł w niej dalej uczestniczyć, bo jakiś młodzieniec, odziany w czerń od stóp do głów, szepnął mu coś do ucha. Tarantine przeprosił nas, wyjaśnił, że musi dopełnić wcześniejszych zobowiązań, i podał młodemu artyście swój adres z prośbą o wszelkie możliwe informacje dotyczące jego twórczości.

Tak właśnie rozpoczęła się ich znajomość. Artysta wysłał na podany adres katalogi ze swoich wszystkich wystaw oraz obszerny plik recenzji swojej twórczości, których jednak Tarantine nie mógł docenić, albowiem nie znał słowa po hiszpańsku czy francusku. Ja zaś musiałam tłumaczyć listy, które Benani wysyłał i otrzymywał, potem - faksy, a na końcu - maile. Ta korespondencja, mniej lub bardziej ożywiona, trwała dziesięć lat, do roku 2001, kiedy to Yamal Benani otrzymał od Tarantine'a wiadomość, że ten zamierza zorganizować wystawę na temat systemów seryjnych powtórzeń i wariacji tychże systemów w bliżej jeszcze nieokreślonym muzeum bądź galerii w Nowym Jorku. Wystawa miała nosić tytuł System/Odchylenie.

Dziwne były koleje mojej znajomości z Yamalem Benanim przez wspomniane lat dziesięć. Nigdy nie zostaliśmy kochankami i nie wiem, czy zostaliśmy przyjaciółmi. Spotykaliśmy się często na

kawie i na te spotkania Yamal zawsze przynosił list Tarantine'a z prośbą o przełożenie go na hiszpański, albo list napisany do Tarantine'a z prośbą o przełożenie na angielski. Nie stanowiło to dla mnie specjalnego problemu, więc mu nie odmawiałam, choć byłam świadoma, że w pewnym sensie młody artysta malarz mnie wykorzystuje. Ale, z jakiegoś powodu, pozwalałam mu na to. Może z powodu jego fascynującej urody, leniwych gestów, tajemniczych fluidów. Yamal był, ale jakby go nie było, był zawsze obecny utęsknioną, wyobrażoną nieobecnością, a ja odczuwałam tajemniczy niepokój i działałam pod jego wpływem, był to niepokój podobny do wzruszenia wywołanego muzyką czy sztuką abstrakcyjną. Nigdy nie starałam się zdobyć Benaniego w sensie seksualnym, wiedziałam, że ma dziewczynę, taką bardziej oficjalną, niejaką Miriam, i słyszałam pogłoski, w których łączono go z nazwiskami dość znaczącymi w hiszpańskim świecie artystycznym, takimi jak Victor del Campo (dyrektor ESTAMPY, międzynarodowej wystawy grafiki w Madrycie), Rafael Doctor (dyrektor Międzynarodowego Muzeum Sztuki Nowoczesnej Castilla-La

314

Mancha) czy Fulvio Trentino (jeden z najważniejszych hiszpańskich marszandów, szef galerii noszącej jego imię). Złośliwa plotka głosiła, że z każdym z tych mężczyzn Yamala łączyło coś więcej niż tylko bliska przyjaźń, ale plotki to tylko plotki, a w mieście tak niespokojnym i gwarnym jak Madryt plotki rodzą się na kamieniu. Słyszałam więc, że Yamal, choć sypiał z facetami, to - podobnie jak wielu Arabów - nie chciał zrezygnować z posiadania żony i dzieci. Ciężko mi było ocenić, ile było prawdy w tych pogłoskach. Leonor, aktorka i moja przyjaciółka, opowiadała mi, że niejaki Alex, zaprzyjaźniony z nią aktor, twierdził, że łączył go z malarzem krótki romans, ale ja z kolei po pierwsze miałam wątpliwości, na ile można wierzyć opowieściom egzaltowanej Leonor, a po drugie nie chciałam wypytywać o coś, co nie powinno mnie obchodzić. Tak czy owak, wtedy byłam sama, więc miałam dużo czasu i marnowałam go na picie kawy i alkoholu z mężczyzną, o którym nigdy nie miałam powiedzieć „mój kochanek”, ale z którym mogłam wieść miłe i interesujące rozmowy. A poza tym, kurczę blade, kiedy pokazujesz się w towarzystwie przystojnego mężczyzny, wszystkim wydaje się, że ty też jesteś piękna. A nawet jeśli nie jesteś, sądzą, że musisz mieć w sobie to coś, skoro przyciągnęłaś jego uwagę. Dlatego lubiłam pokazywać się w towarzystwie Yamala i pozwalałam się wykorzystywać. Nasza znajomość osiągnęła ten stopień zażyłości, że u paru arabskich rzeźników z naszej dzielnicy, którzy nie obsługują niemuzułmanów (sprzedają im mięso po niebotycznych cenach i tym prostym sposobem skutecznie ich zniechęcają), traktowano mnie nad wyraz uprzejmie, bo wszyscy wiedzieli, że jestem przyjaciółką jednego z najznamienitszych przedstawicieli ich wspólnoty. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że Yamal jest przebiegłym, rozpieszczonym, egoistycznym dzieciakiem. Miałam okazję zobaczyć go w akcji, kiedy umiejętnie się sprzedał, wykorzystując dorobek innego artysty dla wypromowania własnej twórczości.

Był na tyle mało oryginalny, że bezczelnie powielił koncepty innego twórcy, ale przywłaszczenie stało się ostatnio zjawiskiem 315

powszechnym w świecie sztuki - nawet używa się tego terminu - i nikogo nie oburza. Nie umiałam jednak zerwać tej znajomości. Yamal wciągał niczym wir, intrygował nie tylko swą niezaprzeczalną urodą, ale czymś głębszym i mrocznym, czego nigdy nie udało mi się zdefiniować. W moim przypadku sprowadzało się to do tego, że jeśli nie widziałam Yamala przez parę dni, zaczynałam odczuwać niepokój i ogromną chęć spotkania, a było to odczucie niemal fizyczne, podobnie jak ospałość odczuwana po paru dniach bez czekolady czy rozdrażnienie na dzień czy dwa przed okresem. Oczywiście apetyt na czekoladę można wyjaśnić naukowo: jako zapotrzebowanie na potas, fosfor i magnez, tymczasem trudno podać równie racjonalne wytłumaczenie mojej rozpaczliwej tęsknoty za Yamalem. Czułam, że Yamal wabi mnie do siebie syrenim śpiewem, a ja muszę mu odpowiedzieć, jakbym znajdowała się pod wpływem tajemnego zaklęcia. Zdaję sobie sprawę, że czytelnikowi trudno będzie w to uwierzyć, ale słyszałam takie wezwanie w myślach, równie mocno, jak musiały je słyszeć Joanna d'Arc albo święta Teresa. Nie odważyłam się nikomu do tego przyznać, uznałam, że wezmą mnie za psychicznie chorą, zresztą sama też czasem snułam podobne refleksje.

Kiedy czułam ten niepokój, słyszałam ten dziwny śpiew, który rozwałał mi skronie, dzwoniłam do Yamala. I zawsze miałam takie samo wrażenie, że on czeka na mój telefon, że wiedział wcześniej, że do niego zadzwonię, za każdym razem miał dla mnie czas i chętnie się ze mną umawiał, choć był przy tym podejrzanie spokojny, jakby już wcześniej - telepatycznie - poznał moje życzenie. Umawialiśmy się na kawę, a on opowiadał mi o swoich projektach, wystawach i wiadomościach nadsyłanych od Tarantine'a, dla którego wciąż pełen był nabożnej czci, choć nie było w tym nic dziwnego, bo dla artysty o tak względnej wartości znajomość - choćby tylko drogą korespondencyjną - z jednym z najważniejszych kuratorów wystaw na świecie stanowiła potencjalną trampolinę do sukcesu na wielu polach.

316

Kiedy Benani dowiedział się o pomysle Tarantine'a na zorganizowanie wystawy zbiorowej System/Odchylenie, koniecznie chciał w niej uczestniczyć i musiałam tłumaczyć całą lawinę maili wysyłanych do kuratora, w których opisywał szczegółowo całą swą twórczość, przyszłe projekty i entuzjazm, z jakim pracował nad produkcją nowych serii obrazów. Na początku Tarantine grzecznie odpowiadał Yamalowi krótkimi mailami, później jednak zamilkł. Yamal wciąż pisał mailowe epistoły, ja je tłumaczyłam, ale korespondencja się urwała. Zrozumiałam, że kurator chyba wystraszył się natarczywości młodego (albo nie tak już młodego) artysty. Jeśli pamięć mnie nie myli, stało się to mniej więcej pod koniec 2001 roku.

W 2002 otrzymałam zaproszenie jako pisarka rezydentka na

Uniwersytet Mac Gili, w Montrealu, na pierwszy trymestr, czyli od jesieni do Bożego Narodzenia, z bardzo niskim stypendium, ale z opłaconym mieszkaniem i piękną pracownią. Zadzwoiłam do Yamala, żeby się pożegnać, i dowiedziałam się, że on również opuszcza Hiszpanię. Leci do Nowego Jorku.

- Tak? Cudownie - ucieszyłam się. - Będiesz tam coś zwiedzał?

- Lecę sam... tak, chyba tak. Zamierzam tam pomieszkać przez jakiś czas. Rozstałem się z Miriam, słyszałaś o tym? I chciałbym na chwilę wyjechać z Madrytu... Wujek mojej matki ma fantastyczne mieszkanie przy Piątej Alei, stoi puste, powiedział, że mogę tam mieszkać, jak długo zechcę. Chciałbym pochodzić po wystawach, po muzeach, wyrobić sobie znajomości, sama wiesz, jak jest. I pogadać z Michaeliem Tarantine'em...

Zdziwiłam się, bo wiedziałam, że od jakiegoś czasu kurator nie odpisywał na listy Benaniego. Czyżby więc ostatnio wysłał maila do malarza z propozycją spotkania, a Benani nie przyniósł mi go do przetłumaczenia? To było całkiem możliwe, bo choć na początku naszej znajomości Yamal nie umiał po angielsku ani słowa, z czasem zaczął sobie radzić w tym języku.

- Aha, a ty się jakoś z nim umówiłaś?

317

- No nie do końca... Ale wiem, gdzie go spotkać. Przyjaciele podali mi jego adres i nazwy barów, w których zazwyczaj prześiaduje. Wystarczy trochę cierpliwości i prędzej lub później go spotkam.

Próbowałam na wszelkie sposoby odwieść Yamala od tak idiotycznego pomysłu. Po pierwsze, szanse na przypadkowe spotkanie z kuratorem są raczej mizerne, Tarantine'a mogło w ogóle w tym czasie nie być w Nowym Jorku, mógł na przykład gdzieś wyjechać. Po drugie, wątpiłam, by takie „przypadkowe” spotkanie skłoniło Tarantine'a do uwzględnienia twórczości Benaniego w przygotowywanej wystawie. Moim zdaniem nawet wręcz przeciwnie: wydało mi się bardzo prawdopodobne, że taka natarczywość raczej go do osoby natarczywego wielbiciela zniechęci.

- No co ty, z tego, co wiem, to jest człowiek o stałych upodobaniach. Mam przyjaciół w Nowym Jorku, znają go doskonale i mówili, że Michael chodzi do określonego typu barów... wiesz, co mam na myśli, Lucia. A ja jestem przecież przystojnym facetem, nie?

Chyba zrozumiałam sugestie Yamala, ale dalej nie pytałam, nie chciałam uzyskać pewności co do moich podejrzeń, żeby nie czuć pogardy do kogoś, kogo do tej pory uważałam za przyjaciela. Wiedziałam doskonale, że Yamal Benani przyprawiał o szaleństwo również mężczyzn, bo jego uroda, nieskazitelna, niekwestionowana kazała się domyślać męskości w stanie czystym, bez najdrobniejszych uchybień. Szybko zmieniałam temat, podałam mu swój adres w Montrealu, powiedziałam: do zobaczenia we wrześniu, i wróciłam do pakowania walizek.

Moje życie w Montrealu nie należało do specjalnie ekscytujących. Wstawałam o dziewiątej, jadłam śniadanie, szłam na spacer do

parku na kampusie, pisałam do pory obiadu, wracałam do pracowni, poprawiałam to, co napisałam do południa, i wracałam do pokoju. Czasami umawiałam się z którymś profesorem na kolację, a jeśli nie z profesorem, to szłam na kolację z pewnym intere-

318

sującym studentem, z którym właśnie się zaprzyjaźniłam. Tę rutynę miał przerwać telefon od Yamala Benaniego, który oznajmił, że przyjechał do Montrealu i mieszka w Le St.James, luksusowym hotelu w starej dzielnicy miasta. Umówiliśmy się na obiad, mieliśmy się spotkać w hotelowej recepcji.

Bardzo się zmienił, zdziwiłam się na jego widok. W krótko obciętych włosach wyglądał jak rekrut, nosił wąskie dzinsy i nie mniej obcisłą, czerwoną koszulę. Był bardzo opalony, a jego twarz rozjaśniał promienny uśmiech.

- Wyobraź sobie - zaczął, kiedy już wymieniliśmy obowiązkowe powitalne całusy - że w Nowym Jorku było cudownie, poznałem mnóstwo ludzi... I dzięki tym ludziom mam zaproszenie na imprezę w prywatnej posiadłości pod Montrealem, właśnie dlatego przyjechałem.

- To co, weźmiesz mnie ze sobą?

- To nie takie proste, Lucia, to taka specjalna impreza... Jest lista gości, dobranych według klucza... Impreza zamknięta, tylko dla wtajemniczonych.

Poczułam się dotknięta tym brakiem zaufania i już więcej o nic nie pytałam.

Poszliśmy na obiad do Le Plateau i dopiero w trakcie rozmowy zauważyłam, jak bardzo się mój przyjaciel zmienił. Właściwie mówił tylko o sobie. Był przekonany, że ta podróż do Nowego Jorku oznacza przełom w jego karierze. Nawiązał mnóstwo znajomości, a w przypadku artysty znajomości to więcej niż przypadek, szczęście czy nawet talent, tak twierdził.

- Mam talent - przekonywał - i szczęśliwie wyrobiłem sobie dobre kontakty. Przed pięćdziesiątką będę miał wystawę w MO-MA, zobaczysz.

Pławił się w samouwielbieniu i trochę się przestraszyłam, miałam wrażenie, że uzależnił się od targowiska próżności. Nie znalazłam czasu, żeby opowiedzieć mu o moim nowym chłopaku, Kanadyjczyku, który pisał doktorat na Mac Gili.

319

- Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz z tą karierą? Mam wrażenie, że to dla ciebie najważniejsza rzecz pod słońcem.

- Tak, najważniejsza. Podpisałbym cyrograf z samym diabłem, zrobiłbym wszystko, byle odnieść sukces. Pół życia przygotowywałem się na to, co właśnie nastąpi. Co ja mówię, jakie pół życia... całe życie. Malowałem już w wieku dwóch lat, moja mama może to potwierdzić. I o tym pakcie z diabłem nie powiedziałem ot tak sobie, szukam tego, czego szukał Faust - nieśmiertelności. Wiesz co, Lucia, nie wierzę w życie pozagrobowe ani w życie po śmierci, choć wierzę w Potęgę, od której pochodzimy, i wierzę, że do niej powrócę, ale nie jako Yamal Benani, nie

wierzę w rajski ogród, gdzie czekają na mnie hurysy, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wierzę, wiem, że poza tym światem istnieje drugi, niewidzialny, wiem to lepiej niż ktokolwiek inny, wiem, że istnieje magia, Potęga, szanuję tradycję, więc kiedy jestem w swojej ojczyźnie, wyznaję, że Allah jest wielki, ale nie wierzę w każde słowo wypowiedziane przez imana albo alfaquiego. Wiem, że umrzemy i znikniemy i że tylko sztuka stanowi dla nas jedyną drogę do nieśmiertelności. Tylko że sztuka bez sławy nie istnieje, twórczość nieznanego artysty znika, gubi się, nikomu nie zależy na tym, by ją ocalić.

Od samego początku naszej znajomości widziałam u Benaniego różne obsesje, ale dopiero tamtego dnia zrozumiałam, do jakiego stopnia jest to patologiczne, do czego może go przywieść żądza sławy, jak bardzo pragnie olśnić cały świat i skupić na sobie zachwycone spojrzenia. Dostrzegłam, jak drapieżnie, uparcie dąży sekretne korytarze ku sławie, wrzuca monety w przepastne czeluście, zobaczyłam człowieka, który zawsze potrafi dobrać odpowiednie słowo, stosowny gest i właściwą minę. Zdziwiłam się, ale nie przelęknłam, bo od paru lat podejrzewałam, z jakiej gliny został ulepiony. Dał się zwieść pustym obietnicom centurionów i skusić wężowi, w końcu był tylko człowiekiem, i wzbraniał się przed rozszyfrowaniem drobnych cudów, pozostających na

320 wyciągnięcie ręki, ważniejszych niż chwała i sława, cudów, które ja zaczynałam w tym mieście dostrzegać. Pozwoliłam mu więc mówić, choć nie starałam się słuchać, bo myślałam sobie o drobnych przyjemnościach, jak choćby o wczorajszym wieczorze i białym winie, leniwie popijanym prosto z butelki w mieszkaniu mojego nowego chłopaka.

Wreszcie odprowadziłam Yamala do hotelu i pożegnaliśmy się w holu.

- Ale piękny hotel. Mogę zobaczyć twój pokój?
- W tej sytuacji raczej nie. Nie przyjechałem tu sam...
- A z kim, jeśli można wiedzieć?
- Już ci mówiłem, że są sprawy, o których wołałbym ci nie mówić...

Dał mi dwa całusy i pożegnał się, twierdząc, że musi się przygotować na wieczorną imprezę. Rozstaliśmy się. Wychodząc przez drzwi obrotowe, zobaczyłam jeszcze, jak Benani kieruje się w stronę windy, nie poprosiwszy wcześniej o klucz w recepcji. Zapewne w pokoju ktoś na niego czekał.

Już na ulicy podeszłam do budki telefonicznej i zadzwoniłam na informację, prosząc o numer hotelu Le St.James. Następnie połączyłam się z hotelem i poprosiłam do telefonu pana Yamala Benaniego. Recepcjonistka oznajmiła, że obecnie nikt o takim nazwisku nie jest w hotelu zameldowany. Na wszelki wypadek przeliterowałam nazwisko. I nagle doznałam olśnienia. Uzmysłowałam sobie, że w czasie obiadu Yamal nie wspomniał ani razu o kuratorze, dla którego niejako przybył do Nowego Yorku i że to niewspominanie wydało mi się dość podejrzane. Popro-

siłam recepcjonistkę o połączenie z pokojem pana Michaela Tarantine'a.

- PU put you through - usłyszałam.

- Hello? - dobiegło z drugiej strony. Natychmiast rozpoznałam, mimo fatalnego akcentu, głos Yamala.

321

Poćwiartowane zwłoki Michaela Tarantine'a, obywatela amerykańskiego, urodzonego na Florydzie w 1948 roku, znaleziono w worku na terenie parku przemysłowego okręgu miejskiego Ville-Emard, w Montrealu (Kanada) 5 lutego 2003 roku. Okoliczności jego śmierci pozostają niewyjaśnione do tej pory, policja odmówiła podania dalszych szczegółów i sprawa do dziś okryta jest tajemnicą.

Alvarez Plagaro (a nie Yamal Benani) dokonał uroczystego otwarcia wystawy System / Odchylenie (obok Keiko Sadakane i Francoise Perodin) w niemieckiej galerii M. w Bochum, 18 października 2003 roku.

Jako ciekawostkę chciałam dodać, że chodzi o tę samą galerię, która posiada na wyłączność zbiory rzeźby Richarda Serry i która w 1987 roku sprzedała słynne dzieło Equal Parallel, ważące 38 ton, za cenę 450 tysięcy marek, dzieło, które „zniknęło” z Muzeum Reina Sofia, wywołując potężny skandal w hiszpańskich mediach i popłoch wśród pracowników muzeum.

Bibliotekę Michaela Tarantine'a, złożoną z tysiąca pięciuset woluminów dotyczących sztuki współczesnej (wśród których znajdują się też katalogi z wystaw Alvareza Plagaro i Yamala Benaniego) otwarto przy Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Wizualnych w Cambre (Bruksela) w piątek 29 kwietnia 2005 roku.

To są fakty.

A teraz to, co niewidzialne.

Kiedyś przeczytałam, że żaden malarz nie jest w stanie namalować drzewa z całym jego bogactwem liści i drzeń. Wydaje mi się, że nie napisał tego żaden teoretyk sztuki, tylko Nietzsche. Przemilczenia w tej książce to właśnie zaproszenie do stawiania pytań, które zostawiły swój ślad na jej kartkach. Nigdy nie poznamy, ani ja, ani nikt inny, prawdy na temat tego, co przydarzyło się Michaelowi Tarantine'owi. Ja wiem tylko, że Yamal Benani wrócił do Madrytu na początku marca 2003 roku, krótko po

322

śmierci Michaela Tarantine'a, i od tamtego czasu jego kariera nabrała szalonego tempa. W ciągu trzech lat osiągnął wszystko, co nieosiągalne: Arco, Biennale w San Paulo, Biennale w Wenecji, Espace Actuel w Paryżu, wystawy w Reina Sofia w Madrycie, w galerii Leo Castelli w Nowym Jorku i w Whitechapel w Londynie. Yamal podróżował między Madrytem, Paryżem i Nowym Jorkiem, jakby to były stacje metra, i zdobył sławę jak na artystę niespotykaną, zaczął bywać na imprezach pośród towarzyskiej śmietanki Madrytu i nawet stał się kimś na kształt Warhola hiszpańskiej stolicy, choć jednocześnie mieszkał ciągle w dzielnicy imigrantów i utrzymywał dobre kontakty z Marokańczykami, którzy tam mieszkają. Był jak

legendarny Don Juan, który bywał w pałacach i w podrzędnych spelunkach i wszędzie pozostawiał po sobie wspomnienia, choć nie potrafię powiedzieć, jak gorzkie. Kiedy czytałam o nim w gazetach, wciąż miałam w pamięci tamto zdanie: że nie cofnąłby się przed paktem z diabłem, jeśli to miałyby mu pomóc. I w mojej głowie snuła się myśl, że morderstwo kuratora i nagła sława Yamala są ze sobą w jakiś sposób powiązane, ale nigdy nie udało mi się rozszyfrować, na czym dokładnie miałyby ten związek polegać, i to właśnie pozostanie jednym z przemilczeń w mojej książce.

Czasami spotykam Yamala w mojej okolicy. Otworzył knajpę, dość popularną, w której znów osiągnął rzecz z pozoru nieosiągalną: zmieszał śmietankę towarzyską z plebsem, pisarzy, reżyserów, artystów z ulicznymi sprzedawcami i drobnymi handlarzami haszyszem.

Kiedy kończyłam pracę nad książką, wracałam z Maroka i w „La Gazette du Maroc”, otrzymanej od stewardesy na pokładzie samolotu, przeczytałam następującą notkę:

Koniec mafii

Po aresztowaniu Mohameda El Kharrada, alias Cherifa Ben Alouidane'a, jednego z najpotężniejszych narkotykowych baronów w naszym kraju, ruszyła machina sądownicza w celu

rozmontowania sieci powiązań w administracji państwowej, zorganizowanej przez El Kharrada dla ochrony swoich interesów. Pośród osób zamieszanych w tę skomplikowaną sprawę figurują nazwiska funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa narodowego, policjantów, żandarmów i urzędników państwowych, którzy przyczyniali się do utrzymania i ukrywali międzynarodową siatkę handlarzy narkotyków. Dotarliśmy do następujących nazwisk:

Abdelaziz Izzou, prefekt policji w Tangerze, Youssef Alami Lahlimi, komendant żandarmerii królewskiej w Kenitrze, Farid Hachimi, komendant posterunku morskiego w Tangerze...

Dalej następowały kolejne nazwiska zamieszanych w sprawę urzędników, było ich tyle, że miało się wrażenie, że w całym Maroku nie ostał się ani jeden nieskorumpowany funkcjonariusz, choć ja osobiście miałam takie wrażenie jeszcze przed przeczytaniem tego artykułu w „La Gazette”. I kiedy już chciałam przerzucić kolejną kartkę, mój wzrok padł na jedno z nazwisk: Yamal Mustafa Benani, syn dawnego ministra króla Hassana, jest podejrzany o rozprowadzanie towaru na terenie Hiszpanii.

Kiedy zjawiłam się w Madrycie, natychmiast poszłam do Płonącej Tawerny w poszukiwaniu Yamala. Zrelaksowany, z czarującym uśmiechem na twarzy, nie wyglądał na kogoś, kto obawiałby się aresztowania. Ostatecznie wszędzie na świecie sprawiedliwość dotyczy przede wszystkim biedaków. Wszędzie na świecie, a szczególnie w krajach takich jak Stany Zjednoczone czy Maroko, gdzie sprawiedliwość zależy od tego, ile zarobi twój adwokat. I wtedy zrozumiałam, skąd te przyjacielskie stosunki Yamala z handlarzami z dzielnicy i skąd pochodzą pieniądze, dzięki którym wspinał się po swojej drabinie do sławy. Pieniądze, dzięki

którym mógł kupić wszystkie obrazy po swoich pierwszych wystawach - rzecz jasna za pośrednictwem przyjaciół - tak, by wieść się rozniosła, a on następnym razem mógł wystawić w lepszej
324

galerii - o tym akurat opowiedziała mi Miriam, jego była dziewczyna. Pieniądze, dzięki którym stać go było na podróże do Paryża, Londynu i Nowego Jorku, na kolacje dla marszandów, właścicieli galerii i krytyków, na doskonałe układy towarzyskie. Pieniądze, którymi zapłacił za pakt z diabłem. I dokładnie teraz, stukając w klawiaturę, zastanawiam się, czy świat, w którym żyje Yamal, istotnie jest tak przerażający i niezwykły, czy to moja wyobraźnia działa jak rozregulowany reflektor, który rzuca olbrzymie, fantastyczne cienie wokół danego przedmiotu. Czasami mam wrażenie, że Yamal intrygował mnie od zawsze, bo jego osoba stanowi esencję naszej dzielnicy, kryjącą się pod tyloma różnymi maskami, mistyczne, bijące serce wszystkich ludzi, którzy żyją tu razem, choć się nie znają ani nie rozpoznają, ludzkiego skupiska, ograniczonego wspólnym obszarem, osobników wystawionych na rozliczne życiowe perypetie, z którymi się mierzą, administracyjnie przypisani do jednej ojczyzny, choć emocjonalnie pozostają wierni wielu różnym. W tym punkcie przecięcia, na kartezyjskiej osi przeciwieństw, na której dochodzi do destylacji istoty tego, czym w przyszłości stanie się świat, Yamal jest Potęgą, o której sam opowiadał, bo jest jak nasza dzielnica: ocalenie, tajemnica, przepaść. Moja córeczka skończyła trzy latka, ma kanadyjskie obywatelstwo. Zapisałam ją do świetlicy przy ośrodku społecznym w parku Casino. Na początku świetlica przeznaczona była dla dzieci kierowanych tu przez opiekę społeczną, teraz przyjmują każde dziecko, które chce się tu bawić, zwłaszcza kiedy jego matka zgadza się łagodzić spory wybuchające od czasu do czasu między Nickym a Mahamudem. Moja córka bardzo lubi rysować i choć na razie tylko bazgrze, to o dziwo świetnie dobiera kolory. Wczoraj pokazała mi jeden z rysunków: „Mama, popacz cio to!”, paplając w swoim dziecinnym narzeczu. Anton pomógł jej rysować linie i kółka, wykazując się isticie franciszkańską cierpliwością, tą samą, którą okazuje wszystkim innym dzieciom.

325

To Anton dostarcza mi najświeższych wiadomości. Przez niego poznałam Ismaela, który od czasu do czasu przychodzi po Mahamuda, a teraz załatwia formalności konieczne do poślubienia Susany, Czarnej, co jest dosyć skomplikowane, ponieważ Ismael nie ma paszportu. Ale za pieniądze można kupić wszystko, można przekupić urzędnika i otrzymać metrykę urodzenia. Biorą ślub, bo Ismael potrzebuje papierów, Susana nie ma co do tego wątpliwości, ale wcale się tym nie przejmuje, cieszy ją, że może mu pomóc. Sonia, Zołza, za pośrednictwem Yamala poznała producenta z telewizji i jest prezenterką w jakimś telewizyjnym konkursie, gdzie ubrano ją (eufemistycznie rzecz ujmując) w króciutkie spodenki, w których idealnie wyglądają jej boskie nogi. Miriam spotyka się od czasu do czasu z Antonem. On pewnie się

w niej kocha, ale po gorzkim doświadczeniu z Claudią nigdy jej tego nie powie, co więcej, nie przyzna się nawet sam przed sobą. O Leonor Mayo czytam w kobiecej prasie albo słucham w telewizji. Jej związek z Fulviem Trentino rozpadł się, kiedy marszand został oskarżony o pranie pieniędzy w związku z operacją Malaja. Alex Vega wciąż gra w Hospital Central i można go spotkać w okolicznych knajpach w towarzystwie Silvia, który bardzo wyszczupłał, nie wiadomo tylko, czy to z powodu rozstania z Susaną czy nieprzespanych nocy i niehigienicznego trybu życia. Monica i Cristina zapowiedziały swój ślub, ale nie zamierzają zaprosić na tę uroczystość żadnej z przyszłych teściowych. Emma Ponte urodziła dziewczynkę i udzieliła wyłączonego wywiadu w „Hola”. Zespół Davida Martina dostał wolną rękę od wytwórni i David oznajmił na łamach „Rolling Stone”, że myśli o nowym znaku firmowym dla swoich indywidualnych projektów. Oscar Rosabert zaprezentował ostatnią kolekcję na pokazie Cibeles, a jego muza, Leonor Mayo, oklaskiwała go entuzjastycznie, siedząc w pierwszym rzędzie pomiędzy Yamalem Benanim a Alexem Vegą. Jedną z modelek prezentujących nowe kreacje była Lola Diaz, która stała się twarzą tej marki i ozdobą najnowszego

326
katalogu. Diana przychodzi czasem na spacer z psem do parku Casino i przyjacielsko wita się z Antonem. Czasem pojawia się w towarzystwie Hectora, który wpatruje się w nią wzrokiem zarzynanego jagnięcia. Amina pracuje jako kelnerka w barze przy FilMOTECE, czasami sobie gawędzimy, stąd wiem, że dalej jest z Hishamem, ale nie ustalili jeszcze daty ślubu. Amina oddaje Hishamowi część swojej pensji i dzięki temu Hisham zebrał prawie całość kwoty potrzebnej na zakup wymarzonej furgonetki Mercedes. Esther otrzymała celujący za pracę o Don Kichocie, co bardzo zmotywowało ją do ukończenia studiów. Od Susany, Czarnej, wiem, że Poppy awansowała i została dyrektorem finansowym w swojej firmie, zarabia teraz więcej od męża, a Dora ma nowego chłopaka, o dziesięć lat młodszego. Dzielnica tętni życiem niczym mrowisko, kurczy się i rozszerza niczym serce, życie biegnie szybko i nieubłagane, toczy się w ciągłej walce, bije jak źródło, płynie jak rzeka, a wody wciąż przybierają. Niektórzy topią się, wciągani przez wiry, inni uczą się pływać i ratują skórę. Czerwone linie nabazgrane przez córkę przypomniły mi o Obrazach tożsamyh zawieszonych w salonie. Może ja cierpię na jakąś obsesję? A może czerwony kolor kojarzy mi się zarówno ze śmiercią, jak i z życiem, bo kojarzę akurat ten kolor z jednym z ważnych obrazów zachowanych w mojej fotograficznej pamięci. Kiedy pierwszy raz ujrzałam swoją córeczkę, lekarz trzymał ją w ramionach, a ja widziałam ruchliwe ciało, całe umazane krwią i lepka mazią, zapewne resztkami łożyska, przyklejonymi do niemowlęcej skóry: życie, które od samego początku wyzwala rodzaj dziwnego wzruszenia, wywołującego płacz, mieszankę najgłębszej miłości i obrzydzenia.

DRAMATIS PERSONAE

Uwzględniłam tu wszystkie postaci występujące w książce oraz większość postaci istniejących rzeczywiście i powszechnie rozpoznawanych (zwłaszcza malarzy). Pomięłam jednak niektóre, zwłaszcza postaci historyczne (Velazquez), oraz te, których nazwiska zostały jedynie wspomniane na zasadzie odniesienia. Pragnę podziękować Luisowi de la Pena, który z ołówkiem w dłoni sporządził kompletną listę postaci z mojej książki oraz ułożył ich nazwiska w porządku alfabetycznym.

POSTACI ZE WSTĘPU

Abdul: „kuzyn” albo przyjaciel Yamala.

Abril, Victoria: aktorka.

Alaska/Olvido: piosenkarka i aktorka w pierwszym filmie Pedra Almodovara Pepi, Luci, Bom i inne dziewczyny z naszej paczki.

Almodovar, Pedro: reżyser filmowy.

Andersen, Bibi: aktorka.

Aritz: przyjaciel Moniki. Więcej w: POSTACI POWIEŚCIOWE

Claudia: pracownica opieki społecznej. Kieruje świetlicą. Więcej w: POSTACI POWIEŚCIOWE.

Enrique: przyjaciel autorki. Sędziuje mecze rozgrywane przez dzieci w parku. Studiował socjologię, specjalność pracownik środowiskowy, i pracuje jako urzędnik w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Lubi filmy w wersji oryginalnej.

328

Gregori, Cristina: aktorka.

Maura, Carmen: aktorka.

Monica: przyjaciółka autorki. Więcej w: POSTACI POWIEŚCIOWE.

Nayib: przyjaciel autorki. Więcej w: POSTACI POWIEŚCIOWE.

Paredes, Marisa: aktorka.

Sanchez Pascual, Cristina: aktorka.

Siva, Eva: aktorka.

Tizon: pies autorki, doskonały piłkarz. Czarny, łagodny, kudłaty, przypomina kłębek czarnej waty. Szkoda, że zawsze pachnie... psem.

POSTACI POWIEŚCIOWE

Abdul: „kuzyn” albo przyjaciel Yamala.

Abir: Senegalczyk, który razem z Hamidem prowadzi knajpę.

Do wszystkich dziewcząt, które zamawiają coś przy barze, zwykły zwracać się per złotko, co wkurza jego narzeczoną, bladowłosą i bladolicą cudzoziemkę.

Alba: sąsiadka Soni, Zołzy. Mieszka z Azizem, właścicielem marokańskiej herbaciarni w naszej dzielnicy.

Aldo: był mężem Loli. W tym samym czasie para przyjaźniła się z małżeństwem Hectora i Leonor, dziś również nieistniejącym.

Alegria: matka Isaaca.

Alex: aktor. Patrz: Vega, Alex.

Almodovar, Pedro: reżyser filmowy.

Alvarez, Javier: artysta śpiewający.

Alvarez del Manzano, Jose Maria: alkad (prezydent) Madrytu

w latach 1991-2003.

Alvarez Plagaró, Alfredo: malarz. Urodził się w Vitorii w 1960. Skończył studia na Wydziale Sztuk Pięknych w Bilbao w 1985, 329

w tym samym roku otrzymał trzecią nagrodę w konkursie malarzkim „Miasto Bilbao”. W roku 1986 przyznano mu stypendium z Diputación Foral de Alava i Instituto de la Juventud, w roku 1987 został stypendystą Casa de Velazquez w Madrycie. Obecnie mieszka i pracuje w Madrycie. Jego twórczość, mocno powiązana z komiksem, zawiera liczne odniesienia literackie i symboliczne. Dominują w niej przygaszone barwy - szarości, ochry i zielenie - oraz symetryczne formy i geometryczne kształty.

Amina: starsza siostra Salima. Sprzątała u Yamala i Miriam. Sąsiadka Soni, Zołzy. Obecnie dziewczyna Hishama, kiedyś narzeczona Karima. Należy, podobnie jak Esther i Cristina, do grupy wsparcia Pozytywnych, prowadzonej przez Isaaca, który zachwyił się jej niesamowitymi oczyma.

Ander: wujek Claudii, więziony w czasach frankistowskich.

Anita: projektantka modnych dodatków, biżuterii; przyjaciółka Livii, z którą Livia poleciała do Hongkongu.

Anton: wolontariusz w świetlicy w parku Casino. Od ósmej do szesnastej pracuje jako sprzedawca w dziale komputerowym MACa. Kochanek Miriam i Soni, Zołzy. Najprawdopodobniej zakochany w Claudii. Włosy w kolorze starego złota i turkusowe oczy, metr osiemdziesiąt wzrostu i siedemdziesiąt osiem kilogramów wagi. Nie ma pojęcia, jaki jest przystojny, a przez to jeszcze bardziej atrakcyjny.

Arbelo, Rosana: artystka śpiewająca.

Aritz: przyjaciel i szkolny kolega Moniki.

Aziz: Marokańczyk, właściciel herbaciarni, narzeczony Alby. „Kuzyn” albo przyjaciel Yamala. Bardzo tęskni za swoją rodziną, która mieszka w Marrakeszu.

Benani, Gassan Amin: były minister króla Maroka, Hassana, ojciec malarza Yamala Benaniego.

Benani, Yamal: właściciel knajpy w naszej dzielnicy i znany malarz. Syn Marokańczyka i Libanki. Jego ulubieni artyści pędzla to Rothko, Yves Klein i Matisse. Ulubieni poeci: Mallarme, Ver-

330
laine i Apollinaire. Nie przepada za twórczością Picassa. Używa specjalnych perfum z dodatkiem kadzidła, produkowanych wyłącznie w Libanie.

Bruno: przyjaciel Alexa, razem wybierają się w podróż do Barcelony.

Camino, Mabel: szkolna koleżanka Claudii i Dority.

Carla: kuzynka Selene, dziewczynka, która przychodzi na zajęcia do świetlicy.

Carmen: prawdziwe imię Livii.

Cherifa: ciotka Aminy.

Claudia: pracownica opieki społecznej i kierowniczka świetlicy. Platoniczna miłość Antona. Mieszka z Isaakiem od tak dawna,

że przestała liczyć wspólnie spędzone lata. W szkole kolegowiała się z Dorą. Anton w myślach nazywa ją Czarodziejką. Lubi białe ubrania, ale nosi je tylko w weekendy, bo w pracy często się brudzi. Jest wegetarianką, ale jada jajka i pije mleko. Często płacze na filmach, a jej ulubioną piosenkarką wszech czasów jest Maria Dolores Pradera.

Coyote, Victor: przyjaciel Davida. Naprawdę nazywa się Victor Abundancia. Śpiewał w Los Coyotes, legendarnej grupie z czasów madryckiej movidy. Wciąż jest czynnym muzykiem, prócz tego znany grafikiem i malarzem. Wydał zbiór opowiadań zatytułowany Cruce de perras. Jest również autorem świetnej okładki tej książki.

Cristina (Cris): anorektyczka. Dziewczyna Moniki. Pacjentka Isaaca, uczestniczy w zajęciach grupy wsparcia Pozytywnych. Żywi się głównie jabłkami i jogurtem. Niedawno, na koktajlu przy okazji wernisażu, redaktor naczelny „Vanity” zaproponował jej sesję zdjęciową dla tej gazety. „Ale ja mam bliznę na twarzy”, zauważyła Cristina. „No właśnie - niekryjący się ze swoim homoseksualizmem mężczyzna zareagował dość bezpośrednio - przez to jesteś bardziej interesująca”. Cristina rozważa tę propozycję.

Czarna: Susana, przyjaciółka Soni, Zołzy i dziewczyna Silvia.

Porównaj: Susana.

331

Czarodziejka: przezwisko, które Anton nadał Claudii, wychowawcy ze świetlicy.

Daniel: mąż Miriam, z którym się rozstała.

David Martin: muzyk. Patrz: Martin, David.

Diana: przyjaciółka Miriam, Mamy, znajoma Antona. Była dziewczyna Davida. Jej ulubione zespoły to Depeche Mode i Dover. Prawie się nie maluje i bardzo rzadko wkłada spódnicę.

Nie jest idealną pięknoscia, ale zwraca uwagę smukłym, gibkim ciałem i długimi, wspaniałymi włosami, jakby żywcem z reklamy szamponu.

Diaz, Lola: patrz: Lola.

Dora, Dorita: szefowa sklepu z ubraniami dla pań w rozmiarze XXL, w którym pracuje Susana. Kiedyś modelka i aktorka. Szkolna koleżanka Claudii i kochanka Leonor. Włosy farbuje na czarno, aby podkreślić niesamowity błękitny kolor oczu, niewątpliwie największy atut jej urody. Dla wzmocnienia efektu używa czarnego tuszu.

Elena: prawdziwe imię Poppy. Klientka sklepu, w którym pracują Susana i Dora. Bliska przyjaciółka Leonor Mayo z czasów szkolnych. Jej ulubionym pisarzem jest Galdós, choć właściwie nie ma czasu na czytanie. Ma dwoje dzieci, Alvara i Candele, które nie pojawiają się w tej książce.

Esther: siostra Silvia, chłopaka Susany. Uczestniczy w zajęciach grupy wsparcia Pozytywnych, prowadzonej przez Isaaca. Pisze pracę o Don Kichocie, ale jej ulubioną pisarką jest Lucia Etxebarria i omal nie umarła z radości, kiedy dowiedziała się, że pojawi się w tej książce.

Eusebio: ojciec Isaaca.

Everett, Rupert: aktor.

Fagueye: żona Ferby.

Fatima: dziewczynka, która bawi się w parku i przychodzi na zajęcia do świetlicy.

Felix: pierwszy kochanek Poppy. Dużo od niej starszy i na dodatek żonaty.

332

Ferba: Senegalczyk, właściciel sklepu, w którym pracuje Ismael. Brat cioteczny Youssou'a. Jest właścicielem dzielnicowej rozmównicy telefonicznej. Ma żonę, Fagueye, i syna, Mahamuda. Chciałby mieć jeszcze jedno dziecko, najchętniej córkę.

Guerra, Pedro: artysta śpiewający.

Hadżdż al-, Umar Tali: założyciel państwa Tukulerów. Urodził się w Futa-Toro (dziś Senegal) w 1797 roku, zmarł w Deguembere (nieдалеко Bandagiary, obecnie w Senegalu) w 1864 roku. Umar al-Hadżdż wprowadził w państwie rządu teokratyczne, pomocą służyła mu rada marabu (czarowników), jedynym obowiązującym prawem było prawo koraniczne. Obecnie w Senegalu imię Tali to powód do dumy, tych (wielu), którzy mówią o sobie, zgodnie albo niezgodnie z prawdą, że są jego potomkami.

Hamid: Senegalczyk, który prowadzi knajpę do spółki z Abirem.

Hammed: „kuzyn” albo przyjaciel Yamala.

Hariri, Leila: matka Yamala i odsunięta żona Gassana Amina Benaniego. Mieszka w Paryżu, w pięknym apartamencie z widokiem na Ogrody Luksemburskie, i prawie zawsze nosi kreacje od Yves Saint Laurenta. Jej ulubione perfumy to Rive Gauche. Ulubiony poeta - Ounsi El Hage.

Hassan: król Maroka.

Hector: reżyser filmowy, doceniany przez krytykę, choć jego filmy nie cieszą się uznaniem widzów. Dwukrotnie żonaty, najpierw z Laurą, potem z Leonor Mayo. Zakochany w Dianie. Jego ulubiony film to Stalker Tarkowskiego. W wywiadach chwali się, że w każdej wakacje powtarza lekturę Don Kichota, choć tu akurat kłamie.

Hisham: Marokańczyk, robotnik budowlany i przyjaciel Aziza. Chłopak Aminy. Miał przelotny romans z Leonor Mayo. Lubi słuchać muzyki, a jego ulubieni piosenkarze to Amina Alaoui, Natasha Atlas i Najwua Karam. Chociaż nie jest analfabeta, praktycznie niczego nie czyta.

333

Irene: dziewczyna Antona, która wyszła po papierosy i nigdy nie wróciła. Dziś nie pali.

Isaac: chłopak Claudii, Czarodziejki, jeszcze z czasów studiów. Uwielbia muzykę Bacha; ulubione książki to Zniewolone dzieciństwo Alice Miller i Niebezpieczne związki Choderlosa de Laclosa, a ulubiony film - Najważniejsze to kochać Andrzeja Żuławskiego.

Ismael: czarny imigrant, bardzo przystojny, pracuje w naszej dzielnicy, w sklepie, którego właścicielem jest Ferba. Podoba się Susanie. Jego ulubionym muzykiem jest Youssou N'Dour. Nie

ma ulubionych książek, bo właściwie nie umie czytać.

Jennifer: dziewczyna jednego z przyjaciół Antona, jednego z tych, z którymi Anton wybrał się na Majorkę.

Johns, Jasper: malarz.

Jon: menedżer zespołu Davida. W młodości członek bojówki trockistowskiej, prześladowany przez policję. Dziś ten stary rockman ma willę i dwa samochody.

Karim: były narzeczony Aminy, pochodzi z bardzo dobrej rodziny, ale jest złym człowiekiem.

Kerli: pomoc domowa Miriam i Yamala, która potem z polecenia Miriam pracowała u Diany i Davida. Matka Selene.

Keti: pracownica opieki społecznej. Wychowawczyni ze świetlicy, przygotowuje ciasteczka i mleko dla dzieci na podwieczorek.

Ladoire, Raul: aktor.

Lambert, Yvonne: właścicielka galerii, zajmuje się twórczością Yamala. Wcześniej wylansowała Miquela Barcelo na międzynarodowym rynku sztuki.

Laura: pierwsza żona Hectora.

Leonor Mayo: patrz: Mayo.

Levine, Sherrie: malarka.

Livia: śliczne, towarzyskie stworzenie o niejasnej przeszłości, dziewczyna Davida i bliska przyjaciółka Oscara Rosaberta. Podobno pracuje jako modelka, choć nikt nie widział, żeby brała udział w jakimś castingu. Na plecach ma wytatuowanego węża, który symbolizuje jej tajemniczą naturę.

Lola: wyszła za mąż, bardzo młodo, za Aida. Obecnie jest najlepszą przyjaciółką Alexa Vegi. Jej ulubioną projektantką jest Sybilla, a kolorem - niebieski. Ulubionymi perfumami na dzień jest Perfume de Verbena firmy L'Occitane, a na noc - Eau de Cartier. Pojawiła się na okładkach „Telvy” i „Vogue'a”. W jej dossier można przeczytać: „Wymiary: 179 cm /88-60-90/ Rozmiar buta: 40”.

MacNamara, Fanny albo Fabio: gwiazda movidy, piosenkarz.

Mahamud: jeden z chłopców, którzy grają w piłkę w parku i przychodzą do świetlicy. Syn Ferby. Jego ulubiony film to Gdzie jest Nemo. Ma problemy z koordynacją ruchową. Praktycznie nie widuje swoich rodziców: Fagueye pracuje w rozmównicy prawie dwanaście godzin dziennie, a Ferba dużo podróżuje.

Malika: fikcyjne imię, które Isaac nadał Aminie w artykule opisującym jej przypadek.

Mama: przyjaciółka Antona. Patrz: Miriam.

Mangold, Robert: malarz.

Martin, Agnes: malarka.

Martin, David: David, piosenkarz. Najpierw mieszkał z Dianą, później z Livią. Te dwa związki przeplatał romans z Emmą Ponte, która bywała jego kochanką przez ostatnie dwadzieścia lat i z którą kiedyś grał w jednym zespole. Platoniczna miłość Alexa. Jego pierwszy zespół nazywał się El Capitan Marrano y Las Guitarras Grasientas, ale sławę zyskał nieco później, jako wokalista Sex&Love Addicts, z przebojowym Somos Chusma. Płyta

wszechczasów dla Davida jest .A Love Supreme Johna Coltrane'a, a ulubionym filmem - Blade Runner.

Mayo, Leonor: aktorka, ciesząca się pewnym uznaniem, choć znana bardziej jako bohaterka wydarzeń towarzyskich z telewizji i z prasy, aniżeli ze swoich ról teatralnych czy filmowych. Druga żona Hectora. Bliska przyjaciółka Yamala Benaniego i Oscara Rosaberta, z którym zwykła się pokazywać na wszelkiego rodzaju

335 nagłośnionych medialnie imprezach. Dziewczyna Fulvia Trentina. Chodziła do szkoły razem z Poppy, a w latach osiemnastu spotykała się w madryckich barach z Monicą i Emmą. Już wtedy zwracała uwagę nieprzeciętną urodą i wyszukanymi manierami. Codziennie ćwiczy przez dwie godziny ze swoim trenerem, pije trzy litry wody mineralnej (wyłącznie Evian) i ściśle przestrzega diety. W torebce nosi tusz do rzęs Lancome'a Noir Fatale. Nie uważa się za kobietę dochowującą wierności, choć od zawsze pozostaje wierna jednemu zapachowi: Cabochard.

McCollum, Allan: malarz.

Mercedes: wokalistka, kochanka Emmy Ponte.

Miriam: patrz: Mama. Kochanka Antona. Najpierw związana z Yamalem Benanim, później wyszła za mąż za sąsiada z dzieciństwa, Daniela, z którym ma syna, Teo. Zna na pamięć wiersze Khalila Gibrana, a jej ukochanym pieśniarzem jest Jacques Brel. Używa perfum Anais Anais.

Monica: dziewczyna Cristiny. Kiedyś była dziewczyną Emmy Ponte. Almodovar zaproponował jej rolę w swoim pierwszym filmie, ale mu odmówiła. Jej ulubionym zespołem jest Le Tigre, a pisarką - Jeanette Winterson. Nigdy nie używa perfum.

Narzeczona: Irene, dziewczyna Antona. Ta, która wyszła po papierosy. Obecnie nie pali.

Nayib: „kuzyn” albo przyjaciel Yamala. Przyjaciel Lucii. Spotykają się w parku, gdzie dzieciaki grają w piłkę nożną. Studiował aktorstwo, ale na razie nie znalazł pracy w zawodzie, dlatego pracuje jako sprzedawca w supermarketach. Wróży z kart.

Nicky: chłopiec problematyczny (żeby nie powiedzieć wkurzający), bawi się w parku, przychodzi na zajęcia do świetlicy.

Mieszka w tej samej kamienicy co Sonia, Zołza (z rodzicami), Amina (z bratem Salimem), Alba (z chłopakiem, Azizem). Kiedy dorośnie, chce zostać policjantem, żeby nosić pistolet.

Pistoletto, Michelangelo: malarz.

336

Ponte, Emma: artystka śpiewająca. Przez ponad piętnaście lat jej płyty utrzymywały się na czele list sprzedaży. Przez dwadzieścia lat trwała w przerywanym związku z Davidem (który jest ojcem jej wkrótce mającej się urodzić córki), jednocześnie dzieląc życie z różnymi kobietami. Była dziewczyną Moniki, z którą teraz jest Cristina. Jej ulubioną artystką jest Peaches. A ulubioną książką - Backlash: The Undeclared War Against American Women Susan Faludi.

Poppy: przezwisko Eleny. Patrz: Elena.

Rachid: chłopiec, który przychodzi na zajęcia do świetlicy.
Rauschenberg, Robert: malarz.
Roberto: brat Claudii.
Rosa (pani): nauczycielka gimnastyki Claudii i Dority.
Rosabert, Oscar: projektant mody, bliski przyjaciel Leonor, która występuje w jego kreacjach na wszystkich imprezach, z których fotoreportaże ukazują się potem w plotkarskich gazetach. Jego ulubiony film to Śmierć w Wenecji, a muzyk - Prince. Jak wyjaśniał w jednym z wywiadów, jego ubiory są przeznaczone dla „odważnych dziewcząt, które nie tracąc rozsądku, tracą głowę i chętnie pobawią się, zachowując ironiczny dystans, nie biorąc na poważnie samych siebie. Dla kobiet, które uważają luksus za rzecz codzienną, choć pozornie przeczy to jego naturze”.
Salim: jeden z chłopców, którzy grają w piłkę nożną w parku i przychodzą do świetlicy. Brat Aminy. Kiedy już będzie duży, chciałby grać tak jak Zidane.
Samira: ciotka Aminy.
Sebti, Rachid: malarz, mistrz Yamala.
Seco, Maria Luisa: prezenterka programów dla dzieci w telewizji hiszpańskiej w latach siedemdziesiątych.
Selene: dziewczynka, którą pijak w parku pociągnął za kucyki. Córka Kerli, tej, która najpierw pracowała u Miriam i Yamala, a potem u Diany i Davida. Podobnie jak wielu innym kobietom w tej książce, podoba się jej Anton.
Serrano, Ismael: artysta śpiewający.
337
Silvia: starsza siostra Claudii.
Silvio: przyjaciel Antona, były chłopak Susany i brat Esther. Często upija się z Alexem. Jego ulubiony zespół to Metallica, a ulubiona potrawa to mocno przysmażone jajka sadzone na kiełbasie, przygotowane przez mamę. Kibic Realu Madryt.
Simon: obecny chłopak Diany. Spokojny, pokojowo nastawiony do świata, dosyć zamknięty w sobie. Możliwe, że Diana wybrała sobie takiego mężczyznę, ponieważ był całkowitym przeciwieństwem Davida Martina. Jego ulubiony zespół to Portishead, a pisarz - Thomas Bernard.
Sofia: projektantka Fun&Basics. Znajoma Alexa, kiedyś współlokatorka Livii.
Sonia: Zołza, teleoperatorka z minimalną pensją i kochanka Antona. W weekendy pracuje czasem w Płonącej Tawernie. Świadoma posiadaczka rewelacyjnych nóg, zazwyczaj chodzi w mini. Mało czyta, ale bardzo lubi Złudę Carmen Laforet. Często zmienia perfumy, w zależności od ilości posiadanej gotówki.
Susana: Czarna, była dziewczyna Silvia. Podkochiwała się w Antonie, a później w Ismaelu. Uzależniona od czekolady (tej do jedzenia, nie tej do palenia). Nie przepada za książkami, ale zna na pamięć całe fragmenty z Małego księcia i z Mewy. Jej ulubione wokalistki to Concha Buika i Denoe Zioń.
Tali, Ferba: patrz: Ferba.
Tapies, Antoni: malarz.

Tarantine, Michael: kurator wystaw.
Tarik: „kuzyn” albo przyjaciel Yamala.
Teo: syn Miriam, Mamy. Jego ulubionym filmem jest Madagaskar. Najbardziej na świecie kocha swoją mamę i Tita, czerwonego pluszowego misia.
Tom: pierwszy chłopak Claudii.
Toni: przyjaciel Alexa i Brunona, mieszka w Barcelonie.
Trentino, Fulvio: ważna postać w światku artystycznym, zajmuje się zarządzaniem artystycznymi projektami. Zorientowany 338
biseksualnie. Uwielbia kuchnię wietnamską. Ubiera się u Armani od stóp do głów.
Trini (ciotka): ciotka Claudii.
Vanessa: fikcyjna postać, dziewczyna wymyślona przez Isaaca, by wzbudzić zazdrość Claudii.
Vega, Alex: aktor. Od czasu do czasu występuje jako celebrity dj. Jego ulubiony zespół to Lindstrom, a ukochany didżej - Tiga. Oddałby wszystko za rolę u Almodovara. Używa zawsze perfum Diora - Fahrenheit, którymi według Susany pachną też koszule Silvia. Platoniczna miłość Oscara Rosaberta. Z kolei platoniczną miłością Alexa od zawsze jest David Martin. Jak widać, on i jego znajomi nie stosują zasady zawartej w piosence śpiewanej przez Crosby, Stills, Nash and Young: „If you can't be with the one you love, love the one you are with”. Gdyby ją stosowali, Alex kochałby choć trochę Silvia.
Visi: żona Felixa, pierwszego kochanka Poppy.
Warhol, Andy: malarz.
Yamal: patrz: Benani, Yamal.
Yeni: dziewczynka, która przychodzi na zajęcia do świetlicy.
Youssou: przyjaciel Ismaela z ośrodka dla uchodźców, w którym poznali się po przybyciu do Hiszpanii. „Kuzyn” Ferby.
Zaugg, Remy: malarz.
Zołza: patrz: Sonia. Przewisko nadane Soni przez Antona, którego ona zaczęła później używać z nieskrywaną satysfakcją.

WYJAŚNIENIA I PODZIĘKOWANIA

Kobiety i dzieci przodem

Świetlica dla dzieci w parku Casino istnieje naprawdę, choć nie pracują w niej ani Claudia, ani Anton, którzy są fikcyjnymi postaciami, podobnie jak Mahamud, Nicky, Selene, Fatima czy Salim. Oczywiście dziecięcy bohaterowie zostali stworzeni w oparciu o prawdziwe historie, które opowiadali mi pracownicy socjalni.

Zołza

Podziękowania dla Marioli, dla Grace Morales i dla strony www.Teleoperando za ważne informacje na temat szczegółów życia współczesnej teleoperatorki.

Czarna

Podziękowania dla Silvii Sobe alias Denoe Zioń za opowieści o Gwinei. Za dostarczenie tylu powodów do śmiechu. Za pokazanie mi, co to znaczy być kobietą z jajami. Powodzenia! Jesteś naprawdę nie do przebiccia!

Rzeczywistość i pożądanie

Podziękowania dla Antumi Toasije, który doradził mi napisanie historii Ismaela. I dla Hichama (przepraszam, nie znam nazwiska) i Mohameda Lahchiri za pomoc w konstruowaniu historii Hishama i Aminy.

Tekst piosenki, którą rozpoznał David, pochodzi z dwóch wierszy, które mam w głowie od czasów wczesnej młodości, z Dzie-340

siatej śmierci Xaviera Villaurrutii i utworu bez tytułu Julii Pri-
lutzky.

Wiatraki

Istnieje grupa wsparcia dla kobiet o nazwie Pozytywne, która zbiera się w ośrodku pomocy społecznej w parku Casino, ale nie prowadzi jej Isaac, a historie, które opowiedziałam, choć oczywiście opierają się na rzeczywistych przypadkach, nie odnoszą się do żadnej konkretnej dziewczyny z tej grupy.

Tworząc historię Cristiny, odwiedziłam wiele stron internetowych ruchu Pro Ana. Jeśli któraś z czytelniczek odnajduje się w tej postaci, to znaczy, że być może właśnie jej stronę przeczytałam. Jeszcze raz dziękuję Mohamedowi Lahchiri, Minie Marovany i Jamalowi Zaphly za pomoc w tworzeniu historii Aminy. Kiedy głos ma Amina, częściowo prezentuje ona opinie wyrażone przez Malikę Abdehaziz, koordynatorkę projektu ATIME (Stowarzyszenie Pracownic i Imigrantek Marokańskich w Hiszpanii), w wywiadzie udzielonym czasopismu „Maneras de vivir” (Sposób na życie).

Sihr

Tworząc postać Aminy, oparłam się na artykule „Zdrowie psychiczne i emigracja z krajów Maghrebu” autorstwa Eduarda Balbo (lekarza psychiatry z Ośrodka Zdrowia Psychicznego w Fuenlabrada), który ukazał się w czasopiśmie „Salud global” (Zdrowie na świecie, rok IV, nr 4, 2004 r.); na historii Jane Bowles, na którą rzekomo rzuciła zaklęcie jej koleżanka Cherifa, oraz na prawdziwym przypadku, który zrelacjonował mi Mohamed Lahchiri. Informacje o czarach przy wykorzystaniu kadzidła zaczerpnęłam z artykułu Fatimy Mernissi, z czasopisma „Mundo Arabe” (Świat Arabski).

Dziękuję Isabel Jimenez Burgos za wspólną podróż do Maroka w poszukiwaniu dowodów potwierdzających istnienie sihr.

341

Aktorka

Niektóre opinie Leonor są podobne do wyrażonych przez czterdziestoletnie (lub starsze) aktorki w reportażu zamieszczonym w kulturalnym dodatku do dziennika „El Pafs” w roku 2006.

Skóra węża

Podziękowania dla Joty Rocaberta i Annity Rodriguez, za zdradzenie mi tak wielu sekretów hiszpańskiego świata mody, których istnienia, zważywszy na mą zwyczajową niedbałość stroju, nie byłam absolutnie świadoma.

Le beau terrible

Część tego rozdziału oparłam na opowiadaniu napisanym przez Alfreda Alvareza Plagaro pt. „Zabójstwo kuratora”, które nigdy nie ukazało się drukiem. Dziękuję Alfredowi, że pozwolił mi wykorzystać swoje opowiadanie jako punkt wyjścia dla historii zabójstwa Michaela Tarantine'a. W rzeczywistości istniał kurator o takim nazwisku - Michael Tarantine, dziś już jednak nie żyje. Ale prócz imienia i nazwiska wszystkie inne podobieństwa między obu kuratorami są przypadkowym zbiegiem okoliczności. Chciałabym również podziękować Alvarezowi Plagaro za to, że prócz tego, że jest jednym z najlepszych hiszpańskich malarzy, jest też cudownym przyjacielem, zawsze w dobrym humorze. I muszę przyznać - wiem, że jego żona mi to wybaczy - że jest bardzo przystojny.

Jak zawsze, chciałabym wyrazić moją wdzięczność Mercedes Castro za bezwarunkowe wsparcie i ważne uwagi na temat mojej pracy.

SPIS TREŚCI

OD AUTORKI.....	8	
NAJPIERW KOBIETY I DZIECI.....		15
ZOŁZA.....	41	
CZARNA.....	48	
MAMA	73	
RZECZYWISTOŚĆ I POŻĄDANIE.....		87
WIATRAKI.....	118	
ŚLAD TWOICH WARG.....		149
PIĘKNA DORITA.....	160	
SIHR.....	180	
EFEKT DOMINA.....	201	
OSZUKANY MAŻ.....	217	
AKTORKA	224	
NIEWYKORZYSTANE SZANSE.....		238
ŚMIERĆ KLINICZNA.....	247	
SKÓRA WĘŻA.....	262	
STOPAMI NA ZIEMI.....	284	
NIEWYGODNY ZWIĄZEK.....	295	
LE BEAU TERRIBLE.....	304	
DRAMATIS PERSONAE.....	328	
WYJAŚNIENIA I PODZIĘKOWANIA.....		340

Książkę wydrukowano na papierze

Munken Pocket Cream 17 70 g/m²

CTIC PAPER

www.arcticpaper.com

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa

tel. 022 6290477, 022 6296524

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 022 6286360, 022 6293201

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Warszawa 2009

Wydanie I

Skład i łamanie: MAGRAF s.c, Bydgoszcz

Druk i oprawa: ABEDIK SA., Poznań